

**Régine Deforges**

**Aleja Henri Martin 101  
1943**



## Streszczenie części pierwszej

Na początku jesieni 1939 roku Isabelle i Pierre Delmas żyją sobie spokojnie w swoim majątku Montillac, wśród winnic Bordeaux, wraz z trzema córkami: Françoise, Léą i Laure oraz wierną gospodynią Ruth. Léa ma siedemnaście lat. Ta niezwykle piękna dziewczyna odziedziczyła po ojcu miłość ziemi i winnic, wśród których wyrosła, tak jak Mathias Fayard, syn rządcy jej ojca. Mathias, w dzieciństwie towarzysz jej zabaw, teraz potajemnie kocha się w Léi.

Pierwszego września 1939 roku. W Roches-Blanches, majątku rodziny d'Argilat, zaprzyjaźnionej z rodziną Delmas, obchodzi się zaręczyny Laurenta d'Argilat z daleką kuzynką, łagodną Camille. Na przyjęciu są obecni stryjowie i ciotka Léi z dziećmi: stryj Luc Delmas, adwokat z trójką dzieci: Philippe'em, Corinne i Pierre'em, ciotka jej Bernadette Bouchardeau z synem Lucienem i stryj Adrien Delmas, dominikanin, który ma w rodzinie opinię rewolucjonisty. Są tam także wielbiciel Léi — bracia Jean i Raoul Lefèvre. Tylko Léa nie bierze udziału w ogólnej radości: kocha się w Laurencie i trudno jej się pogodzić z jego zaręczynami z inną. Poznaje Françoisa Taverniera. Ten elegancki i cyniczny mężczyzna wydaje się Léi zagadkowy i ogromnie pewny siebie. Zrozpaczona Léa zaręcza się z Claude'em d'Argilat, bratem Camille. Tego samego dnia wybuch wojna: ogłoszona została powszechna mobilizacja.

Léa jest obecna na ślubie Camille z Laurentem. Dostaje gorączki, pozostaje pod opieką lekarza domowego rodziny Delmas, doktora Blancharda, i odkłada datę swojego ślubu. Narzeczony Léi ginie w pierwszych walkach na froncie. Léa jedzie do Paryża do swoich ciotek Lisy i Albertine de Montpleynet. Spotyka tam Camille i Françoisa Taverniera, do którego odczuwa wielką niechęć, ale i pewien pociąg. Poznaje pisarza Raphaëla Mahla, człowieka niepokojącego, homoseksualistę i oportunistę, oraz Sarę Mulstein, młodą niemiecką Żydówkę, która uciekła przed nazizmem do Francji.

Laurent wyjeżdża na front, Léa obiecuje mu, że będzie się opiekować Camille, która spodziewa się dziecka i czuje się bardzo źle. Mimo to przed wkroczeniem Niemców opuszczają obie Paryż. Uciekają samochodem po zatłoczonych drogach, pod ustawicznym bombardowaniem, w warunkach dramatycznych. Zagubiona Léa spotyka przypadkowo Mathiasa, który ją otacza czułością, i François Taverniera, przy którym poznaje rozkosz fizyczną. Zawieszenie broni pozwala Léi i Camille wrócić do regionu Bordeaux, gdzie dzięki pomocy niemieckiego oficera, Frederica Hankego, rodzi się szczęśliwie mały Charles. Dzień powrotu do Montillac jest dniem żałoby: Isabelle, ukochana matka Léi, zginęła podczas bombardowania Bordeaux. Ojciec Léi pogrąża się z wolna w szaleństwo, podczas gdy w zarekwirowanym majątku organizuje się stopniowo życie wśród wyrzeczeń i ciągłych trudności. Léa, Camille i mały Charles spotykają się u państwa Debray z Laurentem, który uciekł z niewoli niemieckiej i przygotowuje się do walki z okupantem. We wsiach, w rodzinach zaczyna się rozłam: między stronnikami Pétaina a zwolennikami walki z Niemcami. Léa instynktownie staje po stronie tych, którzy się nie godzą na okupację. Nieświadoma niebezpieczeństwa utrzymuje łączność między bojownikami podziemia. Siostra jej, Françoise, zakochuje się w Niemcu, poruczniku Kramerze. Mathias Fayard utrzymuje z Léą stosunki, co jest tym trudniejsze, że jego ojciec chce za wszelką cenę zdobyć majątek rodziny Delmas. Odepchnięty przez Léę Mathias jedzie ochotniczo na roboty do Niemiec. Uginając się pod ciężarem rozmaitych obowiązków Léa wraca do Paryża, do Lise i Albertine de Montpleynet. Prowadzi podwójne życie: zajmuje się przekazywaniem poczty do podziemia i bierze udział w życiu światowym okupowanego Paryża. W towarzystwie François Taverniera usiłuje zapomnieć o wojnie, uczęszczając do eleganckich lokali: "Maxim's", "L'Ami Louis" albo do małej, zakonspirowanej restauracyjki małżonków Andrieu. Widuje się także z Sarą Mulstein, która opowiada jej o istnieniu obozów koncentracyjnych, i Raphaëlem Mahlem uprawiającym najohydniejszą kolaborację. W ramionach François Taverniera zaspokaja pragnienie życia. Ale potrzebna jest w Montillac: brak pieniędzy, chciwość starego Fayarda, ojciec o zamroczonym umyśle, groźby wiszące nad rodziną d'Argilat — wszystkiemu temu musi stawić sama czoło. Dzięki stryjowi, dominikaninowi Adrienowi Delmas, Léa spotyka w podziemiach Tuluzy Laurenta d'Argilat, któremu się oddaje. Porucznik Dohse i komisarz Poinot przesłuchują Léę po jej powrocie do Tuluzy. Uratuje ją interwencja stryja Luca. Wobec tego, że ojciec nie zgadza się na małżeństwo Françoise z kapitanem Kramerem, ucieka ona z domu. Pierre Delmas, który nie może znieść tego ciosu,

umiera. Ojciec Adrien, stryj Luc, Laurent d'Argilat i François Tavernier spotykają się na krótko na pogrzebie. Po ostatnim uścisku Léa zostaje znów sama na pięknej ziemi Montillac z Camille, małym Charles'em i starą Ruth, niepewna swego losu.

## Prolog

W nocy z dwudziestego na dwudziesty pierwszy września po upalnej dotychczas pogodzie zaczęło padać i zimny jak na tę porę roku wiatr szalał nad estuarium Gironde i wiał w górę Garonny.

Przez całe lato gwałtowne burze, niekiedy z gradem, niepokoiły hodowców winorośli. Rok nie zapowiadał się dobrze.

Zegar na katedrze Saint-André wybił czwartą.

Gwałtowne walenie w drzwi celi obudziło Prospera Guillou i syna jego Jeana uwięzionych w forcie Hâ. W ciemności poszli kolejno załatwić się, po czym usiedli na siennikach czekając na światło i kwaterek zabarwionej na brązowo wody, która im służyła za kawę poranną. Jean myślał o swojej żonie Yvette, internowanej w koszarach Boudet; nic o niej nie wiedział od owego dnia lipcowego, kiedy to o piątej rano gestapo i policja wdarły się do jego farmy des Violettes w Thors. Wciąż miał w oczach aresztowanie rodziców i owej pary działaczy komunistycznych, Alberta i Elisabeth Dupeyron, którzy przyjechali po broń przeznaczoną dla grupy Partyzantów FTP w Bordeaux.

Gabriel Fleureau, stolarz, obudził się nagle z krzykiem. Często mu się to zdarzało, odkąd przesłuchiwały go tamte dwie kanalie z brygady komisarza Poinot. Łamali mu skrupulatnie palce prawej ręki. Nikogo nie wydał. Siłę czerpał z miłości do Aurore, dziewczyny, która do sklepu meblowego pana Cadou na nabrzeżu Salinière przynosiła regularnie ulotki, rozprowadzane potem przez Gabriela i Bergoua. I nie wiedział, że jego przyjaciółka została też aresztowana. Ostrożnie poruszył zbolalymi, zmiażdżonymi palcami.

Na sienniku obok Reného Antoine uniósł się, mrużąc coś pod nosem. Nie mógł zapomnieć widoku dziesięcioletniego Michela, który wyciągał do niego ręce wołając "tatusiu!", małego Michela zabranego i uwięzionego w koszarach Boudet razem z matką Heléne. Ktoś musiał ich zadenuncjować, skoro Niemcy od razu znaleźli skład broni ukryty w Bégles w głębi jego ogrodu.

To samo myślał René Castéra. Jego ojciec, matka i brat Gabriel zostali aresztowani ósmego lipca, on – czternastego. Od dwóch lat przechowywali u siebie Żydów oraz działaczy podziemia i dopomagali rodzinom uwięzionych. Podobnie jak Antoine, Castéra nie miał żadnych wiadomości o swoich bliskich.

W innej celi na parterze Albert Dupeyron usiłował podtrzymać na duchu Camille Perdriau, która nie miała jeszcze dwudziestu lat. Pozwalało mu to nie myśleć ciągle o swojej młodej żonie Elisabeth, aresztowanej razem z nim.

Alexandre Pateau zaciskał pięści na wspomnienie sposobu, w jaki została potraktowana jego żona na oczach czteroletniego Etienne'a. Zaskoczono ich w domu w Saint-André-de-Cognac i zabrano do Cognac, potem zamknięto w forcie Hâ.

Raymond Bierge zaś zastanawiał się, jaki łobuz doniósł, że wraz z żoną Félicie przechowują u siebie maszyny drukarskie. Byleby babcia opiekowała się dobrze ich małym synkiem!

Jean Vignaux z Lagnon dziwił się sobie, że tak dokładnie pamięta dziewczynę, w której się kochają jego najlepsi przyjaciele, bracia Raoul i Jean Lefèvre, uroczą Léę Delmas. Ostatnim razem widział Léę na rowerze — jechała z rozwianymi włosami drogą prowadzącą do majątku Montillac.

Jedno po drugim zapaliły się w celach światła. Więźniowie zmrużyli oczy i zaczęli powoli wstawać.

Od wczoraj wiedzieli.

Gwałtowne podmuchy wiejącego przez całą noc wiatru wślizgiwały się pod drzwiami i przez szpary między deskami baraku z obozu Mérignac, przynosząc trochę świeżego powietrza mężczyznom leżącym na niewygodnych kojach ledwie przykrytych brudnymi, cienkimi siennikami. Była piąta rano, więźniowie nie spali.

Lucien Valina z Cognac myślał o trójce swoich dzieci, zwłaszcza o małym Serge'u, który właśnie skończył siedem lat i którego Marguerite, żona Luciena, zbyt rozpieszczała. Jak brutalnie Niemcy wrzucili oboje do ciężarówki! Gdzie są teraz?

Gabriel Castéra myślał o swoim ojcu Albercie, którego uściskał przed kilkoma godzinami, kiedy przyszli po niego i poprowadzili do tego baraku, trochę na uboczu. Dręczyło go wspomnienie łez na policzkach starca. Na szczęście ma jeszcze przy sobie Renégo, swojego starszego syna.

Jean Lapeyrade czuł, jak ściska mu się serce, ilekroć spojrzy na Renégo de Oliveria i na tego chłopca, którego imienia nie znał, a który grał na harmonijce przez sporą część nocy, chcąc ukryć lęk. Jakże ci chłopcy są młodzi! "Berthe, gdzie jesteś?"

"Nie wpajajcie małemu pragnienia odwetu i nienawiści" — napisał Franc Sanson do żony.

Niezwykły ruch panował w obozie. Przez gwałtownie otwarte drzwi Raymond Rabeaux zobaczył ciężarówkę wermachtu otoczone kilkudziesięciu żołnierzami piechoty w mundurach feldgrau. Zaskoczyło go zimne i wilgotne powietrze. Było jeszcze bardzo ciemno. W świetle latarni, które trzymali strażnicy, pobłyskiwały kałuże. Niemcy ustawili naprzeciw drzwi karabin maszynowy. Harmonijka umilkła.

Od wczoraj wiedzieli.

Zastępca dyrektora Rousseau, który rozmawiał z niemieckim oficerem, skierował się w stronę baraku.

— Ano, niech każdy wychodzi, jak usłyszy swoje nazwisko, nie każcie czekać tym panom, pospieszcie się. Espagnet, Jougourd, Castéra, Noutari, Portier, Valina, Chardin, Meiller, Voignet, Eloi...

Więźniowie wychodzili jeden po drugim. Popychani przez żołnierzy ustawili się w szeregu, podnieśli kołnierze kurtek i wcisnęli głębiej na oczy berety lub

czapki.

— Naprzód, wsiadać do ciężarówek. Jonet, Brouillon, Meunier, Puech, Moulias...

Franc Sanson z prężnością swoich dwudziestu dwu lat wskoczył pierwszy do ciężarówki.

W obozie jakby wzbierał głuchy szum. Za szybami każdego baraku stali więźniowie, którzy w tajemniczy sposób wiedzieli. Jeden, potem dwóch, potem dziesięciu, potem stu, potem tysiąc zaczęło nucić Międzynarodówkę. Ogromny pomruk wzbierał w piersiach i mknął za tymi, co odjeżdżali, dodając im odwagi, wspierając ich godność. Błoto, deszcz, czekające okrzyki strażników, nawet strach znikły, zmiecione tym wspaniałym śpiewem tchnącym nadzieją.

Była siódma rano. Ciężarówki, które wyruszyły z koszar Boudet, z fortu Hâ i z obozu Mérignac, jechały drogą do Souges. Na ich widok kobiety zegnały się znakiem krzyża, a mężczyźni zdejmowali czapki. Przy wjeździe do obozu wojskowego ciężarówki zwolniły. Więźniowie jechali zatopieni w myślach, nie zwracając uwagi na czterech żołnierzy, którzy trzymali karabiny wycelowane prosto w nich. Na wybojach więźniowie wpadali jedni na drugich.

Ciężarówki stanęły. Żołnierze odrzucili plandeki, opuścili klapy ciężarówek i zeskoczyli na piasek.

— Schnell... Schnell... Aussteigen... (Prędeż, prędeż, wysiadać!)

Stłoczeni w rogu więźniowie patrzyli na siebie i liczyli się machinalnie. Siedemdziesięciu. Było ich siedemdziesięciu... Siedemdziesięciu mężczyzn, którzy od wczoraj wiedzieli, że niebawem umrą.

W odwet za zamach dokonany w Paryżu na oficera niemieckiego Karl Oberg, szef SS i policji, oraz Helmuth Knochen zażądali od rządu Vichy listy stu dwudziestu zakładników. Czterdziestu sześciu więźniów z obozów w Compiègne i w Romainville spełniało wymagane warunki. Wilhelm Dohse, szef gestapo w Bordeaux, uzupełnił listę.

— Gabriel!...

— René!...

Bracia Castéra padli sobie w ramiona. A każdy z nich łudził się, że tylko jemu grozi śmierć.

Grubawy oficer stanął przed zakładnikami i coś im przeczytał, pewnie wyrok. Co to ich obchodziło! Nagle młody głos zagłuszył słowa Niemca:

*Allons enfants de la patrie...*

Śpiew, początkowo nieśmiały, nagle zabrzmiał, jakby smagnął wrogów prosto w twarz. Nie rozumieją gniewnych słów, ale wiedzą, że dzięki nim zziębnięte stado przeobraża się w groźny hufiec i ten hufiec nawołuje do zemsty:

*Czy na polach Francji słyszycie*

*wrzask tych dzikich żołnierzy?*

Co pięć metrów słup. Dziesięć słupów wzdłuż piaszczystego nasypu, dziesięciu mężczyzn staje przed nimi nie czekając na rozkaz. Przywiązani do słupów nie

pozwalają zawiązywać sobie oczu. Stary ksiądz błogosławi ich drżącą ręką. Pluton egzekucyjny staje naprzeciw... Rozlega się rozkaz jak klaśnięcie z bicia... pierwsza salwa... pod uderzeniami kul ciała drgają i powoli osuwają się na ziemię...

Głosy milkną na ułamek sekundy i rozbrzmiewają na nowo, jeszcze donośniejsze tego dżdżystego poranka.

Chwyć za broń, obywatelu!

Siedemdziesiąt razy rozlega się ostatni wystrzał.

Ciała męczenników wrzucane do szerokiego rowu za nasypem...

Deszcz ustał. Białe promienie słońca padają na piasek. U stóp słupów mieni się przemieszana z wodą kałuża krwi i wsiąka powoli w ziemię.

Po wykonaniu zadania żołnierze odjeżdżają. Jest dziewiąta rano 21 września 1942 roku, Land Souges koło Bordeaux.



Po śmierci Pierre'a Delmas, siostra jego, Bernadette Bouchardeau, usiłowała wziąć sprawy domowe w swoje ręce. Dobra wola dzielnej kobiety była równie oczywista jak jej całkowita niezdolność do zarządzania takim majątkiem jak Montillac.

Siedząc w gabinecie brata, Bernadette grzebała w jego papierach, pojękując przy tym w stronę Camille d'Argilat, która zaofiarowała się jej z pomocą:

— Boże wielki, co z nami będzie? Nie mogę się połapać w tych liczbach. Trzeba się zwrócić do rządu, do Fayarda.

— Niech pani odpocznie, spróbuję się w tym zorientować.

— Dziękuję, kochana Camille, bardzo jesteś dzielna — odparła Bernadette wstając... — Léa powinna wziąć się w garść — dodała zdejmując okulary. — Mnie także jest ciężko, ale ja panuję nad sobą.

Camille uśmiechnęła się ukradkiem.

— Pewnie pani jest silniejsza.

— Pewnie — przytaknęła Bernadette Bochardeau.

Cóż to za głupia kobieta, pomyślała Camille.

— Dobranoc, moje dziecko. Proszę długo nie siedzieć.

Drzwi zamknęły się bezszelestnie. Odgłos ciężkich kroków za drzwiami, trzask dziesiątego stopnia na schodach. Potem w uśpionym domu znów zapadła cisza, zakłócana od czasu do czasu podmuchami zimnego wiatru jesiennego, od którego drgały mury i miały się płomienie w kominku. Siedząc pośrodku ciepłego pokoju Camille patrzyła na ogień, ale go nie widziała. Nagle jedno polano pękło z trzaskiem i osunęło się, rzucając na dywan iskry i rozżarzone węgielki. Camille zerwała się z krzesła, podbiegła do kominka, schwyciła szczypce i szybko zebrała rozżarzone główne. Przy okazji wrzuciła do ognia szczep winorośli, który natychmiast się zapalił z wesołym trzaskiem.

Młoda kobieta zawiązała mocniej pasek szlafroka i usiadła za biurkiem Pierre'a Delmas.

Pracowała do późnej nocy, podnosząc tylko od czasu do czasu głowę, żeby rozetrzeć zboląły kark.

Zegar wybił trzecią.

— Jeszcze się nie położyłaś? — zawołała Léa wchodząc.

– Ty także, jak widzę — odparła Camille z czułym uśmiechem.

– Przyszłam po książkę, w żaden sposób nie mogę zasnąć.

– Czy wzięłaś proszek doktora Blancharda?

– Tak, ale po tych proszkach chodzę półprzytomna przez cały dzień.

– Powiedz mu o tym, da ci coś innego. Musisz spać.

– Chciałabym bardzo, a jednocześnie się boję. Jak tylko zasypiam, zjawia się tamten człowiek z Orleanu. Twarz ma zalaną krwią, idzie w moją stronę... Usiłuje mnie złapać i mówi: "Dlaczego zabiłaś mnie, ladacznico, kurewko? Chodź tu, ślicznotko, pokażę ci, jak przyjemnie się kochać z trupem. Jestem pewien, że lubisz to. Prawda?... Lubisz to, szmato... lubisz, wywłoko, lu..."

– Przestań! — krzyknęła Camille chwytając Léę za ramiona. — Przestań!

Léa spojrzała na nią nieprzytomnym wzrokiem, otarła czoło, zrobiła kilka kroków i opadła na starą, skórzaną kanapę.

– Nie wyobrażasz sobie, jak to jest... To okropne, zwłaszcza kiedy tamten mówi: "Dosyć tego dobrego. Teraz pójdziemy do twojego tatusia: czeka na nas w towarzystwie swoich przyjaciół robaków..."

– Nie mów tak...

– "...i twojej kochanej mamusi". Więc idę za nim wołając mamę.

Camille uklękła, wzięła Léę w ramiona i kołysała ją delikatnie, jak miała zwyczaj kołysać synka, małego Charles'a, kiedy dziecko, obudziwszy się ze straszego snu, biegło z płaczem do jej łóżka.

– No, uspokój się. Nie myśl już o tym. Zabiliśmy go obie. Przypomnij sobie... Strzeliłam pierwsza. Myślałam, że nie żyje.

– Tak, to prawda, ale to ja, to ja go zabiłam.

– Nie było wyboru, on albo my. Stryj Adrien powiedział ci, że na twoim miejscu zrobiłby to samo.

– Powiedział tak, żeby było mi lżej. Wyobrażasz sobie, że tak postąpiłby stryj... dominikanin? Że zabiłby człowieka?

– Gdyby nie było innego wyjścia, tak.

– To samo mówił mi i Laurent, i François Tavernier. Ale jestem pewna, że stryj Adrien nie byłby zdolny do czegoś takiego.

– Nie mówmy o tym. Sprawdziłam rachunki twego ojca, sytuacja nie wygląda wesoło. Nie mogę zrozumieć, jak pracuje ten Fayard. Ograniczając się bardzo, powinnyśmy dać sobie radę.

– Jak można się jeszcze bardziej ograniczać?! — zawołała Léa wstając. — Jadamy mięso raz w tygodniu, i w dodatku jakie! Gdyby było nas mniej, może dałybyśmy sobie radę, ale tak...

Camille spuściła głowę.

– Wiem, że jesteśmy dla ciebie ciężarem. Później zwrócę ci wszystko, co na nas troje wydałaś.

– Zwariowałaś, co innego miałam na myśli!

– Wiem – smętnie odparła Camille.

– Och, nie, nie rób takiej miny. Nic ci nie można powiedzieć.

– Wybacz, kochanie.

– Nie mam ci nic do wybaczenia, robisz to, co do ciebie należy... i w tej chwili nawet to, co należy do mnie.

Léa rozsunęła podwójne zasłony. Księżyc zalewał zimnym blaskiem żwir na podwórzu, wiatr usiłował zerwać ostatnie liście z dużej lipy.

– Myślisz, że wojna potrwa jeszcze długo? – zapytała Léa. – Wszyscy, zdaje się, uważają za normalne, że rząd Vichy współpracuje z Niemcami...

– Nie, Léo, nie wszyscy. Rozejrzyj się naokoło. Znasz co najmniej dziesięć osób, które walczą nadal...

– Czymże jest dziesięć osób wobec setek tysięcy, które krzyczą co dzień: "Niech żyje Pétain!"

– Niedługo będzie nas więcej. Setki, potem tysiące powiedzą: "Nie!"

– Już w to nie wierzę... Wszyscy myślą o jednym: najeść się do syta i nie marznąć.

– Jak możesz tak mówić! Francuzi nie otrząsnęli się jeszcze po klęsce, ale zaufanie do marszałka maleje z każdym dniem. Nawet Fayard mi powiedział niedawno: "Pani Camille, nie uważa pani, że ten starzec trochę się zagalopował?", a przecież Fayard...

– Fayard chciał cię podejść. Znam go, to szczwany lis. Usiłuje się dowiedzieć, co myślisz, żeby to potem, w miarę potrzeby, wykorzystać. Dla niego hasło "Praca, rodzina, ojczyzna" coś znaczy.

– Dla mnie także, ale niezupełnie to samo.

– Uważaj. Ma jeden cel: odebrać nam Montillac. Nie cofnie się przed niczym. W dodatku jest przekonany, że Mathias wyjechał stąd z mego powodu.

– I nie bardzo się chyba myli?

– Nie, to nieprawda! – zawołała Léa gniewnie. – Przeciwnie, usiłowałam powstrzymać Mathiasa. Nie moja wina, że nie chciał mnie słuchać, wolał jechać do Niemiec i zarobić trochę pieniędzy niż pracować w Montillac.

– Kochanie, przesadzasz, wiesz doskonale, dlaczego Mathias wyjechał...

– Nie!

– ...dlatego, że cię kocha.

– No i co z tego, też mi problem. Gdyby mnie kochał, jak mówisz, powinien był tutaj zostać, żeby mi pomóc i nie pozwolić, by jego ojciec okradł nas do reszty.

– Mógł także przyłączyć się do ludzi generała de Gaulle'a, ale rozumiem, że wyjechał.

– Jesteś zbyt wyrozumiała.

– Nie myśl tak. Rozumiem, bo chodzi o miłość... Nie wiem, co bym zrobiła na miejscu Mathiasa czy Françoise... Może bym postąpiła tak samo jak oni.

— Pleciesz głupstwa. Nigdy byś nie pozwoliła, żeby Niemiec zrobił ci dziecko, jak tej biednej Françoise.

— Nie mów tak o własnej siostrze.

— Nie jest już moją siostrą. To przez nią tatuś nie żyje.

— Nieprawda, doktor Blanchard mówił, że twój ojciec od lat chorował na serce, ale mimo błagań twojej matki nie chciał się leczyć.

— Nie chcę o tym słyszeć. Gdyby Françoise nie wyjechała, żyłby jeszcze! — zawołała Léa chowając twarz w dłoniach i zanosząc się płaczem.

Camille powstrzymała odruch czułości i nie podeszła do przyjaciółki. Jak Léa mogła do tego stopnia lekceważyć uczucia innych ludzi?

"Na tym polega jej siła — mówił Laurent. — Chce widzieć tylko to, co jest tuż przed nią. Idzie naprzód, a zastanawia się potem. Nie z braku inteligencji, ale z nadmiaru żywotności".

Léa miała ochotę tupnąć nogą, jak to robiła w dzieciństwie, lecz się opanowała. Odwróciła się do Camille.

— Nie patrz tak na mnie. Idź, połóż się. Spójrz do lustra, jak ty wyglądasz!

— Masz rację, jestem zmęczona. Ty także powinnaś się położyć. Dobranoc.

Camille podeszła do Léi, by ją ucałować. Léa nie drgnęła i nie pocałowała Camille, która bez słowa wyszła z pokoju.

Wściekła na przyjaciółkę i na siebie Léa rzuciła gałąź winorośli do kominka, wyjęła z niskiej szafki pod księgozbiorem szkocki pled, w który lubił się otulać jej ojciec, zgasiła lampę i położyła się na tapczanie.

Nie leżała długo bezsennie, patrząc na płomienie tańczące w kominku. Niebawem ruch tych płomieni ją uspił.

Od śmierci ojca Léa często spędzała noc w tym jej ulubionym teraz pokoju, jedynym, gdzie widma rodzinne nie nawiedzały jej i nie nękały.

Chłód obudził Léę. Muszę znieść tutaj pierzynkę, pomyślała. Odsunęła zasłony i miała dziwne wrażenie, że znalazła się w chmurach — tak gęsta mgła się kłębiła za oknem. Jednakże za tą zasłoną wyczuwało się światło. Będzie ładnie, pomyślała Léa. Szybko i wprawnie rozpałała znów ogień i chwilę trwała bez ruchu, grzejąc się. Machinalnie liczyła godziny, które zegar miarowo wybijał. Jedenaście. Jedenaście! A więc jest już jedenasta! Dlaczego pozwolono jej tak długo spać?

Wysoki płomień gałęzi winorośli, palących się w wielkim kominie, oświetlał ciepłym blaskiem obszerną kuchnię zaciemnioną przez snującą się za oknami mgłę, która się nie rozpraszała. Na stole przykrytym niebieską ceratą stała pusta filiżanka Léi i leżał owinięty w serwetkę kawałek maślanej bułki. Léa łakomie powąchała smakowicie pachnące ciasto. Wypiek Sidonie, pomyślała. W rogu płyty zobaczyła staroświecki dzbanek z niebieskiej emalii. Nalała sobie kawy, która była kawą tylko z nazwy. Na szczęście mleko łągodziło jej smak.

Podczas jedzenia Léa zastanawiała się: co to dzisiaj za dzień, że mamy ciasto? Spojrzała w górę i zrozumiała: zobaczyła wielką jedenastkę. Jedenasty listopada! Sidonie chciała w ten sposób uczcić rocznicę końca wojny czternastego roku. Léa

wzruszyła ramionami uśmiechając się smętnie. Kiedy nadejdzie koniec obecnej wojny? Trwa już przeszło dwa lata!... Dzisiaj, 11 listopada 1942 roku, Francja jest ciągle przecięta na dwoje, coraz więcej młodych ludzi odmawia wyjazdu na roboty do Niemiec i chroni się w górach i lasach, tworząc grupy szukające przywódcy i żyjące głównie z datków ludności miejscowej, a niekiedy także z rabunku. W swoim sektorze Laurent d'Argilat miał za zadanie przegrupować tych opornych młodzieńców i wcielić ich do nowych komórek ruchu oporu. Laurent... Léa nie widziała go od pogrzebu ojca. Camille, żona Laurenta, pojechała raz do niego do Tuluzy, zostawiając Léę chorą z zazdrości. A Tavernier, co się z nim dzieje? Mógłby przynajmniej dowiadywać się o Léę. Był jej kochankiem, nieprawdaż? Z jego powodu przeżyła jeden z największych lęków w swoim życiu: ciąża? Ten fałszywy alarm pomógł Léi zrozumieć niepokój, w jakim żyła Françoise, której dziecko miało się już niebawem urodzić. Françoise napisała do Léi list: błagała siostrę, by przyjechała na czas porodu. Pochłonięta własnym bólem i nienawiścią Léa nie odpowiedziała jej nawet.

— Camille, Ruth, Léo, ciociu Bernadetto! — wołała Laure wchodząc do kuchni.

— Co się stało? — zapytała Léa wstając.

— Laure, to ty tak krzyczysz? — powiedziała Ruth wchodząc do kuchni. Najmłodsza siostra Léi nie mogła złapać tchu.

Drzwiami, które wychodziły na podwórze, wszedł Fayard, a za nim jego żona.

— Słyszaliście panie?

— Co słyszałyśmy? Proszę wreszcie wykrztusić — odparła Ruth.

— Bosze...

— Co? Co zrobiły bosze? — zawołała Léa.

— Zagarnęli wolną strefę — wypaliła Laure jednym tchem.

Léa opadła na krzesło. Naprzeciw niej Camille, której wejścia nie zauważyła, stała tuląc do piersi synka, a malec, przekonany, że to jakaś nowa zabawa, wybuchnął śmiechem.

— Słyszeliśmy przez radio — odpowiedział Fayard.

— Powiedziano przez Radio Paryż, że odszkodowanie za okupację zostało ustalone i będzie wynosić pięćset milionów za jeden dzień. Skąd się weźmie tyle pieniędzy? — dodała jego żona.

Dom panien de Montpleynet bardzo się zmienił od czasów ostatniego pobytu Léi w Paryżu. Dwa mieszkania położone na tym samym piętrze i połączone wspólnymi drzwiami, mieszkania, które niegdyś tętniły życiem, były teraz wyziębione. Dwie siostry i ich służąca zajmowały cztery pokoje, jedyne, jakie mogły jako tako opalić. Trzy pokoje w głębi korytarza i całe mieszkanie Albertine wyglądały jak opuszczone: meble stały w pokrowcach, okiennice były szczelnie zamknięte, w kominkach przestano palić. Właścicielki tych mieszkań pogodziły się z ciasnotą. Nazwały "zimnym mieszkaniem" pokoje, których nie mogły ogrzać, i nigdy tam nie chodziły.

— Zrozum nas, nie mogłyśmy zostawić Françoise samej, chorej w hotelu, twoja matka by nam tego nie darowała — powiedziała Lisa de Montpleynet wycierając oczy wilgotną chusteczką.

— Nie ma co do tego wracać, spełniłyśmy swój obowiązek, obowiązek krewnych i chrześcijanek — dodała oschłym tonem jej siostra Albertine.

Stojąc w małym saloniku ciotek Léa z trudem hamowała gniew.

Pełen przerażenia list Albertine — co wcale nie było w jej stylu — sprawił, że po wielogodzinnym oczekiwaniu na zatłoczonym dworcu Saint-Jean w Bordeaux Léa wsiadła do pierwszego pociągu jadącego do Paryża. Kiedy przyjechała na ulicę de l'Université, Estelle, gospodyni i służąca panien de Montpleynet, otulona w kolorowe szale uściskała ją z widoczną ulgą, powtarzając, jak gdyby chciała się upewnić, że to prawda:

— Nareszcie przyjechała panienka, nareszcie...

— Co tu się dzieje, Estelle, gdzie są ciocie? Czy są chore?

— Panienko Léo, gdyby pani wiedziała...

— Léa, nareszcie! — zawołała na jej widok Lisa, wchodząc do pokoju w futrze narzuconym na szlafrok.

Po chwili zjawiała się Albertine w towarzystwie mężczyzny z torbą lekarską. Odprowadziła go aż do drzwi mówiąc:

— Do widzenia, panie doktorze, do jutra.

Léa spojrzała ze zdziwieniem na trzy kobiety.

— Czy powiecie mi wreszcie, kto tutaj jest chory?

— Twoja siostra Françoise — odpowiedziała Albertine.

Léa zaniemówiła. Po chwili zaskoczenia wybuchła gniewem. Jej twarde słowa doprowadziły do łez wrażliwą Lisę.

— Léo, Léo, to ty — dobiegł cichy głos zza drzwi, które powoli się otworzyły.

Na progu stanęła Françoise otulona kocem, który nie bardzo zasłaniał jej duży brzuch.

Albertine podbiegła do siostrzenicy.

— Po co tu przyszedłeś? Lekarz zabronił ci wstawać.

Nie słuchając ciotki Françoise podeszła do siostry z wyciągniętymi ku niej ramionami. Koc ześliznął się, odsłaniając olbrzymi brzuch, który uwydatniała wąska, nocna koszula.

Siostry padły sobie w objęcia.

— Och, Léa! Dzięki ci, żeś przyjechała.

Léa zaprowadziła Françoise do jej pokoju, zaledwie nieco cieplejszego niż salonik.

Położywszy się Françoise ujęła rękę siostry i podniosła do ust szepcząc:

— Przyjechałaś!

— Uspokój się, kochanie, rozchorujesz się — powiedziała Albertine poprawiając poduszki.

— Nie, cioteczko, nie choruje się ze szczęścia. Léo, opowiedz mi wszystko. Wszystko, co się dzieje w Montillac.

Po upływie dwóch godzin siostry ciągle jeszcze były pochłonięte rozmową.

Léa nie mogła wyjść z ciepłego, miękkiego łóżka, którym rozkoszowała się od chwili przebudzenia. Nie chciała się pogodzić z myślą, że musi wstać i ubrać się w tym okropnym zimnie. Ach, leżeć tak w ciepło aż do końca zimy... aż do końca wojny...

Ze zdziwieniem myślała, że wczoraj wieczorem z przyjemnością wspominały z Françoise szczęśliwe chwile wspólnego dzieciństwa. Zdały sobie nagle sprawę, że łączy je więź, której dawniej specjalnie nie czuły. Rozstając się miały wrażenie, że się odnalazły, ale starannie unikały tematu, który żywo je obchodził: urodzenia dziecka i przyszłości Françoise.

Zapukano do drzwi. To Estelle przyniosła tacę ze śniadaniem.

— Co? Herbata i prawdziwy cukier! — wykrzyknęła Léa unosząc się z pościeli.  
— Jak tego dokonałyście?

— Po raz pierwszy od trzech miesięcy. Na cześć panienki! Mamy to dzięki przyjacielowi pani Mulstein... jest podobno pisarzem.

— Raphaël Mahl?

— Tak, tak się nazywa. Pan w bardzo złym guście. Widziałam go przedwczoraj na tarasie kawiarni "Deux-Magots" z jakimś młodym oficerem niemieckim, obejmował tego bosza, coś mu szepcząc do ucha. Wszyscy odwracali się z zażenowaniem.

Léa z trudem ukryła uśmiech, którego nie zrozumiałaby stara służąca.

— Opowiedziałam o tym moim paniom zaznaczając, że nie powinny przyjmować takiego pana — ciągnęła Estelle. — Ale panna Lisa powiedziała mi, że ja we wszystkim weszę coś złego, że pan Mahl jest prawdziwym dżentelmenem i że dzięki niemu nie umieramy całkiem z głodu. A panna Albertine dodała, że nie trzeba zwracać uwagi na pozory. A co panienka o tym myśli?

— Znam bardzo mało pana Mahla, Estelle. Powiem jednak ciociom, żeby w kontaktach z tym typem miały się na baczności.

— Zaniósłam czajnik gorącej wody do łazienki i włączyłam piecyk elektryczny. Kiepsko grzeje, ale powietrze robi się nieco cieplejsze.

— Dziękuję, Estelle. Chętnie bym się wykapała.

— Kąpiel!... Od kilku miesięcy nie napełnialiśmy wanny. Moje panie chodzą raz w tygodniu do łaźni publicznej.

— Chciałabym je tam zobaczyć! Nie mają pewnie odwagi się rozebrać.

— To nieładnie tak pokpiwać, panienka. Życie mamy ciężkie. Marzniemy, cierpimy głód. Boimy się także.

— Czego się boicie? Co może wam grozić?

— Kto wie, panienka. Pamięta pani tę panią z pierwszego piętra, z którą ciocie panienki piły czasem herbatę?

— Panią Lévy?

— Tak. Więc Niemcy przyszedli po nią, aresztowali. Leżała chora, wyciągnęli ją z łóżka i zabrali w samej nocnej koszuli. Panna Albertine zawiadomiła pana Taverniera...

— Taverniera?

— ...prosiła, żeby się dowiedział, gdzie zabrali panią Lévy.

— No i co?

— Kiedy przyszedł po kilku dniach, był okropnie blady. I miał taką minę, że strach było patrzeć.

— Co powiedział?

— Że zabrano panią Lévy do Drancy, a stamtąd do obozu w Niemczech z tysiącem innych osób, głównie kobiet i dzieci. Mieszkanie pani Lévy zajęła jakaś aktorka. Ta osoba prowadzi wystawne życie i przyjmuje niemieckich oficerów. Hałasują okropnie. Nikt nie śmie się poskarżyć ze strachu przed represjami.

— Kiedy ostatnio był tutaj pan Tavernier?

— Ze trzy tygodnie temu. Nalegał, żeby ciocie panienki wzięły pannę Françoise do siebie.

Léa poczuła przyspieszone bicie serca. A więc Françoise zajmował się jej ciociami, jej siostrą...

— Pójdę już sobie, panienka. Podobno o dwunastej na targ przy ulicy de Buci przywiozą ryby. Nie powinnam się spóźnić, jeśli chcę dostać coś oprócz ości.

Léa szybko się umyła. Na niebieską, wełnianą sukienkę włożyła czarny pulower i żakiet, wciągnęła na nogi grube skarpetki i tak wystrojona poszła do



siostry.

Siedząc na łóżku, otulona w lizeski i różowe szale, które podkreślały bladość jej cery, Françoise, wypoczęta, starannie uczesana, patrzyła z uśmiechem na Léę.

— Dzień dobry, dobrze spałaś? — zapytała. — Bo ja od miesiący nie spałam tak dobrze. To dzięki tobie.

Léa bez słowa ucałowała siostrę.

— Dobrze, że jesteś tutaj... Szybko powrócę do zdrowia. Nie chcę opuścić premiery "Martwej królowej" Montherlanta.

— Kiedy ma być ta premiera?

— Ósmego grudnia w Komedii Francuskiej.

— Ósmego grudnia? Ależ to pojutrze.

— No i co z tego? Dziecko ma się urodzić za przeszło miesiąc, czuję się doskonale. Cięża nie jest chorobą. Zobaczysz, kiedy przyjdzie kolej na ciebie.

— Nigdy, mam nadzieję.

— Dlaczego? To cudowne uczucie: spodziewać się dziecka mężczyzny, którego się kocha.

Na widok nieruchomej twarzy Léi Françoise zrozumiała, że posunęła się za daleko. Spuściła głowę czerwieniąc się. Po czym zdobyła się na odwagę, podniosła oczy i powiedziała lekko drżącym głosem:

— Wiem, co myślisz. usiłowałam przekonać siebie, że nie powinnam kochać Ottona. Daremnie. Wszystko w nim mi się podoba: jego dobroć, zamiłowanie do muzyki, talent, odwaga, a nawet to, że jest Niemcem. Jedyna rzecz, jakiej pragnę, to żeby wojna się prędkiej skończyła. Rozumiesz, prawda? Spróbuj zrozumieć.

Léa nie mogła myśleć o tym spokojnie i logicznie. Coś w niej się buntowało przeciw tej miłości, czuła się szczerze zgorszona. A jednocześnie rozumiała, co łączy Ottona i Françoise. Gdyby Otto nie był Niemcem, uważałyby, że będzie miała uroczonego szwagra.

— Co zamierzasz teraz robić? — zapytała siostrę.

— Wyjść za niego, jak tylko wróci z Berlina i otrzyma zezwolenie od swoich przełożonych. Obiecuj mi, że będziesz na moim ślubie. Proszę cię, obiecuj.

— Wszystko zależy od tego, kiedy to będzie. Jeśli podczas winobrania albo na wiosnę, nie będę mogła.

— Jakoś to załatwisz — powiedziała Françoise z uśmiechem, ucieszona, że siostra nie odmówiła jej kategorycznie. — Otto jest cudowny, pisze do mnie co dzień, niepokoi się o mnie i o dziecko. Oddał mnie pod opiekę Frederica Hankego. Pamiętasz go? Pomógł ci przy porodzie Camille.

— No cóż, jeśli będzie jakiś kłopot, zastąpi położną i przy tobie.

Léa powiedziała to z tak złośliwą ironią, że Françoise nie mogła powstrzymać łez, i Léa zawstydzila się swoich słów. Może nawet przeprosiłaby siostrę, gdyby ciocia Albertine nie weszła do pokoju.

— Léa, telefon do ciebie... Françoise, co ci jest?

– Nic mi nie jest, ciociu... Jestem trochę zmęczona.

– Halo, kto mówi?

– Pani jest Léą Delmas?

– Tak. Ale kto mówi?

– Nie poznaje mnie pani? Czyżby zepsuł się pani słuch?

– Proszę powiedzieć, kim pan jest, bo odłożę słuchawkę.

– Zawsze tak samo prędką, jak widzę. Proszę się skupić, piękna przyjaciółeczko.

– Nie mam ochoty się skupiać, a takie żarty uważam za głupie.

– Niech pani nie odkłada słuchawki. Proszę sobie przypomnieć, "Le Chapon fin", czereśnie Mandela, "La Petite Gironde", kościół Sainte Eulalie, ulicę Saint-Genés...

– Raphaël!

– Nareszcie!

– Przepraszam, ale nie znoszę takich tajemniczych telefonów. Skąd się pan dowiedział, że przyjechałam do Paryża?

– Zawsze jestem dobrze poinformowany o wszystkim, co dotyczy moich przyjaciół. Kiedy się zobaczymy?

– Nie wiem. Dopiero przyjechałam.

– Wstąpię o piątej na herbatę. Niech pani nic nie szykuje, przyniosę wszystko co trzeba. Proszę tylko zagotować wodę.

– Ale...

– Jak się miewa pani urocza siostra, jak ciocie?... Proszę przekazać im ode mnie wyrazy szacunku. Do widzenia, kochanie. Cieszę się, że panią zobaczę.

Raphaël Mahl powiesił słuchawkę, kończąc rozmowę ze zdumioną Léą. Jak on się dowiedział? — pomyślała Léa i zrobiło się jej dziwnie przykro.

– Nie stój tak w tym lodowatym przedpokoju, przeziębisz się, moja droga — powiedziała Lisa.

Léa drgnęła.

– Dawno ciocie widziały Raphaëla Mahla?

– Bo ja wiem... Chyba jakieś dwa tygodnie temu.

– Widział się wtedy z Françoise?

– Nie, Françoise przyjechała nazajutrz po jego wizycie i od tego czasu nie ruszała się z domu. Ale dlaczego pytasz mnie o to?

– Właśnie dzwonił Raphaël Mahl i zastanawiam się, skąd on wie, że jestem w Paryżu.

– Może to przypadek.

– Kiedy chodzi o kogoś takiego jak Raphaël Mahl, nie wierzę w przypadki.

Lisa wzruszyła ramionami na znak, że nic nie wie.

- Ojej, zapomniałam, Raphaël przyjdzie dziś na herbatę.
- Ale my nie mamy czym go przyjąć.
- Powiedział, że oprócz wody przyniesie wszystko.

W salonie zegar wybił właśnie godzinę piątą, kiedy u drzwi wejściowych zabrzmiał dzwonek. Estelle, która włożyła na swój codzienny strój nieskazitelnie biały fartuszek z falbanką, otworzyła drzwi. Ledwie widoczny za stosem paczek z kokardami Raphaël Mahl wszedł do przedpokoju.

– Prędszej, miła Estelle, proszę mi pomóc, bo wszystkie te łakocie posypią się na dywan.

Burcząc pod nosem Estelle zabrała paczki.

- Raphaël, wspaniale pan wygląda!
- Léa!

Zanim się przywitani, dłuższą chwilę przyglądali się sobie, jak gdyby chcieli od razu ogarnąć okiem mnóstwo szczegółów.

Różnili się wszystkim – stosunkiem do życia, do przyjaźni, do miłości, ale pewna sympatia, której się nie opierali, przyciągała ich do siebie. Z nich dwojga Raphaël zastanawiał się bardziej nad tym, co nazywał "częścią swojej osobowości nie tkniętej zgnilizną". Raphaël Mahl, oszust, kłamca, złodziej, konfident policji, współpracownik gestapo, przygodny autor kronik w takich pismach jak "Je suis partout", "Gringoire", "Pilori" i "Nouveaux Temps", Żyd. A jego antysemityzm niemal szokował znakomitych dyrektorów i redaktorów tych periodyków, którzy propagowali przecież "walkę z Żydami"... Wobec Léi Mahl czuł się trochę jak starszy brat, który chce chronić siostrzyczkę przed brudem życia.

– Piękna przyjaciółko, jak to pani robi, że zachwyca mi oczy i duszę, ilekroć panią widzę?

Léa roześmiała się tym swoim charakterystycznym, trochę ochryplym śmiechem, który niepokoił mężczyzn, a drażnił kobiety, i ucałowała Mahla w oba policzki.

– Na pewno nie mam racji, ale miło mi widzieć pana znowu.

– Dlaczego w tym samym zdaniu wypowiada pani rzecz przyjemną i inną, która sprawia mi znacznie mniej przyjemności? Dobrze, jestem wspaniałomyślny, zapamiętam tylko to, co przyjemne. Powiedziała pani, kiedy wszedłem, że wspaniale wyglądam. Jestem elegancki, prawda? Ale najbardziej jestem dumny ze swoich butów. Niezłe, co? Kosztowały fortunę. Robiłem je na obstalunek u Hermesa.

– Skąd pan wziął tyle pieniędzy? Obrabował pan starszą damę, sprzedał swoje ciało niemieckiemu kapitanowi, różowemu i tłustemu, czy skłaniał do nierządu szeregowca o delikatnej skórze?

– Nie omyliła się pani zbyt. Trudno, droga przyjaciółko, człowiek zdobywa szczęście na własną miarę i najczęściej pieniądze na własną, małą miarę... A ponieważ obliczyłem sobie, że szczęście, no, nędzne szczęście, jakiego zdolny jestem zaznać, ucieknij mi, jeśli nie będę miał pieniędzy, postanowiłem je zdobyć. Bardzo to łatwe obecnie. Wszystko jest na sprzedaż: ciało i sumienie. Ja –

zależnie od okoliczności — sprzedają jedno lub drugie, albo też, jeśli klient jest hojny, oba naraz.

— Jest pan okropny.

— Dobro jest tak niedoskonałe, że nie interesuje mnie. Ten, kto uważa człowieka za istotę rozumną, popełnia błąd, urocza przyjaciółko. Zdolność myślenia nie obdarza rozumem. Byłem zawsze przekonany, że człowiek przeciętny doznaje przyjemności z powodu rzeczy rozumnych. Muszę kiedyś napisać "Pochwałę przeciętności". Narobi to szumu w Republice Literatury. Zanim jednak to arcydzieło powstanie, proszę pozwolić, że złożę moje uszanowanie pani ciociom i siostrze.

W pokoju Françoise na okrągłym stoliku, przykrytym haftowaną serwetą, postawiono serwis do herbaty na wielkie przyjęcia.

— Obrabował pan chyba wszystkie ciastkarnie i cukiernie Paryża! — zawołała Léa wchodząc do pokoju i podziwiając talerze pełne czekoladek, ciasteczek, ciastek i kandyzowanych owoców.

— Nie przypuszcza pani nawet, jak to jest prawdziwe. Z wielkim trudem udało mi się zdobyć to wszystko: ciasteczka pochodzą od Lamoureux z ulicy Saint-Sulpice, ciastka z kremem od Guerbois z ulicy de Servres, ciasto czekoladowe oczywiście od Bourdaloue, kruche ciasteczka od Galpin z ulicy du Bac, resztę kupiłem u Debauve'a i Gallais'a z ulicy des Saints-Péres, "dostawców dawnych królów Francji"!

— Przed wojną byli także naszymi stałymi dostawcami — powiedziała Lisa wzdychając i spojrzała łakomie na stopy słodczy.

— Co do herbaty — ciągnął Raphaël wyjmując pudełko z kieszeni — przywiózł mi ją z Rosji pewien przyjaciel. Jest wspaniała, mocna i aromatyczna. Powiedzą mi panie, jak im smakuje.

— Ależ psuje nas pan... To bardzo uprzejme. Jak się panu odwdzięczymy za tyle smakołyków?

— Jedząc je, proszę pani.

Przez kilka minut towarzystwo jadło w milczeniu. Françoise pierwsza oświadczyła, że nie może już przełknąć ani kawałka więcej, po chwili to samo powiedziała Albertine, a po niej Raphaël. Tylko Lisa i Léa nie przestawały się opychać. Ręce ich poruszały się z zawrotną szybkością od stołu do ust. Ciotka i bratanica wyglądały jak dwie źle wychowane dziewczynki, a ich powalane czekoladą i kremem palce, a także twarze, zdradzały łakomstwo... Raphaël Mahl wybuchnął nagle śmiechem i łakomczuchy podskoczyły przerażone. Rozejrzały się niespokojnie naokoło, jak gdyby się zlekły, by nie zabrano im reszty ciastek.

— Nie wstyd ci, Liso? — z udaną surowością zapytała Albertine.

Lisa zaczerwieniła się i bez słowa spuściła głowę.

— Gdybym cię nie powstrzymała, nie pomyślałabyś nawet o biednej Estelle — ciągnęła Albertine bezlitośnie.

— Byłam głodna. Przepraszam. Masz rację, zaraz zaniosę Estelle talerz smakołyków. Nie trzeba mieć mi tego za złe, to takie dobre — dodała Lisa z tak

skruszoną miną, że wszyscy się roześmieli, nawet Albertine.

Noc zapadła już dawno, kiedy Raphaël Mahl zaczął wreszcie się żegnać. Léa odprowadziła go do drzwi.

— Muszę porozmawiać z panią sam na sam, czy możemy pójść jutro na obiad?

— Nie wiem. Boję się pana... Nie mogę uwierzyć, że jest pan taki zły, jak pan siebie przedstawia. Ale jednak jakaś dziwna niechęć odpycha mnie od pana.

— Jakże bardzo ma pani rację, kochanie. Nigdy pani niechęć nie będzie za mała. Już pani chyba mówiłem: naprawdę zdradza się tylko tych, których się kocha. Jestem obkuty w Piśmie świętym, nie zadziwię pani mówiąc, że Judasz jest moją ulubioną postacią, moim bratem, przyjacielem, sobowtórem. Ten, za czyją sprawą całe zło musiało się stać, ten, co nie miał wyboru, żeby mogło spełnić się to, co zostało napisane. On... najinteligentniejszy z nich, intelektualista tej paczki, musiał zdradzić tego, kogo kochał całym sercem. I spełnić czyn, do którego był przeznaczony od stworzenia świata. Judasz uczeń, Judasz zdrajca jest potępiony na wieki. To niesprawiedliwe, nie uważa pani?

— Nie wiem. Judasz nigdy mnie specjalnie nie interesował.

— Nie ma pani racji, to jedyny naprawdę ciekawy człowiek spośród owych dwunastu, poza miłym Janem z jego anielską twarzą, tym ulubieńcem i przyjacielem Jezusa — dodał Raphaël w odpowiedzi na pytające spojrzenie Léi. — Gdyż, jak pani wie, wszyscy oni byli zwariowanymi pedałami.

— Pan jest zwariowany...

— ...i pedał.

— Jeśli ciocie usłyszą, jak pan bluźni, nie będą chciały pana przyjmować.

— W takim razie już milczę, uwielbiam towarzystwo starych pań. Z rodzaju ludzkiego są to jedyne istoty możliwe do zniesienia. Oprócz pani oczywiście i mojej pięknej przyjaciółki Sary Mulstein. À propos, czy miała pani od niej wiadomości? Bardzo dawno nie widziałem Sary.

A więc do tego zmierzał... Léa drgnęła. Zbierało się jej na wymioty, poczuła gorzki smak w ustach. Szybko i krótko odpowiedziała:

— Nic o niej nie wiem.

— Ale pani zmarła! Co za cham ze mnie, trzymam panią w tym lodowatym przedpokoju! Niech pani pójdzie się ogrzać do swojej uroczej siostry. Zna pani jej przyszłego małżonka. Człowiek wielkiej kultury, czeka go wspaniała przyszłość. W obecnych czasach taki związek jest bardzo pożyteczny. Pani stryj dominikanin będzie dawał im ślub?

Obrzydliwy strach ogarnął Léę.

— Moja droga, pani szczeka zębami... Zbladła pani... To moja wina, przeziębili się pani przeze mnie. Ma pani chyba gorączkę.

Raphaël troskliwie ujął Léę za rękę.

— Niech mnie pan nie dotyka, czuję się doskonale! — zawołała dziewczyna wyrrywając mu gwałtownie dłoń.

— Do jutra, piękna przyjaciółeczko, zadzwonię do pani koło południa. A na

razie niech pani odpocznie, potrzebny pani odpoczynek, bo nerwy pani nawalają.

Nazajutrz Léa wyszła wcześniej z domu, żeby uniknąć rozmowy telefonicznej z Raphaëlem Mahlem.

Bardzo źle spała tej nocy. W słowach Raphaëla wyczuwała ciągle groźbę dla swoich przyjaciół i rodziny. Musi koniecznie ostrzec Sarę Mulstein i stryja, Adriena Delmas. Ogarnął ją szalony niepokój, bo nie wiedziała, gdzie są, i bała się zrobić fałszywy krok. Kto mógł wiedzieć, gdzie się ukrywają Sara i dominikanin? François, François Tavernier oczywiście.

W dzień pogrzebu ojca Léi François kazał jej nauczyć się na pamięć adresu, gdzie może zawsze go znaleźć albo w potrzebie zostawić mu pilną wiadomość. Wówczas Léa pomyślała, że François może sobie długo czekać na jej przyjazd do Paryża, i szybko zapomniała ten adres. Co on wtedy mówił? Gdzieś w pobliżu placu de l'Etoile. Aleja... aleja... ach, miała to nazwisko na końcu języka. Nazwisko jakiegoś generała Cesarstwa czy marszałka: Hoche, Marceau, KLéber... KLéber... tak, KLéber! Aleja KLéber... 32, aleja KLéber! Léa wstała, żeby zanotować ten adres, bojąc się, że gotowa znów go zapomnieć, a potem natychmiast zasnęła mówiąc sobie: jutro muszę spalić karteczkę z adresem.

Dzień był ładny, ale zimny. Léa szła szybko bulwarem Raspaila w kierunku skrzyżowania Sévres-Babylone, opatulona we wspaniałe futro nurkowe, które jej pożyczyła Françoise, w nurkowej także czapeczce na głowie i w ciepłych, trochę na nią za dużych botkach.

Nieliczni przechodnie, najczęściej ubogo ubrani, oglądali się za tą młodą, elegancką kobietą, która jakby kpiła sobie z restrykcji wojennych i zimna. Z przyjemnością dotykając twarzą jedwabistego futra, Léa nie zdawała sobie sprawy ze spojrzeń, wrogich lub pogardliwych, jakie jej rzucali przechodnie. Zwolniła kroku przed księgarnią Gallimarda. Młody brunet, amator powieści, układał właśnie książki na wystawie. Spojrzenia ich się spotkały, młodzieniec poznał Léę i uśmiechnął się do niej, pokazując książkę, którą trzymał w ręce: był to najnowszy utwór Raphaëla. "Gide" — przeczytała Léa wydrukowany wielkimi literami tytuł na okładce. Niepokój jej wzmógł się po tym spotkaniu. Przyspieszyła kroku. Mijając dom, w którym znajdowało się mieszkanie Camille i Laurenta, opuszczone w panice w czerwcu czterdziestego roku, Léa spojrzała nań obojętnie.

Na fasadzie hotelu "Lutétia" powiewały nazistowskie flagi i szturmówki, ponure ozdoby, tak szokujące w Paryżu tego pięknego, słonecznego poranka. Na stopniach przed wejściem stało kilka osób w towarzystwie dwóch oficerów

niemieckich, rozprawiając o czymś z ożywieniem. Wśród tych osób... nie, to niemożliwe. Aby się upewnić, Léa przeszła na drugą stronę ulicy i naprzeciw hotelu zwolniła kroku. Nie pomyliła się. Tak, to był François Tavernier, to on rozmawiał w najlepsze z Niemcami. Nogi się pod Léą ugięły, ogarnął ją wielki smutek. Łzy trysnęły jej z oczu i spływały po policzkach, ale nie mogła się opanować. Szczyt upokorzenia: płakać przed tym nikczemnikiem i jego ohydnyimi towarzyszami!

— Ta piękna pani ma, zdaje się, wielkie zmartwienie — powiedział jeden z oficerów patrząc na Léę.

François Tavernier podążył za jego wzrokiem. To niemożliwe! Ależ to ona, jedyna ze znanych mu kobiet, która nawet kiedy płacze, jest piękna.

— Przepraszam panów, to moja młodsza siostra. Pudel jej pewnie uciekł, jest bardzo wrażliwa.

— Dobry kawał — powiedział z uśmiechem jeden z cywilów poklepując François po ramieniu. — Jeszcze jedna pana sympatia. Brawo, mój drogi, ma pan pierwszorzędny gust. Co za świeżość! Wstyd chować taką piękność tylko dla siebie. Niech ją pan kiedyś przyprowadzi na nasz obiad.

— Nie omieszkam. Bardzo przepraszam. Do widzenia.

François zbiegł z ganku, wziął Léę pod rękę i pociągnął ze sobą.

— Błagam, niech pani przybierze naturalny wyraz twarzy, oni nas obserwują.

Przez kilka minut szli w milczeniu, minęli ulicę Cherche-Midi i ruszyli w górę ulicą d'Assas.

— Niech mnie pan puści, doskonale mogę iść sama.

François puścił jej ramię:

— Zawsze ten sam charakterek. Cieszę się, że nie zmieniła się pani, i stwierdzam z przyjemnością, że pani sytuacja materialna uległa chyba poprawie. W tym wspaniałym futrze wygląda pani uroczo.

Léa bez słowa wzruszyła ramionami.

— Ale nie jest to okrycie dla przyzwoitej, młodej osoby. Tylko żony i kochanki handlarzy z czarnego rynku, niektóre aktorki i kilka dziwek niemieckich mają śmiałość tak się ubierać.

Léa zaczerwieniła się i nie znalazła nic lepszego od tej nędznej odpowiedzi, której natychmiast się zawstydziała:

— To nie moje futro, pożyczyła mi je siostra.

François uśmiechnął się lekko.

— Co pani robi w Paryżu? Dlaczego pani płakała?

— Nieważne!

François przystanął i ujął Léę za ramiona, zmuszając ją, by na niego spojrzała.

— Czy pani nie wie, głuptasku, że wszystko, co pani dotyczy, jest dla mnie ważne?



Dlaczego te słowa koily jej ból? Léa odsunęła się ostrożnie i ruszyła przed siebie. W milczeniu weszli do Ogrodu Luksemburskiego.

— Wejdźmy tu, będziemy mogli spokojnie porozmawiać — zaproponował François.

Wokół sadzawki mali chłopcy w wełnianych czapkach i szalikach hałaśliwie grali w berka pod opieką kobiet, które dla rozgrzewki tupały nogami i rozcierały ręce.

— Teraz proszę mi powiedzieć, dlaczego jest pani w Paryżu.

— Z powodu mojej siostry Françoise. Nie czuje się dobrze...

— To normalne w jej stanie.

— Pewnie. Cioce były tak niespokojne, że przyjechałam pierwszym pociągiem. Ale nie zabawię tu chyba długo. Jak tylko jestem daleko od Montillac, od razu zaczynam się bać, że stanie się tam coś złego.

— Miała pani wiadomości od Laurenta d'Argilat?

— Nie, od dwudziestego pierwszego września, kiedy to rozstrzelano zakładników w Souges, nic o nim nie wiem.

— Widziałem go wkrótce potem. Nie mógł sobie darować, że nie zdołał ich uratować — odparł Tavernier biorąc Léę pod rękę.

— Co mógł zrobić?

— Znał doskonale obóz w Mérignac, z którego Niemcy wzięli zakładników.

— Skąd go znał?

— Wkrótce po pogrzebie pani ojca trafił do łapanki na ulicy Sainte-Catherine w Bordeaux. Miał dobre fałszywe papiery. Internowano go bez powodu w obozie Mérignac. Po trzech dniach uciekł z dokładnym planem obozu, nawiązał tam kontakty, które mogły się przydać. Kiedy się dowiedział, że siedemdziesiąt osób, aresztowanych na chybił trafił, bosze mają rozstrzelać w odwecie za zamachy dokonywane w Paryżu, próbował zorganizować pewną akcję z księdzem Lasserre i kilkoma kolegami z jego grupy. Mieli przechwycić ciężarówkę, którymi przewożono zakładników, zabić strażników i uwolnić więźniów. W ostatniej chwili nadszedł rozkaz, by nie podejmowali tej akcji.

— Kto wydał ten rozkaz?

— Nie wiem. Może Londyn.

— To absurd.

— W polityce nieraz tak bywa, że rzeczy, które się wydają absurdalne, mają moc prawa.

François zajrzał jej w oczy i nagle dodał:

— Mam ochotę pocałować panią.

— Nie wcześniej, niż dowiem się prawdy o pana "przyjacielskich" stosunkach z tymi Niemcami z hotelu "Lutétia".

— Nie mogę tego pani powiedzieć. Lepiej dla pani i dla nas wszystkich nic o tym nie wiedzieć.

— Byłam wstrząśnięta, kiedy zobaczyłam pana w ich towarzystwie. Szłam właśnie odszukać pana pod adresem, który od pana dostałam.

— Aleja Kléber trzydzieści dwa?

— Tak.

— Niech pani podziękuje "moim niemieckim przyjaciółom", jak pani ich nazywa. Gdyby nie to spotkanie, trafiłaby pani prosto w paszczę wilka. I nie wiem, czy mógłbym panią stamtąd wydobyć mimo moich stosunków i sympatii, jaką ma dla mnie Otto Abetz.

— Ambasador Niemiec?

— Tak, proszę pamiętać, że spotkaliśmy się u niego i tańczyliśmy. Zapomniała pani o naszym tańcu?

Stali oparci o balustradę otaczającą trawniki i basen, odwróceniem plecami do muszli koncertowej. W zimowym słońcu pałac Senatu, otoczony workami piasku, wyglądał jak uśpiony zamek pod ochroną czarnych drzew, które wznosiły nagie ramiona do nieba gestem ni to groźnym, ni błagalnym. Za nimi ogrodnik pchał taczkę naładowaną marchewką, rzepą i porami. Odwrócili się na odgłos zgrzytającego koła.

— Co on tu robi z tymi warzywami? — zdumiała się Léa.

— Nie wiedziała pani, że z Ogrodu Luksemburskiego zrobiono warzywnik?

— To nawet niezły pomysł — orzekła Léa z tak poważną miną, że François wybuchnął śmiechem.

— Tak, pomysł jest niezły — przytaknął — chociaż ciekaw jestem, kto będzie z tego warzywnika korzystał. Nie dowiedziałem się jeszcze, dlaczego mnie pani szukała.

— To wszystko jest dla mnie takie zagmatwane. Kim pan jest? Przyjacielem Niemców czy Francuzów? Przyjacielem Ottona Abetza czy Sary Mulstein?

— Za wcześnie jest jeszcze na odpowiedź. Powiem jedno: nigdy z mojego powodu nie złego pani nie spotka. Może pani mówić mi wszystko.

— Czy ma pan wiadomości o Sarze?

— Jeśli pani coś wie, proszę mi powiedzieć. Sarze w każdej chwili grozi niebezpieczeństwo — rzekł François biorąc Léę za rękę.

Daremnie usiłowała wyczytać coś z jego oczu. Mimo ciepłego futra przebiegł ją dreszcz.

François przyciągnął dziewczynę do siebie i obsypał pocałunkami jej lodowatą twarz. Léa miała wrażenie, że czekała na to od chwili, gdy zobaczyła go na schodach przed hotelem. Kiedy wargi ich się spotkały, poczuła się dziwnie szczęśliwa i całym ciałem przytuliła się do François.

— Moje małe zwierzątko, moja mała samiczko, nie zmieniłaś się wcale. Jak mogliśmy tak długo żyć z dala od siebie?

Ta ręka, która wśliznęła się pod jej pulower i głaskała jej piersi... ręka zmarznięta i płonąca zarazem, szarpiąca jej zeszywniałe sutki.

— Philippe, Marianne! Nie patrzcie!... To wstrętne... tak przed dziećmi!... Jak państwu nie wstyd?! — zawołała kobieta w stroju niańki, pchając przed sobą ogromny wózek i krzycząc na dwoje maluchów w wieku czterech i pięciu lat.

Kiedy wreszcie zdali sobie sprawę z obecności tej kobiety, ich spojrzenia, które jej nie dostrzegały, ich zwrócone ku sobie uśmiechy spowodowały, że spuściła głowę i odwracając się, szybko odeszła.

— Ta pani ma rację, nie jest to odpowiednie miejsce — powiedział François.  
— Chodźmy na obiad do mojej przyjaciółki Marthe Andrieu, to dwa kroki stąd.

— Marthe Andrieu?

— Jest właścicielką zakonspirowanej restauracji przy ulicy Saint-Jacques.

Przy wyjściu z Ogrodu policjanci francuscy, ubrani po cywilnemu, zażądali od nich dokumentów. Zwykła kontrola zapewne. Przepuścili ich nie pytając o nic.

— Czego oni szukają? — zapytała Léa, kiedy już szli bulwarem Saint-Michel.

— Terrorystów, Żydów, komunistów, gaullistów...

— A co z nimi robią po aresztowaniu?

— To zależy od policjantów, ale na ogół wolą ich się pozbyć. Oddają biedaków w ręce gestapo, a tamci torturują aresztowanych, wywożą ich albo zabijają.

— Gdyby aresztowali Sarę, co by z nią zrobili?

— Kiedy widziałem ją ostatnim razem, należała do grupy ruchu oporu, która wyspecjalizowała się w przewożeniu Żydów do wolnej strefy.

— A teraz?

— Teraz boję się o nią bardziej niż kiedykolwiek. Jeśli się dowiedzą, że należy do ruchu oporu, będą ją torturować. A Sara, jak ją znam, nie piśnie słówka i umrze.

Ze spuszczoną głową i zaciśniętymi szczękami François przyspieszył kroku. Ucepiona jego ramienia Léa musiała także się spieszyć, żeby dostosować się do jego tempa... Wyczuwała napięcie w zachowaniu swego towarzysza i była niespokojna.

Panteon wznosił się przed nimi na tle nieba, które się wydawało coraz groźniejsze. Na ulicy Soufflot w podmuchach zimnego wiatru wirował kurz.

Grupka studentek, z których większość była ubrana w plisowane spódniczki w szkocką kratę i wiatrówki albo nieprzemakalne płaszcze, z gołymi głowami, w jaskrawych skarpetkach z puszystej wełny i ciężkich, sportowych pantoflach, wpadła na nich ze śmiechem.

— Trzeba ją znaleźć.

— Kogo?

— Sarę. Ja także o nią się boję. Wczoraj Raphaël Mahl przyszedł do moich ciotek. Pytał mnie, czy coś o niej wiem.

— Nie widzę w tym nic niepokojącego. Sara i Raphaël znają się od dawna, a pani wie, jak Sara jest dla niego wyrozumiała.

— Ja także jestem wyrozumiała dla Raphaëla. Mimo woli, on po prostu bawi

mnie i śmiesz. Ale teraz... czuję, że Raphaël... nie wiem, jak to określić... stracił nad sobą kontrolę. Tak, właśnie: nie kontroluje już tego, co jest w nim złe. Czuję to, pan rozumie, czuję... Nie potrafię tego inaczej wyjaśnić.

— Czy powiedział coś, co panią zaniepokoiło?

Léa spuściła głowę czując, że nie potrafi wyrazić trwogi, której nie mogła się pozbyć. Miała pewność, że z powodu Raphaëla Mahla coś okropnego spotka Sarę.

— Pytał mnie, czy stryj Adrien będzie dawał ślub Françoise i... i...

Tavernier przyszedł jej z pomocą:

— ...sturmbannführerowi Kramerowi. W innych warunkach to małżeństwo byłoby świetne dla pani siostry. Co może być miłszego niż para melomanów! Ale kapitan Kramer niestety jest nie tylko muzykiem, lecz także oficerem SS. Mogę nawet pani powiedzieć, że cieszy się sympatią przełożonych, choć podejrzewali zawsze, że zgłosił się do wojska na ochotnika jedynie po to, by nie sprawić zawodu choremu ojcu, wielkiemu przyjacielowi dowódcy SS Heinricha Himmlera. Protegował go zaś inny przyjaciel ojca, słynny Paul Hausser, twórca szkoły oficerskiej SS. Dzięki niemu Kramer mógł poświęcać kilka godzin dziennie muzyce. Byłem zaskoczony, kiedy się dowiedziałem, że zamierza poślubić pani siostrę. Stary Kramer nigdy się na to małżeństwo nie zgodzi.

— Ale co w takim razie będzie z Françoise?

Doszli właśnie do domu przy ulicy Saint-Jacques, w którym mieściła się zakonspirowana restauracja Marthe Andrieu, i to pozwoliło Françoise nie odpowiedzieć natychmiast na pytanie Léi.

Podobnie jak ostatnim razem powitano serdecznie Françoise, ale Marthe miała zaczerwienione oczy.

— Co się dzieje, Marthe? Płacze pani nad cebulą?

— Nie, proszę pana — odpowiedziała młoda kobieta ocierając policzki zalane łzami — płaczę z powodu Reného.

— Co mu się stało? Doskonale wygląda.

— Chcą go wysłać do Niemiec.

René podszedł do nich z talerzem w ręku.

— Mamo, uspokój się, klienci będą się zastanawiać, co się stało.

— Gwizdź na to, co będą myśleć klienci, nie chcę, żebyś wyjeżdżał.

Françoise ujął Marthe za ramiona.

— Chodźmy do kuchni, opowie mi pani wszystko. Przepraszam na chwilę, Léo.

— Niech pani pozwoli ze mną, wskażę pani stolik — powiedział René do Léi.

Léa popijała wino, rozglądała się naokoło i zastanawiała, kim są ci ludzie, którzy mogą sobie pozwolić na luksus jadania w takich lokalach. Od czasu kiedy tu była po raz ostatni, ceny podskoczyły nieprawdopodobnie. Mężczyźni siedzący wokół byli porządnie ubrani, nie bardzo już młodzi, raczej otyli. Wszystkie kobiety miały na głowie kapelusze, a ich głupie miny tchnęły próżnością. Na

oparciach ich krzeseł wisały futrzane kurtki lub palta. Léa zdała sobie sprawę, że w futrze siostry jest do nich podobna. Ta świadomość przejęła ją wstrętem. Może wyszłaby stąd, gdyby nie wrócił François z zatroskaną miną.

— Coś nie w porządku?

— Słyszała pani. René ma jechać na roboty przymusowe. Poradziłem mu, żeby się nie uchylał.

— Pan mówi poważnie?

— Bardzo poważnie. Jeśli się nie stawi, policja przyjdzie tutaj i państwo Andrieu będą mieli przykrości.

— Ale pan mu jakoś pomoże?

— Spróbuję. Z tym jest coraz trudniej. Niemcy zażądali na ten kwartał pięćdziesięciu tysięcy robotników i tyle samo żądają na pierwszy kwartał czterdziestego trzeciego roku.

François Tavernier obrzucił okiem salę i ciągnął nieco ciszej:

— Zmieńmy temat. Jak się miewa Camille?

— Dobrze. Pomaga mi bardzo w zarządzaniu majątkiem.

— Fayard, zarządca winnic, ponowił atak? Ma ciągle chrapkę na Montillac?

— Już o tym nie mówi, ale ja mu nie ufam; mam wrażenie, że śledzi każdy nasz ruch. Kiedy pytam go o nowiny od Mathiasa, dziwnie patrzy na mnie i odwraca się plecami, burcząc coś pod nosem. Nie może mi darować, że syn wyjechał do Niemiec.

Jajecznicza z truflami, którą przyniosła im Marthe, była prawdziwym smakołykiem.

Dziwna para weszła do sali. On — średniego wzrostu, wyprostowany, w zapiętym byle jak palcie z futrzanym kołnierzem, miał prostacką minę, której zadawały kłam małe oczka o twardym i inteligentnym spojrzeniu. Ona — bardzo elegancka, we wspaniałym futrze z ocelotów i czarnym, welurowym turbanie na głowie.

Marcel i Marthe zaczęli się uwijać wokół przybyszów, prześcigając się w uprzejmościach. Kobieta z przesadną dystynkcją podziękowała skinieniem głowy i niedbale zrzuciła futro, odsłaniając na nienagannym, czarnym kostiumie kolię z kilku rzędów wspaniałych pereł. Tak wspaniałych, że Léa nie mogła oderwać oczu od ich cudownego widoku.

— Léo... Léo...

— Co takiego? — zapytała Léa przychodząc do siebie.

— Niech się pani tak nie przygląda tym ludziom... Marthe!

Marthe, która właśnie przechodziła koło ich stolika, przystanęła.

— Pan sobie czegoś życzy?

— Tak, rachunek, i to szybko.

— Nie skończyliśmy przecież! — zawołała Léa.

— Coś jest nie tak, proszę pana?

— Nie, wszystko w porządku, moja miła, ale przypomniałem sobie, że mam ważne spotkanie... które może być pożyteczne dla pani syna — dodał, zniżając głos, na widok zmartwionej miny Marthe.

— W takim razie zaraz wracam — powiedziała młoda kobieta i znikła w kuchni.

— Co to wszystko znaczy? — zapytała Léa.

— Za późno...

Mężczyzna, który przyszedł przed chwilą, wstał i pospieszył z wyciągniętą ręką do François.

— Zdawało mi się od razu, że to pan Tavernier. Heléne miała rację. Widzę, że pan także zna dobre adresy. Musi pan jeszcze dopisać w swoim karneciku mój adres. Mam, nie chwaląc się, najlepszą kuchnię w Paryżu. Co dzień odwiedza mnie ze dwudziestu przyjaciół, mam nadzieję, że pan do nich dołączy. Będzie nam oczywiście bardzo miło, jeśli i pani zechce do nas przyjść.

Skłonił się przed Léą, która odpowiedziała mu lekkim ruchem głowy.

Marthe położyła rachunek na stole.

— Pan już odchodzi, drogi panie?

— Mam ważne spotkanie — odparł François wyjmując banknoty z portfela.

Mężczyzna sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki.

— Proszę, oto moja wizytówka. Proszę zapisać mój adres: ulica de Presbourg dziewiętnaście. Wszyscy, którzy obecnie się liczą w Paryżu, bywają u mnie... Sama śmietanka. Niech pan przed wyjściem przywita się z moją żoną, bo nie darowałaby panu tego uchybienia. A pan wie, jak pamiętliwa jest Heléne.

— Jak mógł pan bodaj przez chwilę przypuszczać, drogi przyjacielu, że odejdę nie złożony wyrazów szacunku u stóp najbardziej uroczej kobiety w Paryżu? Idę z panem.

François położył rękę na ramieniu Léi i powiedział po cichu:

— Proszę zaczekać, wracam za chwilę.

Léa usiadła nadąsana.

— Proszę, niech pani tymczasem skosztuje tego — powiedziała Marthe stawiając przed nią talerzyk z kawałkiem szarlotki.

A François przez ten czas rozpływał się w komplementach przed tamtą kobietą. Jakże śmiesznie wyglądał z tą swoją uprzejmością i uśmiechami. Léa nie posiadała się ze zdumienia: François, który jest na ogół powściągliwy, ironiczny... jeszcze trochę, a zacznie się płaszczyć!

Wreszcie zdecydował się pożegnać z tamtą parą i przypomniał sobie o istnieniu Léi.

— Widzę, że nie traciła pani czasu — powiedział wskazując na okruchy szarlotki.

— To Marthe...

— Nie mam pani za złe łakomstwa.

— Tego by tylko brakowało! Gdyby zobaczył pan siebie w lansadach przed tą starą ladacznicą.

— Nie tak głośno! Jest pani niesprawiedliwa dla tej pani. Chodźmy.

Przed wyjściem natknęli się jeszcze na Marthe i Reného, który usiłował pocieszyć matkę.

— René, chciałbym z panem zamienić parę słów.

— Oczywiście, proszę pana.

Weszli do pokoju, gdzie wśród szynek, kielbas, puszek konserw i koszyków z warzywami, sięgających po sufit, spał mały synek Reného i Jeannette.

— Proszę zanieść wiadomość osobom, które są w małej sali przyjaciół.

— Posadziłem te osoby tam, bo powołały się na pana.

— I słusznie. Zapyta pan o pana Jacques'a Martela. Zgłosi się szatyn o regularnych rysach twarzy. Proszę mu powiedzieć, że sprawy nie wyglądają dobrze. Czy zreperował pan drzwi wychodzące na schody kuchenne i umieścił przed nimi duży parawan chiński dopasowany do dwóch parawaników?

— Tak, wszystko zrobiłem sam, żeby uniknąć niepotrzebnych pytań.

— Schody są zabarykadowane. Zrobił pan przejście koło piwnic?

— Wszystko jest jak trzeba, nawet nie tknąłem kurzu i brudu. Żaden sąsiad nic nie zauważył.

— Doskonale. Dziękuję, René. Po raz pierwszy to przejście się przyda. Jest ich czterech, prawda?

— Tak.

— Niech wychodzą w odstępach dwóch minut. Proszę pójść tam teraz. I żaden z waszych klientów nie powinien ich zobaczyć. Chodzi o bezpieczeństwo wszystkich. Jeszcze jedno, niech pan będzie ostrożny w obecności pana Michela i jego przyjaciół. Nie powinni powziąć podejrzenia, że czasem coś tu się dzieje.

— Może pan być spokojny. Nawet moi rodzice o niczym nie wiedzą. Tylko Jeannette czegoś się trochę domyśla.

— Jej można być pewnym. Jednakże na wszelki wypadek wyślijcie małego na wieś.

— Myślałem już o tym, wyjedzie możliwie najprędzej.

— No, niech pan tam idzie, René, i o niczym nie zapomni: Jacques Martel. Powinien wyjść drugi.

— Zupełnie jakbym słuchał samego generała de Gaulle'a.

François nic nie odpowiedział, tylko w jego oczach pojawiły się błyski rozbawienia.

René pierwszy opuścił pokój. Za nim wyszedł François, ale najpierw pogłaskał po główce śpiące dziecko, swego chrześniaka.

Tymczasem Marthe i Léa, by dodać sobie otuchy, raczyły się w kuchni kostkami cukru umoczonymi w śliwownicy, która była dziełem kuzynów z okolicy Limoge. Sądząc po błyszczących oczach musiały już umoczyć kilka kawałków w

kilku kieliszkach.

Tavernier stanął na progu.

Léa opowiadała z ożywieniem o spojrzeniach, jakie Heléne rzucała François.

François podszedł do niej i ujął ją za ramię. Nie zwracając uwagi na protesty dziewczyny, wyciągnął ją do przedpokoju, potem na schody.

— Proszę mnie puścić, chcę powiedzieć dwa słowa tamtej babie. Zauważył pan, jak bezczelnie na pana patrzyła? To było aż krępujące. A widziała przecież, że nie jest pan sam! Co za bezczelność!

Jakoś dotarli do hallu. Patrząc na Lée, François z trudem zachowywał powagę: jej twarz pod włożoną trochę na bakier czapeczką była urocza w oparach alkoholu i gniewu.

— Słowo daję, pani robi mi scenę! Pani jest zazdrosna!

— Zazdrosna! Ja jestem zazdrosna! O kogo? O co?

— O mnie, jak mi się wydaje.

— O pana!... Pan kompletnie oszalał! O pana!... To śmieszne! Pan bierze swoje pragnienia za rzeczywistość... Myśli pan, że jestem taka jak te, z którymi zwykle pan obcuje. Zazdrosna! Ja! Koń by się uśmieł...

François gwałtownie przyciągnął Lée do siebie.

— Przestań, zaczniesz mówić głupstwa... Zawsze za dużo się mówi... Co mnie to obchodzi, czy jesteś zazdrosna czy nie. Prawdę mówiąc wolałbym, żebyś nie była zazdrosna.

Z upartą miną Léa przestępowała z nogi na nogę nie usiłując mu się wywinąć. Przeciągnęła językiem po zaschniętych wargach. Ten ruch był jakby sygnałem. François poczuł wzbierające w nim pożądanie i Léa całym ciałem przywarła do niego.

Wargi ich się złączyły w odruchu tego głodu, jaki daje wielka miłość albo wielka wstrzemięźliwość — a tak właśnie było, jeśli chodzi o Lée... Od dnia pogrzebu ojca nie tknął jej żaden mężczyzna oprócz François.

Léa, wtuliła się całym ciałem w François i dyszała reagując na każdy jego pocałunek cichutkim jękiem. Gdyby to była noc, François wzięłby ją tutaj, od razu, przy tym brudnym murze domu, do którego brama była na szczęście zamknięta. Ale teraz w każdej chwili mógł ktoś wejść, a klienci konspiracyjnej restauracji mogliby już zacząć wychodzić.

François nie bez trudu wyrwał się z objęć dziewczyny.

— Chodźmy, nie stójmy tutaj. Chodźmy do mnie.

— Nie... tutaj...

Na schodach rozległy się głosy i Léa opamiętała się trochę. Nie stawiając już oporu, pozwoliła, by François ją stąd wyprowadził.

Léa obudziła się i pomrukując, przeciągnęła się powoli. Czowała się cudownie mimo bólu głowy i pulsowania w skroniach. Wyprostowała się, rozejrzała naokoło i leżąc w wielkim łóżku, wśród pogniecionych prześcieradeł wciągnęła koc na



nagie ramiona. Roześmiała się cicho na widok nieładu, jaki panował wokoło. Jakie zabawne miejsce! Ten pokój wyglądał trochę jak strych, a trochę jak grotę czy namiot wędrowca na pustyni. Grube zwoje pięknego, purpurowego weluru spływały od belek sufitu po obu stronach najszerszego łóżka, jakie Léa kiedykolwiek widziała. Naprzeciw tego łoża sybaryty, w dużym kominku, ozdobionym rzeźbami w drewnie, płonął ogień. Przed kominkiem zaś leżał wspaniały dywan, na którym wały się poduszki i części ubrania. Płomienie rzucały na ściany ruchliwe cienie, sięgające belek sufitu. Poza tę jasną strefę wszystko tonęło w mroku. Z dala od ognia ściany pokoju wydawały się całkiem czarne.

— Czuję się tak, jakbym była zawieszona w czasie i przestrzeni — powiedziała Léa głośno.

W ciszy, którą zakłócał jedynie trzask ognia, dźwięk własnego głosu zaskoczył ją i przywrócił do rzeczywistości.

Tak pewnie wygląda grzech, pomyślała. Ta myśl rozśmieszyła dziewczynę, gdyż pojęcie grzechu było dla niej czymś niejasnym, i to od dzieciństwa, mimo katechizmu, z którego matka przepytывała ją co dzień, i mimo kazań stryja Adriana, których słuchała w katedrze w Bordeaux.

— Jaka jesteś teraz piękna — powiedział głos w półmroku.

— François, gdzie się chowasz? Nie widzę ciebie.

Zapaliła się lampa z opalizującego szkła. Pod tą lampą, przed dużym biurkiem, zawalonym książkami i papierami, siedział François. Wstał i podszedł do łóżka. Miał na sobie coś w rodzaju długiego, haftowanego szlafroka, którego egzotyka podkreślała brutalny wyraz jego twarzy, tak że wydawał się podobny do mongolskiego barbarzyńcy.

— Co ty tam robisz w takim przebraniu?

— Och, Léo... A ja nieszczęsny myślałem, że cię uwiodę w tym dekadentkim stroju. Niewypał!

— Skąd to pochodzi? Jest piękne.

— Przywiozłem ten kaftan kilka lat temu z Kabulu. Pewien książę afgański podarował mi go. Jest to strój uroczysty, który dawniej nosili ministrowie. Poza tym ciepłe odzienie, przeznaczone do noszenia w surowym klimacie. Od początku wojny noszę je zimą w domu.

— I walcząc z zimnem, kazałeś zawiesić te tkaniny wokół łóżka?

— Tak. Kiedy już wisiały, zdałem sobie sprawę, że jako dorosły mężczyzna odtworzyłem ulubiony świat mojego wczesnego dzieciństwa: jadalnię dziadków, która wówczas wydawała mi się ogromna z tym leżącym tam na podłodze czerwonym dywanem, pod który włożyłem wyobrażając sobie, że jestem beduinem, Hunem, panem wojny lub handlarzem niewolnikami.

Léa patrzyła na niego z tak zdumioną miną, że wybuchnął śmiechem.

— Byłem takim samym chłopcem jak inni.

— Tak, oczywiście — odparła śmiejąc się także. — Ale z trudem wyobrażam sobie siebie jako dziecko.

— Tym się także różnimy. Bo ja bez trudu widzę cię jako dziewczynkę, którą byłaś jeszcze niedawno i którą pod wieloma względami jeszcze jesteś.

François usiadł przy Léi i patrzył na nią z czułością, która ją wzruszyła. W nagłym odruchu przytuliła się do kochanka, pocierając nos o jego szyję.

— Lubię twój zapach.

Uściskał ją czule, ciesząc się z jej pierwszego ciepłego słowa, które zabrzmiało jak wyznanie miłosne. W "lubię twój zapach" kobiety zmysłowej słyszał "kocham cię" kobiety zakochanej. Do tego doszedł! Mimo właściwej mu autoironii nie miał ochoty z siebie pokpiwać. Świadomy ulotności tej chwili i znając zmienność Léi, rozkoszował się szczęściem, nic nie mówiąc w obawie, że mógłby prysnąć czar, który ich łączył.

Zadzwoił telefon.

Léa podskoczyła wołając:

— Wielki Boże, to już noc!... Ciocie będą się niepokoiły.

— Nie, uprzedziłem je, że jesteś ze mną.

— No, chwała Bogu! — Léa wstała, nic sobie nie robiąc ze swojej nagości. — Nie odbierasz telefonu?

— Nie, dzisiaj nie ma mnie dla nikogo.

— Może to coś ważnego, odbierz.

Spełnił prośbę Léi, wyczuwając niepokój w jej głosie. Kiedy jednak podniósł słuchawkę, panowała w niej cisza.

— Zbladłaś, nie trzeba się tak przejmować.

— Masz rację, jestem wariatka.

— Przygotuję kąpiel, dobrze ci zrobi.

— Kąpiel?

— Tak, rzadko proponuje się teraz kąpiel przyjaciołom. Nie myśl zresztą, że często to tutaj się zdarza. Ale w zbiorniku jest chyba ciepła woda. Weź to, bo zmarzniesz.

Léa wzięła kaszmirowy szal, który jej podawał.

— Usiądź przy kominku, a ja napuszczę wody i włączę piecyk.

Kiedy wrócił, Léa siedziała obejmując ramionami kolana. Usiadł naprzeciw niej i oparł się o obramowanie kominka.

— Masz może papierosa?

François sięgnął do kieszeni szlafroka i wyjął bardzo piękną papierośnicę.

— Mam angielskie papierosy. Reflektujesz?

Léa bez słowa wzięła papierosa i zapaliła od rozżarzonej gałązki, którą François podał jej szczypcami.

— Dziękuję — powiedziała z zamkniętymi oczami, zaciągając się.

François także zapalił. Przez pewien czas palili w milczeniu.

– Kim był ten człowiek, który podszedł do ciebie u Marthe?  
– To wyjątkowo niebezpieczna kanalia.  
– Wyglądało na to, że jesteście w najlepszej komitywie.  
– Pozornie. Nie mogę postępować inaczej. Muszę spotykać się z takimi ludźmi jak on.

– Nie rozumiem.

– Lepiej, żebyś nie rozumiała. Ale mogę powiedzieć, kto to jest. Nazywa się Mendel Szkolnikoff czy Sekolnikow, jest apatrydą rosyjskiego pochodzenia, z rodziny kupców bławatnych z Rygi. Był dostawcą carskiego wojska, potem rewolucjonistą, wyjechał z Rosji do Niemiec, po czym uciekł z rodziną do Holandii, żeby uniknąć losu, jaki naziści zgotowali Żydom. Potem znalazł się w Brukseli, gdzie niebawem został oskarżony o sfingowanie bankructwa. Pomijam szczegóły. Po błahym wyroku otrzymał zezwolenie na osiedlenie się we Francji. Rozstawszy się z żoną założył z bratem w trzydziestym czwartym roku spółkę kupna i sprzedaży tkanin przy ulicy d'Aboukir. Interesy nie szły mu dobrze, oskarżono go o oszustwo. Kiedy wybuchła wojna, znany był w środowisku podejrzanych biznesmenów pod nazwiskiem Michel. W czterdziestym roku, uważając, że jako Żydowi i apatrydzie grozi mu niebezpieczeństwo, przyjął do spółki inspektora policji, który miał się nim opiekować, i nawiązał kontakt z władzami niemieckimi, uzyskując zezwolenie na handel z Niemcami. W listopadzie interesy zaczęły mu iść nieźle i bardzo szybko osiągnął sukces. Nowi klienci są bardzo z niego zadowoleni.

– Złożyłeś mi prawdziwy raport, słowo daję!

– Jeśli cię nudzę...

– Nie, nie, mów dalej, uczę się.

– Dzięki swoim nowym stosunkom facet wymykał się urzędnikom "Kontroli cen" i policji francuskiej, ale w maju czterdziestego pierwszego – cios: spółka jego została zaliczona do przedsiębiorstw żydowskich. Wobec tego ją rozwiązał. Co nie przeszkadza mu robić nadal machlojki handlowe... Chodź, kąpiel jest już prawie gotowa.

Léa wstała i poszła za nim do łazienki.

Zrzuciła szal i zanurzyła się w parzącej niemal wodzie.

– Ach, co za rozkosz...

François usiadł na skraju wanny i nie odrywając od dziewczyny oczu, ciągnął dalej swoją opowieść:

– W tym czasie spotkał innego dostawcę niemieckiego biura zakupów, z którym doszedł do porozumienia; była to kobieta, Niemka, Elfrieda zwana Heléne, żona żydowskiego kupca. Z tego spotkania zrodziło się ogromne przedsiębiorstwo oszustw i handlu wszelkiego rodzaju. Tych dwoje kupowało wszystko, co można sprzedać: ziemniaki, tkaniny, lekarstwa, perfumy, książki, futra, krótko mówiąc wszystko, co im proponowano i co oni odsprzedawali okupantom lub tym, którzy mogli dobrze zapłacić. Stali się w ten sposób głównymi dostawcami Kriegsmarine. Przybycie do Paryża hauptsturmführera SS

Fritza Engelkego z Centralnego Biura Administracji SS pozwoliło tej sprytniej parze rozpocząć kolosalne interesy. Przybysz zamieszkał przy ulicy generała Apperta i alei Marceau. Nareszcie SS miało własne biuro zakupów i mogło także uczestniczyć w wielkim rabunku towarów francuskich. Szkolnikoff poprosił Ottona, typa, o którym może opowiem ci kiedyś, by przedstawił go Engelkemu. Po dobieciu paru interesów, po kilku dobrych przyjęciach dwaj aferzyści zawarli przyjaźń, albo raczej ich żony, obie Niemki, stały się nierozłączne. W ten sposób Szkolnikoff został oficjalnym klientem SS. Tak wygląda ten typek. Ciekawy, prawda?

Léa miała zamknięte oczy. François nie mógł się na nią napatrzeć. Myślał, że dziewczyna śpi. Wyciągnął rękę, by odsunąć pasmo włosów, które opadło jej na czoło. Léa otworzyła oczy.

— Nie patrz tak. Wymyj mnie. Pamiętasz, jak w Orleanie myłeś mnie podczas bombardowania?

— Nie mów o tym.

— Dlaczego? Często myślałam o tym pierwszym razie. Początkowo byłam wściekła...

— A teraz?

— To zależy od dnia. Masz mydło?

— Poświęcę dla ciebie ostatnie mydło od Guerlaina.

François wyjął z szuflady cenne mydélko i rozwinął je.

— Daj, niech powącham. Hm... dobrze pachnie... Co to za zapach? Nie bardzo chyba męski — powiedziała Léa podając mu mydło.

— Tak, to shalimar.

François natarł mydłem gąbkę i zabrał się do mycia pięknych ramion.

— Pewnie ulubiony zapach jednej z twoich pięknych przyjaciółeczek — powiedziała Léa bardziej cierpkim tonem, niżby chciała.

— Wielki Boże! Taka jesteś zazdrosna, współczuję przyszłemu mężowi.

— Ciesz się, że ty nim nie będziesz.

— Nigdy nic nie wiadomo, kochanie.

— Bardzo bym się zdziwiła, za mało cię lubię na małżeństwo.

Idiotyczne, jak ta zołza potrafi go zranić!

— Oj, uważaj, zedrzesz ze mnie skórę...

— Przepraszam, zamyśliłem się.

— Ładne rzeczy! Jestem tutaj, w twoich rękach, a ty się zamyślasz.

Dotknięta do żywego Léa odwróciła się do François plecami i zanurzyła w wannie.

Nie dbając o to, że się zamoczy, François schwycił Léę, wyciągnął ją z wody, wyniósł z łazienki i rzucił brutalnie na poduszki przed kominkiem.

— Zwariowałaś... zmarznę... proszę dać mi ręcznik...

Bez słowa François szybko zdjął ciężki szlafrok. I stojąc nad Léą nagi, z wzwiedzionym członkiem, z szeroko rozstawionymi nogami, górował nad nią całą swoją postacią. Léa nie mogła opanować zmysłowego drżenia, które przebiegło ją od stóp do głów. François wyglądał jak rozbójnik — o spotkaniu takiego rozbójnika marzyła w dzieciństwie, błądząc sama w lasach Landów.

Zasłoniła łono ręką. François padł na kolana przed tą małą, zaciśniętą dłonią, ostrożnie odgiął jej palce i przywarł wargami do łona. Czując jego ruchliwy język Léa wygięła się, by lepiej mu się ofiarować. Rozkosz przeszła ją tak gwałtownie, że krzyknęła i schwyciła się włosów kochanka. Jakby niechętnie uniósł głowę i z zachwytem i radością patrzył na wstrząsający efekt swoich pieszczot. Potem położył się na Léi i ostrożnie w nią wsunął.

Obudziło ich zimno. Pobiegli schronić się pod puszysty koc i spali do rana.

Otrzymywanie listów sprawiało Léi ogromną radość. Kiedy rano przychodził list, siadała wygodnie w wielkim fotelu w przedpokoju, z podkulonymi nogami i ramionami otulonymi szalem, ostrożnie otwierała kopertę i zagłębiała się z radością w lekturze.

*"Kochana Léo,*

*Siedzę przed biurkiem w dobrze Ci znanym, dużym salonie. Przysunęliśmy je do kominka, żeby było trochę cieplej. Gałęzie winorośli na dworze są czarne, pułap nieba niski, wygląda na to, że będzie padać śnieg. Od kilku tygodni majątek jakby był pogrążony we śnie. Próbowałyśmy, pani Bourchardeau i ja, uporządkować rachunki, ale w wielu wypadkach musiałyśmy zrezygnować, bo brak nam danych. Fayard zgodził się wziąć wszystko w swoje ręce. Żałujemy, że Ciebie tu nie ma.*

*Zaniepokoiły nas w Twoim ostatnim liście wiadomości o stanie Françoise. Mamy nadzieję, że niebawem urodzi się śliczne dziecko i będzie z nami na tym smutnym świecie. Nie ma piękniejszego daru niebios, piękniejszej nadziei niż małe dziecko. Charles, który bawi się tutaj przede mną na dywanie, jest cudowny. Co dzień zachwycają nas jego reakcje na świat, który odkrywa, podziwiamy, jakie w tym robi postępy. Opowiadam synkowi ciągle o jego ojcu i o Tobie, żeby Was nie zapomniał i lepiej Was znał. Zbliża się Boże Narodzenie. Kiedy Charles śpi, robimy z Ruth po kryjomu zabawki na choinkę z drewna i szmatek. Jaka szkoda, że nie możemy być razem... Miałymy wiadomości od L. Nie mamy nadal pojęcia, gdzie się znajduje, ale wiemy, że zadanie, którego się podjął, przebiega pomyślnie i że co dzień coraz więcej osób zgłasza się do pracy razem z nim. Ma się dobrze.*

*Napisz nam jak najszybciej, jak się miewa Françoise. Charles i ja czule Cię całujemy.*

*Camille"*

Léę zawsze trochę drażniła łagodność Camille, nadzieja, którą Camille chciała za wszelką cenę zachować, i nieprzytomna wprost miłość do syna, niezrozumiała dla Léi... A więc Laurent ma się dobrze! Léa musiała się zadowolić tymi zdawkowymi informacjami. Wiedziała, że Laurent prowadzi nadal pamiętnik i że przysłała Camille jego fragmenty, kiedy tylko to jest możliwe. Byłoby jednak zbyt ryzykowne przekazywać je dalej. Zadowalała się więc tymi skąpymi wiadomościami i czytała uważnie gazety z południowego zachodu kraju, które

docierały do Paryża. W każdym nowym akcie "terrorystycznym" widziała rękę Laurenta; wysadzony most — to dzieło Laurenta, zaatakowany patrol niemiecki — to dzieło Laurenta, wyzwoleni jeńcy — to dzieło Laurenta, zawsze i wszędzie działał Laurent.

Léa starannie złożyła list Camille, wstała z fotela i skierowała się w stronę salonu nucąc:

*Od rana do nocy*

*wszędzie pełno frycy,*

*dość tego mam.*

*Szwabska propaganda,*

*sztatlawce i radia,*

*dość tego mam.*

Włączyła radio i usiłowała złapać BBC.

— Panienko, proszę nie śpiewać tej pieśni, jeśli sąsiedzi usłyszą, będziemy miały przykrości.

— Cicho, Estelle, przeszkadzasz mi złapać Londyn.

— Panienska dobrze wie, że to zakazane.

— Wszystko jest teraz zakazane, człowiek dusi się w tym kraju. Szybko, mam! Proszę zawołać ciocie.

Estelle wyszła zrzędząc, otulona kilkoma szalami wyglądała jak wcielenie dezaprobaty.

"Dzisiaj osiemset pięćdziesiąty siódmy dzień oporu Francji przeciwko najeźdźcy. Honor i Ojczyzna. Francuzi mówią do Francuzów".

Ale co robią Lisa i Albertine? Spóźnią się. A więc to trwa już osiemset pięćdziesiąt siedem dni!... I to okropne, że wszyscy jakoś z tym stanem się godzą. Ludzie przyzwyczajają się marznąć, stać przez długie godziny w kolejce po nędzny kawałek chleba, myć się raz w tygodniu, kupować masło i mięso na czarnym rynku, spotykać Niemców na ulicy, akceptować najgorsze rzeczy, byle zdobyć dodatkową rację żywności. Buntują się oczywiście od czasu do czasu, jak na przykład te kobiety z ulicy de Buci, które zdemolowały wystawę sklepu ECCO z konserwami. Estelle, która była tam wtedy, przestraszyła się jak nigdy w życiu: "Gdyby panie widziały, jak ci brutale policjanci grzmocili biedne kobiety. Potem wpakowali je po dziesięć do samochodów, niektóre były z dziećmi uczeponymi spodnic. Strach było patrzeć! Na szczęście mam przyjaciółkę na ulicy de Seine, schowałam się u niej. Podobno jedną kobietę zabili, a inną wysłali do Niemiec. Panienska myśli, że wolno robić takie rzeczy?" Cóż Léa miała jej na to odpowiedzieć?

"Na południu wojska sowieckie posuwają się ciągle naprzód. Odwrót siódmej armii włoskiej, nie wyekwipowanej odpowiednio, nie przystosowanej do warunków rosyjskiej zimy, staje się bezładną ucieczką".

Dobra nowina, pomyślała Léa. Ale gdzie są ciocie? Nigdy przecież nie opuszczają dziennika.

— Och, Boże, Boże! — zawołała Lisa wchodząc do salonu. — To okropne! — Zadyszana opadła na fotel, który jęknął pod jej ciężarem.

— Co się stało?

Lisa pokazała palcem na drzwi mówiąc z trudem:

— Twoja... siostra...

— Co? Co moja siostra?

— Dziecko!

— Znów się zaczyna i znów na mnie to spada... Po Camille... teraz Françoise. To się chyba nigdy nie skończy... Mam zawód: położna.

— Kochanie, zgaś radio, boli mnie głowa.

— Czy ciocie wezwały lekarza?

— Wkrótce tu będzie. Idź teraz do Françoise, prosi cię...

Od dnia odwiedzin kapitana Frederica Hankego, przyjaciela Ottona Kramera — "narzeczonego", jak go wstydliwie nazywała ciocia Lisa — biedna Françoise, szalenie zdenerwowana, popłakiwała w swoim pokoju. Léa dowiedziała się od Hankego powodu zdenerwowania siostry: przełożeni kapitana Kramera odmówili mu zezwolenia na poślubienie Francuzki, a wobec jego nalegań wysłali go na front wschodni. Przed wyjazdem Kramer zdołał przesłać Fredericowi list do Françoise, w którym zapewniał ją o swojej miłości i prosił, by była dzielna jako żona żołnierza i nie robiła niczego, co by mogło zaszkodzić dziecku. Błagał zarazem ojca, by interweniował u swojego przyjaciela Himmlera. Frederic Hanke nie ukrywał przed Françoise, że ojciec Ottona jest także stanowczo przeciwny temu małżeństwu.

— Co będzie z Françoise? — zapytała Léa.

— Z materialnego punktu widzenia nie ma żadnego problemu. Obiecałem Ottonowi, że będę czuwał nad tym, by ani jej, ani dziecku nie zabrakło niczego.

— Nie to miałam na myśli, lecz jej sytuację: dziecko będzie zgłoszone jako "nieznanego ojca".

— Wiem, ale co można zrobić?

— Léa, pospiesz się, Françoise cię prosi — powiedziała Albertine wchodząc.

W pokoju Françoise, w którym czuć było potem i wymiotami, brakowało powietrza. Françoise leżała na rozrzuconej pościeli patrząc przed siebie nieprzytomnym wzrokiem. Léa usiadła przy niej. Cóż! To była jej siostra, ta, z którą chodziła do Bellevue, z którą się chowała w kaplicach kalwarii Verdelaïs, z którą się kąpała w Garonnie w Langon; a winobrania, podczas których ciskały w siebie winogronami plamiąc sukienki, a wieczory wigilijne, kiedy porównywały ukradkiem prezenty otrzymane na gwiazdkę i każda uważała, że siostra dostała ładniejsze; a ich pierwsze "dorosłe" rowery: niebieski — Léi i czerwony — Françoise, a ich kłótnie...

Françoise spojrzała na Léę żałośnie i oczy jej przypomniały Léi oczy ojca. Tak nią to wstrząsnęło, że odwróciła wzrok.

— Ottona nie ma. Gdybyś wiedziała, jak ja się boję... Obiecał mi, że tu będzie...



Dlaczego mnie opuścił?

Wyprostowała się i nerwowo chwyciła Léę za rękę.

— Czyż dziecko nie jest dla niego ważniejsze niż ten jego führer... Przecież Hitlera nie lubi, mówił mi o tym. Więc... dlaczego nie przyjechał na urodziny swojego dziecka?

— Uspokój się. To nie jego wina. Jest wojna, musi wykonywać rozkazy.

— Powiedział mi...

— Nie myśl już o tym.

Françoise krzyknęła tak głośno, że Léa podskoczyła.

— Jak mogę o tym nie myśleć? Jak mam zapomnieć, że moje dziecko nie będzie miało ojca? Że cała rodzina wytykać mnie będzie palcem... Samotna matka... kochanka bosza... świnia... kurwa...

— Przestań. Teraz za późno o tym myśleć... Ach, panie doktorze, nareszcie!

— No co, droga pani, wielka chwila się zbliża?

Albertine i Estelle weszły do pokoju razem z lekarzem. Léa skorzystała z ich przybycia, żeby tchórzliwie się wymknąć.

W przedpokoju zadzwonił telefon. Léa podniosła słuchawkę.

— Halo, czy to Léa?

— Tak.

— Mówi Raphaël Mahl. Muszę się z panią natychmiast zobaczyć.

— To niemożliwe, moja siostra właśnie rodzi.

— Niech natura działa sama, siostra urodzi i bez pani. Ja muszę się z panią zobaczyć.

— Coś poważnego?

— Bardzo.

— Dobrze. Niech pan przyjdzie.

— Nie mogę.

— A to dlaczego?

— Wyjaśnianie przez telefon byłoby niebezpieczne. Za pół godziny będę pod numerem szesnastym przy ulicy Dauphine. To restauracja, wygląda nienadzwyczajnie, ale trzy siostry Raymond robią tam takie ciasto z karmelem, że palce lizać. Błagam, niech pani przyjdzie.

— Dobrze.

Léa powiesiła słuchawkę. Udzielił jej się niepokój Raphaëla.

— Kto to był? — zapytała Lisa wychodząc z salonu.

— Przyjaciół. Muszę wyjść.

— Musisz wyjść...

— Tak, proszę mnie nie zatrzymywać, to bardzo ważne...

– Ale... a Françoise?

– Françoise nie potrzebuje mnie, dosyć osób jest przy niej. Jeśli zadzwoni François Tavernier, niech ciocia mu powie, że jestem z Raphaëlem Mahlem w restauracji przy ulicy Dauphine szesnaście.

– Raph...

– Tak. Niech ciocia nie zapomni: ulica Dauphine szesnaście. I proszę się nie niepokoić, postaram się wrócić możliwie wcześniej.

– Co powie Albertine?

– Niech jej ciocia wyjaśni.

Léa wyjęła z szafy w przedpokoju futrzane botki na drewnianych podszwach, które kupiła dzięki znajomościom Raphaëla.

– Włóż futro Françoise, będzie ci cieplej.

Odkąd François powiedział Léi, że tylko pewne kobiety mają śmiałość nosić futro, nie pożyczała już od Françoise norek. Żeby jednak nie sprzeciwiać się dłużej ciotce, włożyła je bez słowa i wzięła także toczek.

– Wracaj szybko – powiedziała Lisa całując bratanicę.

Na ulicy de l'Université wiał lodowaty wiatr. Szaleństwem było wychodzenie z domu w taką pogodę. W ciemnej i pustej ulicy rozlegało się echo kroków Léi, stukot drewnianych podszew o zmarznięty bruk.

Dziewczyna przysła na ulicę Dauphine zadyszana i spocona, tak pędziła uciekając przed wyimaginowanymi prześladowcami. Żadne światło nie wskazywało, gdzie jest restauracja sióstr Raymond. Léa pchnęła jakieś drzwi, które nie odezwały się żadnym dzwonkiem. Czy to tutaj? Smakowity zapach zupy odpowiedział jej na pytanie.

Sala była mała i słabo oświetlona. Na kontuarze, na prawo od wejścia, spał gruby kot o tygryziej sierści, inny kot otarł się o nogi dziewczyny. Kręte schody prowadziły na pierwsze piętro. Korpulentna i wysoka kobieta w długim, białym fartuchu podeszła do Léi. Miała ciemną cerę i siwe włosy uczesane w kok.

– Dzień dobry, pani kogoś szuka?

– Tak, pana Mahla.

– Pan Mahl jeszcze nie przyszedł, ale stół jest już nakryty. Proszę za mną.

Kobieta przeszła z Léą przez salę i posadziła ją koło drzwi do kuchni, przy małym stoliku nakrytym białą serwetą. Inna kobieta, podobna do pierwszej, podeszła do stolika i zapytała z jeszcze silniejszym niż pierwsza owernijskim akcentem:

– Napije się pani czegoś na razie?

Wobec niezdecydowanej miny Léi dodała dumnie:

– Mamy jeszcze prawie wszystkie aperitify.

– W takim razie proszę o porto.

– Dobrze pani wybrała, mamy doskonałe porto.

Léa rozglądała się naokoło.

Wszystkie stoliki były zajęte. Poczciwie wyglądający goście, którzy przy nich siedzieli, rozmawiali półgłosem i nie gestykulowali nadmiernie, ubrania mieli nie rzucające się w oczy, w dobrym gatunku; siostry Raymond zwracały się do klientów z pewną poufałością, z jaką właściciele restauracji traktują zazwyczaj stałych gości. Nadawało to zakładowi budzący zaufanie charakter rodzinny.

— Proszę, porto dla pani.

Léa piła powoli, lekko zaniepokojona, nie miała nawet odwagi zastanawiać się nad przyczyną opóźnienia Raphaëla.

Za każdym razem, kiedy otwierały się drzwi kuchni, słyhać było coś w rodzaju wokalizy.

— To ćwicz jeden z synów właścicielki, jest śpiewakiem operowym — wyjaśnił Raphaël Mahl, którego nadejścia Léa nie zauważyła. — Uroczy chłopiec.

— Dlaczego pan się spóźnił? Ale... pan jest ranny?

Cienkie strużki krwi spływały z łuku brwiowego i kącika ust Raphaëla.

— Drobiazg, kłótnia z nędznym chuliganem — odrzekł Raphaël ocierając krew zakrwawioną chusteczką.

Jedna z sióstr to spostrzegła.

— Och, panie Mahl!

— Spokojnie, proszę! Zwróci pani na nas uwagę.

Nie przeszkodziło to poczciwej kobiecie w przyniesieniu ręcznika i miseczki letniej wody.

— Doprawdy niepotrzebnie się pani trudziła.

Wobec nalegającego spojrzenia gospodyni Raphaël przestał się opierać, zwilżył serwetką i otarł nią twarz. Léa patrzyła na niego z pewnym rozdrażnieniem.

Druga siostra, a może ta sama, przyszła przyjąć zamówienie.

— Dzisiaj mamy potrawkę z kapustą po owernijsku, kielbaski, cielęcinę w białym sosie i potrawkę z zająca.

— Co pani zamawia?

— Potrawkę jarzynową.

— A pan?

— To samo. Mają jeszcze panie tamto dobre winko?

— Burgunda? Oczywiście.

— Proszę o butelkę w temperaturze piwnicy.

— Wiem, proszę pana. Znam gusty moich gości. I wędlinę na przystawkę. Czy tak będzie dobrze?

— Doskonale. Tymczasem proszę o jedną suze.

— Zaraz podam.

Milczeli, aż przyniesiono im aperitif.

— Czy powie mi pan wreszcie, dlaczego mnie pan tutaj ściągnął?

Raphaël nie odpowiedział sącząc powoli swój aperitif. Twarz miał bladą i mizerną.

Spojrzał na Léę tak, jak gdyby dopiero teraz zdał sobie sprawę z jej obecności.

— Léo, jestem obrzydliwy.

— Wiem o tym.

— Nie, tak naprawdę to pani nie wie. Jeszcze kieliszek suze — powiedział do jednej z sióstr, która właśnie przechodziła obok ich stolika.

— Dlaczego chciał pan się ze mną spotkać?

— Gestapo ma aresztować Sarę Mulstein.

Léa na chwilę zaniemówiła, potem zgroza odmalowała się na jej twarzy, a smak żółci wypełnił usta.

— Co pan zrobił?... Nie, to niemożliwe... Niech pan powie, że to nie pana sprawka!

Raphaël ścisnął swój kieliszek z miną przyłapanego na gorącym uczynku dużego dziecka, które nie wie, jak wybrnąć z sytuacji.

— To nie moja wina... Nie mogłem postąpić inaczej.

Léa czuła, że pod naporem wstrętu lęk ją opuszcza.

— Nie mógł pan postąpić inaczej... Niech pan to wytłumaczy.

— Długa i skomplikowana historia. Krótko mówiąc gestapo aresztowało mnie za handel złotem. Powiedzieli, że puszczą mi to płazem, jeśli się zgodzę z nimi współpracować, udzielać informacji o środowisku prasy i wydawnictw.

— W przeciwnym razie?

— Wydadzą mnie policji francuskiej za kilka innych grzeszków albo zamkną w obozie.

— Więc wolał pan posłać tam Sarę!

— To nie było tak. Z początku opowiadałem im, co się mówi na korytarzach wydawnictwa NRF i w kawiarniach uczęszczanych przez intelektualistów. W zamian za to przymykali oczy na mój handelek. Wie pani, teraz można zarobić kupę forsy, jeśli ma się trochę oleju w głowie...

— ...i jeśli się jest świnią.

— Niech pani nie potępia mnie tak pochopnie.

— Od dawna pracuje pan dla nich?

— Przeszło rok... ale nieregularnie.

Od czasu zajęcia strefy nie okupowanej stawiają coraz większe wymagania. Wezwali mnie miesiąc temu i powiedzieli, że mam się dowiedzieć, kto ułatwia Żydom ucieczkę do Hiszpanii. "Panu, który jest Żydem, nietrudno będzie przeniknąć do jednej z tych komórek. Niech pan je wykryje, a zapomnimy, kim pan jest." Sprawa jasna. Co miałem robić?

— Uciec.

— Uciec? Dokąd? Nie zna ich pani, ten naród nie zna litości, a stworzony jest po to, by panować nad światem, Żyd natomiast, jak to powiedział Mojżesz, należy do narodu przewrotnego i kłamliwego...

— Czego jest pan, niestety, doskonałą ilustracją.

— W ten pewnie sposób pozostaję wierny swojemu narodowi. Tylko bardzo nieliczni mają odwagę akceptowania siebie ze wszystkimi, najdalej posuniętymi konsekwencjami. My jesteśmy ludźmi pozbawionymi cech wielkości, podczas gdy ta wielkość właściwa jest Niemcom, Niemcy ją rozumieją i podziwiają. Dlatego jest to naród bohaterów. Tak samo było niegdyś we Francji...

— Mało mnie obchodzi, że Niemcy mają poczucie własnej wielkości, dla mnie to są wrogowie, którzy okupują moją ojczyznę, marzę o chwili, kiedy się ich wypędzi z Francji i z innych krajów. Nie wiecie się w Rosji pańskim przyjaciółom. Powinien pan pomyśleć o zmianie chorągiewki.

— Niech pani mówi ciszej. Pomyślę o tym w odpowiednim czasie. Na razie odnoszą zwycięstwa. Gdyby nie oni, siedziałbym dawno w więzieniu.

— I tam jest pańskie miejsce. Wróćmy do Sary. Co pan zrobił? Sądziłam, że nie zna pan jej adresu.

— To prawda. Ale wypytując tu i ówdzie, wpadłem na jej organizację. Nietrudno mi było nawiązać z nimi kontakt. Opowiadałem wszędzie, że muszę wyjechać z Francji, i to jak najszybciej. Pewnego dnia jadłem obiad, niedobry, w małej restauracyjce żydowskiej w Belleville, i jakiś chłopiec podszedł do mnie i powiedział, żebym się zgłosił do "Selectu" na Champs-Élysées i zapytał o Boby'ego. To imię coś mi mgliście przypominało. Boby był chyba kelnerem w "Selekcie". Chodzę do tego lokalu dosyć często, zwłaszcza w sobotę około siódmej. Jaki tam hałas! Jaki bałagan! Jakie piski! Bywają tam wariatki w każdym wieku, uszminkowane jak diabli. Kręcą tyłkami, krygują się, flirtują bezwstydnie z młodzieńkami żigolakami, rozprawiają o cenie ich uścisków. Ta kawiarnia ma tak złą reputację, że żołnierzom wojsk okupacyjnych zakazano do niej chodzić. Jest to więc idealne miejsce wszelkich potajemnych kontaktów. Chłopak powiedział mi hasło, coś w rodzaju: "Przez dłuższy czas kładłem się wcześniej spać". I poszedłem do tego "Selectu", gdzie zapytałem o Boby'ego. Proszę sobie wyobrazić najpiękniejszą w świecie istotę: okrągłutki, tłuściutki, o dziecięcym głosiku...

— Pomińmy te szczegóły.

— Chłopak wyjątkowej świeżości... prawdziwy klejnocik! Kiedy powiedziałem hasło, kazał mi iść za sobą. Zeszliśmy do piwnicy. Czuję się niewyraźnie. Moje odpowiedzi chyba go zadowalały. Oświadczył, że jest tylko jednym z ogniw łańcucha i nie zna innych. Kazał mi udać się nazajutrz do baru "Fouquet" z czerwonym goździkiem w butonierce i planem Paryża w ręku. Tak też zrobiłem. W barze podszedł do mnie bardzo elegancki mężczyzna i powiedział, zaproponowawszy mi uprzednio lampkę wina, że jesteśmy zaproszeni na obiad do pewnej jego przyjaciółki. Wzięliśmy rykszę i pojechaliśmy na ulicę de la Tour, do wspaniałego mieszkania. Była tam Sara. Padliśmy sobie w ramiona. Spodziewałem się wszystkiego, tylko nie tego, że tam ją spotkam. Wiedziałem, że gestapo szuka Sary, dlatego właśnie pytałem panią o jej adres; chciałem ją ostrzec.

— Nic już nie rozumiem.

— Nie jest to takie skomplikowane. Chciałem powtórzyć Niemcom kilka plotek bez większego znaczenia, ale nie miałem ochoty nikogo denuncjować, przynajmniej za nic.

— Też nie rozumiem. Jest pan nikczemny!

— Nie tak bardzo jednak, jak pani sądzi. Sarze mogłem wszystko powiedzieć. Wyznałem jej więc, dlaczego się u niej znalazłem. Nie zdziwiła się chyba. To naprawdę niezwykła kobieta. Lecz byłem trochę zaskoczony, kiedy ucałowała mnie mówiąc: "Drogi Raphaëlu, nie zmienisz się nigdy". Postanowiliśmy, że zaczekam dwie doby, zanim powiem gestapo o swoim odkryciu.

— No więc? Wszystko w porządku, Sara miała czas, żeby się ukryć!

— Nie! Wcale nie wszystko w porządku! Niemcy, nieufni, śledzili mnie. Czekali na mnie na dole. Ach, kochana przyjaciółko, musiałem nad sobą zapanować, by nie dać drapaka.

— Państwo nie jedzą?

Trzy siostry Raymond stały przy ich stoliku, patrząc na nich z wyrzutem.

— Przepraszamy, byliśmy pochłonięci rozmową.

— Widziałyśmy to właśnie — powiedziała jedna z sióstr surowym tonem.

— Proszę, Léo, niech pani skosztuje.

— Nie chce mi się jeść.

— Proszę się przemóc. Właścicielki może zaczęłyby coś podejrzewać i miałbym kłopot. A ja potrzebuję tego lokalu, muszę tutaj przychodzić.

Raphaël dał Léi przykład przelykając za jednym zamachem dwa plasterki kielbasy.

— Co Niemcy panu powiedzieli?

— Zapytali mnie o nazwisko osoby, z którą się spotkałem w tym domu.

— I pan powiedział?

— Przycisnęli mnie do muru...

— Nieszczęsny z pana facet.

— Łatwo pani mówić. Co by pani zrobiła na moim miejscu?

— Poszli po Sarę?

— Nie, bo powiedziałem im, że za dwa dni da im listę następnych osób, które chcą się dostać do Hiszpanii.

— Uwierzyli?

— W pierwszej chwili odniosłem takie wrażenie; wzięli mnie do swojego samochodu i zawieźli na bulwar Flandrin. Uspokoilem się zupełnie, kiedy zobaczyłem przy biurku jednego z moich przyjaciół, Rudy'ego de Mérode. Od początku wojny zrobiliśmy z nim kilka dobrych interesów. To ważna figura.

— Co panu powiedział?

— Że jego przełożeni oczekują ode mnie dowodów lojalności i liczą na to, że za

czterdzieści osiem godzin dowiedzą się za moim pośrednictwem nazwisk członków tej organizacji.

— Więc udało się panu ostrzec Sarę?

— Nie. Od wczoraj ciągle mnie śledzą. Usiłowałem im się wymknąć, daremnie. To oni pobili mnie na stacji metra "Sèvres-Babylone". Dlatego zadzwoniłem do pani i prosiłem, by pani tu przyszła. Musi pani ostrzec Sarę.

— Ale jak? Ulica de la Tour jest bardzo daleko!

— Trzeba pójść nie na ulicę de la Tour, ale Guénégaud, pod numer trzydzieści jeden.

— Nie rozumiem.

— Wczoraj Sara mi powiedziała, że wynosi się z ulicy de la Tour, która stała się niebezpieczna dla jej towarzyszy, i że na jakiś czas zniknie. Jedną z jej przyjaciółek, która wyemigrowała do Stanów, zostawiła jej klucze od swego mieszkania. Sara ukrywa się tam już od miesiąca.

— Opowiedziała panu to wszystko? Coś mi tu nie pasuje. Kto mi zaręczy, że nie podała pan tego adresu Niemcom?

— Rzeczywiście, mógłbym podać. Nie rozumiem nawet, dlaczego tego nie zrobiłem. Lubię Sarę, a raczej wspomnienie niektórych pijatyk w pewnych barach na Montmartre. Niech pani sobie przypomni powiedzenie Jules Renarda: "Nie ma przyjaciół, są chwile przyjaźni". To się potwierdza, jeśli chodzi o Sarę i o mnie.

— Proszę, przyniosłam potrawkę, powie mi pani, czy smakowała — powiedziała jedna z sióstr Raymond stawiając na stoliku parujący półmisek.

Czekali w milczeniu, aż zniknie w kuchni.

— Niech się pani nie rusza... Dwaj mężczyźni, którzy mnie śledzili, weszli tu właśnie. Jeszcze mnie nie zauważyli. Proszę wstać. Iść do kuchni. W głębi są drzwi, które wychodzą na podwórze. Przejdzie pani przez to podwórze, minie pani bramę. Wyjdzie pani na następne podwórko, skręci na prawo, potem przez starą, spróchniałą bramę wyjdzie pani na uliczkę de Nevers. Skieruje się pani na prawo, w stronę Sekwany, potem od razu na lewo, tam jest ulica Guénégaud. Niech się pani rozejrzy, czy nie ma nic podejrzanego. I idzie normalnym krokiem. Jeśli nie zobaczy pani nikogo, proszę pójść pod numer trzydziesty pierwszy, wejść na trzecie piętro i trzy razy zadzwonić. Otworzy pani Sara. Proszę powiedzieć jej, żeby natychmiast stamtąd się wyprowadziła. Powodzenia.

Raphaël Mahl nie spuścił oczu pod pytającym spojrzeniem Léi: "Czy mogę panu ufać?"

Léa podniosła się powoli, narzuciła na ramiona futro i podeszła do kontuaru, przy którym stali, tyłem do niej, dwaj mężczyźni w nieprzemakalnych płaszczach. Zapytała cicho jedną z sióstr:

— Gdzie jest toaleta?

Nie czekając na odpowiedź skierowała się w stronę kuchni. Mijając kucharkę i śpiewaka operowego przyłożyła palec do ust i wyszła na podwórze.

W restauracyjce przy ulicy Dauphine nadal panował spokój, dwaj mężczyźni

przy kontuarze nie drgnęli, Raphaël Mahl zabrał się do swojej potrawy.

Ulica de Nevers tonęła w ciemnościach. Ogromne szczury uciekły spod nóg Léi, która omal nie krzyknęła ze zgrozy. Lodowaty wiatr zamiatał nabrzeże. Grobowa cisza, ani żywej duszy w pobliżu. Usiłując stłumić stukot swoich drewniaków, nadstawiając uszu, z rękami zaciśniętymi w kieszeniach futra, przerażona Léa szła w kierunku ulicy Guénégaud.

Nagle z Pont-Neuf nadjechał na pełnym gazie samochód ze zgaszonymi światłami i skierował się na ulicę Dauphine. Gwałtowny zgrzyt hamulców. Zapominając o radach Raphaëla, Léa zaczęła biec. Samochód cofnął się.

Skreślił w ulicę Guénégaud, minął uciekającą dziewczynę i stanął o kilka metrów dalej. Drzwiczki się otworzyły, mężczyzna, który wyskoczył z samochodu, zagroził jej drogę. Léa krzyknęła. Ciężka ręka spadła na jej ramię.

– Nie bój się, kochanie, to ja. Wsiadaj do wozu.

Léa nie stawiała oporu François, który ją zawlókł do samochodu. Jechali aż do ulicy de Seine i zatrzymali się przed galerią malarstwa na rogu nabrzeża.

– Dokąd tak biegłaś?

– Usłyszałam, że nadjeżdża samochód, i zlekłam się.

– Co tu robiłaś z Mahlem?

– Mahl wie, gdzie jest Sara. Gestapo ją śledzi. Szłam, by ostrzec Sarę.

– Dlaczego sam tego nie zrobił?

– Śledziło go dwóch mężczyzn, byli w restauracji. Wysłałam przez kuchnię.

– Czuję, że coś tu nie jest w porządku. I ty także to czujesz. Bo nie zostawiałabyś w domu wiadomości dla mnie.

– Może, ale musimy spróbować ostrzec Sarę.

– Gdzie ona jest?

– Ulica Guénégaud trzydzieści jeden.

– Mahl dał ci ten adres?

– Tak.

– W takim razie w imię Boże! Czekaaj tutaj, a jeśli zobaczysz, że ktoś się zbliża, odjedź. Jeżeli nie wrócę za dwadzieścia minut, odjeżdżaj stąd szybko.

– Pójdę z tobą.

– Nie ma o tym mo...

– Nic nie mów, tracimy tylko czas.

François przytulił Léę mocno. Szepnęła:

– Boję się.

Po czym wysunęła się z jego ramion i poszła w kierunku ulicy Mazarine.

– Nie, nie tędy. Pójdziemy ulicą de Seine i ulicą Jacques Callota. Ulica Guénégaud będzie stamtąd dobrze widoczna.

François wyjął z kieszeni płaszcza pistolet i odbezpieczył go. Léa poczuła się



nieco spokojniejsza.

Szli szybko wśród głębokiej ciszy i nocy zimowej. W tym całkowitym braku wszelkich odgłosów i światła było coś nierealnego, coś, co przypominało ciszę przed burzą. Stanęli przed dawnym pasażem du Pont-Neuf: naokoło ani żywej duszy. Zrobili kilka kroków... Wszystko potoczyło się błyskawicznie. Jeden samochód, potem dwa, potem trzy wyłoniły się od nabrzeża z obu stron ulicy Mazarine i ulicy Guénégaud. François wepchnął Léę do jakiejś bramy. Trzasnęły drzwiczki, mężczyźni w cywilu pchnęli bramę pod numerem 31, kilku innych zostało na ulicy z karabinami w pogotowiu.

Krzyki. Nawoływania. Wypchnięta na ulicę kobieta potyka się, wyprostowuje, chce uciec. Krzyki. Kobieta biegnie w ich kierunku. Huk wystrzału. Kobieta obraca się w miejscu i... powoli osuwa się na ziemię.

François z trudem powstrzymał Léę.

Mężczyźni podbiegają do leżącej kobiety. Kobieta wstaje. W ciemnościach nocy nie widać krwi na bruku. Cios kolbą... jeszcze jeden, ciosy spadają na leżącą znowu na bruku kobietę. Biała, delikatna ręka podnosi się w daremnym geście obrony. François tłumi dłońią jęki Léi.

Znowu cios. Podniesiona ręka opada. Mężczyźni podnoszą z maltretowane ciało. Jeden ujmuję kobietę za ramiona, drugi za nogi. Długie, czarne włosy, wlokąc się po bruku, zmiatają kurz: trochę krwi. Mężczyźni wrzucają ofiarę do furgonetki. Ognik papierosa zapalonego po dokonanym wysiłku. Trzask drzwiczek. Warkot silników. I cisza. Nikt się nie ruszył. Nikt nie słyszał, że mordowano kobietę.

Płacz noworodka wdarł się w sen Léi.

Czule objęci przechadzali się z Laurentem na tarasie w Montillac. Nie istniało nic poza ich miłością, wojna obaliła wszystkie przeszkody, nie pamiętali o niczym wobec tej rozległej, niemej przestrzeni, jaka rozpościerała się przed nimi.

Léa obudziła się z policzkami mokrymi od łez, wołając matkę.

W sąsiednim pokoju ucichł płacz niemowlęcia. Weszła Estelle ze śniadaniem na tacy.

– Dzień dobry, panienko.

– Dzień dobry, Estelle. Która godzina?

– Niedługo dziesiąta. Niech panienka nie zapomni, że dziś wieczór mamy w domu święto.

– Święto?

– Dziś trzydziesty pierwszy grudnia, chrzciny małego Pierrota, a panienka jest chrzestną matką.

– Małego Pierrota?... Rzeczywiście, mamy teraz w domu małego Pierrota. Jak siostra czuje się dzisiaj?

– Dużo lepiej. Wczoraj przeszła kilka kroków. Idę już, muszę się zabrać do ciasta.

Léa wstała, włożyła stary, ale ciepły szlafrok ojca na pulower, który miała na nocnej koszuli, wciągnęła na nogi wełniane skarpetki. Przejrzała się w lustrze. Tak wystrojona nie zasługiwała wprawdzie na nagrodę za elegancję, lecz przynajmniej nie marzła. Wymyła zęby, wyszczotkowała włosy w łazience i usiadła do śniadania.

Ugryzła kawałek razowego chleba, twardego jak drewno. Obrazy ze snu wróciły... Potem okropne sceny aresztowania Sary Mulstein.

François Tavernier bez specjalnego wysiłku zdobył wiadomości o Sarze od samego Helmutha Knochena: przed przesłuchaniem odstawiono ją na ulicę des Saussaies. Opatrzono jej rany, które były podobno poważne. Po czym zamknięto biedaczkę w izolatce i nikt nie miał prawa jej odwiedzać. Ale Knochen zapewnił François, że Sara jest dobrze traktowana. Mina François wyrażała pewnie sceptycyzm, bo Niemiec dodał:

– Odkąd odszedł Danneker, ta prawa ręka Eichmanna, przesłuchania

żydowskich terrorystów są mniej brutalne.

Po przybyciu do Paryża 14 czerwca 1940 roku Helmuth Knochen stanął na czele sonderkommando. Ten trzydziestodwuletni intelektualista, syn skromnego nauczyciela szkoły podstawowej, doktor filozofii, marzył o karierze profesora literatury, zanim został redaktorem niemieckiej oficjalnej agencji prasowej, gdzie zajmował się prasą belgijską i holenderską. W 1933 roku wstąpił do SA. Był to mężczyzna słusznego wzrostu i szczupły, o wysokim czole i ciemnych włosach. Uśmiechał się rzadko. W ciągu roku potrafił, dzięki swemu dowcipowi i kulturze, przeniknąć do dobrego towarzystwa i wkrótce stał się ulubieńcem paryskich salonów. W jednym z tych właśnie salonów poznał go François Tavernier. Wkrótce spotkali się ponownie w zupełnie innej sytuacji. Helmuth Knochen oświadczył François Tavernierowi, że poszukuje w tym środowisku agentów, którzy by mogli dostarczać mu wiadomości o politykach rządu Vichy, przemysłowcach i oczywiście o ruchu oporu i jego przywódcach. Pozornie zainteresowany tym François znowu spotkał się z Knochenem, od którego dowiedział się szczegółów o funkcjonowaniu na terytorium Francji ogromnej organizacji gestapo. Ciekawe, że zdobył zaufanie Knochena wykorzystując pewną wrogość, jaka istniała między gestapo a ambasadą niemiecką. Tavernier, który bywał często u ambasadora Ottona Abetz, powtarzał Knochenowi — mniej lub bardziej wiernie — wszystko, co się mówiło na temat jego działalności w kularach i salonach ambasady. Knochen wysłuchiwał tych plotek z pozornym spokojem i krzywym uśmieszkiem na szerokich ustach.

Ten właśnie młody człowiek w ciągu kilku miesięcy stworzył organizację, której bał się nawet wermacht i od której zależał los Sary Mulstein.

— Niech pan będzie spokojny, czuвам osobiście nad tą sprawą.

François zaniepokoił się, ale nie nalegał, by nie nadawać tej "sprawie" ważności, której Helmuth Knochen nie omieszkałby wykorzystać.

Od dziesięciu dni Sara siedziała w areszcie przy ulicy des Saussaies.

Zapukano do drzwi pokoju Léi.

— Proszę.

W drzwiach stanęła Françoise, rozpromieniona i wypoczęta, z niemowlęciem w ramionach.

— Twój chrzestny syn koniecznie chciał cię zobaczyć — powiedziała podając Léi dziecko.

Léa nieporadnie wzięła niemowlę, lecz bardzo szybko oddała je matce.

— Jest uroczy, ale boję się, że go upuszczę. Taki malutki.

— Wcale nie taki malutki! Ważył trzy dwieście, kiedy się urodził. To najpiękniejsze niemowlę na świecie. Nie uważasz, że jest podobny do swego ojca?

Ta uwaga zdenerwowała Léę.

— Wiesz, nigdy nie przyglądałam się dokładnie jego ojcu.

Françoise opuściła głowę kuląc ramiona, wzruszająca z dzieckiem na ręku.

— Przepraszam — powiedziała Léa. — Nie chciałam ci sprawić przykrości.

Pozwól mi ubrać się, jeśli chcesz, żebym była gotowa na ceremonię chrztu. O której to ma wreszcie się odbyć?

— O trzeciej.

Léa stała chwilę bez ruchu przed drzwiami, które zamknęły się za Françoise. Potem, wzduszając ramionami, rzuciła szlafrok na łóżko, zdjęła skarpetki, włożyła pod nocną koszulę pas, wciągnęła wełniane pończochy, majtki, po czym, dygocząc z zimna, zdjęła sweter i nocną koszulę. Nie przyzwyczai się nigdy do tego chłodu!

Co by o tym wszystkim myślała matka Léi? Co zrobiłaby mądra Isabelle Delmas w takich okolicznościach? Czy zgodziłaby się być kumą niemieckiego oficera, dlatego że przyszyły chrześcijanin jest jej siostrzeńcem? Bo Frederic Hanke, jako najlepszy przyjaciel ojca dziecka, ma być ojcem chrzestnym...

Zbyt jeszcze wstrząśnięta aresztowaniem Sary Mulstein Léa nie odmówiła siostrze, która wystąpiła z tą propozycją. Ładnie będzie teraz wyglądała w kościele Saint-Thomas d'Aquin, trzymając do chrztu dziecko w towarzystwie niemieckiego oficera! Powiedziała Françoise, że ma ochotę wymówić się, ale on jej odradził.

Spotykali się prawie co dzień od owej tragicznej nocy. Nocy, którą Françoise spędził przy Léi w "zimnym mieszkaniu". I to w tajemnicy przed paniami de Montpleynet, które były pochłonięte kłopotami związanymi z porodem siostrzenicy, zakończonym szczęśliwie tuż przed powrotem Léi i Françoise.

Françoise okazał się najczulszym, najtroskliwszym i najbardziej wyrozumiałym przyjacielem, dzięki czemu Léa niemal zapomniała o nurtujących ją ciężkich problemach. Co dzień mówiła sobie: muszę mu powiedzieć o niektórych rzeczach, i co dzień kończyło się na tym, że zabierała go do swego pokoju i w jego ramionach zapominała o Bożym świecie. Nie potrzebowała nawet mówić mu tego, sam zrozumiał, że Léa nie chce się z nim kochać, pragnie tylko tulić się do niego. Całymi godzinami wchłaniałaby jego ciepło i zapach, uspokojona regularnym biciem serca kochanka i łagodnymi słowami, jakie jej szeptał. Świadomość, że nareszcie może się nie bać, tak dobrze jej robiła, że nie chciała niweczyć tego kruchego szczęścia pytaniami, na które on może by nie odpowiedział. Na trzeci dzień po dramacie, jaki się rozegrał przy ulicy Guénégaud, Léa powiedziała Françoise, że teraz Raphaël Mahl budzi w niej zgrozę.

— W tym wypadku nie masz racji. Nie ponosi winy za aresztowanie Sary.

Léa nie mogła w to uwierzyć. Od obiadu w restauracyjce panien Raymond nie wiedziała nic o Raphaëlu.

Skulona w fotelu w przedpokoju Léa czytała na głos stojącym obok ciotkom list Camille.

*"Kochana Léo,*

*Nie wyobrażasz sobie, jak bardzo żałujemy, że nie możemy być na chrzcinach synka Françoise! Byłyśmy trochę zawiedzione, że w ostatnim liście nie podałaś nam więcej szczegółów o nim. Powiedz Françoise, że myślimy o niej z czułością. Napiszę do niej jutro.*

*Charles szalał z radości na widok prezentów, jakie dostał. Paraduje w*

*pulowerze, który panie de Montpleynet zrobiły dla niego, i nie chce go w ogóle zdejmować. Bądź uprzejma im to powtórzyć.*

*Stolarz zreperował nareszcie drzwi szopy, które w każdej chwili mogły się rozpaść. Jak tylko będziemy miały trochę pieniędzy, wymienimy kilka dachówek, woda kapie tu i ówdzie na strychu.*

*Pada deszcz i od dziesięciu dni nie mam wiadomości od L.*

*Ściskam Cię.*

*Camille."*

Wbrew różnym obawom chrzciny dziecka Françoise wypadły lepiej, niż można się było spodziewać. Przede wszystkim przyjemną niespodziankę sprawił ojciec chrzestny, Frederic Hanke, który przybył na uroczystość w cywilnym ubraniu i z mnóstwem prezentów. Po rozdaniu tych prezentów zaprosił całe towarzystwo do małej restauracji przy ulicy Verneuil. Nastrój był przyjemny, niemal wesoły, dzięki wielkiej uprzejmości Hankego. Mówił z dużą sympatią o Camille d'Argilat i o emocjach, jakie przeżył, pomagając jej urodzić Charles'a. Powiedział również, że ogromnie przywiązał się do Montillac, do całej okolicy, i że po wojnie chętnie by tam zamieszkał. Może z powodu jego cywilnego ubrania Léa miała wrażenie, że widzi go po raz pierwszy. Ze zdumieniem przyłapała się na myśli, że gdyby Hanke nie był Niemcem, chętnie zaliczyłaby go do swoich wielbicieli. Na tę myśl uśmiechnęła się nawet. O wpół do trzeciej wszyscy wrócili do domu po małego Pierrota i Estelle. O trzeciej ksiądz powiedział w kościele Saint-Thomas d'Aquin, kropiąc wodą święconą czółko dziecka:

— Nadaję ci imiona: Pierre, Otto, Frederic, w imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego.

François Tavernier zjawił się na ulicy de l'Université około szóstej i zastał całą rodzinę popijającą szampana wokół kołyski. Musiał się trącić kieliszkiem na cześć noworodka, ale stanowczo odmówił wzięcia udziału w festynie przewidzianym dla uczczenia końca roku i urodzenia dziecka.

Tavernier i Hanke nie znali się, Françoise dokonała prezentacji. Uścisnęły sobie ręce. Po wymianie banalnych zdań François poprowadził Léę do jej pokoju.

— Czy możesz mi dać klucz do nie używanego mieszkania?

— Po co?

— Nie jest wykluczone, że będę musiał dziś w nocy szybko tu wrócić.

— Dlaczego nie do siebie?

— Dziś wieczór mam coś do roboty w tej dzielnicy. Potrzebne mi schronienie w pobliżu.

— Nie chcesz mi nic więcej powiedzieć?

— Nie...

— Okropne, że z tobą nigdy nic nie wiadomo. I człowiek domyśla się najgorszego. Kto mnie zapewni, że to nie ty zadenuncjowałeś Sarę Mulstein?

Ostatnie zdanie było tak nieoczekiwane, że François na chwilę zaniemówił, twarz mu się ściągnęła i zbladł z gniewu. Wobec takiej reakcji Léa cofnęła się, nie

dość szybko jednak, by uniknąć wymierzonego z całych sił policzka. Był tak gwałtowny, że się zachwiała i uderzyła głową o łóżko, strużka krwi popłynęła jej z nosa. François rzucił się do dziewczyny, schwycił ją za ramię i ścisnął tak mocno, że Léa jęknęła.

– Nie mów nigdy takich rzeczy, Léo.

Pochylony nad nią miał tak groźną minę, że Léa gestem obrony podniosła wolne ramię. Ten dziecinny odruch trochę go udobruchał.

– Robię co mogę, by wyrwać Sarę ze szponów gestapo. Spróbuję nawet zorganizować jej ucieczkę.

– Kiedy? – zawołała Léa.

Tavernier spojrział na nią ironicznie.

– Dziwna z ciebie dziewczyna: sądząc z twoich słów, nie masz do mnie krzty zaufania, a wierzysz mi, kiedy mówię o przygotowaniu ucieczki Sary.

– Bo myślę, że jesteś do tego zdolny. Dobre stosunki z okupantami muszą przecież do czegoś ci służyć.

– W tej sprawie nie zamierzam zwracać się do okupantów, porozumiem się raczej z członkami jej organizacji.

– Znasz ich?

– Kilku. Poza tym spotkam się z nimi tutaj. Proszę, uprzedź ciocię, żeby nie wychodziły ze swoich pokoi i nie zadawały żadnych pytań.

– Ale dlaczego spotkacie się tutaj?

– W tym mieszkaniu przebywa narzeczona i dziecko oficera Rzeszy, a na pierwszym piętrze mieszka kochanka generała Rippena. Władze okupacyjne wiedzą więc, że lokatorzy tego domu są Niemcom przychylni. I z tego powodu mniej się nimi interesują.

– Rozumiem. Mogę załatwić sprawę z ciociami, ale nie z Françoise.

– Nie powinna nic podejrzewać, chodzi tu o życie nas wszystkich. Jesteś nadal zdecydowana dopomóc Sarze?

– Bardziej niż kiedykolwiek.

– Doskonale. Misja twoja będzie polegała na tym, że spotkasz jutro trzy lub cztery osoby i przekażesz im pewną wiadomość. Oto co będziesz musiała zrobić i powiedzieć.

Przez dobrą godzinę Léa uczyła się na pamięć wiadomości, pseudonimów, nazw geograficznych i znaków rozpoznawczych.

– Tylko nic nie zapomnij. Spotkanie tutaj, jutro wieczór. Czy masz rower?

– W Paryżu nie mam.

– Spróbuję ukraść rower dla ciebie. To będzie mój prezent noworoczny. Czy masz jakiś ulubiony kolor?

– Wszystko mi jedno, mój rower jest niebieski.

– Niech więc będzie niebieski, to doskonały kolor do zażegnania złego losu. Na niebieskim rowerze będziesz zwiastunką nadziei.

— Śmieszne, że tak mówisz. Stryj Adrien powiedział mi słowo w słowo to samo.

— Widzisz, twój stryj i ja mamy dużo wspólnych cech.

François wziął Léę w ramiona i pociągnął do łóżka.

— Teraz przepraszam cię za oskarżenie o zdradę.

— Zostaw. Mam wrażenie, że umarłam tamtego wieczoru.

François jednak nie słuchał. Jego wargi i palce usiłowały jej dosięgnąć. Dziewczyna nie wrywała się, ale kiedy ją pocałował, poczuł, że Léa płacze.

— Nie wcześniej, niż uratujesz Sarę.

François wstał, poprawił ubranie.

— Dasz mi klucze?

— Zaraz przyniosę.

— Najważniejsze, nie rób za dużo hałasu — powiedziała Léa wręczając François klucze.

— Nie jestem pewien, czy wrócę dziś w nocy. W przedpokoju będzie na ciebie czekał rower i przepustka. Jutro nie zapomnij: Trinité wzywa towarzyszy Vautrina, Homaisa, La Rochelle'a i Bataille'a na trzeci stycznia o dziesiątej wieczór na trzecim piętrze domu numer dwadzieścia dziewięć, przy ulicy de l'Université, w sprawie poważnej decyzji dotyczącej Simone Mingot. Wręczysz każdemu połowę biletu metra pierwszej klasy, oni ci pokażą drugą połowę. Bądź ostrożna, maleńka. Na najmniejszy sygnał, najmniejsze podejrzenie, bierz nogi za pas. Na razie wróć do chrzcin. Jutro Nowy Rok. Mam nadzieję, że spędzę go w twoim towarzystwie.

Ucałował Léę bardzo czule.

Léa wróciła do rodziny zasmucona odejściem François. Za oknami zaczął padać śnieg.

Nazajutrz Léa znalazła w przedpokoju piękny, niebieski rower ze wspaniałymi torbami z imitacji skóry. Ponieważ ciotki nie mogły się nadziwić, że nie słyszały dzwonka kogoś, kto ten rower dostarczył, Léa powiedziała, że przyniósł go święty Mikołaj i był tak delikatny, że dodał do przesyłki pudełko czekoladek i banieczkę mleka.

Śnieg nie utrzymał się. Było pięknie i zimno. Léa oświadczyła, że ma ochotę wypróbować rower i nie wróci na obiad, gdyż chce skorzystać z pięknej pogody. Ubrała się ciepło: wciągnęła spodnie, dwa grube pulowery i ciepłe botki, owinęła głowę wełnianym turbanem, włożyła grubą kurtkę ofiarowaną przez François. Rękawiczki na króliczym futerku uzupełniały strój.

Françoise i ciotki życzyły jej przyjemnego spaceru.

Nigdy Paryż nie wydawał się Léi tak piękny jak owego ranka. Przezrocyste i zimne powietrze, przedziwnie lekkie, nadawało starym, głaskanym promieniami słońca kamieniom z nabrzeża Voltaire wesołą barwę. Dziewczyna przystanąła na Pont-Royal, by popatrzeć na lśniąca taflę Sekwany, szarej i złocistej, która wolno płynęła w stronę Pont-d'Alma, kołysząc po drodze czarne barki. Wobec tej panoramy, którą podziwiała tylu miłośników Paryża, Léa poczuła — tego poranka 1 stycznia 1943 roku — że spokój ogarnia jej serce, i przypomniała sobie zapomnianą modlitwę swojego dzieciństwa:

"Boże mój, ofiaruję Ci mój dzień szczęśliwy czy nieszczęśliwy; dzień ten do Ciebie należy, uczyni z nim, co zechcesz, ale spraw, bym zbliżając się do wieczności, zbliżała się także do Ciebie".

Pełna ufności Léa wsiadła znowu na rower. Jadąc pustymi ulicami miała wrażenie, że znajduje się w opuszczonym mieście. Żaden odgłos świadczący o ludzkiej obecności nie zakłócał tego wrażenia. Cieszyła ją samotność, która pomagała jej nie myśleć o niczym innym i przygotować się do spełnienia misji, jaką powierzył jej François. Mimo wielu niepojętych rzeczy, jakie dostrzegała w jego zachowaniu, nie mogła mu nie ufać, wbrew temu, co mówiła. Była przekonana, że jeśli to tylko jest w ogóle możliwe, jedynie François zdoła ocalić Sarę.

Na placu Sainte-Opportune Léa wsunęła rower między pręty przy stacji metra i poszła w kierunku ulicy de la Ferronnerie.

Pchnęła drzwi nędznej kafejki o szybach pociągniętych niebieską farbą. Owionął ją wstrętny i zimny zapach wilgotnych trocin, marnego wina, taniego tytoniu i namiastki kawy. Miała wrażenie, że wchodzi do jakiegoś niebieskawego i błotnistego świata, w którym poruszają się istoty o zielonkawych twarzach. Za kontuarem, wśród zakurzonych i pustych butelek królował pękaty i lśniący aparat radiowy, z którego rozbrzmiewała jakaś modna piosenka. Właściciel zakładu, nie ogolony grubas z zakasnymi rękawami, o rozczochranych, rzadkich włosach, szklistych oczach i ze zgasłym petem w ustach, zawołał do niej:

— Nic nie ma do picia, dzisiaj dzień bez alkoholu.

— Chciałabym się tylko napić czegoś ciepłego, kawy na przykład — odparła Léa podchodząc do kontuaru.

— Pani chce tylko kawy!... — zawołał grubas. — Słyszycie ją, chłopaki? Z kroplą mleka... i na dodatek parę kostek cukru.



Kilku klientów, pokpiwając z Léi, zachichotało usłużnie. Léa zaczerwieniła się. Ładny początek!

— Ale że pani mi się podoba, dam pani szklanę wiandoksu — powiedział grubas. — Pani jest tą dziewczyną, która ma tu spotkanie z połówką biletu? — dodał pospiesznie szeptem.

Zaskoczona Léa cofnęła się trochę.

— Nie trzeba uciekać, panienko. Dzisiaj wiandoks nie jest gorszy od innych napojów.

I nie przestając mówić postawił na kontuarze dużą filiżankę z parującym płynem. Léa się zbliżyła.

— Niech pani tak nie stoi — ciągnął grubas szeptem. — Aresztowali jedną z osób, których pani szuka... Proszę, niech się pani napije... Niech pani pije, do licha, patrząc na nas.

Léa umoczyła wargi w brązowym napoju, który był bardzo gorący i nie taki zły, jak się spodziewała. Grubas wybuchnął śmiechem.

— Widzi pani... to się nadaje do picia. Niech pani pójdzie do kościoła Saint-Eustache, teraz tam msza, nikt nie zwróci na panią uwagi... Proszę, panie René, co pan sobie życzy na Nowy Rok?

— Jak zwykle, specjały gospodarza. Szczęśliwego Nowego Roku, panienko, trąci się pani ze mną?

— Ale...

— No, bo się pogniewam, ładne panienki nigdy niczego nie odmawiają dużemu René, prawda Juju?

— Święta prawda, panienko, żadna mu się nie oprze. Jeszcze się taka nie urodziła.

— Dobrze gadasz, Juju. Fajny z ciebie kumpel. Zreperowałeś telefon?

— Tak, od dwóch dni jest już czynny.

— Zatrzymasz tu dla mnie małą w ciepłe, muszę do kogoś zadzwonić. Zaraz wracam, ślicznotko.

Léa wymknęła się natrętnej ręce. Duży René roześmiał się wzruszając ramionami.

— Musi pani prędzej wiać, on pracuje dla nich — cicho powiedział Juju. — W kościele Saint-Eustache, w kaplicy Matki Boskiej ktoś będzie trzymał gazetę "La Petite Gironde", powie pani, co trzeba robić. Nic mi pani nie jest winna, to prezent od firmy. Dobra, szczęśliwego Nowego Roku mimo wszystko.

— Ja też życzę panu szczęśliwego Nowego Roku — odpowiedziała Léa i pchnęła drzwi z takim spokojem, na jaki mogła się zdobyć.

Jak wyprowadziła rower? Jak znalazła drogę wśród uliczek w Halach i jak, po kilku minutach zaledwie, dotarła do kościoła? Nie umiałaby tego powiedzieć.

W kościele pełno było wiernych, głównie kobiet, które z malutkimi obłóczkami pary przy ustach śpiewały żarliwie. Przed ołtarzem Maryi Panny Léa

zobaczyła wolny klęcznik, uklękła na nim z bijącym sercem, nie mogąc zebrać myśli.

Była to pora komunii, większość obecnych kierowała się do stołu świętego. Jakiś mężczyzna ukląkł obok Léi i ukrył twarz w dłoniach. Z kieszeni jego starego palta wystawała gazeta.

Na ułamek sekundy stanął Léi przed oczami ów letni wieczór w Bordeaux, kiedy chcąc się wymknąć policjantom komisarza Poinot, szukała miejsca, gdzie by się ukryć, i zobaczywszy na wystawie sprzedawcy gazet na placu du Grand-Théâtre "La Petite Gironde", wiedziała od razu, gdzie iść. Odwróciła teraz głowę. Mężczyzna był młody i miał brodę, która jednak wcale go nie postarzała. Był trochę podobny do... Nie, to niemożliwe, przywidziało się jej.

— Léo...

Ktoś wymówił jej imię. Czy powinna się odwrócić?... Nie, to ten młodzieniec z gazetą! A więc?

— Nie ruszaj się, wyjdę pierwszy. Spotkamy się u ciebie, przy ulicy de l'Université.

— U mnie!

— To jedyne miejsce mniej więcej pewne.

Po jego odejściu Léa policzyła do dwudziestu i wyszła również z kościoła.

Przy ulicy de l'Université wszyscy fetowali Jeana Lefèvre'a, towarzysza dziecięcych zabaw Léi, tego, który wraz ze swoim bratem Raoulem zabiegał o jej względy.

Padli sobie w ramiona.

Rodzina siedziała jeszcze przy stole. Odkorkowano butelkę szampana, by wypić za to spotkanie, za koniec wojny i za Nowy Rok. Upłynęło co najmniej dwadzieścia minut, zanim Léa mogła zabrać Jeana do swego pokoju.

— Spieszmy się, niewiele mamy czasu — powiedział Jean. — Wolałbym, żeby to był ktoś inny, nie ty — dodał obejmując Léę.

— A ja nie wolałabym, ja bardzo się cieszę. Gdyby nie to, nie spotkałabym ciebie może nigdy.

— Masz rację, ale to wszystko jest tak niebezpieczne.

— Wiem. Co mam teraz robić? Czy powinnam iść na inne spotkania?

— W żadnym razie. Po aresztowaniu Simone Mingot...

— Simone Mingot?

— Tak. Pod tym imieniem zna ją większość z nas. Po jej aresztowaniu członkowie organizacji rozproszyli się, zgodnie z tym, co było postanowione. Każde z nas kolejno powinno krążyć wokół naszej dawnej skrzynki kontaktowej. Tam właśnie spotkałem Trinité.

— François?

— Powiedział mi, że będzie próbował zorganizować ucieczkę Simone, i zapytał, czy się zgadzam. Od razu zaakceptowałem ten zamiar. Pierwszego

stycznia rano jakaś młoda kobieta miała mi przynieść wiadomości. Wszystko było w porządku, dopóki nie dowiedziałem się o świcie o aresztowaniu kolegi, który zna mój adres. Miałem zaledwie tyle czasu, żeby się ubrać i uciec dachami. Gestapowcy już wchodzili po schodach. Na szczęście nie było śniegu. Myślałem tylko o jednym: ostrzec Trinité. Nie było go pod dwoma adresami, które mi podał. Poszedłem jednak na spotkanie na ulicy de la Ferronerie. Na bulwarze Sébastopol ryksza zrównała się ze mną,

— Vautrin! — powiedział pasażer.

— To ty jesteś Vautrin? — zapytała Léa.

Jean nie odpowiedział.

— ..jedź dalej jakby nigdy nic. Pójdź tam, gdzie wiesz, przy ulicy de la Ferronerie, zapytaj właściciela kafejki, gdzie jest kościół de la Trinité. Odpowie ci, żeś pomylił dzielnicę, że tu jest kościół Saint-Eustache albo Saint-Leu, albo Saint-Merri. Powiesz mu: "Ach, dobra, czy może pan wskazać mi drogę do Saint-Merri?" Poczciwiec wyjdzie, by ci wskazać kierunek. Powiesz mu szybko, że przyjdzie bardzo piękna dziewczyna o ciemnorudych włosach i fiołkowych oczach.

— To wygląda na portret jednej mojej znajomej — powiedziałem.

— To właśnie ona.

— Mało brakowało, a spadłbym z roweru. Trinité, bo to był on, ciągnął spokojnie:

— Nieodpowiednia to chwila, by mdleć. Dziewczyna ta podejdzie do ciebie w kościele Saint-Eustache przed kaplicą Matki Boskiej. Stamtąd udacie się do pańien de Montpleynet. Zrozumiałeś wszystko?

— Tak — odpowiedziałem całkiem ogłupiały.

Zapadło długie milczenie.

— Co teraz robimy? — zapytała Léa.

— Kiedy się nie ma nowych instrukcji, trzeba czekać.

— No to chodźmy już stąd, tamci będą się dziwić, że tak długo nas nie ma.

Podczas gdy oni rozmawiali na osobności, ojciec chrzestny Pierrota przyszedł złożyć wizytę matce dziecka. Wręczył jej wielkie pudło czekoladek i list od Ottona Kramera, który zawiadamiał, że niebawem przyjedzie na krótką przepustkę. Młoda kobieta rozpromieniła się na tę radosną wiadomość.

Na widok Frederica Hankego Léa zbladła jak płótno. Trudno, musi przedstawić Jeana Fredericowi. Ściskając ramię przyjaciela, podeszła z uśmiechem do Niemca, który był ciągle po cywilnemu, i powiedziała podając mu rękę:

— Szczęśliwego Nowego Roku, Frederic. Czy mogę panu przedstawić mego przyjaciela z lat dzieciennych, który jest przejazdem w Paryżu? Jean Lefèvre. Jean, przedstawiam ci ojca chrzestnego synka Françoise, kapitana Frederica Hankego.

Gdyby nie uszczypnęła Jeana, chyba by zemdłał. Nie mogąc wykrztusić słowa, trupio blady, podał kapitanowi drżącą rękę. Frederic, nie okazując zdziwienia niezwykłym zachowaniem się Jeana, tę rękę uścisnął.

— Dzień dobry panu, bardzo mi miło poznać przyjaciela Françoise i Léi. Życzę panu szczęśliwego Nowego Roku. Dziękuję za życzenia, Léo. Mam nadzieję, że ten rok będzie dla pani przyjemniejszy niż zeszły.

— Dziękuję, Fredericu. Jean, napijesz się prawdziwej kawy?

— Tak — szepnął Jean, nie wiedząc, jaką powinien przybrać postawę.

Kapitan Hanke swobodnym krokiem podszedł do Jeana.

— Jest pan bliskim sąsiadem pańien Delmas?

— Dość bliskim, tak. Matka moja ma posiadłość w Cadillac.

— Pewnie pomaga pan w zarządzaniu majątkiem?

— Tak.

— Ma pan szczęście, mieszkając w tak pięknej okolicy. Mam nadzieję, że spotkam tam pana, kiedy wojna się skończy i nasze dwa narody będą stanowiły jeden.

Jean już miał odpowiedzieć, kiedy wtrąciła się Léa:

— Podczas pobytu w Montillac kapitan zakochał się w naszych winnicach.

Wreszcie Frederic Hanke się pożegnał:

— Proszę wybaczyć, że zakłóciłem państwu obiad. Jedyne o tej porze mogłem przyjść, by złożyć życzenia noworoczne. O piętnastej rozpoczynam służbę. Pani Françoise, gdybym był pani potrzebny, wie pani, gdzie mnie szukać. Do widzenia paniom, do widzenia, panno Léo, do widzenia panu.

Po jego odejściu wszyscy odetchnęli z ulgą.

— Uf! Myślałam już, że nie wyniesie się nigdy! — zawołała Léa opadając na fotel. — Dlaczego nie przyszyście nam powiedzieć o jego wizycie.

— Nie pomyślałam o tym — odparła Françoise spuszczać głowę. — Byłam taka szczęśliwa, że dostałam list od Ottona.

— To nie ma żadnego znaczenia, kochanie. Ten młody człowiek jest naprawdę uroczy, świetnie wychowany, zachowuje się bez zarzutu! — zawołała Lisa radosnym głosem.

— Zachowuje się bez zarzutu!... Powtarzają to wszyscy naokoło. "Niech pani powie, pani Dupont, ten oficer przytrzymał drzwi w metrze, kiedy wchodziłam! Jest dobrze wychowany! Hm... nie tak jak dzisiejsi młodzi Francuzi, którzy się rozpychają i nawet nie przeproszą. Komuniści... Łobuzy, proszę pani, trudno się dziwić, że przegraliśmy wojnę... Zdziwiłabym się raczej, gdybyśmy wygrali. Mówię pani, droga pani, że kiedy naród odwraca się od Boga, to i Bóg powinien się odwrócić i ten naród ukarać... Musimy odpokutować i denuncjować złych Francuzów, którzy słuchają Londynu i nie są posłuszni marszałkowi Pétainowi, świętemu człowiekowi, temu, co się poświęcił, żeby Francję ocalić..."

— Dostyc, Léo! — krzyknęła Françoise.

— "...ma pani rację, pani Durand. Proszę sobie wyobrazić, niedawno spotkałam dawną sąsiadkę, Żydówkę... Nie uwierzy pani, ale nie miała złotej gwiazdy! Muszę powiedzieć, że nie omieszkałam jej tego wytknąć i ludzie naokoło

poparli mnie. Ta kobieta odeszła czerwona ze wstydu, proszę pani..."

— Wystarczy!

— Dobrze, dobrze, ciociu Albertine. Wybacz mi, jestem tego samego zdania co wy wszyscy: Niemcy zachowują się bez zarzutu!

— Taka jest prawda, czy to ci odpowiada, czy nie. Zapominasz, zdaje się, że są zwycięzcami i mogliby robić z nami, co im się żywnie podoba. Tymczasem, mimo zamachów, zachowują się nadal poprawnie i są cierpliwi...

— Więc niech rozstrzeliwują wszędzie zakładników, niech wywożą nie wiadomo dokąd kobiety i dzieci...

— Terrorystów...

— Dzieci są terrorystami?

— Zamilcz!... Nic nie mów o dzieciach — powiedziała Françoise wybuchając płaczem.

Zapadło milczenie, wszyscy czuli się zażenowani.

— Chodź, Jean, pójdziemy do mojego pokoju.

— To nie wypada — powiedziała Lisa ostrym głosem, który w innych okolicznościach wydałby się wszystkim śmieszny.

Léa wzruszyła ramionami i wyszła zabierając ze sobą przyjaciela. Ledwie znaleźli się za progiem, zadzwonił dzwonek u drzwi.

Dwoje młodych spojrzało po sobie z bijącym sercem. Bez słowa Léa wskazała na swój pokój. Zaczekała, aż drzwi się zamknęły za Jeanem, i wpuściła przybysza.

— Bogu niech będą dzięki! Jesteś! — zawołał François chwytając Léę w ramiona.

Uczucie, jakiego doznała czując otaczające ją ramiona François, było bliskie rozkoszy.

— Tak się przestraszyłem... Kiedy się dowiedziałem, że jeden z kolegów Sary nas zdradził, wyobrażałem już sobie, że jesteś aresztowana... Nigdy bym sobie tego nie darował... Lefèvre jest z tobą?

— Tak. Dlaczego nie powiedziałaś mi, że chodzi o niego?

— Bo dowiedziałem się o tym w ostatniej chwili. Gdzie jest?

— W moim pokoju. Chodźmy tam, zanim ciocia Lisa przyjdzie zobaczyć, kto dzwonił.

— Idę, ale przedtem pocałuj mnie.

Po raz pierwszy Léa spełniła tę prośbę w sposób całkowicie naturalny.

Jean Lefèvre czekał w pokoju Léi; siedział na rogu łóżka obejmując głowę rękami. Kiedy się wyprostował, oczy miał wilgotne.

François spojrział na niego uważnie.

— Léo, proszę, zostaw nas samych.

Po odejściu Léi François zapytał:

— Nie miałaś żadnych wiadomości o innych członkach organizacji?

Jean pokręcił przecząco głową.

— Musisz natychmiast opuścić Paryż. Oto twoje nowe papiery. Nazywasz się Joël Lemaire, urodzony w La Tranche-sur-Mer, w Vendée, dziesiątego października tysiąc dziewięćset dwudziestego roku, ojciec Jean Lemaire, rolnik, matka Thérèse Peyon, bez zawodu. Jesteś jedynakiem, rodzice ci zmarli dwa lata temu w Sables-d'Olonne, podczas burzy zatonął statek, na którym się znajdowali. Pracujesz jako rybak w l'Aiguillon. To wszystko, inne informacje zanotowane są tutaj. Naucz się ich na pamięć przed wyjazdem i zniszcz kartkę. Wsiądziesz dziś wieczór do pociągu jadącego do Poitiers. Tam przesiądziesz się do La Rochelle. Bądź bardzo ostrożny, w tej strefie często są kontrole. W La Rochelle znajdź autobus jadący w kierunku Luchon i l'Aiguillon. W l'Aiguillon pójdziesz do kawiarni "Au rendez-vous des marins-pêcheurs". Zapytasz o Jeana-Marie z "La Vaillante". Kiedy się zjawi, powiesz mu, że powietrze tutaj jest lepsze niż w metrze paryskim. On ci odpowie: "To prawda, zwłaszcza na Zielone Świątki". Proszę zastosować się do tych wskazówek. Zrozumiałeś wszystko?

— Tak.

— Bardzo dobrze. Daję ci dziesięć minut, żebyś się nauczył tego wszystkiego na pamięć. Masz pieniądze?

— Właściwie nie mam.

— Proszę, oto tysiąc franków.

Jean pokręcił przecząco głową.

— Możesz je śmiało przyjąć, pochodzą z Londynu. Podpisz kwit, taki jest zwyczaj.

Jean włożył pieniądze do kieszeni i podpisał kwit.

— Proszę pana, czy mogę pana o coś prosić?

— Tak, oczywiście. O co chodzi?

— Nie chciałbym, żeby Léa była w to wszystko wmieszana.

François Tavernier spojrzał na niego tak, że Jean się zaczerwienił.

— Ja także nie chciałbym. Ale teraz jest już trochę za późno, żeby się cofnąć.

— Nie sądzę. Niech pan jej powie, żeby wróciła do Montillac.

— Zrobię, co będę mógł, jednak Léa chce koniecznie dopomóc pewnej naszej przyjaciółce...

Drzwi się uchyliły i Léa stanęła na progu.

— Jak to długo trwa! Skończyliście już? Mogę wejść? Panie François, nie rozumiem, co się tu dzieje. Co z Sarą?

Tavernier bez słowa spojrzał jej prosto w oczy. Po długim milczeniu powiedział cicho:

— Sarę poddano torturom.

Léa rzuciła się na François i wrzasnęła, waląc go rękami w pierś:

— Pan mnie okłamał!... Pan mnie okłamał! Mówił pan, że jest pod dobrą opieką... że dzięki pańskim stosunkom bosze będą ją dobrze traktować... a oni ją

torturowali!... To pana wina... Nigdy panu tego nie daruję, nigdy. Przez pana aresztowano biedaczkę... Ścierwo... nikczemnik...

— Zamilcz... wystarczy! — zawołał Jean przyciągając Léę do siebie. — Pozwól mu, żeby wyjaśnił.

— Nie ma tu nic do wyjaśniania... On dla nich pracuje. Widziałam, jak się śmiał przed hotelem "Lutétia"! — krzyknęła Léa wyrwijąc się z ramion Jeana.

François zbladł i, zasepiony, ocierał głębokie zadrapanie na twarzy.

— Okłamano mnie — powiedział. — Zawieziono Sarę nie na ulicę des Saussaies, ale w aleję Henri-Martin. Dowiedziałem się o tym dopiero dziś rano, za późno. Po aresztowaniu Sary ujeli dwóch innych członków organizacji. Jeden z nich sypał, to wszystko wyjaśnia.

— Kto panu powiedział o Sarze? — zapytał Jean.

— Jeden z jej przyjaciół, Raphaël Mahl...

— Raphaël!... Więc widzi pan sam...

— ...że to on zadenuncjował. Nie, jestem pewien, że to nie Raphaël. Nie, żeby nie był do tego zdolny, ale dlatego, że wiedział, iż opiekuję się Sarą i mogę spowodować aresztowanie go w ciągu jednej godziny.

— Jak więc się dowiedział, że Sara nie jest przy ulicy des Saussaies, lecz przy alei Henri-Martin?

— Dowiedział się od pewnej kanalii większego formatu niż on, od typa, dla którego pracuje od czasu do czasu, od Frédérica Martin alias Rudy'ego Mérode czy de Mérode.

— Co powiedział ten rzekomy Rudy?

— Naprawdę chce pani to wiedzieć?

— Tak.

— Mérode opowiedział ze śmiechem Mahlowi, jak z jednym ze swoich kumpli zmusił pewną piękną Żydówkę, by wzięła kąpiel.

— By wzięła kąpiel?

— Tak. Oni tak nazywają torturę, przy której używają wanny. Podobno to pomysł jakiegoś Belga... Kiedy torturują mężczyznę, poprzestają na zanurzeniu mu głowy w misce albo kotle do gotowania bielizny, napełnionym lodowatą wodą, i trzymają go tak niemal do uduszenia. To zanurzają głowę, to wyciągają ją z wody, aż człowiek zaczyna sypać albo mdleje.

— Potworne.

— Jeśli zaś chodzi o kobiety...

— Niech pan przestanie! — krzyknął Jean Lefèvre.

François Tavernier ogarnął młodych ludzi spojrzeniem ironicznym i pełnym współczucia zarazem.

— Wdaliście się w przygodę, w której dostrzegacie tylko stronę romantyczną, a jest także inna: tortury, morderstwa, gwałty, wysyłanie dzieci na śmierć w obozach zagłady. Trzeba było przeczytać przedtem "Mein Kampf", chłopcze.

Kancelarz Hitler wyłożył w tej książce wyraźnie, jak zamierza rozwiązać problem żydowski. Jeśli Léa chce nadal odgrywać bohaterkę, powinna wiedzieć co grozi bohaterkom, kiedy się je aresztuje. A jeżeli idzie o Sarę, która zdawała sobie sprawę, na co się naraża, wysłali ją do "izby chorych", gdzie "leczone" jej rany. Z ulicy des Saussaies przewieźli ją w aleję Henri-Martin. Początkowo prowadzili przesłuchanie poprawnie, potem, ponieważ nastąpiła pora obiadu, zamknęli ją w metalowej szafie... Wie pan, w szafie, w jakiej personel biur lub fabryk przechowuje ubranie, za małej, by w niej stać, i za wąskiej, by można było usiąść. Obiad trwał trzy godziny... Wrócili nażarci, pod dobrą datą, weseli. Kiedy otworzyli tę szafę, musieli pomóc Sarze wyjść, zeszywniałe nogi odmówiły jej posłuszeństwa. Powlekli ją do łazienki... Była tak osłabiona, że pomogli jej także się rozebrać. Mérode, z kieliszkiem szampana w ręku, podziwiał jako znawca jej piękność...

Léa usiadła na łóżku, François ciągnął bezlitośnie:

— ...kazał właścicielowi tych miejsc, Christianowi Masuy, by go zostawił na chwilę sam na sam z Sarą. Masuy się zgodził i śmiejąc się wyszedł ze swoimi pomocnikami. Sara nie ruszała się, opatrunek miała lekko przesiąknięty krwią. Rudy głaskał jej piersi i powiedział, że jeśli będzie grzeczna, wstawi się za nią. Podobno Sara wybuchnęła śmiechem, słysząc tę uprzejmą propozycję, i nasz donżuan bardzo się na nią rozgniewał, bo — jak powiedział — uderzył ją w twarz raz i drugi. Daremnie jednak, Sara nie przestawała się śmiać. Wściekły zawołał swoich kumpli, wykręcili jej ręce do tyłu i włożyli na nie kajdanki, po czym kolejno ją gwałcili. Następnie zrobili sobie przerwę na papierosa, potem związali jej nogi w kostkach i tak skrepowaną popychali od jednego do drugiego, krzycząc: "Będiesz mówiła, suko!" i "Mówisz czy nie?" Ponieważ milczała, zmęczyła ich ta zabawa i Masuy wepchnął Sarę do wanny. W wyniku tej kąpieli w lodowatej wodzie nieszczęśliwa kobieta krzyknęła po raz pierwszy. By ją uciszyć, Masuy zanurzył głowę Sary w wodzie. A że była ranna w głowę, woda w wannie zabarwiła się szybko na czerwono. Pastwili się nad swoją ofiarą przez dwie godziny. "Mocna kobieta!" — powiedział nazajutrz Rudy de Mérode Raphaëlowi Mahlowi, który opowiadał mi o tym ze szczerym wzburzeniem... Tak wygląda tortura wanny. I w dodatku ci piękni panowie opowiadają o niej z lubością...

Umilkł na chwilę, po czym ciągnął:

— Léo, proszę spojrzeć na mnie, czy wyglądam na współnika tych łotrów?

Niepewne, a zarazem uważne spojrzenie, jakim Léa go obrzuciła, jej drżące bezradnie wargi, wszystko to sprawiało, że wyglądała na kilkuletnią dziewczynkę, która jest świadkiem czyjejś krzywdy lub niezrozumiałej dla niej złości. Jak dziecko miała nawet ochotę przytulić się do tego, który ją doprowadził do płaczu.

— Léo, proszę odpowiedzieć na moje pytanie. Czy naprawdę pani uważa, mimo pewnych pozorów, że jestem z tymi nikczemnikami?

Léa przypadła do niego.

Trzymać ją w ramionach... oddychać zapachem jej włosów, szyi, dotykać wargami jej słonych warg. François zamknął oczy ze szczęścia.

Kiedy je otworzył, napotkał zrozpaczone spojrzenie Jeana. Biedny chłopiec,



on także kocha tę nieznośną dziewczynkę, pomyślał odsuwając delikatnie Léeę.

— Jutro Sarę mają przewieźć na ulicę des Saussaies. Będę wiedział w nocy, o której godzinie ma to nastąpić. Znamy już drogę, trzech naszych chłopców zajęło stanowiska.

— Chcę być z nimi — powiedział Jean.

— Nie, chłopcze, pan jest spalony, wyjedzie pan dziś wieczór. Niech się pan pożegna z Léą. Zostawiam was. Pójdę złożyć życzenia ciociom Léi.

Dziwne skrepowanie ogarnęło dwoje przyjaciół z czasów dzieciństwa, kiedy zostali sami.

— Nie zapytałam ciebie nawet, co słyhać u Raoula. Jak on się miewa? Gdzie jest?

— Dowiedziałem się od naszego wspólnego przyjaciela, że zeszłego lata uciekł z Niemiec. Od tej pory wszelki słuch o nim zaginął.

— Biedny Raoul. Jak dobrze nam było we trójkę. Pamiętasz, jak kapaliśmy się w Garonnie? Jak jeździliśmy rowerami po górkach?

— Lubiałś nas jeszcze wtedy... Montillac nie jest już takie, jakie było, odkąd ciebie tam nie ma. Jak gdyby się skurczyło. Okna są zawsze zamknięte. Ruth i Camille chodzą jak gdyby na palcach. Można by sądzić, że życie im płynie na oczekiwaniu. Od czasu jak Mathias wyjechał do Niemiec, Fayard nic nie mówi. Widać go niekiedy wśród winnic, słyhać, jak surowym tonem wydaje polecenia. Strzeliło mu teraz do głowy, żeby pracować w nocy; krąży po winnicach z latarnią w ręce. Traktuje swoją żonę jak psa.

— A Laurent?

— Nie widziałem go od dawna, ale jego grupa jest jedną z najbardziej czynnych na południowym zachodzie. Biorą udział we wszystkich poważniejszych akcjach. Oby tylko nie wpadł w ręce boszom, oni go nie kochają. Podobno przychodzi bez obstawy w ciągu dnia, by uściskać żonę i syna. Chciałem z nim pracować, ale Trinité potrzebował mnie w Paryżu... Pamiętasz, jak chodziliśmy do lasu?

— Wszystko to wydaje mi się takie dalekie, czuję się taka stara. I boję się, nie wyobrażasz sobie, jak ja się boję.

— Nie widać tego po tobie — powiedział Jean przyciągając Léeę do siebie. — Nie zmieniłaś się wcale, jesteś tylko jeszcze piękniejsza. Może tylko spojrzenie... Tak, spojrzenie masz inne, twardsze, bardziej niespokojne. Powinnaś wrócić do Montillac, rzucić to wszystko. Zajmować się winnicą i czekać spokojnie na koniec wojny.

— Czekać spokojnie!... Na jakim świecie ty żyjesz, kochany przyjacielu? Czekać? A oni będą tymczasem rabowali nasz kraj, torturowali naszych ludzi, prześladowali Laurenta i stryja Adriana. Jeśli nic nie będziemy robić, oni nigdy się stąd nie wyniosą. Nie mogę czekać, chcę żyć, słyszysz, żyć, nie chcę dłużej na nich patrzeć. Po ich wyjeździe z Montillac urządziłyśmy z Ruth i Sidonie wielkie sprzątanie. Ach, gdyby można było oczyścić dom ogniem! Françoise, która nic nie rozumiała, mówiła nam: "Robiliśmy już przecież wiosenne porządki..."

Początkowo myślałam: muszę się przyzwyczać do ich obecności. To normalne, przegraliśmy wojnę. Biada zwyciężonym! Wyobrażasz to sobie! Potem stopniowo, rozmawiając z Camille, słuchając radia z Londynu, a przede wszystkim widząc, że większość naszych bliskich, naszych sąsiadów podlizuje się Niemcom, czułam, jak ogarnia mnie wstyd. A teraz, kiedy pomyślę, co robią z Sarą, chciałabym wziąć karabin i walczyć.

— To nie jest zajęcie dla kobiety.

— Jaki ty jesteś staroświecki! Nie po raz pierwszy kobieta wzięłaby udział w wojnie.

— Nie chciałbym, żeby stało ci się coś złego.

Zapukano do drzwi. Françoise stanęła w progu.

— Ciocia Albertine przysłała mnie po was. — I wyszła z pokoju nie czekając na odpowiedź.

— Muszę wyjechać. Pozdrów ode mnie panie de Montpleynet. Teraz zostaw mnie samego. Nauczę się na pamięć wiadomości od Trinité.

— Pocałuj mnie i postaraj się przesyłać mi od czasu do czasu wiadomość o sobie.

Pocałunek przypomniał im lato 39 roku na tarasie w Montillac, kiedy troszczyli się głównie o to, co zabawnego będą robili nazajutrz. Zatopieni we wspomnieniach nie słyszeli, jak drzwi się otworzyły i wszedł François Tavernier. Uśmiechnął się na widok ich uścisku. Wycofał się cicho.

— Kocham cię, Léo.

— Wiem, to dobrze, potrzeba mi tego.

— O ile cię znam, masz na pewno dużo wielbicieli. Poczynając od tego twojego Taverniera.

— Nie jesteś chyba zazdrosny? Nie pora na to.

— Masz rację. Jestem jak Raoul, nie znoszę, kiedy inny mężczyzna zaleca się do ciebie.

— Twój brat i ty zawsze byliście głupi — odparła Léa z czułym pobłażaniem.

— Do widzenia, Léo. Bądź ostrożna.

— Ty także bądź ostrożny, Jeannot.

Pocałowali się po raz ostatni i Léa poszła do ciotek. Dziesięć minut później Jean Lefèvre opuścił ich mieszkanie.

W saloniku, gdzie rodzina, oszczędzając opał, jadła obecnie posiłki, Albertine i Lisa w oczekiwaniu na kolację słuchały Londynu:

"Krab spotyka węże. Powtarzamy: Krab spotyka węże".

"Szedłem zamyślony pustynną ścieżką. Mówimy: szedłem zamyślony pustynną ścieżką".

"Maurice spędził z przyjacielem Boże Narodzenie i myśli o dwóch mimozach, które zakwitną".

— Cieszymy się w jego imieniu — powiedziała Lisa z dobrotliwym uśmiechem.

Léę ogarniała wściekłość. Od przeszło tygodnia nie miała wiadomości od François. Czy Sara była nadal w więzieniu? Czy Jean dotarł szczęśliwie do Vendée? Niepokoilo ją nawet milczenie Raphaëla. Nie mogąc znaleźć sobie miejsca, postanowiła pójść na ulicę des Saussaies.

Jej młodość, uroda, pozorna, a świadomie podkreślana nieśmiałość uspiły czujność i podnieciły ciekawość oficera niemieckiego, który ją przyjął: "Sara Mulstein?" Nazwisko to coś mu mówiło... Ach tak, to ta ranna Żydówka, którą przyprowadzono do niego. Nie, już jej tu nie ma. Niech Léa pójdzie w aleję Henri-Martin, numer 101. Tam ją poinformują, jeśli nie, niech wróci, wtedy on zobaczy, co da się zrobić... To normalne — pomóc takiej ładnej panience... Léa podziękowała mu.

Na ulicy wsiadła na rower i pojechała aleją de Marigny i w górę, Champs-Élysées. Na rondzie policjant, stojąc na wysokim podeście, otoczonym ciężkimi, niemieckimi tablicami sygnalizacyjnymi, regulował nie istniejący prawie ruch uliczny: kilka rowerów, nieliczne samochody, pośpiesznie idący, zziębnięci przechodnie w za lekkich płaszczach. Chodnik był śliski od zimnej mżawki. W górze alei wznosił się Łuk Triumfalny Gwiazdy, żaloszny symbol na tle szarego nieba. Zgnębiona Léa zrezygnowała z tej drogi i skręciła w aleję Montaigne'a. Kiedy dojechała do placu d'Alma, mżawka się wzmogła. Znalazłszy się w alei Henri-Martin, pod obojętnym spojrzeniem przechodnia przymocowała swój rower do sztachet otaczających ogródek przed domem. W bramie zdjęła beret, nastroszyła włosy i wytarła chusteczką twarz i nogi.

Zaskoczona rozejrzała się naokoło. Wszystko wyglądało tu spokojnie i dostatnio, nic nie zdradzało obecności Niemców. Niemożliwe, żeby działy się tutaj te okropne rzeczy, o których mówił Tavernier. Za stróżówką prowadziły do domu szerokie, oszklone drzwi w marmurowym hallu. Léa przystanęła niezdecydowana. Po prawej stronie wiodły w górę piękne schody z ciemnego drewna, z szeroką balustradą. Podtrzymywała tę poręcz kariatyda o wyniosłej twarzy i wysokich piersiach, a lśniące drewno balustrady dowodziło, jak często ręce lokatorów i ich gości opierały się o nią. Witraże wysokiego okna oświetlały ozdobną kratę otaczającą windę. Dwa długie stopnie o zaokrąglonych rogach prowadziły do dwuskrzydłowych drzwi, na których błyszcząca miedziana tabliczka. Léa zbliżyła się do tych drzwi i przeczytała "Francuski urząd gospodarczy. Biuro skupu". Co to znaczy? Wydawało się jej, że Sarę umieszczono na parterze. Te dwa słowa coś jej jednak przypominały. François wspominał o jakimś biurze skupu. Ale co to jest?

Zmęczona i zziębnięta usiadła na pierwszym stopniu, opierając się o głowę kariatydy.

Jedno skrzydło drzwi otworzyło się gwałtownie i wypadł z nich człowiek popchnięty niewidzialnymi rękoma. Nieszczęśnik stracił równowagę i runął na płyty hallu. Léa zauważyła, że ręce ma z tyłu związane, a po obrzmiałej twarzy spływa mu krew. Krew ta plamiła biały i złocisty marmur. Niemal natychmiast wyszło z tych samych drzwi dwóch mężczyzn. Śmieli się zapinając palta. Młodszy kopnął leżące ciało, wstrząsane drgawkami.

— No, świnio, wstawaj. Teraz, kiedy opowiedziałeś nam wszystko, nie jesteś już potrzebny. Zawieziemy cię do Fresnes.

— Obiecaliście mi — powiedział więzień unosząc się lekko.

— Co obiecaliśmy?

— Że zostawicie w spokoju moją żonę i córkę.

— Obiecanka cacanka, ciągle tu coś obiecujemy, szef ma nam to nawet za złe.

— Och, nie... to niemożliwe! — zawył nieszczęśnik otwierając skrwawione usta.

— No, wstawaj!... Szef wcale nie jest pewien, żeś wszystko powiedział.

Biedak powłókł się do nóg szydzących z niego oprawców.

— Przysięgam, że wszystko wam powiedziałem, podałem wszystkie nazwiska, szyfr, wszystko... wszystko! — wołał łkając.

— Wystarczy! Czeka na nas samochód... Przestań skamlać jak baba, zwracasz na siebie uwagę. Płaczący mężczyzna to ohydny widok. Wstawaj...

— Wstawaj, śmieciu! — powiedział drugi. — Nie myślisz chyba, że będziemy nieśli donosiciela.

Łkania ucichły od razu. Skulona za posągiem Léa zobaczyła, jak człowiek o wyglądzie słabeusza, który stracił wszelką godność, wyprostował się, ukląkł, potem trochę się uniósł i stanął na chwiejnych nogach, okropny, żalony, z oczami na w pół przymkniętymi, z dolną wargą rozdartą i zwisającą, ze śladami duszenia na szyi, ze związanymi rękami o kciukach bez paznokci. Powoli przeszedł przed siepaczami, zatrzymał się przed najstarszym i spokojnie plunął mu w twarz.

Kolega tamtego natychmiast schwycił za broń.

— Daj spokój, Bernard, byłby zadowolony, gdybyś go zastrzelił.

Wyszli z ponurego gmachu rozdając kuksańce i kopniaki.

Szum windy wyprowadził Léę z osłupienia. Zerwała się na równe nogi. Czas na nią. Dwie eleganckie, młode kobiety wyszły z kabiny roześmiane. Jednocześnie jacyś szacowni panowie zadzwonili do drzwi biura skupu. Nikt nie zwrócił uwagi na plamę krwi na posadzce.

Léa stała jak wryta przed drzwiami biura.

Muszę stąd iść, myślała i nie mogła ruszyć się z miejsca, jak gdyby czekała na jakieś wydarzenie, na coś, co by pomogło jej zrozumieć nie tyle scenę, jaka przed chwilą się rozegrała, ile powody tej sceny. Czuła, że nie powinna dłużej tu tkwić.

Nikt nie wiedział o jej obecności. Musi uciec, i to jak najszybciej, bo ci straszni ludzie mogą ją w każdej chwili zatrzymać, mogą zgotować jej taki sam los jak Sarze i temu nieszczęśnikowi, który przed chwilą leżał tutaj na ziemi.

Nie słyszała jednak, jak otworzyły się oszklone drzwi. Kiedy się odwróciła, chcąc odejść, zobaczyła, że mężczyzna, przesadnie elegancki, nie bardzo wysoki, chudy, o ciemnych, starannie przygładzonych włosach, przyglądał się jej szarozielonymi oczami, pykając nerwowo cygaro.

— Pani kogoś tu szuka? Czy mogę w czymś pomóc?

Mówił bardzo uprzejmie, ale trwoga ścisnęła Léę za gardło.

— Wygląda na to, że panią przestraszyłem. Czyżbym tak groźnie wyglądał?

Léa pokręciła przecząco głową usiłując zebrać myśli i znaleźć jakąś sensowną odpowiedź. Wzrok jej padł na miedzianą tabliczkę: "Biuro skupu". Przypomniała sobie słowa François Taverniera.

— Słyszałam, że tu się kupuje biżuterię.

— To prawda. Ma pani coś do sprzedania?

— Tak, właśnie. Mam klejnoty rodzinne.

— Rozumiem, czasy są ciężkie i ludzie muszą niekiedy pozbywać się nawet tych przedmiotów, na których im zależy. Proszę, niech pani pozwoli tutaj, zobacze, co będę mógł dla pani zrobić.

Otworzył drzwi własnym kluczem i usunął się, by Léę przepuścić. W dużym hallu było sporo ludzi: szacowni panowie, których Léa widziała niedawno, mężczyźni w marynarkach zdeformowanych przez ukrytą broń, trzy płaczące w rogu kobiety ubrane na czarno. Naprzeciw nich leżał na ziemi młodzieniec ze skrępowanymi rękami i nogami, z brudnym opatrunkiem na czole, wyglądało na to, że śpi. Jakaś kobieta w futrze śmiała się głośno, rozmawiając z podobnym do żigolaka młodzieńcem o wypomadowanych włosach. Z jednego pokoju wyprowadzono zapłakaną dziewczynę w podartym ubraniu i mimo gwałtownych protestów biedaczki powleczono ją do innego pomieszczenia. Wszyscy obecni udawali, że nic nie widzą.

Léa gwałtownie się odwróciła.

— Co tu się dzieje? Kim są ci ludzie? Co robią z tą kobietą? A przede wszystkim, kim pan jest?

— Ach, prawda, przepraszam, zapomniałem się przedstawić: Christian Masuy, dyrektor francuskiego urzędu gospodarczego. Proszę, oto moja wizytówka. A osoby, które pani tutaj widziała, mają coś do sprzedania, tak samo jak pani. Niech pani pozwoli do mojego biura, zawołam też sekretarza.

Biuro Masuy'ego było duże i jasne. Drzwi balkonowe wychodziły na skwer biegnący wzdłuż alei Henri-Martin. Boazerie były piękne, podobnie jak imponujący marmurowy kominek, a umeblowanie składało się z długiego, masywnego biurka, na którym stała fotografia kobiety z dwiema dziewczynkami, oraz z ciężkich, stylowych, skórzanych foteli i kanapy. Było tam dość chłodno, ale przyjemnie.

— Proszę, niech pani siada. Napije się pani czegoś? Trochę szampana dobrze

pani zrobi. Niech się pani rozgości. Proszę zdjąć tę mokrą kurtkę, jeszcze się pani przezięb. Tu nie jest za ciepło. Trudno, mamy wojnę! Każę rozpalić ogień na kominku.

– Dziękuję, nie warto, nie jest mi zimno.

– Niech pani będzie rozsądna, proszę zdjąć kurtkę.

Ton się zmienił. Léa posłusznie zdjęła kurtkę. W tej chwili pięćdziesięcioletni mniej więcej, łysiejący wąsacz o krzaczastych brwiach nad bardzo jasnymi oczami wszedł do pokoju.

– Dzień dobry panu. Pan mnie wzywał?

– Proszę wejść, Humbercie. Przedstawiam panu pannę... Ale jak się pani właściwie nazywa?

Zaskoczona Léa wybełkotała:

– Delmas.

– Pannę Delmas. Panna Delmas ma kilka klejnotów do zaofiarowania nam... Obejrzymy to. Na razie proszę rozpalić ogień w kominku, zimno tutaj.

– Ale grzejniki aż parzą.

– Niech pan nie dyskutuje i robi to, co powiedziałem.

Podczas gdy Humbert krzątał się przy kominku, Masuy otworzył drzwi balkonowe, pochylił się i podniósł butelkę szampana.

– Nie ma lepszej lodówki o tej porze roku – powiedział z triumfującą miną.

Z szuflady biurka wyjął dwa wysokie kieliszki.

– Nie, dziękuję, proszę mi nie nalewać – powiedziała Léa.

– Jeśli pani nie zechce trącić się ze mną, będę to uważał za afront. Najlepsze interesy robi się przy zastawionym stole albo z kieliszkiem w ręce.

Léa patrzyła zrezygnowana, jak Masuy nalewa do kieliszków iskrzący się napój. Ręka już jej nie drżała, kiedy brała kieliszek, który podał jej Masuy.

– Pani zdrowie! Niech ten Nowy Rok czterdziesty trzeci będzie dla pani pomyślny. Zobaczysz pani, będziemy robili dobre interesy i zarobimy mnóstwo pieniędzy.

– Pańskie zdrowie! Nie zamierzam zajmować się interesami, nie znam się na tym. Chcę tylko pozbyć się kilku klejnotów i trochę sreber, żeby przyjść z pomocą rodzinie.

– Ma pani przy sobie te przedmioty?

– Nie, nie wiedziałam, co trzeba robić i czy mam właściwy adres.

– Przy okazji: kto dał pani ten adres?

To było pytanie, którego bała się od samego początku. Wypiła łyk szampana usiłując wymyślić jakąś odpowiedź.

– Jedna z moich przyjaciółek wymieniła przy mnie nazwę tego biura przy alei Henri-Martin, nie pamiętam już, w jakich okolicznościach.

– Humbercie, ogień już się pali. Może pan odejść.

– Dobrze, proszę pana.

Kiedy Humbert wychodził, ktoś wcisnął się do pokoju. Sekretarz nie zdążył go zatrzymać.

Masuy miał szybszy refleks niż Humbert. Kiedy intruz znalazł się przed biurkiem, Masuy trzymał już w ręku pistolet.

– O, Christian, nie poznaje się już przyjaciół?

– Przyjaciele zazwyczaj nie wchodzą tak do mnie. Masz szczęście, żeś nie dostał kulki w łeb. Jestem dobrym strzelcem, wiesz.

– Przepraszam.

– W dodatku chyba już powiedziałem ci, że nie chcę więcej z tobą pracować.

– Nie chodzi o mnie, lecz o znajdującą się tutaj moją przyjaciółkę.

– Co ty opowiadasz? Ta panienka jest twoją przyjaciółką?

Léa nie wierzyła własnym oczom. Raphaël Mahl tutaj! Czy szedł za nią?

– Umówiłem się z nią.

– Czy to prawda, proszę pani?

– Tak... nie widziałam go od dawna i nie miałam pojęcia, co robić.

Szarozielone oczy spoglądały nieufnie to na Léę, to na Raphaëla.

– Uważałem panią za przyzwoitą panienkę, a obcuje pani z kimś takim jak Mahl!... Ogromnie się dziwię.

Mimo napiętej atmosfery Léa wybuchnęła śmiechem: niemal to samo, słowo w słowo, powiedział kiedyś Richard Chapon, mając na myśli Mahla. Tak, niezależnie od środowiska Raphaël miał wszędzie złą opinię.

– Znamy się od wielu lat. Doradza mi w interesach.

– I w dalszym ciągu jest z nim pani w dobrej komitywie?!

Masuy tak szczerze się zdziwił, że Raphaël i Léa roześmieli się, a on, rozgniewany tą reakcją, walnął pięścią w biurko. Nie odniosło to jednak spodziewanego wrażenia, Léa nadal dusiła się wręcz ze śmiechu.

– Biedny Raphaëlu, nawet tutaj nie dowierzają panu, to doprawdy zabawne!

– Mają swoje powody! Znają mnie dobrze... Nieprawdaż, mój drogi? Nie wytrzymam, pozwólcie, że usiądę.

– Czy przestaniesz wreszcie się śmiać, doprawdy jesteś komiczny!

– Wiem doskonale... Brzydzę się tym światem podobnie jak samym sobą... Lepiej z tego się śmiać, prawda? Jaką ty masz minę... Przed chwilą byłeś czerwony jak burak, teraz zzieleniałeś... Powinieneś częściej się śmiać, to dobrze robi na cerę. Spójrz na naszą piękną przyjaciółkę, dobry humor jej dopisuje, więc kwitnie jak róża... No, dosyć żartów, przyszliśmy tutaj, by pomówić o interesach. Wiesz, że jestem śledzony przez policję francuską i twoje kumpelki z gestapo, nie mogą więc prowadzić nadal swego korzystnego handelku. Ale znasz mnie, przyjaciele są dla mnie świętością, nie waham się nigdy, jeśli mogę im się w czymś przysłużyć. Toteż kiedy panna Delmas poprosiła mnie, bym sprzedał komuś jej brylantową kolbę, od razu pomyślałem o tobie.

Léa zamknęła oczy słysząc o rzekomych brylantach.

— Brylanty? — zawołał Masuy siadając. — Myślałem, że chodzi o jakieś świecidełko. Z pewnością bym je wziął, choćby po to, żeby się przysłużyć tak uroczej, młodej osobie. Ale jeśli to są brylanty... Kiedy je mogę obejrzeć?

— Muszę przedtem namówić rodzinę, by mi je powierzyła.

Masuy spojrział na Léę ze zrozumieniem.

— Oczywiście. Niech pani niedługo wróci. Tylko sama, bez tego oszusta.

— Drogi Christianie, jaki pan jest pamiętliwy! Nie wolno na mnie się gniewać z powodu kilku drobnych malwersacji!

— To, co pan nazywa "drobnymi malwersacjami", kosztowało mnie jednak przeszło milion franków.

— Miałem pecha. Oszukano mnie. Zobacz pan, dobije pan dobrego interesu z panną Delmas i będzie mi pan tylko wdzięczny.

Léa wstała gotowa do wyjścia. Masuy szarmancko podał jej kurtkę.

— Do widzenia pani, czekam na ponowne odwiedziny. Żegnam, Mahl. Pamiętaj, że im rzadziej cię widzę, tym lepiej dla ciebie.

— Jestem zapoznany! — melodramatycznym tonem zawołał Raphaël wychodząc z gabinetu Masuy'ego.

W hallu było teraz tłoczno, większość ludzi stała. Kilka osób rzuciło się do Masuy'ego:

— Proszę pana, jesteśmy umówieni!

— Zastanowiłem się, proszę pana, zgadzam się na połowę ceny...

— Błagam pana, czy ma pan wiadomości o moim mężu?

— Co ze mną będzie? Aresztowali mojego syna.

— Powiedział mi pan, żebym przyszedł, jeśli zauważę coś podejrzanego u sąsiadów. Słyszałem, jak mówiono u nich po angielsku, to podejrzanе, prawda?

— Trochę cierpliwości, przyjaciele. Wszyscy będziecie przyjęci.

Léa spojrziała na Masuy'ego z niesmakiem, ogarnęło ją przerażenie.

Dlaczego Raphaël tak mocno ściska jej rękę? To boli... Léa gotowa była zaprotestować. Na kogo on tak patrzy? Nie... Ta kobieta o nabrzmiałej twarzy, długich, czarnych, mokrych włosach... To nie jest przecież...

— Proszę odwrócić jego uwagę i uwagę jego ludzi — szepnął Raphaël nie otwierając prawie ust.

Torebka wypadła Léi z rąk i cała zawartość wysypała się na podłogę.

— Nie szkodzi — powiedział Masuy pochylając się — pozbieramy wszystkie drobiazgi.

Léa nigdy by nie przypuszczała, że w torebce miała aż tyle rzeczy. Kiedy ci uprzejmi panowie podnieśli głowy, twarze ich były szkarłatne.

— Dziękuję panom, bardzo dziękuję.

— Proszę, Léo, oto pani szminka.



– Ojej...

– Zadałem sobie niemało trudu, była za ławką.

Léa zrozumiała; szybko schowała szminkę, która nie należała do niej.

Deszcz ustał. Léa odczepiła rower od sztachet, wsiadła nań i pojechała, nie zajmując się więcej Raphaëlem Mahlem.

– Léo! Proszę na mnie zaczekać!

Niebawem dogonił ją na swoim rowerze wyścigowym.

– Niech pani nie ucieka, mamy mnóstwo rzeczy do obgadania.

– Proszę dać mi spokój, nie chcę mieć z panem do czynienia.

– Pani jest w błędzie. Przede wszystkim winna mi pani wdzięczność. Gdyby nie ja, poznałaby pani pewno metody mego przyjaciela Masuy'ego.

– Nie wątpię, że zna pan je doskonale, pewnie od czasu do czasu pomaga mu pan.

– Niech pani myśli sobie, co chce. Tak czy owak jest pani szalona, by tak rzucać się w paszczę wilka. Ale po co pani tam poszła? Czy ta historia z klejnotami jest prawdziwa?

– Tak samo prawdziwa jak pańskie brylanty. Co panu strzeliło do głowy, żeby wymyślać takie banialuki? Teraz on chce, żebym znowu do niego przyszła.

– Znam go dobrze. Brylanty to jego pasja. Był to jedyny sposób, żeby nie zadawał pani zbyt konkretnych pytań. Léo, bardzo proszę, niech pani nie jedzie tak szybko, nie mam dwudziestu lat, nie mogę za panią nadążyć.

– Dobrze to panu zrobi. Za dużo pan je, jest pan gruby jak przedwojenny wieprz.

– Okrutna dziewczyna! Muszę jednak spokojnie z panią pomówić.

– Na rowerze, na środku alei Henri-Martin, wymarzone miejsce do dyskretnej rozmowy!

– Ma pani rację, ale brak mi tchu. Zanim się zatrzymamy, proszę mi powiedzieć: co pani chciała tutaj osiągnąć?

– Przypuszczam, że to samo co pan: chciałam się czegoś dowiedzieć o Sarze.

Przez kilka chwil pedałowali w milczeniu. Dojechali do placu du Trocadéro. Deszcz znów zaczął siąpić.

– Przeczekajmy tam.

Przymocowali rowery do drzewa, po czym pobiegli do najbliższej kawiarni. Usiedli w głębi sali, prawie jeszcze pustej.

– Chce mi się jeść — powiedziała Léa.

– Ma pani kartki?

– Mam kilka. Dlaczego pan o to pyta?

– Bo tylko w ten sposób dostaniemy coś do jedzenia. I niech pani nie narzeka, jedzenie tu jest całkiem możliwe. Kelner!

Niemłody już kelner w długim, białym fartuchu podszedł do nich powłóczęc

nogami.

– Czego państwo sobie życzą?

– Pani jest głodna, co pan nam radzi? Danie firmowe?

– To zależy...

– Mamy kartki.

– Domyślam się. Bez kartek nic się tu nie dostanie.

– Chce pan powiedzieć, że z kartkami i z czymś jeszcze można tu zjeść coś lepszego?

– Dobrze mnie pan zrozumiał, a im to "coś jeszcze" jest większe, tym większe są porcje.

– To doprawdy hańba — powiedziała Léa.

– Spokojnie, bo się rozgniewa — powiedział cicho Raphaël. — Ma pani pieniądze, bo w tej chwili moje zasoby są raczej skromne?

Léa sięgnęła do kieszeni kurtki i wydobyła kilka zmiętych banknotów.

– Wystarczy?

– Z tym, co jeszcze mam, powinno wystarczyć.

Raphaël wcisnął kelnerowi do ręki banknot, który tamten szybko włożył do kieszeni na piersi, zabierając do kasy ich kartki żywnościowe. Wszedłszy do kuchni zawołał:

– Dwa dania firmowe, dla chorych.

Léa wstała i podeszła do żeliwnego piecyka, który królował na środku sali. Zdjęła wilgotną kurtkę i zawiesiła ją na oparciu krzesła blisko ognia. Przez chwilę myślała, że Raphaël do niej podejdzie, ale on nie ruszał się z miejsca, palił, zatopiony w myślach.

Léa zastanawiała się: jeśli Raphaël nie ma nic wspólnego z aresztowaniem Sary, jak twierdził François, to co on tam robił? Widziała przecież, kiedy zbierała z podłogi swoje rzeczy, że podszedł do niej, coś jej powiedział, a ona coś mu wręczyła... Chyba szminkę. Sara najwyraźniej ani przez chwilę nie podejrzewała, że mógł ją wydać...

– Bardzo proszę, smacznego — powiedział kelner.

– Dziękuję.

Na stole parowała nieduża miseczka, do połowy wypełniona czymś, co wyglądało na potrawkę z zająca. Miało to smakowity zapach.

– To zając z przemytu — szepnął obsługujący ich kelner.

Z zająca czy nie z zająca, potrawka nadawała się do jedzenia, podobnie jak napój firmowy nadawał się do picia.

– Będę chyba mógł wydobyć stamtąd Sarę.

– Jak?

Raphaël rozejrzał się naokoło, sala powoli wypełniała się urzędnikami z pobliskich biur.

— Za dużo tu ludzi. Niech się pani pospieszy. Opowiem pani o tym w jakimś spokojniejszym miejscu.

— Wokół nich ludzie się tłoczyli, śmiejąc się i żartując. W pobliżu ich stolika usiadły cztery dziewczyny w jaskrawych, wełnianych kapturach, dobranych do rękawiczek i skarpetek, wyglądały w tym jak wesole karzełki. Zdjęły nieprzemakalne płaszcze i palta ciężkie od deszczu. Mimo ograniczeń wojennych i skromnych prawdopodobnie zarobków miały na sobie twarzowe sukienki i wyglądały w nich ładnie. Léa spojrzała na tę gromadkę z zazdrością, porównując z ich strojami swój smutny, szary kostium, przerobiony ze starego kostiumu matki. Spojrzenie to nie uszło uwagi Raphaëla.

— Pani jest bardzo elegancka w tym kostiumie, wygląda pani jak grzeczna, szara myszka, inaczej niż zwykle. Przy pani włosach strój o żywych kolorach byłby w złym guście.

— Wolałabym być ubrana w złym guście, jak pan mówi, niż przypominać szarytkę w świeckiej sukience. Powinnam była włożyć różowy pulower z angory.

— To kapitalne, że kobiety w najcięższej sytuacji myślą o dobieraniu kolorów, o tym, by torebka i obuwie pasowały do całości. Jesteście jak dzieci: opłakujecie los przyjaciółki, a po chwili rozprawiacie o szmatkach.

W milczeniu dokończyli potrawkę.

Sala się wypełniła, hałas ich ogłuszał. Raphaël zawołał kelnera i uregulował rachunek.

Deszcz już nie padał. Zziębnięte słońce usiłowało przebić chmury, padające z drzew kropelki iskrzyły się w jego lekkich promieniach. Léa poszła w kierunku rowerów.

— Nie, niech je pani zostawi, na razie są niepotrzebne.

— Dlaczego?

— Zabieram panią do lokalu, gdzie będziemy mogli spokojnie porozmawiać. Ta dzielnica roi się od szpiclów niemieckich i francuskich. Nie jest wykluczone, że byliśmy śledzeni. Na cmentarzu łatwiej będzie ustrzec się przed nimi.

— Na cmentarzu?

— Tak. Widzi pani ten wielki mur naprzeciwko? To cmentarz Passy. O tej godzinie i w taką pogodę jest raczej pusty. Chodźmy, nie traćmy czasu, od tego zależy życie Sary.

Ten argument przekonał Léę, poszła za Mahlem.

Zatrzymał się przed kwaciarnią u bramy cmentarnej i kupił bukiet fiołków.

— Żeby wagiłała całkiem normalnie — szepnął.

— Po raz pierwszy jestem na paryskim cmentarzu — powiedziała Léa przechodząc przez bramę.

Rozejrzała się naokoło: brukowany dziedziniec, wznoszące się nad nim białe grobowce. Młody dozorca cmentarza o dziewczęcej twarzy wyszedł ze stróżówki i zmierzył ich wzrokiem. Raphaël ujął swoją towarzyszkę pod rękę.

— Niech się pani nie boi, to jeden z moich młodych kochanków. Jest

zaskoczony, że widzi mnie z kobietą.

Nie przestając rozmawiać poszli na prawo łagodnym zboczem. Léa oglądała cmentarz z lekkim zdziwieniem.

— Jakie pretensjonalne kapliczki! Proszę zobaczyć, ta jest wprost okropna. Kto tam jest pochowany?

— Dziwna dziewczyna, Maria Baszkircew, zmarła na gruźlicę mając dwadzieścia cztery lata. Była malarką, naśladowała Maneta. Po śmierci Marii wydano jej pamiętniki i dziennik, powinna je pani przeczytać.

Omijając kałuże dotarli w głąb cmentarza. Pokazując Léi różne grobowce Raphaël raz po raz się oglądał, by się upewnić, że nikt ich nie śledzi.

Opadł na kamienną ławkę w jednej z alei i z westchnieniem ulgi zdjął kapelusz.

— Uf! Niech mi pani zwróci szminkę. Są tam dane o miejscu pobytu Sary w nocy i nazwisko osoby, którą należy przekupić.

— Przekupić? — zapytała Léa szperając w torebce.

— Oczywiście. Nie sądzi pani chyba, że można ją wydrzeć z łap Masuy'ego bez pomocy z zewnątrz.

— Nie wiem. Myślałam, że ludzie z jej organizacji zaatakują biuro.

— Wszyscy są aresztowani.

— Wszyscy?

— Poza dwoma. Interesuje to panią? Zna pani kogoś z nich?

— Nie, nie!

— Tym lepiej. Nie ja wydałem Sarę, była na tyle nieostrożna, że sama się zdradziła. Ja natomiast przyczyniłem się do aresztowania reszty grupy.

Choć słowa Raphaëla nie były dla Léi zaskoczeniem, fakt, że potwierdził swoją winę, zaszokował ją. Zbladła tak bardzo, że Raphaël pomyślał, iż mdleje. Wyciągnął rękę, by dziewczynę podtrzymać. Cofnęła się gwałtownie.

— Niech mnie pan nie dotyka, bo będę krzyczała! Pan mnie przeraża, pan...

— Szybko, niech pani udaje, że maluje sobie usta!

— Ale...

— Niech pani mnie słucha, do licha!

Minęła ich para w żałobie, uważnie im się przyglądając.

— Niech mi pani wybaczy, nie ufam teraz nikomu. Proszę dać mi szminkę.

— Kto mnie zapewni, że nie działa pan przeciw Sarze?

— Biedna dziewczynko... No, niech pani da mi tę szminkę. I proszę pilnie się rozglądać.

Odwróciwszy się twarzą do drzewa Raphaël wyciągnął szminkę z oprawki, potem za pomocą zapalki wydobył malutki zwitek papieru, który nerwowo rozprostował.

Wąchając fiołki Léa stała na czatach.

Przeczytawszy informacje na zwitku, Raphaël się zamyślił.

— No?

— No?... Jeśli to się uda, będę w nie lada opałach, jeśli się nie uda, w nie mniejszych. Ba! Grajmy do końca! Tak czy owak kleszcze się zaciskają. Francuzi czy Niemcy, jedni albo drudzy przyłapią mnie kiedyś...

— Jeśli był pan w takiej sytuacji, to po co denuncjował pan innych?

— Dobra, chodźmy, nie stójmy tak. Wie pani, słodka przyjaciółko, że ludzie mojego pokroju i mojej narodowości uchodzą za niezbyt odważnych, zwłaszcza jeśli się ich wypytuje, wyjmując kolejno z walizeczki lekarskiej narzędzia bardzo ostre, bardzo błyszczące i spiczaste. Sam widok skalpela przyprawia mnie o palpitację serca, zwłaszcza jeśli mówi się przy tym o jego użytkowaniu w różnych sytuacjach. Sądząc, że niedostatecznie mnie przekonali, zabrali mnie do jakiejś piwnicy przy bulwarze Lannes, gdzie leżał nieszczęśnik, któremu obcięli powieki... A że nic jednak im nie powiedział, zamierzali uciąć mu nos, potem policzki. Bo uszu chyba już nie miał.

— Dlaczego opowiada mi pan takie okropności, które są tworem pańskiej zdeprawowanej wyobraźni, wyobraźni marnego pisarza?

— Moja droga, może mi pani wszystko zarzucić, może wyzywać mnie od starych pedałów, brudnych Żydów, kolaborantów, szpiclów, złodziejów, ale nigdy od marnych pisarzy. Talent to moja jedyna dobra cecha, niech jej pani nie tyka.

— Gwiżdżę na pański talent i niech mi pan nie opowiada o rzekomych torturach stosowanych przez Niemców.

— Kto pani powiedział, że jedynie Niemcy stosują tortury?

Léa stanęła jak wryta i upuściła fiołki w błoto. Raphaël podniósł kwiaty i podał jej szepcząc:

— Biedna mała! A co pani myślała? Francja jest pod okupacją od przeszło dwóch lat. Pétain, Laval i wspólnicy zalecają kolaborację. Niektórzy rzeczywiście kolaborują, nie zawsze z własnej woli co prawda, ale właśnie oni są często najbardziej zawzięci...

— Jak to?

— Wychodząc z lokalu przy alei Henri-Martin nie zauważyła pani pięknego, wysokiego chłopca, który właśnie tam wchodził?

— Nie, nie miałam nastroju do przyglądania się pięknym chłopcom.

— A szkoda, to mogłoby pani się przydać. Niech pani sobie przypomni, usunął się, żeby panią przepuścić.

— Ach, tak! Przypominam sobie, wydało mi się, że jest podobny do Mathiasa, mego przyjaciela z czasów dzieciństwa.

— Dobra! Pamięta pani jego twarz? Sympatyczna, piękne oczy, piękne usta...

— Do czego pan zmierza?

— Ten sympatyczny młodzieniec był strażakiem, należał do paryskiej straży pożarnej. Nie będąc w ruchu oporu, raczej mu sprzyjał i w barach chętnie mówił, co myśli o wojnie, o okupacji i nawet o Londynie. Pewnego dnia jakiś nieznamy

wszczął z nim przy kontuarze rozmowę. Wkrótce obaj zaczęli się bardzo krytycznie wypowiadać o Niemcach. Nieznajomy, który powiedział, że nazywa się Lescalier, zwierzył się młodemu strażakowi, że należy do belgijskiego ruchu oporu, potrzebna mu broń i gotów jest dobrze za nią zapłacić. Piękny strażak umówił się z nim na spotkanie w następnym tygodniu. Stawił się punktualnie i przyniósł pięć pistoletów, używanych co prawda, ale dobrych.

— Jak je zdobył?

— Przez kolegę z koszar Saint-Ouen. Lescalier dał mu dwieście franków i zapytał, czy może liczyć na więcej. Podał mu swój numer telefonu, prosząc, by zadzwonił, jeśli będzie miał pistolety. Po kilku dniach nasz strażak wyznaczył mu spotkanie na placu de la Bastille, sam przyszedł tam z dwoma kolegami, którzy mieli dostarczyć broń. Trzej młodzieńcy zostali aresztowani natychmiast po przybyciu na plac i odstawieni do hotelu "Edouard VII", gdzie znajdują się biura abwehry, niemieckiej służby wywiadowczej. Strażak spotkał tam owego Lescaliera, czyli Masuy'ego, jak pani woli. Od czterdziestego roku Masuy jest agentem abwehry. Ma jedną wielką zaletę: bardzo szybko poznaje się na ludziach. Strażakowi dał do wyboru: albo zgodzi się pracować dla wywiadu niemieckiego, albo będzie deportowany do Niemiec. Strażak nie wahał się: nazajutrz wyszedł na wolność.

— Uprzedził swoich przełożonych?

— Nie, powrócił do koszar jak gdyby nigdy nic. Przełożeni poczuli jednak pismo nosem i zadali mu kilka pytań. Wyśpiewał im wszystko, nie precyzując jednak, dlaczego został zwolniony. Kosztowało go to miesiąc aresztu, Masuy go odwiedził, przyniósł mu papierosy. Natychmiast po zwolnieniu z aresztu strażak jako młodzieniec dobrze wychowany złożył mu także wizytę. I po powrocie do koszar pracował dla Masuy'ego, za co otrzymywał dwa tysiące franków miesięcznie. Trwało to pół roku. Po czym, w lipcu czterdziestego drugiego roku bohater nasz zdezerterował, doprowadziwszy uprzednio do aresztowania oficera francuskiej służby wywiadowczej, dla którego także pracował, i około dwudziestu innych osób. Od tej pory jest człowiekiem, któremu Masuy ufa, jego prawą ręką. Dopomaga mu bardzo energicznie podczas przesłuchań. Niech pani zapamięta jego nazwisko: Bernard Fallot.

— To człowiek ze skalpelem?

— Nie powiedziałem tego. Ale za dużo pani ode mnie wymaga. I tak wie już pani więcej, niż należy, co może się okazać niebezpieczne. Dodam, że łatwo ustąpił wobec szantażu, nie trzeba było specjalnie się wysilać.

— Jak to jest możliwe?

— Myślę, że, jak powiedział Jules Renard, upadek z konia, w tym wypadku strach, pozbawił go wszelkiego poczucia moralności...

— Jak panu nie wstyd żartować na taki temat?

— Trudno, moja miła, nie ja jeden wolę stracić dobrego przyjaciela niż dobry żart.

Léa zaniechała dyskusji.

— Nie powiedział mi pan jeszcze, jak zamierza uratować Sarę?

— Chce pani naprawdę wiedzieć?

— Tak.

— Nie, nie mogę pani tego wyjawić. Gdyby panią aresztowano i zaczęła pani sypać...

— Ale...

— Oczywiście, że tak, zaczęłyby pani sypać, to tylko kwestia czasu, metod, dozowania tortur. Mogę jedynie powiedzieć, czego się po pani spodziewam. Proszę spojrzeć, stoimy przed kaplicą przed którą złożyłem te kwiaty.

— Kto jest tu pochowany?

— Pauline Tarn. Nic to pani nie mówi, oczywiście... To poetka, lesbijka, którą Maurras nazywał "siostrzyczką Baudelaire'a" i o której wielka Colette bardzo dobrze napisała w "Ces plaisirs"... Umarła młodo, przeżarta alkoholem i narkotykami. Jako Renée Vivien wydawała, najczęściej na własny koszt, wiersze, niektóre są piękne i wzruszające jak ona.

*Doznaję wzruszenia łupieżcy przed zdobyczą rzadką,  
w namiętne noce, gdy twe spojrzenie blednie,  
zjawia błędnych rycerzy, świetlista i dzika  
mąci mój triumf, gdy opuszczam łożę.*

— Zupełnie jak dla mnie. Ta kobieta, która kochała tylko kobiety, mówi o nich tak, jak ja mówię o chłopcach. Proszę posłuchać:

*Daj mi swoje pocałunki jak lzy gorzkie...  
Wieczorem, gdy ptaki lot swój zwalniają,  
nasze zbliżenia miłości pozbawione  
mają urok grabieży, dziki powab gwałtu.*

— Niezłe! Co pani o tym sądzi?

Léa pokiwała głową i powiedziała z uśmiechem:

— Jestem pewna, że na łożu śmierci będzie pan jeszcze mówił o literaturze.

— Niech niebiosy wysłuchają pani, to jedyna rzecz, dla której warto żyć.

Raphaël wcisnął bukiet fiołków między krzyżyki na sztachetach, o które oparł czoło.

— Módl się za mnie, zapomniana siostrzyczko... — Potem, nie zmieniając pozy: — Léo, proszę mnie słuchać uważnie. Jeśli dobrze pójdzie, za dwa dni Sara odzyska wolność, ale jej stan będzie ciężki. Pojutrze o wpół do czwartej niech pani przyjdzie do kwaciarni przy bramie cmentarnej. Zatrzyma się tam szarozółta ryksza. Wyjdzie pani z kwaciarni i pomoże wysiąść kobiecie w ciężkiej żałobie. Tą kobietą będzie Sara. Zapłaci pani za rykszę. Proszę ofiarować przybyłej ramię i iść z nią na cmentarz. Młody dozorca, którego pani niedawno widziała, podejdzie do pani i zaproponuje pomoc. We dwójkę pomożecie Sarze wejść po schodach prowadzących do grobowca Renée Vivien...

— Po co mamy tam wchodzić?

— Jest to krótsza droga, niż gdybyście szli aleją, a za tym grobowcem odkryłem nie zamkniętą kaplicę. Według informacji, jakie zebrałem, nikt tam od wielu lat nie przychodzi. Dozorca doprowadzi was do grobowca i pójdzie sobie. Na frontonie kaplicy jest napis: "Rodzina Maubuisson". Pchnie pani drzwi. Naoliwiłem zawiasy i obstałowałem klucz. Proszę. Ten klucz da pani Sarze.

Léa włożyła go do kieszeni.

— Pod malutkim ołtarzem znajdzie pani żywność, lekarstwa i koc. Niech pani tam Sarę urządzi w miarę możliwości wygodnie.

— Tylko taką znalazł pan dla niej kryjówkę? Nie ma pan nic innego?

Raphaël rozłożył bezradnie ręce.

— Myślałem o burdelu dla chłopców, do którego chodzę, ale nie mam pewności, czy Niemcy nie bywają tam po kryjomu. Na razie nie znalazłem nic innego.

Léa westchnęła rozpaczliwie.

— Czy przynajmniej dobrze przygotował pan plan ucieczki z alei Henri-Martin?

— Niezbyt dobrze.

— Jak to niezbyt?

— Nazwisko, jakie Sara mi naskrobała, nosi pewien okropny fajfer. Nie wiem, co da się z nim zrobić, nawet za pieniądze.

— W takim razie po co przygotował pan tę makabryczną scenerię, jeśli w ogóle nie wiadomo, czy na coś się przyda?

Raphaël uśmiechnął się smętnie.

— Nie trzeba mieć do mnie pretensji, nie jestem człowiekiem praktycznym. Ale kryjówkę zorganizowałem dobrze. Obiecuję pani, że ją stamtąd wyciągnę. Mam już pomysł. Tak czy owak, jeśli nie przekażę pani żadnej wiadomości, za dwa dni Sara będzie w tym grobowcu...

— Zmarła.

— Nie, żywa. Kiedy ją pani tam ulokuje, proszę dać jej klucz i powiedzieć, żeby zamknęła za panią drzwi. I niech pani jej wytłumaczy, że w nocy zabierzemy ją stamtąd. Około północy ktoś zaskrobie do drzwi i szepnie: "Bądź rozsądny, mój Bólu, pozostań spokojny". Sara, powinna odpowiedzieć: "Zmarli, biedni zmarli dziwne bóle znają..."

— Ciągłe literatura!

— Poezja, proszę pani, poezja. Wtedy Sara otworzy drzwi i pójdzie za osobą, która po nią przysłała.

— Ależ ona umrze ze strachu, zamknięta w nocy w grobowcu!

— Sara nie jest bojaźliwa, nie będzie się bała przebywać w grobowcu, nawet gdyby były tam duchy.

— Niech pan przestanie! Na samą myśl...



- Wolałaby pani Masuy'ego i jego wannę?
- Chyba jednak wolałabym duchy rodziny Maubuisson.
- Cieszę się, że jest pani rozsądna.
- Niech pan przestanie kpić ze mnie.
- Zrozumiała pani wszystko?
- Tak. Tylko jeszcze coś. Jeśli ucieczka Sary się nie uda albo po tej ucieczce znowu zostanie aresztowana, będę uważała, że pan ponosi za to winę, i zabiję pana. Chyba że... pana zadenuncjuję.

Z jaką czułością Raphaël spojrzał na Lée!

- Ani przez chwilę nie wątpię, że pani się zemści.

Kiedy Léa wróciła do domu, panowało tam niezwykle ożywienie. Nie pozwalając nawet Léi zdjąć kurtki, Françoise schwyciła siostrę za rękę i, roześmiana, zaczęła wirować z nią na środku pokoju — była to jedna z ich ulubionych w dzieciństwie zabaw.

W pierwszej chwili Léa usiłowała się uwolnić, ale Françoise trzymała ją mocno.

— Dróbmy kaszkę, proszę cię, dróbmy kaszkę...

Léa uległa; z wyciągniętymi ramionami i złączonymi stopami wirowały coraz prędzej i prędzej, piszcząc przenikliwie, tak jak niegdyś w dzieciństwie. Szybkość sprawiała, że wszystko wokół przestało istnieć. Znikły ściany przedpokoju! Lodowaty chłód zimy paryskiej! Szarość zimowego dnia! Pod przymknięte powieki powracały jaskrawe kolory lata w Langon, upał napływający z tarasów, rozpościerające się dokoła pola bez granic. Roześmiany głos matki wołał:

— Françoise, Léo, dość tego, przestańcie, zakręci wam się w głowie, przewróćcie się!

Och, tak, w głowie się kręci, wirowanie odpędza obrazy i lęki ostatnich dni!... Nie słyszeć przez radio Vichy ckiego głosu Tina Rossi, który od rana do wieczora wyśpiewuje hymny na cześć Pracy, Rodziny, Ojczyzny, nie oglądać list rozstrzelanych zakładników, porozlepianych w metrze, na drzewach, na drzwiach merostw. Nie spotykać dzieci i starców z żółtą gwiazdą. Nie wyobrażać sobie jęków torturowanej Sary. Nie czuć się tak zagubioną... tak samotną, samotną... Laurent... Niech to wirowanie nie skończy się nigdy. Niech splecione palce zaciskają się mocno. Niech znikną wszystkie myśli... Szybko... jeszcze szybciej...

— Uwaga! Przewróćcie się!

Françoise i Léa runęły rzeczywiście na posadzkę, śmiejąc się i płacząc, rzucone siłą bezwładu każda w przeciwny róg przedpokoju.

Lisa podbiegła do Françoise, Albertine pochyliła się nad Léą.

— Te dziewczyny oszalały, mogły zrobić sobie krzywdę — jęczała Lisa patrząc na bratanicę, która dusząc się ze śmiechu usiłowała się podnieść.

— Ojej! Ale drobiłyśmy kaszkę! Nigdy nie byłyśmy takie szybkie. Léo, gdzie jesteś? Nic nie widzę, wszystko za mgłą... Wciąż wiruję. Możesz się podnieść?

Léa nie drgnęła. Leżała bez ruchu na boku, z twarzą zasłoniętą włosami. Zaniepokojona Albertine schwyciła Léę za ramię, odwróciła jej głowę i spojrzała

jej prosto w twarz. Błada, z zaciśniętymi ustami, policzkami mokrymi od łez i zamkniętymi oczami dziewczyna wydawała się zemdlona.

— Liso, przynieś prędko sole orzeźwiające.

— Po co? Czuję się dobrze.

— Głuptasie, to nie dla ciebie, to dla Léi.

Stara panna wyprostowała się z trudem i jak mogła najszybciej podreptała po sole. Ukłękła przy leżącej na podłodze Léi, ostrożnie uniosła jej głowę i podsunęła sole pod nos. Nozdrza dziewczyny drgnęły, nos zmarszczył się gniewnie.

Françoise w drugim rogu przedpokoju zdołała wreszcie wstać, ale schwyciła się komody, żeby nie upaść. Zawrót głowy powoli jej mijał.

— Choć raz wygrałam, wstałam przed tobą, Léo. No, wysił się trochę!

Léa, w przeciwieństwie do siostry, nie chciała się pozbyć zawrotu głowy i oszołomienia.

Françoise przykucnęła przy niej i ujęła ją czule za rękę.

— Léo, uwaga: Otto jutro przyjeżdża! Będziemy mogli się pobrać.

Coś ścisnęło Léę za gardło, dławiące uczucie niesmaku. Françoise miała jednak tak rozpromienioną, tak szczęśliwą minę, że młodsza siostra zdołała poskromić w sobie odrazę i powiedziała niemal naturalnym tonem:

— Bardzo się cieszę za ciebie.

— Frederic oznajmił mi tę nowinę. Otto dostał przepustkę za dobrą postawę na froncie. Będzie szczęśliwy, kiedy zobaczy syna!

Pochłonięta swoim szczęściem Françoise nie dostrzegała wymuszonych uśmiechów otaczających ją kobiet.

— Jaki piękny dzień!

Léa milczała.

— Och, Boże, zapomniałam, że to pora karmienia!

Rozpromieniona Françoise wybiegła z pokoju.

— Czujesz się już lepiej? — zapytała Lisa zwracając się do Léi.

— Kręci mi się w głowie.

Wyprostowała się i oparła na chwilę o framugę drzwi.

— Jak twoja siostra się cieszy!

Léa spojrzała na ciotkę wzrokiem, który nie pozostawiał żadnych wątpliwości co do uczuć, jakie budziła w niej radość Françoise.

Lisa zmieniła temat:

— Masz, dostałaś list. Z Niemiec...

— Dlaczego o tym nie powiedziałaś mi wcześniej?

Léa wyrwała list z rąk Lisy i opadła na "swój" fotel. Spojrzała na odwrotną stronę koperty: Mathias! Mathias Fayard! Syn rządcy w Montillac, towarzysz zabaw dziecięcych, który nagle stał się dorosłym mężczyzną i bardzo chce z nią się

ożenić... Wspomnieniom o Mathiasie towarzyszyły zapachy: lasów jesiennych, winogron w łoczni, wody w Garonnie w upalne dni letnie, kiedy rzeka pachnie rybami, wilgotnych grot Saint-Macaire, mchu na kalwarii w Verdelaix, siana w stodole, potu po zabawach i miłości...

Léa otworzyła kopertę. Mathias pisał drobnymi, niekształtnymi literami:

*"Moja piękna Léo,*

*Dowiedziałem się od ojca, że jesteś w Paryżu, i piszę, żeby Ci donieść, że niedługo będę miał przepustkę. Cieszyłbym się, gdybyś była w Montillac, kiedy przyjadę.*

*Zadowolony jestem, że na przekór wszystkim wybrałem Niemcy. Naród niemiecki jest odważny, złączony przy swoim wodzu, pewny zwycięstwa. Wszyscy Niemcy walczą; w miastach i wsiach nie ma wcale mężczyzn od osiemnastu do sześćdziesięciu lat, są rozproszeni po całej Europie i Afryce. W fabrykach i na polach pracują cudzoziemcy tacy jak ja.*

*Na wiosnę armia na Wschodzie podejmie znowu działania i przed nadejściem lata chorągiew niemiecka będzie powiewała nad Moskwą i wszystkimi dużymi miastami rosyjskimi. Niemcy są najlepszymi w świecie żołnierzami. Nic ich nie pokona. Są naszym szansem, ochroną przed komunizmem. Gdyby nie ich poświęcenie, nastąpiłby koniec naszej cywilizacji. Przegraliśmy wojnę, bo nie chcieliśmy widzieć, skąd grozi nam niebezpieczeństwo. Powinniśmy się przyłączyć do Niemców, by tego niebezpieczeństwa uniknąć... Robię to, co do mnie należy, najlepiej, jak umiem, bo wiem, że pracuję dla pokoju w świecie. Ludzie tutejsi znoszą takie braki, jakich nie wyobrażacie sobie nawet. Żywność i odzież są reglamentowane i nikt tu nie narzeka. Marzę o chwili, kiedy będę mógł wszystko wam opowiedzieć.*

*Dowiedziałem się od ojca, że winobranie nie dało dobrych plonów. Podobno z braku rąk do pracy winnice są źle utrzymane. Dopomogę podczas urlopu... Ale będzie to krótki urlop. Nie mam ochoty znaleźć się znowu w obozie karnym wraz z jeńcami rosyjskimi. Tysiące ich umiera z głodu i chorób.*

*Chciałbym wziąć Cię w ramiona, ale nie tracisz czekając!*

*Do prędkiego zobaczenia.*

*Mathias".*

Idiota, pomyślała Léa.

Wściekła zrobiła z listu kulkę i cisnęła ją w drugi koniec przedpokoju.

Jak Mathias mógł zawieść do tego stopnia? Jaka siła go pcha? Léa była bardziej zaskoczona niż oburzona. Co się stało? Z całego serca pragnęła Mathiasa zrozumieć.

Telefon dzwonił już od dawna, kiedy wreszcie Françoise z niemowlęciem na ręku podniosła słuchawkę.

— Halo... źle słyszę, kto mówi?... Kto?... Fayard... A, to pan!... Nie rozumiem. Niech pan prędzej mówi, bo zaraz rozłączą... Co! Niemożliwe, proszę powtórzyć... Och! Nie!... Léo, Léo, chodź tu, nie siedź tak w fotelu, pomóż mi!

Albertine i Lisa przybiegły ze swoich pokojów.

— Co się dzieje? Co ci jest, dlaczego tak wrzeszczysz? — zapytała Albertine.

— Proszę pani, błagam, niech pani nie rozłącza... Halo, halo... Panie Fayard, jest pan tam? Halo? Dokąd je zabrano? Do Bordeaux? Uprzedził pan mecenasa Delmas? Proszę to zrobić... Halo... Halo... Proszę nie rozłączać.

— Przestań płakać! Co się stało! — krzyknęła Léa.

Françoise dusiła się łkaniem. Gwałtowna jak niegdyś w dzieciństwie Léa chwyciła siostrę za włosy i potrząsnęła nią mocno.

— Mów!

— Laure...

— Co? Co jest z Laure?

— Laure... i... Camille... aresztowane...

— Aresztowane? Dlaczego? Kto je aresztował?

— Gestapo. Przyszli do Montillac dzisiaj rano po was, po Camille i ciebie. Ciebie nie było... więc zabrali Camille i Laure...

Podwójny krzyk, krzyk Albertine i Lisy, długo brzmiał w uszach Léi. Odepchnęła z wściekłością Françoise, która uczepiła się jej ramienia. Starła się pohamować potok obelg, jakie jej się cisnęły na usta. Aby się opanować, odwróciła się, otworzyła drzwi dużego salonu, który był zamknięty z powodu zimna, i znalazłszy się w półmroku zimowego, dżdżystego popołudnia, oparła czoło o lodowatą szybę wysokiego okna wychodzącego na ulicę. Poczula, że gniew mija jej powoli, ustępuje miejsca trwodze, która pozbawia ją sił. Zauważyła machinalnie, że jakiś osobnik, przyczajony w rogu bramy, patrzy w jej kierunku. Pomyślała obojętnie: może teraz na mnie kolej?

Czego oni chcą od małej Laure, która tak kocha marszałka, że chciała postawić jego fotografię na fortepianie w salonie! I od spokojnej Camille? Camille? A może zadenuncjował ją Fayard? Albo przyłapano ją, kiedy rozdawała ulotki czy podziemne pisemka? Chyba że aresztowali Laurenta...

Nie zdając sobie nawet z tego sprawy Léa przycupnęła pod oknem, na lodowatej posadzce. Ile czasu tak siedziała?

Dwoje ramion objęło ją i uniosło do góry.

Ojciec znalazł Lée śpiącą w stodole i zaniósł do matki mrucząc:

— Takie duże niemowlę!

Jak dobrze się czuło to duże niemowlę! Jakie to szczęście, nareszcie jest w domu! Wszyscy są w domu! Tak się bała, że nigdy już ich nie zobaczy! Ale dlaczego wszystko wydaje się takie małe... takie małe... Dlaczego mgła powoli przysłania ludzi? Nie! Oni nie znikną! Nie teraz... jest Laure, Camille i Sara! Sara...

Léa wyprostowała się gwałtownie.

Leżała na łóżku, otaczały ją zaniepokojone twarze.

— Aleś napędziła nam strachu!

— Lepiej się czujesz, kochanie?

- Wyciągnij się, musisz odpocząć.
- Trzeba zawołać lekarza.
- Ciociu Lisa, nie jestem chora, to nic. Françoise, co ci właściwie mówił Fayard?
- Powiedziałałam ci.
- I oni nic nie zrobili?
- Protestowali wszyscy. Ruth nie chciała rozstać się z Laure. Więc zabrali i Ruth.
- A mały Charles?
- Camille oddała go pod opiekę pani Fayard i pani Bouchardeau.
- Gdzie je zawieziono?
- Do Bordeaux. Uspokój się, może to nieporozumienie, wydostaniemy je stamtąd.
- To nie jest nieporozumienie, wiesz doskonale. Wiedziałaś zawsze, że Camille i ja byłyśmy skrzynką kontaktową, że przekazywałyśmy pocztę i rozprawdzałyśmy ulotki.
- Czy to takie ważne?
- Rozstrzeliwuje się ludzi za mniej ważne sprawy.
- Stryj Luc jest nadal w dobrych stosunkach z Niemcami?
- Przypuszczam, kuzynka wyszła przecież za Niemca.
- Trzeba do niego pojechać. Może je stamtąd wyciągnie.
- Ja pojedę.
- Nie! – krzyknęła Françoise. – Nie chcę, to byłoby zbyt niebezpieczne dla ciebie.
- Dobrze ich znasz, siostrzyczko, skoro tak twierdzisz.
- Nie sprawiaj mi przykrości. Otto nie jest taki jak oni. Jutro tu będzie, pomoże nam, jestem pewna.

Z powodu wczorajszego zamachu na samochód niemiecki, podczas którego zginął jeden człowiek i dwóch odniosło rany, zarządzono wcześniejszą o sto dwadzieścia minut godzinę policyjną. Wieczór się dłużył i był przykry dla wszystkich: Françoise i Léa daremnie usiłowały połączyć się telefonicznie ze stryjem Lukiem Delmas. Telefonistka odpowiadała im, że połączenia są przerwane na czas nieokreślony. Nie sposób było także złapać w radio Londynu, zagłuszano bowiem tak, że głos spikera stał się ledwie słyszalny. A na domiar złego nieco po północy ogłoszono alarm lotniczy, więc wyczerpane i stroskane kobiety popędziły do piwnicy zamienionej w schron przeciwlotniczy. Spotkały tam sąsiadki, w pośpiechu, byle jak ubrane, z kocami narzuconymi na ramiona. Estelle przyniosła w termosie napar z lipy, który miała zawsze na nocnym stoliku na wypadek rozstroju nerwowego lub przejmującego zimna. Dzielna kobieta nie wykorzystwała go tym razem, każdy leżał spokojnie w swoim kącie. Tylko dziecko Françoise okazywało zły humor. Na szczęście alarm trwał krótko.

Nazajutrz wczesnym rankiem Léa pojechała rowerem na poszukiwanie François Taverniera. Nie zastała go w domu. Przy ulicy Saint-Jacques, w konspiracyjnej restauracyjce małżeństwa Andrieu, Marthe powiedziała jej, że po raz ostatni widziała go wtedy, kiedy był tu z Léą na obiedzie. Uważając, że dziewczyna źle wygląda, Marthe zmusiła ją, by zjadła miseczkę zupy i wzięła do domu trochę kielbasy. Uprzejma kucharka ucałowała Léę w oba policzki, obiecując, że jeśli zobaczy pana Taverniera, powie mu, że młoda przyjaciółka go szuka.

Posiliwszy się zupą i podniesiona na duchu serdecznym przyjęciem Marthe Léa odjechała na rowerze ulicą, której nie mogło rozweselić piękne słońce zimowe, pierwsze po wielu długich dniach deszczu.

Po nocnym alarmie Léa już nie zasnęła, rozważała wydarzenia minionego dnia i usiłowała uporządkować nieco myśli. Nigdy nie czuła się tak całkowicie bezradna. Nękały ją koszmarnie obrazy: Laure zgwałcona, Sara zanurzona w wannie, Camille torturowana, Laurent i Adrien zamordowani, stara Sidonie z obciętą głową, Ruth zaduszona, mały Charles zabity, a Montillac w płomieniach pod okiem Mathiasa i jego ojca. Daremnie usiłowała czytać, litery skakały jej przed oczyma w jakimś makabrycznym tańcu. Nie mogąc dłużej tego znieść Léa wstała i przez resztę nocy błądziła boso po lodowatym mieszkaniu. O świcie usiłowała znowu uzyskać połączenie z Bordeaux, równie bezskutecznie jak dnia poprzedniego.

Léa przejechała przez Pont-d'Alma i ruszyła dalej szeroką aleją w kierunku Trocadéro. Po drugiej stronie placu wznosił się wysoki, szary mur cmentarza Passy. Co ona tu robi? Zadyszana z wysiłku stanęła przed piwiarnią, gdzie jadła kiedyś obiad z Raphaëlem Mahlem. Grupa chłopców — licealistów, sądząc po teczkach, które dźwigali — hałasowała zajmując cały chodnik. Niechący potracili trzech żołnierzy niemieckich. Jeden z nich groźnie podniósł rękę, ale dwaj pozostali poskromili go natychmiast. Chłopcy śmiali się za plecami Niemców, pokazując palcami literę V, symbol zwycięstwa.

Ten niewinny, zakazany gest uspokoił trochę Léę, tak że weszła do kawiarni z promiennym uśmiechem.

Przy kontuarze dwóch robotników gwizdnęło na widok uśmiechniętej, pięknej dziewczyny o błyszczących oczach i zarumienionych z zimna policzkach. Léa zdjęła z głowy szkocki beret, który więził jej włosy.

— Oho!... — powiedział za jej plecami jeden z robotników. — Ja Tarzan, ty Jane.

Chudzielec w okularach krótkowidza przechwalał się mówiąc, że jest Tarzanem, ale rozczochrana Léa wyglądała rzeczywiście na dzikuskę.

— Zwariowała pani, żeby tak zwracać na siebie uwagę. Niech pani natychmiast stąd wyjdzie!

Skąd ten wziął się tutaj? Dlaczego psuje jej jedną z rzadkich chwil przyjemności.

— Ależ, Raphaëlu...

Nie słuchając Léi i trzymając ją mocno za rękę, Raphaël pociągnął ją do stacji metra. Na peronie, upewniwszy się, że nikt ich nie obserwuje, usiadł, z trudem łapiąc oddech.

— Co panu strzeliło do głowy? Proszę się wytłumaczyć — gniewnie zażądała Léa.

— Mało brakowało, a wszystko by pani zepsuła... Mam spotkanie w sprawie ucieczki Sary. Na szczęście on pani nie widział.

— Dlaczego? On mnie zna?

— Trochę. Nawet wpadła mu pani w oko.

— Nie rozumiem, o kogo panu chodzi?

— O Masuy'ego.

— O Masuy'ego?

— Tak, po namyśle doszedłem do wniosku, że Masuy powinien nam pomóc.

— Nie brak panu tupetu.

— Dla Francuzów nie ma rzeczy niemożliwych, droga przyjaciółko.

— Jak pan to zrobił?

— Powiedziałem mu o brylantach.

— Moich?

— Nie, o innych, nie chciałem panią wciągać w tę kompromitującą historię.

Léa z trudem powstrzymała uśmiech.

— I udało się panu?

— Mam dziś z nim spotkanie, pokażę mu próbkę, i jeśli zdania nie zmieni, zostawię mu tę próbkę jako zadatek.

— A jeśli zmieni zdanie?

— Znam go, nie oprze się brylantowi, który ma osiem karatów, tym bardziej że obiecuję mu drugi taki sam po ucieczce Sary.

— Jak pan je zdobył?

— To długa historia. Ale po załatwieniu tej sprawy będę musiał się ulotnić.

— Jeśli chodzi o dzień jutrzejszy, nic się nie zmieniło?

— Nie. Gdyby wynikły jakieś komplikacje, chłopiec na cmentarzu... pamięta



go pani?

— Tak, oczywiście.

— ...wręczy pani to — odpowiedział Raphaël wydzierając stronicę z ostatniej powieści Montherlanta i podając Léi książkę. — Ten chłopiec powie też pani, co trzeba robić. Teraz muszę już iść. Niech pani wraca do domu metrem.

— A co z rowerem?

— Proszę dać mi klucze od kłódki, w ciągu dnia ustawię rower naprzeciw księgarni Gallimarda.

— Jeśli pan tak uważa...

— Tak. Ma pani metro. Niech pani nie zapomni przesiąść się na la Motte-Picquet-Grenelle.

Léa nie lubiła jeździć metrem, w którym zawsze jest tłok, niezależnie od godziny. Jej naturę wieśniaczki mierzyły zapachy, tłum, a przede wszystkim gnębiło uczucie, że jest żywcem pogrzebana. W przedziale kilku żołnierzy niemieckich usiłowało przejść niepostrzeżenie, w czym dopomagał im tłum paryski, który ich wyniośle nie dostrzegał. Na stacji "Sèvres-Babylone" policja francuska aresztowała człowieka rozdającego ulotki partii komunistycznej. Oficer niemiecki uściśnął rękę komisarzowi francuskiemu.

Na dworze delikatnie świeciło słońce, dzieci bawiły się na skwerze dobrej pani Boucicaut, a nad hotelem "Lutétia" powiewały ciągle niemieckie sztandary.

— Kiedy jesteś potrzebna, nie ma cię nigdy w domu. Gdzie byłaś? — gniewnie zapytała Léę Françoise.

— Czy są wiadomości o Laure i Camille?

— Tak, telefonował stryj Luc. Uzyskał od komisarza obietnicę, że zwolni Laure. Aż do nowego rozkazu stryj będzie za nią odpowiedzialny. Poinсот poinformował go, że byłoby dla ciebie lepiej, gdybyś wróciła, przesłuchałby ciebie pro forma.

— A Ruth? A Camille?

— Z Ruth nie ma problemu. Nie mieli jej nic do zarzucenia. Jest również u stryja Luca.

— A Camille?

Françoise spuściła głowę zakłopotana.

— Camille zawieźli do fortu Hâ. Przesłuchanie odbędzie się dziś wieczór, a może jutro.

— Camille nie wytrzyma przesłuchania... Nie ma wiadomości od Laurenta i stryja Adriena?

— Nic. Policja z Bordeaux poszukuje obu.

— Wiem o tym.

— Co zamierzasz robić? Pojedziesz do Bordeaux?

— Nie wiem. W każdym razie nie wcześniej niż za kilka dni. Ciągle nie ma wiadomości od François Taverniera?

- Nie. Ktoś telefonował do ciebie. Kobieta, jakaś Marthe.
- Marthe?
- To twoja przyjaciółka?
- Nie, nie. Zajmuje się handlem... Aha, zapomniałam, dała mi kielbasę.
- Dała? – zawołała zdumiona Françoise.
- Sprzedała, chciałam powiedzieć.
- To też mnie zdumiewa. Pokaż.

Léa wyjęła z torby kielbasę owiniętą w gazetę i podała siostrze, która pospiesznie ją rozwinęła.

– Jaka piękna kielbasa! Dawno nie widziałam takiej grubej kielbasy. Estelle, zobacz, co Léa przyniosła.

- Jezu Chryste! Wspaniała kielbasa! Niech panie przyjdą zobaczyć.

Albertine i Lisa wpadły także w zachwyt na widok kielbasy. Od sylwestrowej uczty na stole rodzinnym była tylko dwa razy wołowina i raz kura, raczej twarda.

- Co powiedziała?
- Kto?
- Marthe.
- Że dziś o czwartej po południu będzie na targu przy ulicy Mouffetard.
- Gdzie dokładnie?
- Podobno wiesz, koło kościoła Saint-Médard.

Co za pomysły ma ta Marthe! Kościół Saint-Médard... Léa nigdy tam nie była! Znajdzie, najważniejsze, że Françoise już wszystko wie. On jeden mógł dać Marthe numer telefonu Léi.

– Cieszę się, bo wygląda na to, że jesteś zadowolona – powiedziała Françoise. – A poza tym niedługo zobaczę Ottona.

W tej chwili Léa zauważyła elegancką, wełnianą suknię siostry, która prawie odzyskała dziewczęcą figurę.

- Przyjdzie tutaj?
- Oczywiście – odpowiedziała Françoise. – Ma prawo tu przyjść i zobaczyć syna.
- Tak. A ja mam prawo nie chcieć go oglądać. Wychodzę.
- Léa, jesteś niedobra. Otto bardzo cię lubi, będzie mu przykro, jeśli się z tobą nie zobaczy.
- Wcale mnie to nie wzrusza. Rodacy twojego kochanka...
- Pobierzemy się!
- ...aresztowali Camille, poszukują stryja Adriena i Laurenta. I mnie także. Torturują moich przyjaciół, zmuszają innych do zdrady, do wykonywania ich brudnej roboty! A ty tylko to masz mi do powiedzenia, że twojemu boszowi będzie przykro! Nie uważasz, że brak ci najbardziej elementarnego taktu?

— Nie masz prawa tak mówić. Otto nie jest taki, potępia to wszystko, tak samo jak to, co niektórzy robią.

— Dziewczynki, uspokójcie się, nie krzyczcie tak głośno, sąsiedzi usłyszą!

— Gwiżdżę na sąsiadów, ciociu Liso. Mam ochotę wyć, kiedy słyszę, że Otto nie jest taki! Jest dokładnie taki sam jak jego rodacy: zdolny do wszystkiego dla swojego führera...

— Nieprawda!

— Owszem, prawda, albo nigdy nie słyszałaś, co on mówi. Ale najbardziej zarzucam twoim niemieckim przyjaciółom nie to, że wygrali wojnę, lecz że nam pokazali, iż jesteśmy narodem tchórzy, których przerażenie wypędziło na drogi jak bezmyślne bydło, którzy potulnie, ze zgiętym karkiem wrócili do rodzinnego domu, uwierzyli słowom, jakie im szeptał zramolały starzec, ten, co pozwala wywozić całe rodziny, rozstrzeliwać zakładników, często w wieku Laure, ten, co popiera donosicielstwo. Przez tego starca niejeden porządny chłopiec, jak na przykład Mathias, traci rozum, a mężczyźni, jak stryj Luc, tracą honor...

— Léo, nie mów tak o stryju!

— Ciociu Albertine, godzimy się ze zbyt wielu rzeczami...

Dzwonek u drzwi przerwał potok wymowy Léi.

— Boże wielki, to on!... Przez ciebie wyglądam jak strach na wróble! — zawołała Françoise uciekając do swojego pokoju.

Léa zamknęła się w swoim pokoju, opuszczając Albertine i Lisę. Tchórzliwie poszły do kuchni po Estelle, żeby wpuściła przybysza, który zaczynał się już niecierpliwić.

— Zaraz, zaraz, idę...

Naprzeciw Estelle stanął w drzwiach olbrzym w mundurze niemieckiego motocyklisty i zapytał:

— Wohnt hier Madame Françoise Delmas? (Czy tutaj mieszka pani Françoise Delmas?)

Stara służąca przyglądała mu się oczami okrągłymi ze zdumienia, z dumnie podniesioną głową. Przybysz ciągnął:

— Ich komme in Auftrag von Kommandant Kramer. (Przychodzę z polecenia majora Kramera.)

— Panno Françoise, panno Françoise — zawołała Estelle — to chyba do pani!

Françoise, która poprawiła makijaż, raczyła się ukazać z promiennym uśmiechem.

— Otto!

I stanęła zaskoczona przed olbrzymem, który powitał ją elegancko, trzaskając obcasami.

— Pani Delmas?

— Tak...

– Herr Kommandant Kramer hat eine Mitteilung für Sie. Er schickt Ihnen einen Wagen um fünf Uhr. Er bitte Sie, ein Abendkleid anzuziehen. Am frühen Nachmittag werden Ihnen ein paar Modelle vorgeführt. Aufviedrsehen, Madame Delmas. (Major Kramer przesyła wiadomość dla pani. Przyśle po panią samochód o piątej. Prosi, by włożyła pani wieczorową suknię. Wczesnym popołudniem zostanie pani zaprezentowanych kilka modeli. Do widzenia pani.)

Ponowny trzask obcasów.

Françoise stała w miejscu z głupim uśmiechem. Estelle zamknęła drzwi.

Tuż przed czwartą Léa przysła przed kościół Saint-Médard zmarznięta i w złym humorze. Choć dokuczyło jej jeździć na zimnie rowerem po Paryżu, wolała to jednak od metra, z którego teraz musiała skorzystać. Raphaël bowiem nie dotrzymał obietnicy i nie przyprowadził jej roweru. Léa wysiadła na stacji "Monge" i doszła do kościoła moknąc na deszczu, który znów się rozpadał.

Rozejrzała się naokoło: ani jednej znajomej twarzy. Zmarznięte staruszki drepczą w kierunku długich kolejek po mięso i nabiał. Tłum szary, zrezygnowany stoi przed sklepami, zmoknięci ludzie przestępują z nogi na nogę.

Wybiła czwarta. Jakiś grubas wyszedł z kościoła i zamknął za sobą drzwi na klucz. Nie wiedząc, co robić, Léa poszła za nim ulicą Mouffetard. Na rogu ulicy de l'ArbaLéte dwie kobiety klóciły się przed straganem z warzywami o ostatnie kilo ziemniaków. Na wysokości ulicy de l'Epée-de-Bois Léa zawróciła i omal nie wpadła na kobietę idącą w przeciwną stronę.

— Przepraszam panią... Och!

Kobietą w zawiązanej pod brodę chusteczce była Marthe Andrieu.

— Spotkamy się w kafejce na prawo, gdzie się sprzedaje drzewo i węgiel, to kafejka mojego kuzyna. Niech pani mu powie, że jest z Montcuq, będzie wiedział, że ma do czynienia z przyjaciółką.

W kawiarni kuzyna Marthe było ciepło. W głębi małej salki warczał okrągły, zielony piecyk żeliwny, na którym stał miedziany czajnik prychający parą. Wszystkie stoliki były zajęte: siedzący przy nich starsi mężczyźni grali w manilę, w warcaby i w belotkę. Stosiki wilgotnych trocin leżały na kamiennej posadzce w niebieskie arabeski. Mężczyzna o imponujących, szpakowatych wąsach, w berecie na głowie, w czarnej kurtce handlarzy węglem stał za kontuarem, który starannie wycierał przed dwoma młodzieńcami. Kiedy obsłużył ich, podszedł do Léi.

— Dzień dobry pani. Czego pani sobie życzy?

— Jestem z Montcuq — odpowiedziała Léa kichając.

Błysk nieufności mignął w oczach kuzyna Marthe. Odpowiedział jednak jowialnie:

— Chętnie przyjmuję wszystkich krajanów. Powietrze Paryża pani nie służy, jest pani przeziębiona. Zrobię pani dobry grog, jak za dawnych czasów.

— Zrób no dwa grogi, kuzynie.

– Kuzynka Marthe! Jaki dobry wiatr cię tutaj sprowadza? Co nowego od wczoraj?

– Niewiele, kuzynie Jules. Przeziębiam się w tych przeklętych ogonkach. Pomyślałam: pójdę się ogrzać do kuzyna, postawi nam kropelkę.

– Ach ta Marthe! Chętnie zagłąda do kieliszka!

– Do licha, w naszych czasach trzeba korzystać z każdej przyjemności, jaka się nadarza. Prawda, proszę pani?

– Tak, ma pani rację.

Kuzyn Jules wyciągnął spod kontuaru butelkę bez nalepki, postawił na ladzie trzy grube kielichy i nalał mniej więcej do połowy złocistego płynu, do którego wrzucił ukradkiem trzy kawałki cukru i po plasterku cytryny.

– To dobre na katar. No, kuzynko, podaj mi czajnik. Uważaj, żebyś się nie sparzyła – powiedział podając Marthe ścierkę.

Marthe wróciła z czajnikiem.

– Hej! Ten twój kociołek jest chyba z ołowiu! – zawołała stawiając czajnik na kontuarze.

– Solidny – przytaknął kuzyn i dołał wrzącej wody do kieliszków.

Bez słowa zamieszali napój łyżeczką.

– Za zdrowie pań – powiedział szarmancko kuzyn Jules.

– Za twoje zdrowie, Jules – odpowiedziała Marthe.

– Za pana zdrowie – rzekła Léa, stawiając szybko swój kieliszek.

– Gorące! Ale tylko takie jest dobre.

– Zaczekam chwilę, jeśli pan pozwoli.

Wreszcie kuzyn wrócił do swoich zajęć.

– Ma pani wiadomości o François?

– Tak, przez syna. Kazał pani powiedzieć, żeby była pani ostrożna. Na razie nie może do pani przyjść. Jeśli ma pani jakąś wiadomość dla niego, ułatwię to pani. Syn, który znów się z nim spotka, czeka na mnie w domu.

Mam być ostrożna... Łatwo powiedzieć z daleka! Jutro Sara będzie mnie potrzebowała, jeśli Raphaël nie zdradził nas obu... Co mam robić? Co mu powiedzieć?

– Może pani wziąć list?

– Oczywiście.

– Nie mam czym pisać.

– Poproszę Jules'a. Niech pani wypije grog, bo kuzyn się obrazi.

Léa posłusznie wzięła kieliszek do ręki. Grog był jeszcze bardzo gorący, ale już możliwy do picia. Mocny i smaczny. Po wypiciu połowy Léa poczuła, że ogarnia ją przyjemne ciepło. Kiedy Marthe wróciła z kartką papieru, kopertą, obsadką i buteleczką atramentu, Léa była niemal w euforii. Otworzyła kałamarz i zanurzyła w nim pióro.

"Drogi Przyjacielu, Camille jest w tej samej sytuacji co S. Stryj Luc, którego znasz, radzi mi wracać. Co powinnam zrobić? Przyjechał narzeczony mojej siostry, a Raphaël zajmuje się S. Czy mogę mu ufać? Odpowiedz mi szybko, czuję się osamotniona. Całuję Cię. Léa".

Złożyła list i wsunęła go do koperty, którą wręczyła Marthe.

— Zapomniała pani zakleić list — powiedziała Marthe przeciągając językiem po obwódce. — Jak tylko będę mogła, odezwę się do pani.

— Proszę mu powiedzieć, że to bardzo ważne, muszę się z nim zobaczyć.

— Biedne dziecko, zrobię, co będę mogła. Niech pani wypije grog i idzie do domu, żeby nie zaskoczyła pani godzina policyjna. Przyjechała pani metrem?

— Tak.

— Niech pani lepiej wraca pieszo. W pani wieku zajmie to pani niecałą godzinę. Proszę pójść ulicą de l'Pée-de-Bois: wyjdzie pani na ulicę Monge, skręci na lewo i pójdzie aż do Sekwany. Stamtąd już pani trafi. Do widzenia.

— Do widzenia, Marthe, do widzenia, panie Jules, dziękuję za grog, gorąco mi i czuję się, jakbym miała skrzydła.

— Tego właśnie pani trzeba. Dobra, do miłego zobaczenia.

Po deszczu chwycił mróz, ale dzięki grogowi kuzyna Marthe Léa nie czuła zimna. Noc niemal już zapadła: żadnego światła i niewiele ludzi na ulicach. Wyglądało to złowieszczo. Léa pobiegła.

Zadyszana przystanęła przy skwerze Saint-Julien-le-Pauvre. Na przeciwnym brzegu Sekwany wznosiła się ciemna bryła katedry. Po kilku minutach Léa ruszyła w dalszą drogę, nie biegła już jednak. Gnębiła ją myśl, że znajdzie się niebawem w towarzystwie Ottona i Françoise.

Kiedy wróciła do domu, godzina policyjna obowiązywała już od dwudziestu pięciu minut. Pod drzwiami stał niebieski rower. Dobry znak. Raphaël ostatecznie dotrzymał słowa. Léa odczepiła rower, pchnęła drzwi i weszła. W bramie jakaś ręka chwyciła ją za ramię. Léa powstrzymała krzyk.

— To pani, panno Léo?... Proszę się nie bać, jestem przyjacielem pana Raphaëla. Mam dla pani wiadomość: niech pani nie idzie jutro na cmentarz.

— Nie ma pan nic dla mnie?

— Oczywiście, zapomniałem, stronicę książki, proszę.

Zapalił zapalną, żeby Léa mogła sprawdzić.

— Niech pani się nie rusza z domu, to ważne. Dostanie pani wiadomość, wie pani od kogo. Mam coś przekazać panu Raphaëlowi?

— Nie, chyba nic. Czy wszystko przebiega pomyślnie?

— Nic nie wiem. Robię to dla pana Raphaëla i dlatego, że jest to przyjemniejsze zajęcie niż pilnowanie cmentarza.

— Jak pan się nazywa?

— Dla pani jestem Violette. Ładne imię, prawda? Pan Raphaël wymyślił je dla mnie. Podoba się pani?

— Bardzo — odparła Léa powstrzymując śmiech.

W mieszkaniu panował spokój. Panny de Montpleynet słuchały nadawanego z Paryża koncertu muzyki poważnej. W saloniku było ciepło.

— Żadnych wiadomości o Camille?

— Żadnych. Miałyśmy natomiast telefon od Laure i Ruth. Za dwa dni wracają do Montillac.

Léa poszła się przebrać do swojego pokoju. Wkrótce wróciła w białym pulowerze i długiej spódnicy w kratę, która należała kiedyś do jej matki. Na nogach miała grube półbuty, niezbyt eleganckie, ale ciepłe. Świeżo wyszczotkowane włosy wyglądały wspaniale.

— Jaka ty jesteś piękna, kochanie! — zawołała Lisa. — To taka cudowna rzecz, młodość. Korzystaj z młodości, dziecinko, młodość tak szybko mija.

— Ciocia myśli, że przyjemnie być teraz młodą?

— Tak, to prawda, twoje pokolenie nie ma szczęścia — powiedziała stara panna powracając do swojej robótki.

— Françoise wyszła?

— Tak, jest na obiedzie u "Maxima", narzeczony ma ją przedstawić swoim przełożonym — odpowiedziała Albertine tonem pozornie niedbałym.

— Czy ciocie nie są zgorzone tą sytuacją?

Lisa wstała, by dorzucić węgla do pieca, pozostawiając siostrze odpowiedź.

Albertine podniosła głowę; twarz jej przybrała surowy wyraz, który łagodziło jednak pełne dobroci spojrzenie. W jej niegdyś pięknych, niebieskich oczach szklily się łzy. Tak rzadko to się jej zdarzało, że Léa poczuła się zażenowana. Stara panna zdjęła okulary i zaczęła je niezręcznie przecierać.

— To mnie nie tylko gorszy. Pomijam już, że się wstydzę, i to wyobrażasz chyba sobie, jak bardzo, ale myślę też o smutnej przyszłości, jaka czeka na pewno twoją biedną siostrę.

— Sama tego chciała!

— Jesteś złośliwa. Mogłoby się to zdarzyć również tobie.

— Nigdy! Nigdy, przenigdy nie zakochałabym się we wrogu.

— Romantycznie to brzmi... Może by do tego nie doszło, gdyby matka była z wami.

— Niech ciocia nie mówi o mamie.

— Dlaczego mam o niej nie mówić? Czy sądzisz, że mniej bolejemy nad jej stratą? Straciłyśmy jakby córkę, ciocia Lisa i ja. Ciągłe wyrzucamy sobie, że niedostatecznie czuwałyśmy nad Françoise. Że może to wszystko się stało przez nasz egoizm. Gdybyśmy zostały w Montillac...

— Nic by to nie zmieniło.

— Nie wiem. Może jednak nie stałoby się to, co się stało, a ponadto nie możemy sobie wybaczyć, że nie obroniłyśmy przed nią samą córki naszej córki.

Łzy płynęły teraz z oczu Albertine.



— Cioteczko, przepraszam, to moja wina. Nie chcę, żeby ciocia płakała. Ciociu Liso, proszę mi pomóc, pocieszmy razem ciocię Albertine.

Wstrząśnięta jednak widokiem płaczącej siostry Lisa nie była w stanie nikogo pocieszać. Podobnie zresztą jak i Léa, która się też rozpląkała. Tak zastała je Estelle, kiedy przyszła nakrywać do stołu.

— Na miłość Boską, dlaczego panie tak płaczą? Co się tu stało?

— Nic, nic — odpowiedziały zgodnie ciocie i bratanica, głośno wycierając nosy.

Przekonana, że ukrywają coś przed nią, poczciwa Estelle nakrywała do stołu zręcząc.

Skromny posiłek upłynął w smętnym nastroju. Léa natychmiast poszła się położyć.

Następny dzień dłużył się Léi nieznośnie. Chodziła tam i z powrotem, od telefonu do okien wychodzących na ulicę, do drzwi wejściowych. Nic, nic. Cisza przerywana od czasu do czasu płaczem dziecka, którym zajęła się Estelle. Françoise do domu nie wróciła.

Po obiedzie Léa usiadła w fotelu w przedpokoju, daremnie usiłując czytać gazety.

Wieczór już zapadł, kiedy rozległ się dzwonek u drzwi. Léa, która siedziała w pobliżu, podskoczyła.

— Kto tam?

— Raphaël, proszę szybko otworzyć.

Léa otworzyła drzwi drżącymi z niepokoju rękoma.

Raphaël nie był sam. Szedł prowadząc kobietę w ciężkiej żałobie, której twarz zasłaniał czarny welon.

— Jest pani sama w domu?

— Tak. Godzinę policyjną przesunięto na później, ciocie poszły do teatru, a Estelle zajęta jest dzieckiem.

— Doskonale.

Léa spojrzała na kobietę.

— To Sara? — zapytała niepewnie.

— Tak. Spieszmy się — odpowiedział Raphaël. — Chodźmy do środka, bo ona zemdleje.

— Ale dlaczego pan ją tu przyprowadził? Tu nie jest bezpiecznie.

— Znalazłem się w opałach, wyjaśnię to pani. Najważniejsze, że Sara żyje...

Z latarką w ręku Léa poprowadziła gości ciemnym korytarzem i otworzyła drzwi pokoju w głębi mieszkania. Bardzo delikatnie Raphaël ułożył Sarę na łóżku i odrzucił welon z jej twarzy.

— Ojej! — jęknęła Léa przyciskając rękę do ust.

Zakrwawiony bandaż przykrywał czoło Sary, jedno oko miała zamknięte, wargi popękane i potwornie spuchnięte. Najbardziej jednak przeraziły Léę trzy

ropiejące dziury na każdym policzku biedaczki.

– Poparzenia od cygara – wyjaśnił Raphaël głuchym głosem.

Léa podeszła do przyjaciółki i uważnie jej się przyjrzała. Bez słowa zdjęła jej z głowy wdowi kapelusz, rozpięła palto i zsunęła je przy pomocy Raphaëla.

– Proszę rozpałić w kominku i przynieść grzejnik elektryczny z łazienki. Potem zagrzeje pani dla niej wodę w kuchni.

Jasne płomienie wzbily się wysoko. Ze skrzyżowanymi na piersi rękoma Léa chodziła po pokoju, odprowadzana uważnym spojrzeniem Sary. Nie wymieniły ani słowa. Raphaël wrócił z dzbankiem ciepłej wody i ręcznikami, które położył przy łóżku. W milczeniu, ostrożnie rozebrali dygocącą z zimna Sarę.

– W kuchni jest gorąca woda. Proszę przynieść miednicę i gąbkę.

Raphaël nalał ciepłej wody do miednicy i trzymał ją przed Léą.

Gąbka przesuwiała się delikatnie po pięknym, umęczonym ciele, omijając oparzenia na piersiach, leciutko dotykając rany zadanej przy ulicy Guénégaud, myjąc zbrukany brzuch, uda i nogi. Kiedy odwracali Sarę na brzuch, nie mogła powstrzymać jęku. Plecy jej były jedną raną. Gestapowcy musieli długo się nad nią pastwić, żeby doprowadzić do takiego stanu.

– Proszę poszukać w apteczce opatrunków.

Mimo ognia w kominku i włączonego grzejnika Sara dygotała. Léa okryła ją czerwoną pierzynką.

– To tylko znalazłem.

Jodyna i bandaż, nic więcej nie było, musieli poprzestać na tym.

Po wypiciu ziółek i przełknięciu środków uspokajających Sara, ubrana w długą, nocną koszulę z cienkiego batystu, pożyczoną od Albertine, i przykryta trzema pierzynkami, usnęła. Raphaël i Léa usiedli na dywanie przed kominkiem i rozmawiali półgłosem, paląc angielskie papierosy, które Raphaël miał przy sobie.

– Jak to się odbyło?

Mahl westchnął głęboko, zanim odpowiedział na to pytanie:

– Zgodnie z obietnicą Masuy uwolnił Sarę w zamian za drugi brylant, ale do jakiego stanu ją doprowadził! Ten nikczemnik do ostatniej chwili próbował coś z niej wyciągnąć. Nie rezygnował. Przewidziałem inną kryjówkę dla Sary, ta na cmentarzu była zbyt skomplikowana i niebezpieczna...

– Nie rozumiem, dlaczego chce pan ukrywać Sarę, przynajmniej teraz, skoro sam Masuy ją wypuścił.

– Dlatego, że nie potrzeba dużo czasu, by się zorientował, że drugi brylant jest fałszywy.

– Aha.

– W rykszy czekało to wdowie przebranie. Ubrałem ją w tę czerń. Pamięta pani moje mieszkanie przy ulicy de Rivoli.

– Bardzo dobrze.

– Nie zwróciłem kluczy właścicielowi. A ponieważ wysłano go na wakacje do

Niemiec, pomyślałem, że skorzystam z jego mieszkania.

— No i co z tego wynikło?

— Co wynikło? Kiedy przyjechaliśmy, przed domem stał samochód. Poznałem wóz Masuy'ego. Kazałem zawracać, a Sara zemdląła. Ze względu na jej stan kryjówka na cmentarzu nie wchodziła w rachubę. Nie wiedziałem, gdzie mam ją zawieźć. Więc pomyślałem o pani.

— Mieliśmy szczęście. Mógł pan natknąć się na Françoise z jej narzeczonym. Co byśmy powiedzieli temu wspaniałemu oficerowi, gdyby spotkał nas niosących zemdloną po torturach kobietę?

— Wymyśliłbym coś. On przyjdzie tu dzisiaj wieczór?

— Nie sądzę. Podobno moja siostra zamieszka z nim i ich dzieckiem w dużym hotelu. Jednakże w każdej chwili może się tu zjawić. Ponadto obecność Sary tutaj naraża bardzo ciotce.

— Wiem. Ale na razie nie mamy innego wyjścia. Chodzić Sara nie może i nie będzie mogła przez wiele jeszcze dni...

— Przez wiele dni! Pan chyba zapomniał, że Masuy wie, że się znamy. Zdobycie mego adresu nie zajmie mu dużo czasu. A jeśli przyjdzie, wszyscy zostaniemy aresztowani.

— Myślałem już o tym. Jeśli dowie się pani adresu, dowie się również, że pani siostra przyjmuje oficerów niemieckich. Znam go, będzie ostrożny.

— Mam nadzieję, że ma pan rację, bo nie zniosłabym tego, co zniosła Sara, nie jestem tak dzielna. Pan także, prawda?

— Już to pani mówiłem, ludzie mojego pokroju bardzo się boją cierpień fizycznych.

— Cicho! Słyszę, że ciotce wracają. Kiedy pójdą do swoich pokoi, będzie pan mógł wyjść.

— Ależ ja tu zostaję! Gdzie mam iść? Nie znam innego miejsca, gdzie mógłbym się schronić. Niech mi pani pozwoli spędzić tu noc. Jutro Violette przyniesie mi ubranie, żebym mógł się przebrać.

— Skąd wie, że pan będzie tutaj?

— Miał czekać na mnie przed domem przy ulicy de Rivoli. Widział, jak skręciłem na plac des Pyramides i skierowałem się do Pont-Royal. Pobiegł za mną. Przystanąłem na rogu nabrzeża i dopadł mnie tam. Powiedziałem, że idę tutaj. Jutro Violette przyniesie mi ubranie.

— A więc był pan pewien, że tutaj zostanie?

Raphaël wstał z trudem.

— Niczego nie byłem pewien.

Po raz pierwszy tego wieczoru Léa przyjrzała mu się. Jakże źle wyglądał! Niezdrowa otyłość sprawiała, że ruchy miał ciężkie, wyłysiał, kącik ust drgał mu od czasu do czasu nerwowym tikiem, a piękne, mimo że trochę za pulchne ręce też drżały mu nieznacznie.

Zdając sobie sprawę, że Léa mu się przygląda, Raphaël wyprostował bezwolne ciało i powiedział:

– Dobrze, odchodzę.

– Niech się pan nie wygłupia. Zostanie pan tu dziś wieczór, jutro zobaczymy. Proszę się nie ruszać, idę po koc.

Léa nie zmrużyła oka przez całą noc. Raz po raz zaglądała do Sary, by zobaczyć, co się z nią dzieje. Martwił ją niespokojny sen przyjaciółki, gorące czoło, słowa bez związku. Kilkakrotnie chciała już obudzić Raphaëla. Ale owinięty w koc mocno spał na podłodze.

Nie mogąc dłużej uleżeć w łóżku, Léa wstała około szóstej, włożyła swój brzydki szlafrok i poszła do kuchni zagrzać wody. Zostało jeszcze trochę kawy ofiarowanej przez Frederica Hankego na Nowy Rok. Léa egoistycznie postanowiła, że napije się prawdziwej kawy, ostatecznie zasłużyła chyba na to. Wzięła młynek, nasypała do niego trochę cennych ziaren i usiadła na taborecie, po czym, ściskając młynek kolanami, zabrała się do roboty. Niebawem przyjemny zapach przypomniał jej kuchnię w Montillac, kiedy to kucharka prosiła Léę, by w zamian za jej słynny karmelek czy nie mniej słynną galaretkę z pigwy zmęła trochę kawy.

To niewinne wspomnienie szczęśliwych czasów zakłóciło spokój, który Léa od wczoraj dzielnie zachowywała. Poczula, że ciężar nie do zniesienia przygniata jej piersi i mdłości wzbierają w gardle. Łzy trysnęły jej z oczu; pochyłona nad młynkiem łkała, jak podczas bombardowania w Orleanie łkały tamte dzieci nad ciałem swej zabitej matki. Bolało ją całe ciało wstrząsane rozpaczliwym szlochaniem. Kiwała się miarowo w przód i w tył, jak to często robią dzieci. Podskoczyła nerwowo, słysząc bicie zegara, i usiłowała się wyprostować.

Ciemna postać stanęła w obramowaniu drzwi. Léa stłumiła okrzyk zdumienia. Młynek upadł na podłogę i narobił hałasu, który rozszedł się po pograżonym w ciszy mieszkaniu. Kawa rozsypała się na podłodze.

Postać zrobiła krok naprzód.

– François!

Stojąc naprzeciw siebie nie ruszali się z miejsca, nasłuchując. W mieszkaniu trwała cisza.

François delikatnie odgarnął włosy Léi. Kciukami pogłaskał policzki. Léa zamknęła oczy i powoli odzyskiwała spokój.

– Przepraszam...

Do kuchni wszedł Raphaël Mahl owinięty w koc, z twarzą lekko spuchniętą i włosami w nieładzie. François natychmiast puścił Léę i włożył rękę do kieszeni.

– Co pan tu robi?

Raphaël miał już odpowiedzieć, ale ubiegła go Léa:

– Ofiarowałam mu gościnę na dzisiejszą noc, nie miał gdzie się podziać.

– Przypuszczam, że nie było innego wyjścia. Co z Sarą?

– Jest w ostatnim pokoju.

François spojrzał na Léę z zachwytem.

– Od kiedy?

– Od wczoraj wieczór. Raphaël przywiózł ją tutaj.

– Dziękuję, stary. Jak Sara się miewa?

– Źle – odpowiedział Raphaël. – Trzeba sprowadzić lekarza.

– To niemożliwe! – zawołała Léa. – Lekarz nas zadenuncjuje.

– Musimy zaryzykować. Pójdę do niej – powiedział François. – Tymczasem proszę zebrać trochę tych ziaren, chętnie napiłbym się kawy.

– Chwileczkę... Jak pan tutaj wszedł?

– Przecież dała mi pani klucz!

– Ach tak, rzeczywiście.

– Przyszedłem, jak tylko się dowiedziałem, że pani mnie szuka: z powodu Sary zapewne?

– Tak. A także...

– Resztę powie mi pani później. Idę do Sary. Proszę nie zapomnieć o kawie.

– Raphaëlu, niech pan mi pomoże zebrać te ziarna. Pospieszmy się, niedługo wstanie Estelle.

Przez kilka minut pracowali w milczeniu, zbierając ziarna kawy i wrzucając je do młynka.

– Czy ma pani szczotkę do zmiatania, żebym zebrał resztę? – zapytał Raphaël.

– Szczotka jest chyba tam, w szafie.

Przechodząc Raphaël zgasił gaz pod czajnikiem z gotującą się wodą, po czym znalazł szczotkę, a Léa otarła twarz i zabrała się znowu do mielenia kawy. Z uśmiechem spoglądała na zamiatającego kuchnię Raphaëla.

– Można by sądzić, że robił to pan przez całe życie.

– Moja droga, jestem gospodynią co się zowie, niech pani zapyta moich przyjaciół – odparł Raphaël krygując się.

– Niech pan się nie wygłupia, nie pora na to.

– Zawsze jest pora na śmiech i żarty, moja miła, zwłaszcza w naszych smutnych czasach. Ani pani, ani ja nie wiemy, co stanie się jutro i czy jeszcze w ogóle będziemy na tym świecie.

– Niech pan nie opowiada takich rzeczy!

– Czyżby pani się bała, piękna dziewczynko? Przecież odważny rycerz przybiegł na pani wezwanie... Jaka pani jest piękna, kiedy tak się uśmiecha. Nigdy nie widziałem jeszcze u pani tak łagodnego uśmiechu. Ach! Miłość... młodość, jak ja pani zazdroścę!

Nie przestając się uśmiechać Léa wzruszyła ramionami, wstała i wsypała zmieloną kawę do filtru dzbanka.

– Za mało, zmielej jeszcze trochę.

— Niech pani mi da, uwielbiam to robić. A pani niech pójdzie do Sary, jestem o nią niespokojny.

François siedział na łóżku Sary i trzymał w dłoniach jej rękę.

— Jak ona się czuje? — zapytała szeptem Léa.

Pokiwał głową bez słowa.

Léa uklękła przy nim i spojrzała na przyjaciółkę. Wielkie krople potu perlily się na jej czole, plamy oparzenia na policzkach wystąpiły wyraźnie na zszarzałej twarzy.

— François, Sara nie umrze?

Łzy drgające w oczach tego mężczyzny! Dlaczego to tak Léę zdziwiło? Nieraz widziała już przecież płaczących mężczyzn: ojca, Laurenta, Mathiasa, wzruszało ją to, ale nie dziwiło. Podniosła się z klęczek.

— Pójdę zatelefonować do doktora Dubois.

— Kto to taki ten doktor Dubois? Pani jest jego pewna?

— Zna go pan, to lekarz, który leczył Camille. Może jest jeszcze w Paryżu.

— Przypominam go sobie, to bardzo miły człowiek. Niech pani dzwoni.

Po kilku minutach Léa wróciła.

— Mieliśmy szczęście. Właśnie wrócił do domu po nocy spędzonej w szpitalu. Niełatwo było dać mu do zrozumienia, o co chodzi. Zaraz przyjedzie. Dobrze pamięta Camille i mnie. Która godzina?

— Wpół do siódmej.

— Boże święty! Estelle pewnie już wstała. Jeśli zastanie Raphaëla w kuchni, będzie prawdziwy dramat.

Stało się!

Estelle i Raphaël, siedząc naprzeciw, rozprawiali jak starzy znajomi.

— A, jest pani, panno Léo. Omal nie umarłam ze strachu, kiedy zobaczyłam tego pana w moim fartuchu szykującego tacę ze śniadaniem. Na szczęście szybko mi wyjaśnił, o co chodzi.

— Wyjaśniłem pannie Estelle, że spóźniłem się na ostatnie metro i była pani tak dobra, że pozwoliła mi przenocować w dużym salonie.

— Gdzie mógłby pan umrzeć z zimna — burknęła Estelle.

— Estelle — zapytała Léa z uśmiechem — nie wiesz, czy Françoise dzisiaj tu wróci?

— Wróci na pewno. Narzeczony panny Françoise ma złożyć wizytę ciociom panienek.

Léa i Raphaël wymienili niespokojne spojrzenia.

— Nie wiesz, kiedy?

— Zdaje się, że panna Albertine mówiła o popołudniu. Panno Léo, powinna pani oszczędzać kawę i dodawać trochę cykorii. Po pierwsze, to bardziej strawne... Co prawda kawa jest wtedy mniej smaczna — dodała Estelle, chciwie łykając

ostatnie krople.

Westchnęła z zadowoleniem i wstała.

— Ja tu gadam i gadam, a powinnam stać teraz w ogonku po mięso w sklepie przy ulicy de Seine. Dzisiaj pan Mulet będzie miał baraninę. Pójdę się ubrać. Panienki nie lubią, żebym chodziła w szlafroku i papilotach.

Kiedy Estelle wyszła wreszcie z kuchni, Léa przygotowała tacę, na której ustawiła filiżanki i dzbanek z kawą. Wścibski Raphaël odkrył w kredensie napoczętą paczkę herbatników i potrząsnął nią dumnie.

Bezszelestnie weszli we trójkę do pokoju Sary.

Wypili w milczeniu kawę, nie odrywając wzroku od biednej, nieprzytomnej kobiety, która pojękiwała cicho.

Drgnęli na dźwięk dzwonka w przedpokoju. François natychmiast sięgnął po rewolwer.

— Léo, proszę otworzyć. Niech się pani pospieszy.

Léa poszła do przedpokoju.

— Kto tam? — zapytała przez drzwi.

— Doktor Dubois.

Jak ten doktor się zmienił! Wyglądał teraz na sędziwego starca.

— Dzień dobry pani. Pani mnie nie poznaje? Ja także nie mogę poznać siebie samego. Co rano zastanawiam się przed lustrem: "Co to za starzec?" Pani też się zmieniła. Jest pani jeszcze ładniejsza. No, dosyć gadania. Dlaczego rozmawiała pani ze mną tak tajemniczo? Czy ukrywa pani u siebie angielską eskadrę?

— Proszę wejść, doktorze. I nie mówić za głośno, ciocie jeszcze śpią.

— Jak się miewają starsze panie?

— Dobrze — odpowiedziała Léa otwierając drzwi do pokoju Sary.

— Wielki Boże! — Doktor przeraził się na widok Sary. — Kto to zrobił?

— Ludzie, których ani pan, ani ja nie lubimy — powiedział François Tavernier witając się z lekarzem.

— Pan? Aha, poznaję pana, człowiek z rogalikami!

Nie przestając mówić, lekarz zbadał oparzenia na policzkach.

— Czym oni to zrobili?

— Cygarem — odpowiedział Raphaël.

— Zbrodniarze... Dawno wpadła w ich ręce?

— Jakies dziesięć dni temu.

— Biedna kobieta! Może panowie zechcą stąd wyjść?

— Wolelibyśmy nie wychodzić. Panie de Montpleynet nie wiedzą, że tutaj jesteśmy. Nie wiedzą także nic o obecności naszej przyjaciółki.

— Dobrze. Niech się panowie odwrócą. Proszę pani, niech mi pani pomoże ją posadzić... Tamci nie żalowali fatygi! Moja torba leży obok pani, proszę mi podać

duże pudełko metalowe. Dziękuję.

Lekarz wyjął z pudełka maść, posmarował nią plecy Sary i zrobił opatrunek. Po czym przeprowadził dokładniejsze badanie. Oparzenia na udach były już stare.

— Czy mogła z państwem rozmawiać?

— Nie — odpowiedziała Léa. — Poznała mnie, ale mówiła coś bez związku.

— Ma wysoką gorączkę, to skutek szoku podczas tortur. Zrobię jej jeden zastrzyk teraz, a drugi wieczorem. Powinno podziałać. Co do reszty, to sprawa czasu.

— Długo to będzie trwało? — zapytała Léa.

— Wszystko zależy od ogólnego stanu chorej. Tydzień lub dwa.

— Tydzień lub dwa!... To niemożliwe! Ciocie nic nie wiedzą, a gestapo szybko ją wytropi.

— Kochane dziecko, jestem bezsilny. Nie można jej ruszać co najmniej przez dwa, trzy dni. Powinna pani uprzedzić ciocie.

Zrozpaczona Léa opadła na fotel.

— A za trzy dni? — zapytał François Tavernier.

— Będę mógł ją ukryć w szpitalu, na moim oddziale, aż będzie w stanie chodzić... Oto lekarstwo na uśmierzanie bólu. Dziesięć kropli co trzy godziny. Przyjdę jeszcze dziś przed wieczorem. Uszy do góry — dodał lekarz głaszcząc Léę po głowie — wszystko będzie dobrze. Ma już pani pewną praktykę jako pielęgniarka. Proszę sobie przypomnieć panią d'Argilat.

— To nie to samo, nie było jeszcze wtedy gestapowców.

— To prawda, ale tak samo jak dzisiaj narażała pani życie, by kogoś ocalić... Przyjdę dziś wieczór. Do widzenia państwu.

Léa zamknęła cicho drzwi za lekarzem i oparła się o framugę. Nie wiedziała, co robić.

— Dzień dobry, kochanie. Słyszałam, zdaje się, jak stuknęły drzwi. Ktoś przyszedł tu o tej wczesnej godzinie?

Albertine de Montpleynet stała za Léą w szlafroku i narzuconym na ramiona bladoniebieskim, długim szalu wełnianym. Uczesane z przedziałkiem włosy owiązała białym szalikiem. W mitenkach i futrzanych pantoflach domowych wyglądała jak symbol zziębniętej Francji, która grubą warstwą odzieży usiłuje się obronić przed zimmem.

W przeciwieństwie do Lisy Albertine nie narzekała nigdy na niezliczone braki spowodowane okupacją. Mówiła często, że są uprzywilejowane w porównaniu do wielu osób i powinny o tym pamiętać. Lisa gniewała się na siostrę, kiedy ta zanosła uciekinierom, którzy zamieszkali na najwyższym piętrze ich domu, część żywności, jaką dostały z okazji chrztu małego Pierrota.

Choć Albertine nie wspominała o tym nigdy, Léa się domyślała, że ciocia z niechęcią i zażenowaniem przyjmuje prezenty, których pochodzenie wiązało się z pozycją Françoise. Ta dzielna kobieta lękała się przybycia Ottona Kramera i oficjalnego potwierdzenia związku, który łączył go z jej bratanicą. Myślała, że



umrze z upokorzenia, kiedy w aptece przy ulicy du Bac dwie kobiety rozprawiły o kolaboracji, patrząc wymownie na nią. Wstrząśnięta wyszła wtedy z apteki i nie kupiła potrzebnych leków. Od tej pory ciągle rozmyślała nad tym słowem. Wiedziała, co mówi o kolaborantach radio Londyn. Poodobnie jak większość Francuzów na początku wojny wielbiła Pétaina, ale postanowienia rządu Vichy dotyczące Żydów, a szczególnie aresztowanie sąsiadki i starej przyjaciółki ciotek, pani Lévy, która urodziła się w tym domu, definitywnie zniechęciły ją do marszałka. Lisa i Estelle darzyły go nadal zaufaniem, a żeby się nie wyróżniać z grona pań, obie ciotki chodziły nadal dwa razy w tygodniu do klubu brydżowego. Od pewnego czasu jednak Albertine czuła się bardzo osamotniona.

— Léo, odpowiedz mi, czy ktoś tutaj przychodził? Co ci jest, kochanie? Wyglądasz jak pisklę, które wypadło z gniazda.

— Ciociu, muszę coś cioci powiedzieć. Chodźmy do cioci pokoju, to dość długa historia.

Dwadzieścia minut później Albertine de Montpleynet pchnęła drzwi pokoju Léi i podeszła do łóżka, na którym leżała Sara.

François Tavernier i Raphaël Mahl patrzyli na nią z niepokojem.

— Załatwione — szepnęła Léa. — Ciocia się zgadza, żeby Sara została tutaj aż do chwili, kiedy doktor Dubois będzie mógł ją zabrać do swojego szpitala.

Stara panna przyglądała się w milczeniu temu, co było niegdyś twarzą bardzo pięknej kobiety. Znieruchomiała ze zgrozy i zdumienia stała tak w miejscu, z każdą chwilą coraz bledsza. Kiedy wreszcie odwróciła oczy od umęczonej kobiety, zapytała François dziwnym głosem małej dziewczynki.

— Proszę pana, jak to mogło się stać?

Nie odpowiadając na pytanie François podszedł do starszej pani, ujął ją za ramiona i pociągnął w głąb pokoju.

— Dziękuję pani za to, co pani robi dla pani Mulstein. Muszę jednak pani przypomnieć, że gestapo jej poszukuje i że wszyscy obecni w tym mieszkaniu są narażeni na aresztowanie.

— Wiem o tym, ale nie byłabym chrześcijanką i Francuzką, gdybym odmówiła jej schronienia. Na razie nie powiem nic siostrze, ani Françoise, ani Estelle. Będziemy z Léą czuwały kolejno przy pani Mulstein, która pozostanie w tym pokoju. Trzeba będzie szczególnie uważać dziś po południu, podczas odwiedzin kapitana Kramera.

— Jeśli pani pozwoli, będę obecny podczas tych odwiedzin. Moje stosunki z niektórymi przedstawicielami władz niemieckich uspią jego ewentualne podejrzenia...

— Utrzyma pan z nimi stosunki?

— Tak, ale nie mogę nic więcej pani powiedzieć oprócz tego, że taki otrzymałem rozkaz — odpowiedział François zniżając głos.

— Rozkaz? Nie rozumiem.

— To nawet lepiej. Proszę nie zapominać o jednym: dla pani jestem człowiekiem interesu, który asystuje Léi. W to dziś po południu musi kapitan

Kramer bezwzględnie uwierzyć.

Albertine de Montpleynet spojrzała uważnie na tego młodego mężczyznę o twardych rysach twarzy, za dużych ustach, źle ogolonych policzkach, którego spojrzenie świadczyło o sile i szczerości. Spontanycznym gestem podała mu rękę.

— Zrobię, co pan mi powie. Mam do pana zaufanie.

François skłonił się i z porozumiewawczym uśmiechem, pełen szacunku, ucałował rękę panny de Montpleynet.

— Ależ, proszę pana. Całuje się w rękę mężatki, a nie stare panny!

— Ciotuniu, jesteś cudowna! Ty stara panna? Żartujesz. Jesteś młodsza od nas wszystkich! — zawołała Léa rzucając się Albertine na szyję.

— Przewróćisz mnie, puść, muszę iść się przebrać.

W chwili kiedy wychodziła z pokoju, rozległ się dzwonek u drzwi wejściowych, jeden długi, potem trzy krótkie. Wszyscy znieruchomieli oprócz Raphaëla, który spokojnie oświadczył:

— To Violette. Przyniósł mi ubranie. Umówiliśmy się, że tak będzie dzwonił. Czy mogę mu otworzyć, proszę pani?

Albertine zrezygnowanym ruchem przeciągnęła ręką po czole.

— Niech pan robi, co pan uważa. Nie rozumiem, co tu się dzieje. Wolę zostawić was samych.

Nim Raphaël otworzył drzwi, zapytał Léę:

— Czy mogę przejść do innego pokoju, żeby się przebrać? Nie chciałbym, żeby Violette zobaczył Sarę.

— Niech pan idzie do pokoju Françoise. Trzecie drzwi na prawo... Uwaga, zbliża się Estelle.

Léa podbiegła do Estelle i mimo energicznych protestów poczciwej kobiety zaciągnęła ją do kuchni.

Wreszcie otwarto drzwi chłopakowi, którego Raphaël Mahl nazywał Violette. Wszedł dźwigając ciężką walizkę.

— Dzień dobry państwu, dzień dobry panu, panie Raphaël. Wziąłem wszystko, co mogłem. Najwyższy czas, bo kiedy wychodziłem za róg ulicy, pojawili się bosze.

— Nie zapomniałeś o przyborach do makijażu?

— Niech pan będzie spokojny, jest wszystko.

— Dziękuję, mój miły. Nikt nie szedł za tobą?

— Pan żartuje!... Nie urodził się jeszcze taki, którego Violette nie wyprowadziłby w pole.

— Znalazłeś kryjówkę?

— Tak, przy ulicy...

— Powiesz mi później. Teraz chodź. Pomożesz mi się przebrać.

— Po raz pierwszy się zdarza, że pan chce, bym pana ubierał — zażartował Violette.

Mahl wepchnął młodzieńca do pokoju Françoise i starannie zamknął za sobą drzwi.

Léa i François znaleźli się sami, patrzyli na siebie z tym samym wyrazem pożądania w oczach.

- Pragnę cię.
- Ja także, ale... jak to zrobić?
- Chodźmy do "zimnego mieszkania".
- Ale tam straszny ziąb!
- Rozgrzeję cię.
- Nie możemy zostawić Sary samej.
- Sara śpi. Chodź!

Objęci weszli do ciemnego i zimnego pokoju. Léa po omacku zapaliła lampkę na niskim stoliku przy jednej z kanap w białym pokrowcu, takie zresztą pokrowce osłaniały wszystkie meble w tym pokoju, w którym leżał zwinięty w rulon dywan. Ten salon wyglądał teraz jak miejsce spotkania mebli-widm. I panował w nim lodowaty chłód.

François chwycił Léę w ramiona. Przytuleni do siebie zmierzali do kanapy, na którą upadli wzbijając trochę kurzu i przeplatając słowa pocałunkami.

- Tak się przestraszyłem, kiedy Marthe powiedziała mi, że mnie szukasz.
- Myślałam, że już nigdy nie przyjdiesz.
- Brakowało mi ciebie, nieznośna dziewczyno. Ciągle o tobie myślałem i nie mogłem pracować.
- Nie mów nic, pocałuj mnie...

Palce François chciwie przesuwały się po ciele Léi, nagim pod grubą i nieelegancką koszulą nocną, drżącym z zimna i rozkoszy zarazem. Brzuch jej niecierpliwie tulił się do brzucha kochanka. Strach przed gestapo, tortury, śmierć, Sara, Camille, Laurent — nic nie istniało oprócz nieposkromionego, żywiołowego pragnienia, by należeć do tego mężczyzny, którego każda pieszczota dawała jej szczęście.

Kiedy François w nią się wśliznął, nogi Léi oplotły się wokół jego lędźwi, jak gdyby chciała nadać większej mocy temu swojemu oddaniu się.

Pod koniec poczuli się nawzajem swoimi więźniami. Zbyt jednak byli znużeni i szczęśliwi, by próbowali odzyskać wolność.

Zimno położyło kres ich błogości. Doprowadzili do porządku ubranie i wyszli z pokoju, a na białym pokrowcu kanapy pozostał ślad ich ciał złączonych uściskiem.

Cicho weszli do pokoju, gdzie leżała Sara. Twarz miała nieco mniej szarą, oddychała miarowo: spała. Kochankowie, trzymając się za ręce, patrzyli na nią z czułością.

- Czy była twoją kochanką? — cicho zapytała Léa.
- Nic ci do tego, serduszko, a dziś to w ogóle nie ma żadnego znaczenia.

Uważam ją za swoją najlepszą przyjaciółkę. Jest osobą, na której szacunku zależy mi najbardziej.

— A kim ja jestem w takim razie?

— Ty? Ty to co innego, ty jesteś dzieckiem. Nawet ta wojna i to — powiedział François wskazując na zmasakrowaną twarz Sary — nie sprawi, byś się znalazła w obozie dorosłych.

— Mylisz się; odpowiada ci to, widzieć we mnie tylko dziecko, mało odpowiedzialne, ładne zwierzątko, którym można się posłużyć, kiedy dorosły, wielki człowiek, za jakiego się masz, potrzebuje uległego i miłego ciała. Jestem kobietą, mam dwadzieścia lat, a ty nie jesteś starcem. Nie znam nawet twego wieku. Ile masz lat?

François spojrział na Léę z uśmiechem.

— Doprawdy, na ciebie, nawet jak jesteś w tym niezbyt podniecającym stroju, człowiek ma ochotę się rzucić.

— Och, Boże, zapomniałam o tym okropnym szlafroku. Idę się przebrać.

Kiedy Léa wróciła, w pulowerze i ciemnoczerwonym żakiecie z puszystej wełny, zrobionym na drutach przez Lisę, oraz w krótkiej, plisowanej, czarnej spódnicy, odsłaniającej korzystnie jej nogi w czarnych, wełnianych, najładniejszych, jakie miała, pończochach, François rozmawiał z Sarą siedząc na jej łóżku. Nie chcąc im przeszkadzać Léa zatrzymała się na środku pokoju.

— Chodź tu, kochanie — powiedziała Sara ledwie dosłyszalnym głosem.

Léa wahała się chwilę.

— Niech pani podejdzie. Jest pani pierwszą osobą, o którą zapytała.

Sara wyciągnęła do Léi rękę.

— Chodź, usiądź przy mnie.

Léa posłusznie usiadła przy boku chorej.

— Tak się cieszę, że czujesz się lepiej. Czy bardzo cię boli?

— François dał mi krople. Dziękuję ci bardzo za to, co dla mnie zrobiłaś.

— Drobiazg. Nie męcz się mówieniem.

— Muszę. François zajmie się tym, by gestapo tutaj nie przyszło.

— W jaki sposób?

— Mniejsza o to. Rób wszystko, co każe ci François.

— Ale...

— Obiecuj mi to.

Léa zgodziła się niechętnie.

— Kiedy wreszcie mi pani zaufa? — zapytał François.

— Kiedy zaczniesz mnie pan traktować jak kobietę dorosłą.

— Przestańcie się kłócić. Tylko jedna osoba jest tu niepewna. Raphaël.

— Ale to on cię uratował!

Sara nie mogła odpowiedzieć, przeceniła swoje siły i teraz zemdląca.

François pobiegł do łazienki po wilgotny ręcznik, który położył na zboląym czole młodej kobiety. Chłód sprawił, że Sara odzyskała przytomność. Ze znużonym uśmiechem podziękowała szepcząc:

— Będę milczała, żeby odzyskać siły.

I prawie natychmiast usnęła.

— Nie wolno dopuścić, by Raphaël zaczął szkodzić — powiedział François.

— Chce pan przez to powiedzieć, że trzeba go zabić? — zapytała Léa otwierając szeroko oczy.

— Nie posuwając się aż tak daleko, należy go unieszkodliwić na kilka dni, do czasu kiedy obie z Sarą znajdziecie się w bezpiecznym miejscu.

— Jak pan to zrobi?

— Mam pewien pomysł, zaproponuję mu luksusowy wypoczynek w towarzystwie Violette, wypoczynek godny sybaryty.

— Co to znaczy?

— To znaczy, piękna dziewczyno, że przez jakiś czas Raphaël będzie płał się w beczynności i rozkoszy ze swoim chłopaczkiem, co mu przeszkodzi odgrywać rolę donosiciela czy, jeśli pani woli, szpicla.

— A jeśli się nie zgodzi?

— Nie będzie miał wyboru. Moi ludzie czekają na dole, mają go zawieźć razem z przyjacielem w pewne wymarzone miejsce.

Rozległo się delikatne pukanie do drzwi pokoju.

Rosła, tęga kobieta, przesadnie umalowana, w misternie udrapowanym turbanie na głowie, ubrana w szary kostium, różową bluzkę i z dość ładnym lisem na ramionach weszła chwiejąc się na wysokich koturnach.

— Raphaël!...

— Nieźle wyglądam, prawda? Omal nie dała się pani nabrać. Trochę niestety utylłem od ostatniego urlopu, kiedy to miałem na sobie ten kostium. Przydałby mi się nowy pas. Co pani o tym sądzi?

Léa wzruszyła ramionami.

— Biedny Raphaëlu, wygląda pan komicznie.

— To jedyny sposób, jaki wymyśliłem, by wymknąć się tym panom.

François Tavernier skierował się do drzwi.

— Przepraszam na chwilę. Bardzo dobre przebranie, mój drogi, bardzo dobre.

— Dokąd on idzie? — zapytał Mahl podejrzliwie.

— Nie mam pojęcia. Pewnie do ciotki Albertine. Gdzie jest Violette?

— Czeka na mnie w pokoju pani siostry. Jutro przyślę kogoś, by się dowiedział, jak miewa się Sara. Zobaczę, czy nie da się wywieźć jej z Paryża. Będę z panią w kontakcie...

François Tavernier wrócił.

— Do widzenia, Léo, zostawiam was, Sarę i panią, w dobrych rękach — powiedział Raphaël wskazując na François.

— Jak tylko będzie pan mógł, proszę nam dać znać o sobie — powiedział François.

— Nie omieszkać. Proszę się opiekować naszą przyjaciółką. Kiedy się obudzi, ucałujcie ją ode mnie...

Léa odprowadziła go aż do drzwi, przy których stał Violette ze swoją wielką walizką.

Raphaël ucałował ją po raz ostatni i rzekł:

— Niech pani uważa, będzie ostrożna, a najważniejsze, niech pani nie wraca w aleję Henri-Martin.

W hallu czekało czterech mężczyzn. Kiedy zobaczyli Raphaëla i Violette, schwycili obu, wywlekli na ulicę i wepchnęli do furgonetki zaparkowanej przed bramą.

Wszystko odbyło się w całkowitym milczeniu, przyjaciele nie próbowali stawiać oporu.

François Tavernier opuścił także dom przy ulicy de l'Université obiecując, że wróci około trzeciej, żeby być obecnym podczas odwiedzin kapitana Kramera. Tuż przed wyjściem odwrócił się z uśmiechem rozbawienia.

— Proszę — powiedział do Léi podając jej brązową kopertę. — W tym zamieszaniu wyleciało mi z głowy, że jestem także listonoszem. — Po czym, nagle poważniejąc, dodał: — Radzę pani przeczytać ten list i natychmiast spalić. Dostarczono mi go pewną drogą, ale teraz jest u pani, więc jest pani zagrożona.

Znikł na schodach bez dalszych komentarzy.

"Léo,

*bądź ostrożna. Nie chcę, żeby coś złego spotkało Cię z mego powodu. Dręczy mnie świadomość cierpienia Camille, a pokrzepia jedynie myśl, że Ty jesteś na wolności. Rozważaj każdy swój krok i nie podejmuj żadnej decyzji nie poradzawszy się F. T.*

*Boję się. Nie o własne życie, od dawna jestem gotów je poświęcić, ale przeraża mnie myśl o tragicznych konsekwencjach, jakie mogą wyniknąć z każdego mojego czynu. Świadomość, że może w tej chwili torturują Camille, by wydrzeć jej informacje, których ona nie ma, przyprawia mnie o szaleństwo. Tylko dzięki sile perswazji moich kolegów nie wpadam w pułapki, jakie się na mnie zastawia. Nie mogę nic zrobić dla Camille; trzeba by było zaatakować fort Hâ!... Intensywnie działałam, a to mi pozwala nie myśleć. Aresztowanie Camille uczyniło mnie groźnym przeciwnikiem. Nauczyłem się zabijać. Umieć celnie zadawać ciosy. Dotychczas zabijałem, bo musiałem, dziś nie jestem pewien, czy nie sprawia mi to przyjemności.*

*Z każdym dniem jest nas coraz więcej. Przychodzi do nas wielu ukrywających się przed wywózką na roboty. Działamy coraz skuteczniej, jesteśmy coraz ruchliwsi, ale każdy nowy człowiek powiększa ryzyko infiltracji wroga. Przeprowadzamy coraz więcej operacji. Żyjemy tak intensywnie, że*

*zastanawiamy się czasem, jaki będzie nasz powrót do normalnego życia. A każdy nasz czyn zmierza właśnie do tego, by to przyszłe życie było spokojne, spokojniejsze nawet niż dawniej, jeśli to w ogóle możliwe...*

*Camille swym milczeniem daje mi dowód wielkiej miłości, udowodnij mi swe przywiązanie, będąc ostrożna.*

*Całuję Cię,*

*Laurent*

*P.S. Rozmyśliłem się i nie załączam do tego listu dziennika. Wolę go uchronić przed spaleniem. Musisz zniszczyć wszystko, co masz ode mnie".*

Léa zwinęła list w rulonik i przypaliła go od ognia w kominku. Patrzyła, jak płomień ogarnia papier, i upuściła tę mikroskopijną pochodnię dopiero wtedy, gdy poczuła, że parzy jej palce. Była zbyt przejęta trwogą, by się nad czymkolwiek zastanawiać. Jedno, co przyniosłoby jej ulgę, to znaleźć się w ramionach François.

Otto Kramer nie zdał sobie sprawy, że Léa i Albertine ani przez chwilę nie były razem w saloniku, w którym panny de Montpleynet z właściwą sobie uprzejmością przyjmowały narzeczonego siostrzenicy. Françoise, uszczęśliwiona, że nareszcie spotkała się z kochankiem, także nic nie zauważyła, dzięki również obecności i wypowiedziom — to zabawnym, to prowokującym — François Taverniera, który znowu miał okazję zachowywać się jak człowiek światowy i kosmopolita. Rozprawiał po niemiecku o wojnie, która tak się przeciąga, o restrykcjach, o czarnym rynku, który pozwala jeszcze jakoś egzystować, o "Voyageurs de l'Impériale", ostatniej powieści Aragona, o Léi, w której się kocha (bez wzajemności niestety!), a zwłaszcza o Pierrocie drzemiącym w ramionach matki, którego określił jako najpiękniejsze niemowlę pod słońcem.

— Das ist genau meine Meinung (Ja również tak uważam.) — przytaknęła ojciec dziecka.

Françoise zaś opowiadała z zachwytem o wspaniałym, pięknie umeblowanym mieszkaniu, które udało się im znaleźć nie opodal Lasku Bulońskiego, o niańce dla dziecka, kucharce i lokaju, których wzięli na służbę.

Zniecierpliwna tą częścią gadaniną Léa perfidnie zapytała z niewinną miną:

— A ślub? Kiedy odbędzie się ślub?

Przerywając wyliczanie swoich osiągnięć domowych Françoise zaczerwieniła się i odpowiedziała surowo:

— Jak tylko Otto dostanie zezwolenie od führera, a to niebawem nastąpi, bo ojciec jego już wyraził zgodę.

— Cieszę się za ciebie, kochanie. I za pana także, Ottonie. Ale sądziłam, że małżeństwa między Niemcami i Francuzkami są zakazane?

Wszyscy spostrzegli zakłopotaną minę kapitana Kramera.

— Nie, nie zawsze...

— Świetnie! W takim razie niedługo będziemy mieli wesele. — Léa zwróciła się teraz do niemieckiego oficera: — Mam nadzieję, że dzięki pańskim stosunkom przyjaciele pańscy z Bordeaux wypuszczą Camille d'Argilat?

— Françoise już mi o tym mówiła. Poleciałem zadzwonić do szefa gestapo, dziś wieczorem będę miał od niego telefon.

— Jak to? Pani d'Argilat została aresztowana, a panie nic mi o tym nie



powiedziały?! — zawołał z głupia frant François Tavernier.

- Drogi przyjacielu, tak rzadko widujemy się ostatnio.
- Dawno się to stało?
- Dowiedzieliśmy się o aresztowaniu Camille dziesiątego stycznia.
- Co jej zarzucają?
- Chcą wiedzieć, gdzie jest jej mąż.

W tej chwili weszła Albertine z czajnikiem i powiedziała wesoło:

- Przynoszę wam trochę gorącej herbaty, tamta pewnie już ostygła.

Był to umówiony sygnał. Léa miała zastąpić ciocię przy łóżku Sary.

- Panie François, niech pan pozwoli ze mną, chciałabym coś panu pokazać
- powiedziała wychodząc z salonu.

W swoim pokoju, przy łóżku śpiącej Sary powiedziała François Tavernierowi, że stryj Luc wszczął starania o uwolnienie Camille.

Widząc zakłopotaną minę François, zapytała szeptem:

- To coś poważnego?
- Bardzo. Twoim zdaniem pani d'Argilat wie, gdzie znajduje się jej mąż?
- Oczywiście, że nie wie. Powiedziałyby mi.
- Byłoby to dziwne.

Léa zaniemówiła na chwilę.

- Jak śmiesz! Uważasz, że jestem zdolna zadenuncjować Laurenta? — powiedziała wzburzona.

— Jaka porywczosć! Nie, oczywiście, że nie. Ale nigdy nie wiadomo, jak zachowa się człowiek poddany torturom.

- Wolalabym umrzeć niż powiedzieć coś, co by mogło zaszkodzić Laurentowi.

Ze złośliwą ironią François ciągnął:

— Nie wątpię w twoją odwagę, ale znam metody tych panów. Łatwiej jest pogodzić się z myślą o śmierci niż znosić niektóre tortury. Tkwi w nas wszystkich trochę słabości, która może doprowadzić do zadenuncjowania najdroższej nawet istoty. Oprawca powinien odkryć ten słaby punkt, u niektórych jest to lęk przed gwałtem, u innych przed kastracją, wyłupieniem oczu, rozpruwaniem brzucha, przed brakiem snu, węzami, owadami, groźbami rzucanymi pod adresem dziecka. Mówię oczywiście tylko o autentycznych bohaterach, zdolnych do znoszenia najróżnorodniejszych tortur...

— Nie wierzę ci. Jestem pewna, że są ludzie, których nie można zmusić do mówienia.

— To się zdarza, ale niezmiernie rzadko. Najdzielniejsi wolą się zabić, jak twój ziomek z Bordeaux, profesor Auriac, ten, co odebrał sobie życie po pierwszym przesłuchaniu prowadzonym przez komisarza Painsota, z którym miałś już do czynienia.

- Sary nie zmusili.

— Co ty możesz wiedzieć?

Léa znowu umilkła.

Długo patrzyła na Sarę, potem na François. I z oczyma pełnymi łez rzuciła mu w twarz:

— Jak śmiesz mówić tak o kobiecie, na której zdaniu bardzo ci przecież zależy? Jesteś niegodziwy!

— Nie, jestem realistą.

— François ma rację — dotarł do Léi cichy głos z łóżka.

Jednym susem Léa i François znaleźli się przy Sarze.

— On ma rację — powtórzyła młoda kobieta. — Gdybym musiała jeszcze jeden dzień znosić pieśczoły tych nikiemników, zaczęłabym sypać. Widzisz, Léo, myślę, że do cierpienia można się przyzwyczaić, ale upokorzenie, że się jest przywiązana, rozdierana rękami i członkami zboczonymi krwią innych ofiar, że ma się usta zbrukane członkiem umazanym ekskrementami... Słyszeć zapowiedź, że zostaniesz wydana na pastwę innemu potworowi, jeśli nadal będziesz milczała... to jest nieludzkie... Gdyby Raphaël nie zdołał wydobyć mnie z łap Masuy'ego i jego zbirów, opowiedziałabym mu wszystko, co tylko by chcieli...

— Niech pani już o tym nie mówi, Saro. Ani przez chwilę nie wąpiłem w pani dzielność. Postąpiłem jak głupiec, wyrażając wąpliwość, żeby dać Léi nauczkę... Muszę już iść. Wrócę podczas wizyty doktora Dubois. Saro... proszę, niech pani nie płacze. Nie chciałem pani obrazić.

— Pan mnie nie obraził... płacząc na wspomnienie tamtych okropności. Niech pan już idzie i szybko wraca... Po powrocie powie mi pan, co się dzieje z Raphaëlem.

— Niech się pani nie martwi, jest w dobrym miejscu i krzywda mu się nie dzieje. Do widzenia.

Po odejściu François Léa zaprowadziła Sarę do toalety. Na widok swojego odbicia w lustrze nad umywalką Sara krzyknęła przerażona:

— Zrobili ze mnie potwora!

Léa nie wiedziała, co odpowiedzieć. Wstyd jej się zrobiło, że przez chwilę była zazdrosna o urodę Sary. Widok łez wokół krwawiących dziur w policzkach był okropny.

— Zostaw mnie na chwilę samą — poprosiła Sara.

Léa posłuchała. W tej właśnie chwili ktoś zapukał do drzwi. Nie był to sygnał Albertine.

— Kto tam?

— Wychodzimy — krzyknęła Françoisie zza drzwi. — Chcemy się z tobą pożegnać.

Léa szybko poprawiła łóżko, podbiegła do drzwi i przekręciła klucz w zamku.

— Zamykasz się teraz w swoim pokoju? — zdziwiła się Françoisie.

— Pewnie machinalnie przekręciłam klucz w zamku — odparła Léa. —

Szalenie bolała mnie głowa.

— Teraz już lepiej? — zapytał ciepło narzeczony Françoise.

— Tak, trochę lepiej, dziękuję. Położyłam się na chwilę — z naturalną miną odpowiedziała Léa zamykając drzwi.

Pożegnanie dzięki Bogu nie trwało długo, ale Léa musiała obiecać, że wkrótce przyjdzie do siostry na obiad.

Kiedy wróciła do pokoju, Sara leżała znowu w łóżku i wyglądało na to, że śpi. Léa także zasnęła na jednym z foteli.

Obudziły ją głosy doktora Dubois, Albertine i Françoise. Zawstydzona wstała przecierając oczy.

— Przepraszam bardzo, zasnęłam.

— Zauważyliśmy — dobrodusznie powiedział lekarz. — To nieładnie, kiedy się jest pielęgniarką.

— Bardzo się wstydzę. Jak pan doktor znajduje panią Mulstein?

— W niezłym stanie, o ile to w ogóle jest możliwe. Pani Mulstein ma na szczęście mocny organizm. Za dwa dni wstanie z łóżka... Zamówiłem na pojutrze karetkę... Oficjalnie będzie dla pani cici, której niedyspozycja wymaga kuracji w szpitalu. Wszystko pójdzie dobrze. Jeden z moich przyjaciół, członek ruchu oporu i specjalista od oparzeń, zajmie się panią Mulstein.

— Dziękuję, panie doktorze. Zajmiemy się potem odstawieniem pani Mulstein do Szwajcarii albo do Hiszpanii. Ile czasu według pana spędzi w szpitalu? — zapytał Françoise Tavernier.

— Najwyżej pięć dni, tyle wymaga jej bezpieczeństwo i bezpieczeństwo moich kolegów.

— A więc do osiemnastego stycznia?

— Tak, karetka przyjedzie po nią osiemnastego rano, o tej właśnie porze chorzy opuszczają szpital, i zawiezie ją tam, gdzie pan wskaże. Następnie panna Delmas będzie mogła przyjechać po cicię.

— Przez cały ten czas będę musiała być w szpitalu? — zapytała Albertine.

— Tak, to warunek powodzenia naszego planu.

Sara nagle usiadła i szepnęła:

— Wstyd mi, że sprawiam państwu tyle kłopotu.

Ku jej zdziwieniu wszyscy wybuchnęli śmiechem.

— Niech się pani o nic nie martwi, drogie dziecko — powiedziała Albertine. — Niech pani myśli tylko o tym, żeby wyzdrowieć. Najtrudniej mi będzie kłamać Lisie i niepokoić ją.

— To bardzo ważne, żeby pani siostra uwierzyła przede wszystkim w pani niedyspozycję — powiedział lekarz.

— Wiem, panie doktorze, ale od wczesnego dzieciństwa nie miałyśmy nigdy przed sobą tajemnic.

Uczepiona ramienia Frnacois Léa dygotała z zimna, jakie zaatakowało Paryż.

Przed sklepami stały długie kolejki kobiet, które tupwały nogami usiłując się rozgrzać.

Wszystko odbyło się zgodnie z planem. Sara nabrała trochę sił i wyjechała w nieznanym kierunku, a Léa musiała opiekować się Lisą, która na samą myśl, że siostra jej jest w szpitalu, rozchorowała się naprawdę. Mathias zawiadomił Lée listownie, że jest w Bordeaux, a Françoise zatelefonowała do niej. Wiadomości były dobre: Camille miała wyjść niebawem na wolność i Léa mogła swobodnie powrócić do Montillac. Kapitan Kramer poręczył za Camille. Léa odzyskała natychmiast radość życia, a François, chcąc to godnie uczcić, zaprosił ją na obiad do Chataîgnier, przy ulicy du Cherche-Midi. Przechodząc obok księgarni Gallimarda przy bulwarze Raspaila zwolnili machinalnie kroku i rzucili okiem na wystawę, na której królowały "Les Décombres" Rebateta, usiłując jakby zmiażdżyć wszystkie inne książki.

— Oto praca najbardziej plugawa, jaką wydano w zeszłym roku — powiedział François. — Jest niestety napisana z talentem i zawiera przykre prawdy, które toną w powodzi brudów: nienawiści do Żydów i innych cudzoziemców.

Zaczepił ich Raphaël Mahl, który niczym diabełek wyskakujący z pudełka pojawił się przed drzwiami księgarni.

— Léo, François!

— Co pan robi w Paryżu? — chłodno zapytał Tavernier. — Umówiliśmy się, o ile pamiętam, że wyjedzie pan natychmiast na południe.

— Niech pan nie ma do mnie żalu, drogi przyjacielu, odłożyłem ten wyjazd na kilka dni.

— Ale zdawało mi się, że Masuy poszukuje pana? — wtrąciła się Léa.

— Już nie. Dzięki mnie zagarnął sporo złota. Znow prowadzimy interesy.

— Po tym, co Masuy zrobił z Sarą!...

— Droga Léo, Masuy zechciał zapomnieć o moim udziale w ukryciu naszej przyjaciółki i o tym, jak go nabrałem. W zamian za to zapominam o przykrościach, jakich doznała nasza biedna Sara.

— Pan zapomina!

Raphaël schwycił rękę, którą podniosła na niego Léa.

— Nie mam wyboru. Albo kula w brzuch — powiedział twardo. — A kula w brzuch to boli, piękna dziewczynko — ciągnął, przybierając znow żartobliwy ton. — Niech się pani nie martwi, może się go pani już nie bać, zna niemieckie powiązania pani rodziny i jest zbyt ostrożny, by się zabierać do jednej z przyjaciółek pana Taverniera, bywalca hotelu "Lutétia" i ambasady niemieckiej!

Błada i zlodowaciała z przerażenia Léa wyczuła ukrytą groźbę w jego słowach. I nie myliła się.

— Drogi François, gdyby pan mnie i Violette'a nie potraktował tak dobrze, nigdy bym panu nie wybaczył tamtej operacji, a nie wątpię, że pańscy przyjaciele z abwehry albo nasz przemiły ambasador, jego ekscelencja Otto Abetz, byłby bardzo zainteresowany pańską co najmniej kontrowersyjną działalnością. Postąpił pan jednak jak człowiek światowy, ostrożny i rozsądny, zapewniając

nam, mojemu przyjacielowi i mnie, wyborną kuchnię, najdroższe wina w wymarzonej miejscowości, gdzie nie brak ani literatury, ani muzyki. Okazałem więc swoją wdzięczność nie wspominając o panu...

— Sugeruje pan, że winienem panu wdzięczność — chłodno powiedział François.

— Nie posunę się aż tak daleko.

— Wie pan doskonale, że prędzej czy później zostanie pan aresztowany, może zamordowany.

— Może... Trzeba się z tym pogodzić, śmierć nigdy nie jest przypadkowa.

— Pan kompletnie oszalał, uśmieć się można.

Raphaël przestał dowcipkować, w oczach jego mignął wyraz cierpienia.

— Myśli pan, że to zabawne być takim jak ja! Pan może się śmiać z moich szaleństw, ale ja muszę przez nie cierpieć!

Młodemu sprzedawcy, który układał książki za szybą, Mahl przyjaźnie pokiwał ręką. Léa poznała go i powitała także serdecznym gestem.

— Uroczy młodzieniec! Zna pan ostatni dowcip Cocteau? Powtórzył mi go sam. Poeta jadł obiad w barze panny Valentin w towarzystwie Aurica. Ten opowiada mu o Żydzie, który narzekał, że musi nosić żółtą gwiazdę. "Niech pan się pocieszy — mówi na to nasz przyjaciel — po wojnie każecie nam poprządkować sobie nosy." Nie brak dowcipu naszemu kochasiowi. Nieprawdaż?

François Tavernier powstrzymał się od odpowiedzi, ale z trudem ukrył uśmiech. Léa zaś wybuchnęła śmiechem i natychmiast miała sobie za złe tę niewczesną wesołość.

— Niech pani się śmieje, młoda osobo, ze śmiechem tak pani do twarzy. Człowiek powinien się śmiać, zanim zacznie płakać. Do widzenia, piękna dziewczynko, niech Bóg ma panią w swojej opiece. Żegnam pana, mam nadzieję, że nie będę musiał więcej spotykać się z panem — powiedział Raphaël otwierając drzwi księgarni.

Przed wejściem do środka odwrócił się i patrząc na nich, dodał:

— Dziękuję za to, coście zrobili dla Sary.

Aż do ulicy du Cherche-Midi Léa i François nie wymienili ani słowa. W Chataîgnier było tłoczno. Maître d'hôtel zaprowadził ich do długiego stołu zastawionego na dwanaście osób.

— Mam nadzieję, że sąsiedzi nie będą zbyt hałaśliwi — powiedział François.

— Choć ubóstwiam jeść, nie lubię tych lokali — oświadczyła Léa rozglądając się naokoło.

— Ja także nie lubię, ale niech to ci nie odbiera apetytu. Chcę, żebyś zapomniała o wszystkim, co nie jest nami. Chcę egoistycznie mieć cię wyłącznie dla siebie.

— Wypijmy butelkę bordeaux. Mam ochotę poczuć znowu zapach mojego dzieciństwa.

Po kilku minutach starszy kelner przyniósł im z tradycyjnym ceremoniałem wspaniałą butelkę.

Posiłek okazał się godny wina.

Trzymając się ustalonego programu, poruszali wyłącznie tematy miłosne albo lekkie: mówili o spódniczkach, które stają się coraz krótsze, o uczesaniach coraz wyższych, o zakonspirowanych dansingach, o ekstrawaganckich przedstawicielach młodego pokolenia zwanych zazou, którzy narzucają modę całej młodzieży, o podróżach, które będą razem odbywali, kiedy wojna się skończy... Pod stolikiem nogi ich się splotły.

Koło nich przeszło sporo osób: mężczyźni o rozpromienionych twarzach i donośnych głosach, piękne kobiety śmiejące się piskliwie, jaskrawo ubrane, w rzucające się w oczy stroje. Siedzieli przy dużym stole, do którego niebawem przysiadł się mężczyzna o szerokiej twarzy i żywych, inteligentnych oczach, przysłoniętych grubymi szklami.

— Kto to jest? — zapytała Léa.

— To człowiek wybitny, który pracuje na własną zgubę: Jacques Doriot, założyciel PPF. Jesteśmy daleko od kampanii "Cri du Peuple" przeciw czarnemu rynkowi i restauracjom z rachunkami wynoszącymi pięćset franków od osoby.

— Chodzisz do tych restauracji!

— To prawda.

Przyjemny początkowo nastrój prysł. Skończyli posiłek w milczeniu.

Na ulicy mimo milczenia Léi François wziął ją pod rękę.

— Nie dąsaj się, serduszko, mamy niewiele czasu.

— Co chcesz przez to powiedzieć?

— Wyjeżdżam jutro skoro świt.

— Dokąd?

— Nie mogę ci powiedzieć...

— Na długo?

— Nie wiem.

— Nie możesz zostawić mnie samej!

— Muszę, a ty doskonale potrafisz się bronić.

— Sara także potrafiła się bronić. Widziałeś, co oni z nią zrobili.

Twarz François drgnęła. Nie mógł przecież powiedzieć Léi, że na myśl, iż zostawia ją na łasce Masuy'ego i spółki, ogarnia go rozpacz. Gorzko sobie wyrzucał, że się zakochał w tej smarkuli. W tym, co miał do zrobienia, nie było miejsca na żadne osobiste uczucia. Osobiste uczucie oznaczało niepotrzebne ryzyko, a przede wszystkim narażało na niebezpieczeństwo Léę. Świadomy tego niebezpieczeństwa unikał myślenia o Léi od czasu ich ponownego krótkiego spotkania w Montillac. Bez większego trudu, prawdę mówiąc. Od wybuchu wojny dziewczęta, nawet najskromniejsze, zrobiły się dość łatwe. Ich potrzeba wyzycia się tak się wzmogła, że zapomniały o konwenansach i oddawały się prawie z taką

samą prostotą jak Léa. Kiedy jednak François zobaczył ją znowu, silniejszą, a zarazem bardziej kruchą, ożyło w nim to uczucie, któremu nie był rad i które jego zdaniem komplikowało mu tylko życie.

— Dlaczego nic nie mówisz?

— Co mam powiedzieć? Mahl ma rację: stosunki twojej siostry chronią cię przynajmniej dopóty, dopóki kapitan Kramer jest w Paryżu. Na twoim miejscu wróciłbym do Montillac z trzech co najmniej powodów. Po pierwsze, twój stryj dominikanin i twój kochany d'Argilat są niezbyt daleko...

— Co wiesz na ten temat?

— Wiem... Po drugie, pani d'Argilat potrzebuje ciebie, po trzecie, nie możesz zostawić majątku w rękach rządu.

— Jeśli Laurent i stryj Adrien są tak blisko, to dlaczego nic nie zrobili, by uwolnić Camille?

— Byłoby to dość ryzykowne i mogłoby nawet pogorszyć sprawę, nikt nie ucieka z fortu Hâ. Znacznie łatwiej natomiast jest uciec z obozu w Mérignac.

— Myślałam, że mają ją zwolnić?

— To się opóźnia.

— Dlaczego?

— Nie wiem... Prawdopodobnie dlatego, że chcą zmusić Laurenta do popełnienia jakiegoś głupstwa. Często tak postępują, licząc na to, że przeciwnik się załamie. Jedno jest pewne: nie wydebili nic z Camille. Albo nic nie wie, albo dała dowód prawdziwej odwagi.

— To do niej podobne. Minkę ma łagodną i nieśmiałą, ale to najbardziej uparta osoba, jaką znam.

— Na szczęście dla jej męża.

Rozdrażniona Léa wzruszyła ramionami.

— Jestem pewna, że Camille nic nie wie. Chyba zastosuję się do twojej rady. Wrócę do Montillac...

Tak rozmawiając doszli do domu Léi.

— Wejdiesz? — zapytała dziewczyna.

— Nie mogę, mam spotkanie. Postaram się wpaść przed godziną policyjną. Jeśli nie zobaczysz mnie dzisiaj, nie miej do mnie żalu.

— Bądź spokojny, nie będę miała żalu.

Léa miała wrażenie, że go dotknęła, i odczuła złośliwą radość, a potem wielką pustkę. Wepchnęła François do hallu i tam, z dala od spojrzeń nielicznych przechodniów, przytuliła się do niego.

— François...

Położył dłoń na jej ustach.

— Nic nie mów. Trwaj tak przytulona do mnie, nie ruszaj się. Pocałuj mnie.

Tej nocy Léa daremnie czekała.

*"Droga Léo,*

*Wyszłam z piekła. Po ostatnim przesłuchaniu, któremu poddał mnie Dohse w lokalu gestapo przy drodze do Médoc, wrzucono mnie do lochu. Był tak niski, że nie mogłam się wyprostować. Pod nogami – wilgotna ziemia i słoma, a wszędzie kał i wymioty: okropność! Krzyki docierające z innych lochów. Mężczyzna, któremu wydarto jądra, wył. Jakaś kobieta nie przestawała jęczeć. Wykończona i pełna zgrozy runęłam na ziemię. Nie wiem nawet, ile dni tam spędziłam na pograniczu jawy i snu, dygocząc z gorączki, nic nie jedząc, zalaatwiając potrzeby fizjologiczne wprost na ziemi, jak zwierzę.*

*Kiedy Dohse zrozumiał, że gdybym nawet chciała, nie mogłabym mówić, kazał przenieść mnie do fortu Hâ. Spędziłam tam trzy dni w izbie chorych, mając czterdzieści stopni gorączki, teraz jestem w celi z trzema kobietami. Są tu warunki niemal luksusowe. Można się wyprostować i stanąć, można się umyć, można posypać się proszkiem przeciw wszom. Po wdrapaniu się na pryczę można nawet przez kraty zobaczyć dachy miasta. Z rana "kawa", dwieście gramów chleba, o dziesiątej – zupa, o czwartej jeszcze jedna zupa i od czasu do czasu posiłek z Czerwonego Krzyża i biszkopty, które czuć zjelczałą oliwą. A poza tym życie więzienne: wiadomości z "radia-kraty", nowiny, które się zbiera podczas niedzielnej mszy, radość ze zdobytego ogryzka ołówka i strzępka papieru, szczęście, jakie daje znalezienie sposobu, by wysłać list... Odwiedziła mnie Amélie Lefèvre, matka Raoula i Jeana, a także Ruth, która opowiedziała mi o Charles'u. Myślę o nim ciągle i to dodaje mi sił, pomaga przetrwać. Nie mam żadnych wiadomości o L. Nie mam pojęcia, co ze mną będzie, ile czasu będę musiała tutaj spędzić. Jedno jest pewne: niedługo wezmą mnie na kolejne przesłuchanie i nie wiem, jak zniosę znowu bicie, nękanie i dalszy pobyt w lochu. Moje towarzyszki niedoli są cudowne, Odille, dziewiętnastoletnia działaczka aresztowana podczas rozdawania ulotek, Elisabeth, komunistka, której mąż został rozstrzelany 21 września 42, Heléne, której mąż jest w maquis i którą zadenuncjowano, bo dawała schronienie angielskim lotnikom. Dodajemy sobie otuchy w chwilach załamania.*

*Jeśli spotka mnie nieszczęście, zajmij się Charles'em, jest tym, co mam najcenniejszego na świecie. Daruj, że piszę tak drobnymi literami, ale papier u nas jest na wagę złota. Dbaj o siebie. Kocham Cię czule. Niech Bóg ma Cię w swojej opiece.*

*Camille".*



Owinięta w koc Léa podniosła się powoli i położyła list Camille na łóżku. Na jej młodej twarzy malowało się jednocześnie niedowierzenie i zgroza.

— Jak mogliśmy do tego dojść? — powiedziała głośno.

Miała wrażenie, że ściany pokoju ją osaczają i stają się ścianami więzienia.

Wierchem dłoni przetarła oczy. Powzięła decyzję: wraca do Montillac. Tam na miejscu naradzi się z Mathiasem, małżonkami Debray, z panią Leplace, co zrobić, by Camille została zwolniona. Ta decyzja trochę ją uspokoiła, przed wyjazdem musi jeszcze jednak porozmawiać z Ottonem Kramerem.

Usłyszała z daleka dzwonek telefonu. Ktoś go odebrał. Po chwili zapukano do drzwi: to Estelle przyszła powiedzieć, że Françoise prosi Léę do aparatu. Tym razem siostra trafiła w dziesiątkę.

Léa przyjęła zaproszenie na jutrzejszy obiad.

Po wieczornym posiłku, który podano w saloniku, Léa, kucnąwszy przed kominkiem, przeczytała ciociom i Estelle list Camille. Trzy starsze kobiety wysłuchały go w skupieniu. Pod koniec Lisa energicznie otarła zaczerwienione oczy, Albertine przyłożyła do oczu chusteczkę, a Estelle hałaśliwie wytarła nos. Robótki — sweter na drutach, haft i cerowanie — leżały zapomniane na ich kolanach.

Léa wstała i włączyła radio.

Po chwili złapała Londyn. Zagłuszanie tego wieczoru okazało się niezbyt skuteczne. Była to godzina dziewiąta wieczór 15 stycznia 1943 roku.

"Mówi do was syn robotnika z północnej Francji zamordowanego przez Niemców w 1917 roku, były kombatant kampanii francuskiej, towarzysz więzienny dwudziestu siedmiu męczenników z Châteaubriand, który uciekł w lipcu 1941 roku po dziewięciu miesiącach tortur w więzieniach niemieckich, Ferdinand Grenier, poseł z Saint-Denis...

Francuzi i Francuzki,

po pobycie w więzieniach Fontevrault i Calirvaux, po przeżyciu dziewięciu miesięcy z Charles'em Michelem i Guyem Môquetem, męczennikami z Châteaubriand, po codziennym narażaniu się w Paryżu na niebezpieczeństwa, jakie grożą bojownikom ruchu oporu, po zaznaniu tych samych braków, tych samych cierpień moralnych, tej samej nadziei, które są udziałem całego naszego uwięzionego, lecz nie ujarzmionego narodu, przybyłem do Londynu z ramienia Komitetu Centralnego Francuskiej Partii Komunistycznej, by zgłosić generałowi de Gaulle'owi i Narodowemu Komitetowi Francji akces dziesiątków tysięcy naszych ludzi, którzy mimo terroru prowadzą z narażeniem życia — zarówno w fabrykach, jak i w szeregach wolnych partyzantów, zarówno na uniwersytetach, jak i w oflagach Rzeszy, od Nantes do Strasburga, od Lille do Marsylii — codzienną, nieubłaganą walkę ze zniechęconym okupantem hitlerowskim.

Przybyłem, by oświadczyć tutaj, że zarówno rolnik, jak i robotnik, zarówno patriotyczny przemysłowiec, jak i urzędnik, zarówno laicki nauczyciel, jak i ksiądz, nie mają cienia wątpliwości: jest się po stronie albo Vichy, albo Francji, która stawia opór i walczy..."

Zagłuszanie się wzmogło i słowa mówcy trudno było zrozumieć.

Lisa wytrzeszczyła przerażone oczy.

— Słyszaliście... Generał de Gaulle przyjmuje komunistów!... Ten człowiek zupełnie zwariował. Przyjmować komunistów!

— Cicho — lodowatym tonem odparła Albertine. — Nie wiesz sama, co mówisz. Francja potrzebuje wszystkich, którzy chcą walczyć. Na razie nie ma ich za dużo...

— To nie powód, żeby brać byle kogo!

— Nie rozmawiajcie, teraz trochę lepiej słyhać.

"...Mnóstwo Francuzów, wszyscy ci, którzy walczą, ci, którzy stawiają opór, ci, którzy mają nadzieję — a ci stanowią Francję — są za generałem de Gaulle'em, którego wielką zasługą, zasługą historyczną, jest to, że nie stracił nadziei, kiedy wszystko runęło. Z generałem de Gaulle'em i ze wszystkimi bojownikami ruchu oporu, którzy się stopniowo zgromadzili i gromadzą się nadal, tworząc Francję walczącą, Francję toczącą świętą wojnę o wyzwolenie ojczyzny..."

Trzaski zagłuszyły znowu głos Ferdinanda Greniera. Léa usiłowała ponownie złapać falę. Estelle skorzystała z tej przerwy, by pójść po wieczorne ziółka, Albertine dorzuciła polano do ognia.

— Trzeba będzie oszczędzać opał, niewiele go już mamy.

"...Przyjaciele, którzy jesteście we Francji, przeżywacie straszliwe cierpienia, wspaniała jest wasza dzielność i wielkie są wasze nadzieje. Witacie radośnie każde zwycięstwo Armii Czerwonej, każdy niszczycielski nalot RAF-u, każdy czołg czy działko pochodzące z arsenału amerykańskiego. Trzymajcie się nadal! Bądźcie solidarni, pomagajcie sobie nawzajem. Prowadźcie nadal wytrwałą i bohaterską walkę z okupantem! Niech was nadal ożywia potężny duch braterstwa i niezłomna odwaga!"

Zagłuszanie znowu się wzmogło i nic już więcej nie można było usłyszeć.

Cztery kobiety wypłyły w milczeniu ciepłe ziółka i rozeszły się do swoich pokojów, by położyć się spać.

Nazajutrz Léa starannie się ubrała na obiad u siostry. Włożyła po raz pierwszy drapowaną na biodrach sukienkę z cienkiej, czarnej wełny, z dużym dekoltem, prezent François. Był to model Jacques'a Fatha, który musiał kosztować furę pieniędzy. Wpięła w zaczesane do góry włosy cienkie tamburyno ozdobione woalką, za którą błyszcząły jej kunsztownie umalowane oczy. Na szyję włożyła sznur pereł ofiarowany przez Camille i pożyczyła od Albertine narzutę z czarnych lisów. Pończochy o nienagannie prostym szwie, także prezent François, mocno opinały jej nogi, bardzo piękne — wiedziała o tym — wydłużone dzięki czarnym, zamszowym pantofelkom na koturnach, w których wyglądała, jej zdaniem, trochę "zwariowanie". Zdanie to podzielała Lisa, która pożyczyła siostrzenicy ostatnią parę porządnych rękawiczek.

Do François Léa pojechała metrem, wysiadając przy placu de l'Etoile.

Mieszkanie siostry i szwagra przy alei Wagram zrobiło na niej od razu nieprzyjemne wrażenie. Otto Kramer i François wynajęli umeblowany

apartament od znanego lekarza, który wolał powietrze Lazurowego Wybrzeża od atmosfery Paryża.

— Pewnie Żyd — stwierdziła Françoise mówiąc o właścicielu mieszkania.

Ta uwaga zdenerwowała Léę.

— No tak, to mieszkanie nie jest podobne do solidnych siedzib mieszczan Bordeaux, którzy lubią ukrywać swoje bogactwo. Tutaj przeciwnie, bogactwo się wystawia na pokaz. Nawet trochę przesadnie.

— Tak, jestem tego samego zdania — przytaknął ze śmiechem Otto Kramer. — Ale nam się spieszyło. Jakaż Léa jest piękna i elegancka! Chodźmy do pokoju dziecinnego, zobaczysz jak dobrze jest tam twemu siostrzeńcowi.

Pokój dziecinnie był duży i bardzo jasny. Zastali tam Frederica Hankego, który usiłował poskromić krzyki swojego chrześniaka, kołysząc go może nieco zbyt energicznie.

— Dziecko jest przecież głodne! — zawołał, kiedy tam weszli.

— Panno Léo, cieszę się, że panią widzę. Nie chce pani spróbować swojej władzy jako matka chrzestna?

Léa ostrożnie wzięła dziecko na ręce i powiedziała kładąc je do kołyski:

— Teraz będziesz grzeczny i zaśniesz.

Ku ogólnemu zdumieniu niemowlę ucichło i zamknęło oczy.

— Brawo, to dopiero autorytet! Musisz częściej do nas zaglądać, bo ani Françoise, ani ja nie dajemy sobie rady, kiedy mały płacze.

— Pomówimy o tym później... jak znów zacznie płakać. Na razie mam prośbę: chcę szybko powrócić do Montillac, a moja przepustka jest już przedawniona.

Léa podała Ottonowi dokument z hitlerowskim orłem, który zasłaniał połowę jej twarzy na zdjęciu.

— Jutro przyślę ci nową przepustkę. Wkrótce już nie będą potrzebne, ze względu na okupację strefy południowej linia demarkacyjna zostanie zniesiona.

— Wiem — odpowiedziała Léa trochę smutniej, niżby chciała.

— Och, przepraszam, sprawiłem ci przykrość. Pewnego dnia wasz kraj odzyska wolność i nasze dwa narody pogodzą się i połączą.

Léa nic nie odpowiedziała, ale obaj oficerowie niemieccy wyczytali wyraźnie w jej oczach: nigdy.

Całe towarzystwo przeszło do jadalni i usiadło do pięknie nakrytego stołu.

— Jest nas tylko czworo?

— Nie odpowiada ci to? Myśleliśmy, że nie będzie ci przyjemnie jeść obiad w towarzystwie moich rodaków.

— Dziękuję, dobrze się stało.

Léa tak bała się, że znajdzie się wśród niemieckich oficerów w mundurach, iż odczuła prawdziwą ulgę i odzyskała dobry humor. Tym bardziej że Otto i Frederic byli po cywilnemu.

— Kazałam zrobić to, co lubisz — powiedziała Françoise z czułym uśmiechem.

— Co mianowicie? Powiedz szybko.

— Zobaczysz, łakomczuchu.

Obiad minął w przyjemnym nastroju, a Léa przy każdym daniu dziękowała siostrze za troskę, z jaką ta przygotowała wszystko, żeby jej sprawić przyjemność: jaja w sosie, meurette, baraninę.

— Wzięłam tylko piętnaście gramów masła, według przepisu Eduarda Pomiana. Wiesz, tego, co napisał książkę, obecnie po prostu niezbędną — powiedziała dumnie Françoise. — "Kuchnia i restrykcje".

Ciasto z suszonymi morelami było wspaniałe, Léa zjadła dwa kawałki.

Podczas obiadu nie wspomniano słowem o wojnie. Mówiono wyłącznie o literaturze, muzyce, kinie i teatrze. Na kawę wszyscy przeszli do salonu, gdzie palił się ogień w kominku. Françoise powiedziała służącej, że sama obsłuży gości.

Pili kawę powoli, w milczeniu, patrząc na drgające w kominku płomienie. W pewnej chwili Otto wstał i usiadł do fortepianu, który zajmował dużą część pokoju.

— Wynajęliśmy to mieszkanie głównie ze względu na fortepian — szepnęła Françoise siostrze do ucha.

Na jedną godzinę czas jakby przestał istnieć. Nie było ani Francuzów, ani Niemców, ani zwycięzców, ani zwyciężonych, była tylko muzyka, która łączyła ich w braterstwie bez granic.

Kiedy zgasła ostatnia nuta, długo jeszcze trwali w milczeniu, jakby bojąc się powrotu do rzeczywistości. Léa pierwsza przerwała tę kruchą ciszę, a w głosie jej brzmiało wzruszenie:

— Dziękuję, Ottonie, za te chwile prawdziwego spokoju.

Także wzruszony kapitan Kramer wstał i pocałował ją w rękę.

— Dziękuję, żeś przyszła.

Teraz Léa mogła zapytać go, co wie o sprawie Camille.

Otto nie od razu odpowiedział na pytanie szwagierki. Dłuższą chwilę wydawał się zagłębiony w niewesołych refleksjach. Kiedy zdecydował się wreszcie mówić, zwrócił się do przyjaciela:

— Soll ich sie alles sagen?

— Ja. (Czy powinienem jej wszystko powiedzieć? Tak.)

— Nie będę przed tobą ukrywał, że Frederic i ja jesteśmy bardzo niespokojni o panią d'Argilat. Aresztowano ją, jak wiesz, na skutek denuncjacji, oskarżona jest o to, że była łączniczką między swoim mężem a twoim stryjem, ojcem Delmas, a oni obaj należą do francuskiego ruchu oporu i są poszukiwani przez policję francuską i gestapo. U pani d'Argilat znaleziono ulotki wzywające młodych Francuzów do wstępowania do ruchu oporu. To wystarczyło, by ją aresztować. Ponadto Dohse podejrzewa, że pani d'Argilat należy do tej samej organizacji co jej mąż, Laurent d'Argilat...

— Co za bzdury! Camille interesuje się tylko swoim dzieckiem i nie zna się na tym wszystkim. W dodatku jest słabego zdrowia i nie ma wiadomości od Laurenta od wielu miesięcy.

— Léo, nie bierz nas za głupców. Kiedy byliśmy w Langon, dostawaliśmy dziesiątki donosów dotyczących pani d'Argilat i ciebie także. Wraz z Frederikiem zniszczyliśmy mnóstwo tych donosów, choć niektóre były bardzo dokładne. Dopóki chodziło o przesyłanie poczty z jednej strefy do drugiej, przymykaliśmy oczy. Teraz jednak sprawa wygląda poważniej i gdyby fakty, o które oskarża się panią d'Argilat, zostały udowodnione, grozi jej kara śmierci. Przyjaciółka twoja jest pionkiem w rękach Dohsego, i to pionkiem, którego on chce użyć w nadziei, że Laurent d'Argilat i ludzie z jego komórki, chcąc ją uwolnić, popełnią jakąś nieostrożność. Na szczęście Dohse, zdaje się, nie sądzi, by pani d'Argilat wiedziała coś konkretnego o działalności męża i o tym, gdzie on przebywa. W tej sytuacji zachowuje się nieco ostrożniej podczas przesłuchań. Tym bardziej że zna więzy rodzinne, jakie łączą waszego stryja Luca Delmas z naszym krajem.

Umęczona twarz Sary Mulstein stanęła Léi w oczach.

— Wiem, jak twoi przyjaciele z gestapo przesłuchują ludzi i w jaki sposób traktują więźniów.

— Boleję nad tym ogromnie. Ale nie powinnaś o tym wiedzieć. Dla twojego spokoju błagam cię, byś o tym zapomniała.

Léa się zerwała z krzesła wzburzona.

— Mam o tym zapomnieć?!... Ośmielasz się mówić mi, bym zapomniała o tym, co wasi ludzie robią co dzień z naszymi mężczyznami, kobietami i dziećmi! Czy wiesz, że Guy Moquet miał siedemnaście lat, kiedy go rozstrzelano, a zakładnicy z Sorges zostali zamordowali we wrześniu, dlatego że w Paryżu dokonano zamachu? I że było ich siedemdziesięciu? A ta stara przyjaciółka naszych cioci, Żydówka, którą wywieziono do obozu i która mówiła z płaczem: "Panowie, to musi być jakaś pomyłka, jestem Francuzką, mój mąż poległ na wojnie czternastego roku, a syn jest w obozie jenieckim, dlatego że się bił w obronie Francji".

Françoise z oczyma pełnymi łez ujęła Léę za ramię.

— Proszę cię, uspokój się, nie mów już nic.

— Nie dotykaj mnie! Puść!

— Léo, doskonale ciebie rozumiem, ale jest wojna, i wszyscy jesteśmy bezsilni. To, co będę mógł zrobić dla pani d'Argilat, nie sprzeniewierzając się honorowi żołnierza, zrobię na pewno, obiecuję. Ale dla własnego bezpieczeństwa i bezpieczeństwa twoich bliskich nie powtarzaj nigdy tego, co tu powiedziałaś, błagam.

— Czy możesz mi przysiąc, że to, co ci powiem w związku z uwięzieniem Camille w forcie Hâ, nie będzie użyte przeciw niej?

Otto Kramer zastanowił się chwilę, zanim odpowiedział:

— Daję ci na to słowo honoru.

— Czy mogę porozmawiać z tobą w cztery oczy?

Françoise wstała.

— Chodźmy stąd, Fredericu, widzi pan, że przeszkadzamy.

Te jej wielkie miny denerwowały zawsze Léę. Już w dzieciństwie była obraźliwa, co zawsze drażniło Léę, a ich ojciec nawet pokpiwał z Françoise.

— To, co chcę powiedzieć, nie dotyczy mnie osobiście, więc myślę...

— Nie musisz się usprawiedliwiać — przerwała jej Françoise wychodząc z pokoju wraz z Frederikiem.

— Biedny Ottonie, nie wiem, jak ty z nią wytrzymujesz.

— Przestańcie się kłócić jak dwie małe dziewczynki — upomniał Léę Kramer z dobrotliwym uśmiechem. — Usiądź naprzeciw mnie.

— A więc — powiedziała Léa — dostałam list od Camille. Trzymano ją przez kilka dni w lochu, gdzie nawet nie mogła się wyprostować. Była trzykrotnie przesłuchiwana przez Dohsego. Nie mogąc nic z niej wydusić, kazał ją umieścić w okropnej celi, w której się rozchorowała. Co zrobi Dohse następnym razem? Więzienie Bouscat nie ma dobrej opinii. Mówi się w Bordeaux, że przez grube mury więzienne słychać krzyki więźniów. Błagam, zrób coś, by Camille wydostała się z łap tych oprawców.

— Gardzę tak samo jak ty postępowaniem tych oprawców. Nie lubimy w wojsku gestapo. Staje się ono niestety coraz potężniejsze i my także mu podlegamy. Proszę mi wierzyć, że Francja jako kraj okupowany cierpi z powodu gestapo najmniej. Jeśli zaś chodzi o panią d'Argilat, to nie wiedziałem, że tak ją potraktowano. Zapewniali mnie, że traktują ją dobrze. Dohse musi być przekonany o jej winie, skoro mimo jej stosunków trzyma ją w takich warunkach. Niełatwo będzie wydrzeć twoją przyjaciółkę z jego szponów.

— Zapewniam cię, że Dohse się myli: Camille nie wie nic o działalności Laurenta.

— Powiedziała ci to?

— Nie, ale mieszkamy razem i gdyby Camille miała wiadomości od męża, ja pierwsza wiedziałabym o tym.

— Nie chciałbym robić ci przykrości, Léo, ale kiedy się prowadzi nielegalną działalność, nie opowiada się o tym nikomu. Chociaż członkowie ruchu oporu, jak wy to nazywacie, są niekiedy tak nieostrożni, że wprost nie możemy się nadziwić.

— Nie wierzę jednak, by Camille coś wiedziała. Nie wątpiła przecież, że może mi ufać i że jestem gotowa...

Léa urwała w pół zdania.

— Nie bój się, proszę, mów dalej. Nie potępiam ciebie, wiem, że na waszym miejscu postępowałbym tak samo jak twój stryj i mąż twojej przyjaciółki, walczyłbym nadal. Jednakże moim obowiązkiem i obowiązkiem żołnierzy niemieckich, którzy walczą w tej wojnie, jest tępić wasz ruch oporu. To także powinnaś zrozumieć. Kiedy aresztujemy i rozstrzelujemy tych, co podrzucają bomby, kiedy wysyłamy na śmierć zakładników, więzimy ludzi, którzy rozprowadzają ulotki, ukrywają lotników angielskich albo porozumiewają się z Londynem za pomocą nielegalnych radiostacji, robimy to dlatego, że mimo

zawieszenia broni wojna trwa. Tego ja się nie wstydzę. Ale kiedy gestapo brutalnie traktuje domniemanych członków ruchu oporu i kobiety, robi mi się wstyd. Choć w większości wypadków pozostawia tę ponurą robotę gestapowcom francuskim. Czy wiesz, że kiedy byłem w Langon, dwustu płatnych agentów francuskich powiększyło szeregi gestapo i jej służb pomocniczych? Od czasu spotkania szefa gestapo w Bordeaux, Dohsego, z komisarzami brygady Poinsoła w kwietniu czterdziestego pierwszego roku twoi rodacy pracują bardzo starannie, by nie powiedzieć: gorliwie.

– Proszę tego nie mówić.

– To tylko część smutnej prawdy. Czy sądzisz, że nalegamy bardzo na prefektów, merów, policjantów francuskich? Są posłuszni woli naczelnika państwa francuskiego, który kazał im, podobnie jak wszystkim Francuzom, współpracować z nami. Działają zgodnie z prawem. O ile mi wiadomo, wasz marszałek nie objął władzy dokonując zamachu stanu.

– Honor nakazywał prowadzić nadal wojnę.

– Czym? Zapominasz, że wojsko francuskie zostało pokonane w ciągu kilku dni.

Léa odwróciła głowę. Stała jej w oczach szosa koło Orleanu, gromady brudnych, zarośniętych, obdartych żołnierzy, którzy porzucili broń, by móc prędzej uciekać, którzy rabowali opuszczone domy, wyrzucali cywilów z samochodów...

– Powracając do pani d'Argilat, użyję tej niewielkiej władzy, jaką mam, by ją obronić, tylko tyle mogę ci obiecać. Jeśli mi się to uda, niech nie podejmuje żadnej działalności, bo będzie śledzona jeszcze pilniej niż przed aresztowaniem. Jeśli natomiast mi się nie uda, nie tylko stracę wszelki autorytet, ale ta interwencja będzie mnie drogo kosztowała, wyślą mnie pewno na front wschodni. Nie o siebie się boję, boję się o Françoise i naszego syna. Nie chciałbym zostawiać ich samych przed uregulowaniem sytuacji prawnej.

Léa wstała.

– Dziękuję.

Podeszła do drzwi salonu i zawołała:

– Françoise, Fredericu! Françoise! Możecie wrócić.

– Czyś ty zwariowała, nie krzycz tak, obudzisz Pierrota!

Nazajutrz Léa dostała nie tylko przedłużoną przepustkę, lecz także bilet do Bordeaux pierwszej klasy z miejscówką ważną za dwa dni. Przez te dwa dni chodziła do kina i do teatru i pocieszała zasmucone jej wyjazdem ciotki. Zostawiła Albertine wiadomość dla Françoise Taverniera na wypadek, gdyby wstąpił do ciotek dowiedzieć się o nią.

Wyjechała z Paryża bez żalu.

Po przyjeździe na dworzec Saint-Jean w Bordeaux Léa nieoczekiwanie zobaczyła na peronie Mathiasa, który po nią przyszedł. Zauważyła go od razu, zanim pociąg stanął. Wydał jej się wyższy, tęższy i głowę miał prawie zupełnie ogoloną. Ucieszyła się na jego widok, ale poczuła także dziwny niepokój.

Mathias schwycił walizkę Léi, pocałował ją w oba policzki i przez chwilę jak gdyby nie bardzo wiedział, od czego zacząć, jak gdyby rozważał przeszłość, po czym poprowadził ją do pociągu odjeżdżającego do Langon. Kiedy usiedli w przedziale, wziął Léę za rękę, ale Léa od razu rękę cofnęła.

Dlaczego oczy jego straciły wesoły blask?

— Chciałem pierwszy oznajmić ci dobrą nowinę: pani Camille nie jest już w forcie Hâ.

— Jest w domu?

Mathias stropił się trochę.

— Nie. Przeniesiono ją do obozu w Mérignac...

— I ty to nazywasz dobrą nowiną?

— Tak, bo w obozie Mérignac ludzie mają sporo swobody, pilnują ich francuscy strażnicy, a ja znam komendanta.

— Nic mnie nie obchodzi, czy znasz czy nie znasz komendanta. Chcę, żeby Camille była na wolności.

— Bądź cierpliwa, zajmujemy się tym, to kwestia kilku dni. Możesz mi wierzyć, że niełatwo było ją wydrzeć z łap Dohsego, trzeba było z nim pertraktować.

— Pertraktować? Kto musiał z nim pertraktować? Ty? Znasz tę świnię?

— Świnia to łatwo powiedzieć. Robi, co do niego należy. Utrzymuje porządek w takim mieście jak Bordeaux, gdzie aż się roi od angielskich agentów, terrorystów komunistycznych i spryciarzy, skorych do wszelkich awantur!

Léa zmierzyła Mathiasa druzgocącym spojrzeniem.

— Czy ty rozumiesz, co mówisz? — syknęła przez zęby, żeby sąsiedzi nie usłyszeli.

— Zdaję sobie sprawę, że jeśli ty i Camille nie zmienicie postawy i będziecie nadal czule zerkały w stronę ruchu oporu, rozstrzelają was obie. A ja nie chcę,



żeby cię rozstrzelano.

Léa wzruszyła ramionami i skuliła się na ławce. Rozczuliła ją naiwna i brutalna namiętność Mathiasa, ale zarazem przerażała myśl, do czego to może prowadzić. Taki, jakiego teraz poznała na nowo, zdolny był do wszystkiego, byle tylko ją zdobyć, i na pewno stać go było na zdradę. Co go łączyło z Niemcami? Léa wolała jak najszybciej zmienić temat, mówić o winnicach i majątku, a w końcu udała, że śpi.

Na dworcu w Langon odzyskała z radością niebieski rower, który Mathias przyprowadził razem ze swoim. Mimo lekkiego wiatru, który wiał na wzniesieniu Piroulette, Léa dojechała przed Mathiasem do białej bariery u wejścia do majątku. Na krótką chwilę nadstawiła ucha łudząc się, że usłyszy głos ojca.

Obiad czekał na nią w wielkiej kuchni o kamiennej posadzce. Palące się w szerniałym kominku pędy winorośli rzucały jasne błyski na miedziane rondle i miski zawieszane na bielonych ścianach. Na długim stole, przykrytym niebieską ceratą, stały świąteczne nakrycia. Wchodząc do kuchni Léa zauważyła przede wszystkim to, że fotele z salonu stoją przy starym kominku. Łowiąc jej spojrzenie Ruth wyjaśniła:

— Mamy mało opału. Tutaj korzystamy z ciepła płyty kuchennej, pod którą w dzień rozpalamy, by gotować posiłki, a wieczorem, by cieszyć oczy, rzucamy wiązkę pędów winorośli do kominka. Wśród tego zimna kuchnia stała się jedynym przyjemnym miejscem w domu. Bywają dni, kiedy nie wracamy na noc do swoich pokoi. Łóżka są lodowate mimo termoforów. Ja jeszcze jakoś to znoszę, w Alzacji jest zimniej niż tutaj i byłam wychowana surowo, ale Laure i twoja ciocia Bernadette bardzo cierpią. Mają odmrożone ręce i stopy. Ja też odmroziłam sobie ręce, dlatego że je myję w bardzo zimnej wodzie, jak tylko lód stopnieje.

Biedna Ruth, dawna guwernantka, nauczycielka, dama do towarzystwa stała się służącą do wszystkiego, lecz nie straciła wcale właściwej jej dobroci i zaradności. Léa rzuciła się jej na szyję jak niegdyś w dzieciństwie.

A Ruth jak dawniej przemówiła czule:

— Moje piękne słoneczko, moja maleńka... Moja dzikuska... jakże się cieszę z twego powrotu! Bez ciebie Montillac to nie Montillac. Pamiętasz, co mówił twój ojciec?

Léa pokręciła głową przecząco.

— Mówił, że jesteś dobrym duchem tego domu, że bez ciebie dom w Montillac nie byłby tym, czym jest, że gdybyś na zawsze go opuściła, dom ten straciłby duszę.

— To się nigdy nie stanie, Ruth, i tatuś o tym wiedział. Tutaj, w tej ziemi, w tym domu, w tych murach jest coś, co stanowi część mnie samej, jak moje ramiona, głowa czy serce, i bez czego nie mogłabym żyć. Wiesz, ilekroć opuszczam ten dom, lękam się, że nigdy już tu nie powrócę, a za każdym powrotem jestem szczęśliwa i nabieram sił, aż się sama temu dziwię.

— To z miłości, kochanie.

Weszła Bernadette Bouchardeau. Usiadły przy stole, by zjeść fasolkę i kurczaka ofiarowanego przez Fayarda. Léa opowiadała o Paryżu, a Ruth o tym, jak wraz z Camille i Laure zostały aresztowane.

Léa nie mogła się pozbyć przykrego uczucia, jakiego doznała w chwili przybycia na dworzec Saint-Jean. Nie odnajdowała swojego kochanego Montillac. Ten wielki, przemarznięty dom nie był naprawdę jej domem. Miała już dosyć zimna, głodu, pragnęła lata, słońca, owoców... Laure bardzo wyrosła, teraz to już niemal kobieta. Mały Charles dreptał wszędzie — taki podobny do swojej matki, takie same usta i oczy... Léa miała wrażenie, że wszystkie te zmiany zaszły bez jej wiedzy, za jej plecami niemal. Mimo że życie codzienne toczyło się tak samo jak dawniej, że zachowały się te same zwyczaje, Montillac się Léi niejako wymykał. Meble zostały przestawione, Ruth wydawała się mniej żwawa, bardziej pomarszczona.

W tej właśnie chwili, gdy Ruth wzięła na ręce małego Charles'a, by go położyć spać, drzwi otworzyły się szeroko.

Mężczyzna o długich, zwisających wusach, w berecie nasuniętym na czoło aż po brwi, w kurtce i z walizką w ręku stanął na progu.

— Proszę szybko zamykać drzwi, wypuszcza pan całe ciepło! — zawołała Bernadette Bouchardeau.

Przybysz zamknął drzwi.

— Kim pan jest? Czego pan chce? — zapytała starsza pani. — Jest już noc, to nie czas na odwiedziny.

Nieznamy nic nie odpowiedział, rozglądał się naokoło jak ktoś, kto się znalazł w dobrze znanym mu miejscu.

Léa wstała, serce zamarło jej w piersi.

— Proszę pana, niech pan wreszcie powie, kim pan jest.

— Spokojnie, ciociu. Witamy cię, Laurencie.

Nastąpiło ogólne poruszenie. Trzy kobiety chciały jednocześnie witać się z Laurentem, uściskać go. Ruth usiłowała wcisnąć mu w ramiona syna. Mały ryczał z przerażenia, bał się tego wielkiego wusacza, którego nie znał.

Laurent uspokoił kobiety.

— Proszę o dyskrecję. Wolałbym, żeby Fayard i Mathias nie nadbiegli słysząc ten hałas.

Usiadł przy stole, by coś przekąsić. Nie przestawał patrzeć to na Léę, to na Charles'a, który bawił się na podłodze, gdyż tego wieczoru później położono go spać.

— Tavernier mnie uprzedził, że Léa ma przyjechać dziś wieczór. Przypuszczam, że przybyłaś za zezwoleniem władz i będziesz mogła odwiedzić Camille. Chciałem ci dać list dla niej... Jutro w Bordeaux mam ważne spotkanie w jej sprawie.

Bernadette Bouchardeau szperała w szafach usiłując znaleźć coś więcej do jedzenia, Laurent z wielkim trudem przekonał ją, że nie jest głodny. Stanął na

czworakach i Charles bez wahania zaakceptował nowego towarzysza zabawy. Dał się nawet zanieść do łóżka, uzyskując obietnicę gry w chowanego nazajutrz.

Kiedy wreszcie wszyscy poszli spać, Léa i Laurent usiedli obok siebie na kamiennej ławeczce przy palenisku. Léa była szczęśliwa. Głaskała ze śmiechem wąsy Laurenta, dotykała jego piersi. Były twarde jak kamień. Dotknęła wskazującym palcem drobnych zmarszczek, jakie pojawiły mu się w kącikach oczu.

— Zestarzałeś się.

— Ty także. Ale jesteś jeszcze piękniejsza. Wyglądasz teraz jak prawdziwa dama. Nawet Tavernier to zauważył.

Przez długie godziny opowiadali sobie, co się wydarzyło w ich życiu od czasu ostatniego spotkania.

Adrien i Laurent, poszukiwani przez policjantów Lécussana, musieli wyjechać z Tuluzy i schronić się w Limousin; sypiali na strychach lub w owczarniach u działaczy albo sympatyków ruchu oporu. Regionem tym dowodził niejaki Raoul, były nauczyciel, komunista, który zszedł do podziemia w lutym 1941 roku, ścigany przez policjantów komisarza Combes, potem przez gestapo. Po dwóch miesiącach tułaczego życia Adrien wolał wrócić potajemnie do Bordeaux, miał bowiem nadzieję, że będzie mógł prowadzić tam pożyteczniejszą działalność niż w lasach. Laurent natomiast został, by zająć się szkoleniem młodych. Dokonywali napadów na merostwa i urzędy skarbowe, by zdobyć kartki żywnościowe, oficjalne pieczętki, blankiety dowodów osobistych i pieniądze.

— Wojna zrobiła ze mnie rozbójnika!

Nie był jednak komunistą i wkrótce między nim a czołowymi członkami partii doszło do pewnych rozdzwieków. Zaczął poważnie myśleć o powrocie do Tuluzy, chciał postarać się, by go wysłano do Londynu, potem do Afryki Północnej, gdzie mógłby walczyć. Takie właśnie snuł plany, kiedy się dowiedział o aresztowaniu Camille i o uwięzieniu jej w forcie Hâ. Tego samego wieczoru opuścił maquis Limousin i w Tuluzie nawiązał kontakt ze swoją dawną organizacją. Tam spotkał się z Grand-CLémentem.

— To agent ubezpieczeniowy tatusia! — zawołała Léa.

Stał na czele organizacji cywilnej i wojskowej regionu Bordeaux, co zaskoczyło Laurenta, tym bardziej że po kapitulacji Francji Grand-CLément nie ukrywał bynajmniej sympatii do rządu Vichy. Co prawda spośród bojowników ruchu oporu nie on jeden przez pewien czas miał zaufanie do marszałka Pétaina. W Tuluzie powiedziano Laurentowi, by się udał do kawiarni Bertranda przy nabrzeżu des Chartons i zapytał o Davida, zrzuconego z Londynu w sierpniu 42 roku w okolicach Châteauroux. Laurent, znany obecnie pod pseudonimem Lucius, miał się u niego stawić. Radio Londyn uprzedziło Davida o jego przybyciu. Spotkanie wyznaczono na dzień następny.

Léa pokazała Laurentowi list Camille, który przeczytał ze wzruszeniem, co, ku zdziwieniu Léi, nie wywołało u niej cienia zazdrości. Powtórzyła mu rozmowę z Ottonem Kramerem i jego obietnice. Ale, rzecz ciekawa, nie wspomniała słowem o powrocie Mathiasa i o tym, co mówił jej o swoich nowych stosunkach.

Poprzestała na powiadomieniu Laurenta, że Camille jest teraz w obozie Mérignac.

— Jutro jest dzień odwiedzin, pójdę tam. Napisz list, załatwię to jakoś, by list ten dostała.

— Nie, nie mogę się na to zgodzić, to zbyt niebezpieczne.

— Napisz jednak, jeśli zobaczę, że mnie śledzą, nie dam go jej. Idę po papier listowy i atrament.

Kiedy Léa wróciła, Laurent siedział przy biurku.

Delikatnie położyła mu rękę na ramieniu.

— Nie martw się.

Laurent podniósł na nią oczy, objął ją za talię i przytulił głowę do jej brzucha. Długo tak tkwili bez ruchu.

Léa opamiętała się pierwsza.

— Idź się położyć. Ruth posłała ci łóżko w pokoju tatusia. Mam nadzieję, że nie zmarzniesz, przygotowała dwa termofory. O której godzinie chcesz jutro wstać?

— Niestety wcześnie. Mam spotkanie o trzeciej po południu.

— W takim razie śpij dobrze. Do jutra — powiedziała Léa całując go siostrzanym pocałunkiem.

— Léo... Léo, to nic... nie bój się... to tylko zły sen...

Laurent obudził się nagle na odgłos krzyków i jęków, które docierały z pokoju Léi. Pobiegł do niej. Nękana swoim zwykłym koszmarem Léa siedziała na łóżku i zalewając się łzami odpychała człowieka, którego zabiła w Orleanie. Złośliwy los sprawił, że człowiek ten miał teraz towarzysza: był nim Masuy, oprawca Sary: zbliżał się do Léi wlokąc wannę wypełnioną nieczystościami, z których wyłaniały się węże.

Léa obudziła się złana potem i w delikatnym świetle lampy zobaczyła twarz Laurenta.

— Proszę cię, usiądź przy mnie, boję się.

Jak tylko Laurent wziął ją w ramiona, usnęła jak dziecko.

Lea przekonała Laurenta, by nie schodził na dół, dopóki nie będą mieli pewności, że Fayarda i jego żony nie ma w pobliżu. W gruncie rzeczy bała się zazdrości Mathiasa. I miała rację. Poprzedniego wieczoru Mathias po zanieśieniu bagaży do jej pokoju dyskretnie znikł i więcej już się nie pokazał.

Kiedy teraz Léa weszła do kuchni, zastała go tam, rozmawiał z Ruth, która kończyła śniadanie. Léa ucałowała starą guwernantkę i przyjaciela z czasów dzieciństwa.

— Wspaniale wyglądasz — powiedział Mathias. — Wydajesz się wypoczęta, choć późno poszłaś spać.

Léa natychmiast przybrała postawę obronną.

— Idę spać, kiedy mi się podoba.

— Nie gniewaj się, powiedziałem to tak sobie.

Léa się rozchmurzyła.

– Bardzo źle spałam. Miałam koszmary.

– Dziś wieczór zaparzę ci ziółka lipowe – powiedziała Ruth.

– Wiesz przecież, że ziółka lipowe mnie denerwują... Już w dzieciństwie...

– Tak, tak, to prawda, pomyliło mi się z Françoise. Ty pijesz kwiat pomarańczy. Zrobić ci grzanki?

– Nie, dziękuję, zrobię je sama.

– Jest trochę kawy na płycie.

– Dziękuję, Ruth.

Rozmawiając, Léa ukroiła kromkę twardego chleba, nadziała ją na widelec i położyła przed rozżarzonymi węglami w kominku.

– Chcesz grzankę? – zapytała Mathiasa.

– Nie, dziękuję, jestem po śniadaniu. Masz, przyniosłem ci masła.

– Ależ to twoja racja na cały miesiąc!

– Nie martw się o mnie. Wiem, gdzie się zdobywa masło.

Siedząc naprzeciw Mathias patrzył, jak Léa je.

Nagle dziewczyna się nachmurzyła.

– Co ci jest?

– Myślę o Camille. Nie mam co jej zanieść, tylko konfitury i ubranie.

– Pomyślałem o tym. Mam dla Camille cały koszyk dobrych rzeczy.

– Także masło?

– Tak, mam masło, cukier, ciasteczka, kiełbasę, paszteciki i nawet mydło!

– Jesteś nadzwyczajny!

– Wiem o tym – odparł Mathias zadowolony z siebie.

Léa wybuchnęła śmiechem.

– Obóz otwierają o drugiej, pociąg odchodzi o jedenastej, nie masz za dużo czasu.

Léa rzuciła okiem na zegar na kominku.

– Idę się ubrać, wstąp po mnie za pół godziny.

Jak tylko Mathias wyszedł, Léa przyszykowała śniadanie dla Laurenta, który wpadł w zachwyty na widok masła.

Brakowało im czasu, by ustalić bezpieczne spotkanie w Bordeaux, tym bardziej że Laurent nie wiedział, o której godzinie będzie mógł zobaczyć się z Grand-Clémentem. Pożegnali się więc. Przed wyjściem Léa przytuliła się do Laurenta.

– Bądź ostrożna, nie narażaj się niepotrzebnie.

Wzruszyła lekko ramionami i wyszła z pokoju. List do Camille schowała w prawym pantoflu.

Drobną dłonią w pocerowanej, wełnianej rękawiczce Léa mocno ścisną pałąk ciężkiego koszyka, a jej nogi w bucikach na koturnach brną w błocie pobocza szosy, obrzeżonej drutem kolczastym, która prowadzi do obozu Mérignac. Tłum, głównie kobiet, stoi w ogonku czekając na otwarcie bramy. Wszyscy są marnie ubrani i dygocą z zimna w milczeniu, ze spuszczonej głowami, jak gdyby się wstydzili, że tu stoją. Nagle tłum się poruszył: na przedzie otwarto jedno skrzydło wysokiej, drewnianej bramy najeżonej drutem kolczastym. Postacie się wyprostowują... serca biją mocniej. Léa przekłada koszyk w drugą rękę. Kolumna posuwa się wolno, każdy szykuje swoje dokumenty. Stara kobieta dźwigająca różne paczki, upuszcza dokumenty w błoto, nikt się nie ruszył, by staruszcze dopomóc. Wreszcie nadchodzi kolej Léi. Żałuje teraz, że powiedziała Mathiasowi, iż da sobie radę sama. Rzuciwszy okiem na dowód Léi żandarm ją przepuszcza, podczas gdy inny daje jej znak, by weszła do baraku przy bramie. Tam inni żandarmi oglądają zawartość walizek, koszyków, toreb i paczek, notują nazwisko odwiedzającego i odwiedzanego. Za brudną firanką odbywa się rewizja osobista; kobiety rewiduje strażniczka. Léa sztywnieje pod dotknięciem rąk, które macają jej ciało przez ubranie.

— Niech pani zdejmie pantofle.

Léa zamyka oczy, by ukryć radość. Jakie to szczęście, że w toalecie pociągu wyjęła z pantofla list! Spokojnie podaje buty kobiecie.

— Niech się pani na mnie nie gniewa. Wie pani, niektórzy chowają listy w butach — mówi kobieta zwracając Léi obuwie. — Może pani iść.

Léa bierze koszyk. Nie zdjęła rękawiczek. List Laurenta ma w lewej rękawiczce. Robi kilka kroków po błotnistej ziemi, nie widzi, co się wokół dzieje, nie śmie uwierzyć, że jej się udało. Ktoś ją popycha i to pchnięcie przywołuje Léę do rzeczywistości.

A więc tak wygląda obóz w Mérignac, o którym tyle się mówi w okolicy, ta przechowalnia zakładników: około dziesięciu drewnianych baraków krytych falistą blachą i zaopatrzonych w wieże strażnicze. Kilku więźniów wałęsa się tu i tam. Na dzisiejszą okazję jeden z baraków został zamieniony w rozmównicę: jest tam kącik dla kobiet i drugi — nieco większy — dla mężczyzn, na środku króluje żelazny piecyk. Léa staje na progu.

— Drzwi, do licha! — wrzeszczy jakiś mężczyzna.

Léa wchodzi popchnięta przez żandarma, który zamyka za nią drzwi.

— Kogo pani szuka, panienko?

— Panią d'Argilat — bąka Léa.

— Zaraz przyjdzie, niech pani będzie spokojna. Poszli po nią do izby chorych.

Do izby chorych! Więc Camille jest jeszcze chora!

— Léa!... Och, Léa!

Tak potwornie wychudzona, twarz taka blada, te włosy bezbarwne, gorące ręce, a oczy... Oczy pełne radości, że widzą Léę... Camille obsypuje Léę pocałunkami. Łzy, które zwilżają jej wargi, mieszają się z łzami Léi.

— Jak się ma Charles?

— Dobrze — odpowiada Léa. — Mam wiadomości od Laurenta — dodaje szeptem.

Czuje, jak przytulone do niej chude ciało zwisa bezwładnie. Z pomocą jednej z więźniarek Léa kładzie Camille na ławce.

— Jest taka chora, powinna leżeć.

— Nie, nie — szepce Camille. — Nic mi nie jest — dodaje słowa przeznaczone dla uszu żandarma, który nadchodzi.

Ledwie rzuca okiem na zawartość paczki, ale z zachwytem otula się w dużą, wełnianą chustkę, którą Ruth zrobiła dla niej na drutach. Léa korzysta z tej chwili, by wsunąć jej do ręki list.

— To od Laurenta.

Camille czerwieni się i zaciska w drżącej ręce pomięty papierek.

— Och, dziękuję.

Kaszle. Léa dotyka ręką jej czoła: jest bardzo gorące.

— Masz gorączkę, nie powinnaś była wstawać, to szaleństwo.

— Nie gniewaj się na mnie. W izbie chorych nie wolno odwiedzać, więc nie mogłabym cię zobaczyć. I nie mów Laurentowi, że jestem chora.

— Czy lekarz cię badał?

— Tak, tak, wczoraj. Przychodzi raz w tygodniu. Opowiedz mi o Paryżu, o swoich ciociach, o Françoise i jej dziecku. Jakie jest?

Léa gada o tysiącu rzeczach. Camille promienieje.

Kiedy czas odwiedzin się skończył, obie mają wrażenie, że nic sobie nie powiedziały.

Otrzymawszy od Léi obietnicę nowej wizyty, Camille wybucha płaczem.

— Boję się, że nie wytrzymam — mówi cicho.

Wymachując wolnymi od koszyka rękami, Léa oddala się od obozu, pochłonięta jedną myślą: wydobyć stąd Camille.

Rowerzysta zatrzymuje się obok niej. To Mathias!

— Czy mogę podwieźć panienkę?

Przyjechał po nią! To ładnie z jego strony, bo tramwaje z Mérignac do

Bordeaux kursują raczej rzadko, ale obecność jego nie jest Léi na rękę: zamierzała dyskretnie pójść do kawiarni Bertranda przy nabrzeżu des Chartrons.

— Możesz mnie zawieźć do stryja Luca?

— Oczywiście. Długo tam będziesz?

— Nie wiem, godzinę, może dwie. Spotkamy się o szóstej w kawiarni obok Grand-Théâtre.

— Jak sobie życzysz.

Léa usiadła na ramie roweru, było jej nawet wygodnie między ramionami Mathiasa.

Mówili o Camille, o stanie jej zdrowia. Mathias potwierdził, że Camille nie zostanie długo w obozie i że Rousseau, komendant obozu, obiecał mu zapewnić jej trochę wygód. Niepojęte zażenowanie nie pozwalało Léi zadawać Mathiasowi pytań, które cisnęły się jej na usta.

Mathias zawiózł ją w aleję Chartres, przed dom stryja. Léa weszła do domu, zaczekała kilka chwil w obszernym hallu, wyłożonym białym marmurem, po czym wyszła. Mathias znikł. Szybko ruszyła w stronę nabrzeża des Chartrons, które znajdowało się blisko.

Oprócz kilku ciemnych sylwetek kulących się pod lodowatą mżawką, która zaczęła siąpić, na nabrzeżu nie było nikogo. Léa zwolniła kroku, żeby nie minąć przez nieuwagę kawiarni Bertranda. Jej wejście nie przeszkodziło graczom siedzącym przy jednym ze stolików. Podeszła do kontuaru pod dobrotliwym spojrzeniem niskiego, grubawego kelnera w niebieskim fartuchu. Oprócz niego i graczy w kawiarni nie było żywej duszy. Niski kelner wszedł za kontuar.

— Czego się pani napije?

— Chciałabym się zobaczyć z Davidem — powiedziała Léa jednym tchem.

Szczerą twarz kelnera od razu się zasępiła.

— Pani się myli, tutaj nie ma żadnego Davida.

— Jestem pewna, że jeden z moich przyjaciół miał tu się z nim spotkać dziś po południu.

— Możliwe, ale ja nic o tym nie wiem.

Nagle ogarnęło Léę znużenie. Rozumiejąc, że nic z kelnerem nie wskóra, usiadła przy stoliku.

— Proszę o kawę — powiedziała.

Napój, jaki kelner jej przyniósł, był wstrętny, ale ciepły. Właściciel kafejki znikł gdzieś w głębi sali.

Po kilku sekundach Laurent stanął przed Léą.

— Jesteś szalona, co ty tutaj robisz?

— Czekam na ciebie.

— Chodź, nie siedź tu.

Léa bez słowa poszła za Laurentem do pokoju za barem. Był to pokój bez okien, w którym stało nie posłane łóżko, stolik z surowego drewna, szafa



normandzka i krzesła z kafejki. Znajdujący się tam dwaj mężczyźni spojrzeli na Léeę.

— To ona — powiedział Laurent, popychając lekko Léeę. — Możecie mieć do niej zaufanie. Fortunat i ja często korzystaliśmy z jej usług.

— Ale dlaczego tu przyszła? To szalenie niebezpieczne.

Ci dwaj o minach inkwizytorów zaczynali Léeę denerwować. I o jakim Fortunacie mówił Laurent? Nie знаła żadnego Fortunata. Te ich miny spiskowców śmieszyły ją. Nagle najniższy z mężczyzn uśmiechnął się do Léi.

— Daj jej spokój, widzisz, że się ciebie boi.

Boi się? Coś podobnego, biorą ją za słabą kobietkę!

Niski brunet, który to powiedział, zapytał Léeę:

— Dlaczego chciała pani zobaczyć się z Davidem?

— Wiedziałam, że Lau...

— Proszę nie wymawiać imienia.

— Wiedziałam, że... mój przyjaciel ma z nim spotkanie.

— Kto to pani powiedział?

Zniecierpliwiona Léa odparła z westchnieniem:

— On sam oczywiście.

— To prawda? — zapytał lodowatym tonem brunet, zwracając się do Laurenta.

— Tak.

— Czy zdaje pan sobie sprawę, że postąpił pan wyjątkowo nieostrożnie? Ale chyba miał pan rację — dodał wybuchając śmiechem. — Jestem Aristide, a to David. A pani, jak należy panią nazywać?

Léa odpowiedziała bez chwili namysłu:

— Exupérance.

— Exupérance — powtórzył Aristide. — Dziwne imię, brzmi jak espérance, nadzieja, dobrze pani wybrała.

Laurent spojrział na Léeę z porozumiewawczym uśmiechem. Wiedział, skąd wzięła to imię: oglądali razem "małą świętą" w relikwiarzu bazyliki w Verdelaís.

— Widziałam Camille, oddałam jej list.

— Jak ona się czuje?

Léa postanowiła zapomnieć o danej obietnicy.

— Jest chora, trzeba ją stamtąd jak najprędzej wydostać.

Laurent oparł się o krzesło, ale był opanowany.

— Aristide uważa, że to bardzo ryzykowne przedsięwzięcie: iść na spotkanie z Grand-CLémentem. Nie ufa mu.

— Nie ma racji! — zawołał David, który dotychczas nie odezwał się słowem. — Znam Grand-CLémenta. Wynaleźliśmy i urządziliśmy razem nowe tereny do rzutów lotniczych i przygotowaliśmy nowe skrytki na broń. To człowiek pewny z

OCM (Organisation Civile et Militaire — Organizacja Cywilna i Wojskowa). Nie wiem, co Aristide ma przeciw niemu, nigdy nie chciał się z nim spotkać.

— Posłuchaj, Davidzie, nie będziemy się spierać na temat twojego wielkiego człowieka. Może jest pewny, jak mówisz, ale za dużo gada, prowadzi życie zbyt rzucające się w oczy, za dużo handluje. Wszyscy wiedzą, że "pan" Grand-CLément jest "wielkim" szefem ruchu oporu. Nie rozumiem, co im w Paryżu strzeliło do głowy, by mianować takiego błazna odpowiedzialnym za region B2. Tylko gestapo w Bordeaux o tym nie wie.

— Przesadzasz! Każdy walczy na swój sposób.

— Może jestem niesprawiedliwy, ale coś mi mówi, że ten oficer marynarki, dawny rojalista, przyjaciel pułkownika de la Rocque'a zrobi nam kawał.

— Ty i ten twój dar podwójnego widzenia...

Léa przysłuchiwała się z rozbawieniem wymianie poglądów dotyczących "ubezpieczeniowego agenta tatusia". Usiłowała sobie przypomnieć, jakie zrobił na niej wrażenie podczas ich jedyne spotkanie: mężczyzna raczej wysoki, o dobrej prezencji, coś w rodzaju niczym nie wyróżniającego się człowieka interesu, jakich się lubi w Bordeaux.

— A gdybym tak ja poszła na to spotkanie?

Trzy pary oczu skierowały się na nią.

— Miałam już z nim do czynienia.

— Jak to? — zapytał Aristide.

Léa opowiedziała, jak polecono jej wręczyć Grand-CLémentowi dokumenty pod płaszczykiem kontraktów ubezpieczeniowych ojca.

Aristide wysłuchał jej opowieści w milczeniu. Może to i niezły pomysł, warto się zastanowić.

— A na kiedy wyznaczono spotkanie?

— Jutro u niego, na godzinę przed godziną policyjną.

— Można je anulować — powiedział David. — Jeśli trzeba, mogę się tego podjąć.

— Dobra, anuluj — zgodził się Aristide.

— Miałam wrócić dziś wieczór do Montillac. Muszę zatelefonować, bo w domu będą się niepokoić. Poza tym muszę spotkać się z przyjacielem, z którym miałam wracać do Langon.

— Nie ma pani na to czasu. Ktoś zatelefonuje z poczty do pani rodziny. A przyjaciel pogodzi się z tym, że pani nie przyjdzie. Jeden z nas będzie szedł w pewnej odległości za panią aż do ulicy de Verdun i zaczeka, by w razie czego panią chronić. Zada pani jedno pytanie Grand-CLémentowi: "Czy OCM zgadza się pomóc pani d'Argilat w ucieczce?"

Od kilku minut Léa najwyraźniej nie słuchała ich: zastanawiała się gorączkowo.

— To nie ma sensu. Jeśli zapytam o to Grand-CLémenta, który za dużo gada,

jak pan twierdzi, będzie wiadomo, że wam pomagam, i ja z kolei stanę się podejrzana. Ponadto jeśli ucieczka Camille się uda, będzie musiała ukrywać się aż do końca wojny. Wobec stanu jej zdrowia i ze względu na jej synka nie jest to pożądane.

— Słusznie! — przytaknął Aristide. — A co pani proponuje?

— Pójdę spotkać się z nim we własnym imieniu i będę go błagała, żeby coś zrobił ze względów humanitarnych.

— Ale on wie, że maczała pani palce w ruchu oporu, skoro przekazywała mu już pani dokumenty — powiedział David.

— Myślałam już o tym. Będę odgrywać narwaną dziewczynę, która nie rozumie powagi tego, co robi.

Aristide nie zastanawiał się długo nad propozycją Léi. Jej rozsądne rozumowanie go zachwyciło.

— Uważam, że pani ma rację. David, uprzedź Tête-de-pioche, niech dyskretnie za nią idzie, jak tylko ona opuści ten lokal. Exupérance, nie powinna pani tutaj przychodzić, to zbyt niebezpieczne.

David wyszedł z pokoju.

— Dam sobie radę.

— Nie wiem, czy powinienem pozwolić, byś narażała się dla mnie na takie ryzyko — wtrącił się Laurent.

— Nie dla ciebie, dla Camille.

Najśmieszniejsze, że mówiła prawdę, zdawała sobie bowiem sprawę, że od czasu ich dramatycznej wspólnej ucieczki z Paryża nie przestała się czuć odpowiedzialna za Camille.

Laurent bez słowa uściskał Léę.

David wrócił.

— Tête-de-pioche czeka na panią w ukryciu. Jeśli po drodze coś nawali, proszę zamiast kapelusza włożyć na głowę ten szalik. Tête-de-pioche zrozumie, że daje mu pani znak, i będzie gotów interweniować. Będzie szedł za panią, aż zasygnalizuje mu pani, że niebezpieczeństwo minęło, kładąc w ten sposób palce na ustach. Zrozumiała pani?

— Tak, nie jest to zbyt skomplikowane.

— Będę czekał na panią jutro w "le Régent" przy placu Gambetta od dwunastej w południe.

Wszedł właściciel kawiarni.

— Wszystko w porządku, można iść.

Léa podniosła rękę gestem pożegnania i wyszła. Kiedy przechodziła przed właścicielem kawiarni, ten powiedział:

— Proszę nie mieć do mnie żalu, panienko, ale takie miałem polecenie.

Zamiast odpowiedzi Léa uśmiechnęła się do niego najpiękniejszym ze swoich uśmiechów.

Na dworze zapadła już noc, Blade światło sączyło się spod zamkniętych drzwi domów, żadne okno się nie świeciło. Latarnie nie paliły się także. Było zimno i wilgotno. Na szczęście z ulicy de Verdun do nabrzeża des Chartrons Léa nie miała daleko.

Kilka samochodów stało przed domem numer 34, wchodzili tam ludzie elegancko ubrani. Léa wahała się chwilę: nie była to może najlepsza pora na odwiedzanie Grand-CLémenta. Trudno. Przyszła tu. Musi wejść. Zadzwoiła.

Pokojówka otworzyła drzwi i usunęła się, by wpuścić Léę, o nic nie pytając.

— Pani tutaj, droga przyjaciółko!

Léa odwróciła się i natychmiast poznała go, a tak bała się, że nie pozna. On także ją poznał.

— Czego pani sobie życzy?

— Muszę z panem pomówić.

— Pora nie jest odpowiednia, czekam na przyjaciół. Niech pani przyjdzie jutro.

— Nie, to sprawa życia i śmierci — powiedziała Léa podnosząc melodramatycznie głos. — Tylko pan może mi pomóc.

Grand-CLément leciutko się uśmiechnął, wyraźnie zadowolony.

— Niech mi pani wierzy, że niczego bardziej nie pragnę niż dopomóc tak uroczej osobie jak pani, ale źle pani wybrała porę.

— Błagam pana. Powiem krótko, o co mi chodzi.

— Dobrze, chodźmy do mojego gabinetu. Kochanie — zwrócił się do młodej kobiety, która szła w ich kierunku — przepraszam, muszę coś jeszcze załatwić. To zajmie mi kilka minut, przyjmij na razie naszych gości zamiast mnie.

Wprowadził Léę do gabinetu, który już знаła. Tam usiłowała go oczarować, wzruszyć i przekonać.

Pod koniec rozmowy Grand-CLément obiecał, że osoba tak gorąco przez Léę polecana znajdzie się lada dzień na wolności.

— Nie lada dzień, ale natychmiast.

— Jaka pani prędką. Słuchając pani można by sądzić, że Niemcy tylko czekają na mój rozkaz, by uwolnić więźniów.

— Jestem pewna, że pan potrafi załatwić tę sprawę.

— Niech pani przyjdzie do mnie jutro o czwartej, powiem pani, jak sprawa wygląda — zakończył rozmowę Grand-CLément wstając.

W przedpokoju pokojówka pomagała dość wysokiemu mężczyźnie zdjąć palto.

— Stryju Lucu!

— Léa! Co ty tutaj robisz? Myślałem, że jesteś w Paryżu u ciotek.

— Przyjechałam prosić pana Grand-CLémenta o pomoc w wydostaniu Camille d'Argilat z obozu Mérignac.

— Zna pan tę panienkę?

– To córka mojego brata Pierre'a, który zmarł w zeszłym roku. Pani d'Argilat jest jedną z jej przyjaciółek. Odkąd mąż pani d'Argilat znikł, mieszkają razem w Lagon z jedną z moich sióstr. Panią d'Argilat znam dobrze. To dystygowana osoba. Jeśli pan może jej pomóc, będę panu bardzo wdzięczny.

– Drogi panie mecenasie, obiecałem pańskiej bratanicy, że zrobię co się da.

– Dziękuję panu.

– Do widzenia, stryju.

– Gdzie ty idziesz? Nie wracasz do Montillac dzisiaj wieczór. Nie ma już pociągu, a wkrótce godzina policyjna. Jeśli chcesz, możesz przenocować u mnie.

– Dziękuję, stryju Lucu, jestem umówiona z przyjaciółmi.

– Jak chcesz. W Montillac wszystko w porządku?

– Tak. Do widzenia. Do widzenia panu.

– Do widzenia pani, do jutra. Mam nadzieję, że będę miał dla pani dobre nowiny.

Na dworze było bardzo ciemno. Léa nie zdjęła kapelusza. Teraz musiała się dowiedzieć, czy Mathias jest jeszcze w kawiarni Grand-Théâtre. Tak, był!

Był tam, i to wściekły.

– Gdzie byłaś? Dlaczego wystawiłaś mnie do wiatru? Nie byłaś u stryja, nikt tam ciebie nie widział. Gdzie byłaś?

– Wytłumaczę ci.

– Hej, zakochani, zaraz zamykam! Za dziesięć minut godzina policyjna.

– Dobrze, dobrze. Wychodzimy. Poczekaj trochę. Nie znoszę, jak ktoś ze mnie kpi.

– Przepraszam pana, ale lokal jest już zamknięty.

Mężczyzna, który stał na progu z rękami w kieszeniach nieprzemakalnego płaszcza, nie odrywał oczu od Léi. Był to Tête-de-pioche, o którym na śmierć zapomniała. Zrobiła umówiony gest. Odszedł mówiąc:

– Żegnam państwa.

– Dokąd idziemy? – zapytała Léa, jak tylko wyszli na deszcz i zimno.

– Powiedz mi, gdzie byłaś, kiedy czekałem na ciebie jak głupi.

– Później ci wytłumaczę. Na razie umieram z zimna i głodu.

– Ruth i twoja siostra na pewno są niespokojne!

– Uprzedziłam je. Wiesz, gdzie moglibyśmy pójść?

Pytanie Léi pozostało bez odpowiedzi. Szli przez kilka minut w milczeniu, przeszli przez esplanadę des Quinconces, podobną do wielkiej, czarnej dziury. Mathias wyjął z kieszeni latarkę elektryczną i podał Léi. Ominęli worki piasku w alei de Tourny i weszli do uliczki w pobliżu kościoła.

Wąskie schody, strome i śliskie, prowadziły do oszklonych drzwi, na których widniały duże, emaliowane litery: "Hôtel". Mathias, który wziął ze sobą rower, popchnął drzwi, wprawiając w ruch miedziany dzwonek. Rozległo się długie

dzwonięcie. Słabo oświetlone schody czuć było kotami i zupą cebulową, a ponadto unosił się tam mdły zapach tanich perfum.

— Śmierdzi tu — powiedziała Léa cicho.

Mathias wzruszył ramionami.

— Kto tam? — zapytał ochryply głos.

W głębi pokoju błyszczał rozżarzony czubek papierosa.

— To ja, pani Ginette. Zarezerwowała mi pani pokój?

— Ach, to ty, chłopaczku? Masz szczęście, mogłabym twój pokój wynająć sto razy, ale pomyślałam sobie: takiego chłopaka nie można zostawić na ulicy. Przyszedeś z kimś?

Z mroku wyłoniła się kobieta, najgrubsza ze wszystkich, jakie Léa kiedykolwiek widziała. Na przesadnie umalowanej twarzy lśniło dwoje inteligentnych i złośliwych oczu ociekających tuszem i tonących w tłuszczu. Niekształtna, otulona w szlafrok z wytartego aksamitu kobieta podeszła do nich, powłócząc nogami w brudnych bamboszach. Léa cofnęła się odruchowo jak zalęknione dziecko.

— Pani Ginette, to moja przyjaciółka z lat dzieciństwa, o której już pani mówiłam.

— Hej, chłopcze, nie powiedziałeś mi, że twoja smarkula jest taka milutka. Nie nudzisz się pewnie z taką lalunią.

— Pani Ginette!

— Po co ciągle powtarzać pani Ginette i pani Ginette. Mogę mówić u siebie, co chcę. Słowo daję, zakochany smarkacz. Nie rozprawicę ci twojej laluni. Choć nie dziwiłabym się wcale, gdyby z takimi ptaszkami jak ty już to się stało. Prawda, malutka? Nie takiej kobiecie jak ja opowiada się banialuki.

Léa wytrzeszczyła oczy wobec tego potoku słów, niezupełnie nawet zrozumiała i wypowiedzianych w dodatku z mocnym akcentem miejscowym.

— Pani Ginette, proszę panią!

— O co mnie prosisz, mały rozpustniku... Z igły robisz widły. Jeszcze trochę, a się rozgniewam. Ale kurewka ci się trafiła na medal!

— Mathias, chodźmy stąd — powiedziała Léa. — Pani nie ma, zdaje się, ochoty nas przyjąć.

— Jak ona ładnie mówi ta zgrabna prawiczka: "Pani nie ma ochoty nas przyjąć". Nie podoba mi się taki facet, co bierze mnie za idiotkę. Proszę, smarkacz sobie poszedł, nic nie powiedział, a teraz wraca z "przyjaciółką z lat dzieciństwa". Odgrywa mądralę, a nie ma nawet forsy, żeby zapłacić za pokój. Jeśli chcesz udawać szczęściarza, sukinsynu, trzeba forszę wysupłać, bo się rozgniewam.

— Proszę pani, to wszystko, co mam przy sobie. Czy to wystarczy? — zapytała Léa oschłym tonem, wyjmując kilka banknotów z torebki.

Grubaska przeliczyła je i wsunęła do kieszeni szlafroka.

— Można powiedzieć, że masz fart, chłoptasiu. Znasz drogę?

— Tak, dziękuję.

Mathias nacisnął wyłącznik. Słabe światło jedynej, nagiej żarówki oświetliło długi korytarz, do którego pchnął Léę.

— Te, smarkaczu, nie zapomnij swojego roweru.

Mathias wrócił po rower, który wziął na ramię.

Pokój był taki sam jak wszystko tutaj: ponury i zimny. Nie mogąc się opanować Léa, stojąc na środku pokoju, rozplakała się. Mathias wziął ją w ramiona. Odepchnęła go.

— Nie dotykaj mnie.

Położyła się na łóżku, zdjęła botki i przykryła się grubą, niebieską pierzyną, która wydawała się luksusowa i była nieoczekiwanie czysta w tym nędznym otoczeniu.

— Zaraz wracam.

Léa uniosła się na łóżku zaniepokojona: nie zostawi chyba jej samej w tym ohydny miejscu, z tą grubą babą, która ją przeraża?

— Nie bój się. Przyniosę coś do jedzenia. Zaraz wracam — powtórzył Mathias.

Podczas jego nieobecności Léa leżała skulona pod grubą pierzyną.

— Zadusisz się — powiedział Mathias odkrywając ją. — Zupa nie może czekać, zaraz ostygnie. Niech się panienska pofatyguje, obiad na stole.

Nie do wiary! Skąd on wytrzasnął ten stolik barowy, przykryty nienagannie białą serwetką, na której błyszcząły srebrne nakrycia, godne luksusowej restauracji? Butelka mardaux leżała w plecionym koszyku, obok stał koszyk z czterema bułeczkami, a także półmiski z kurczakiem na zimno i sałatą oraz talerz kremu czekoladowego i duża waza, w której parowała smakowita zupa z czosnkiem.

Léa nie mogła się nadziwić! Ten chłopak, którego w swoim przekonaniu знаła na wylot, wydawał się jej coraz bardziej tajemniczy. Był chyba jedynym człowiekiem, który po godzinie policyjnej w Bordeaux potrafił zdobyć posiłek jakiego nie powstydziliby się porządna, przedwojenna gospodyni.

— Skąd to wzięłeś?

— Nie stąd w każdym razie. Mam kumpla, który jest kucharzem w pobliskiej restauracji. Możesz jeść to spokojnie, cała śmietanka Bordeaux bywa w jego lokalu.

— Musi to kosztować zawrotną sumę. Wydawało mi się, że nie masz pieniędzy?

— To prawda, ale mam kredyt. Siadaj. Nie kręć się tak, trzeba coś zjeść.

Léa przełknęła łyżkę zupy i odsunęła talerz.

— Dlaczego wyjechałeś do Niemiec?

— To ci nie w smak, co? Nie podoba ci się, że jestem po stronie silniejszych. Wyczuwam to dobrze, odkąd wróciłeś z Paryża, unikasz mnie... Nie wyobrażasz sobie chyba, że tacy jak Laurent d'Argilat i Adrien Delmas będą tutaj rządzą?

Sądziysz, że pokornie pozwolimy komunistom się rządzić.

– Przecież ani Laurent, ani stryj Adrien nie są komunistami.

– Może, ale są terrorystami jak tamci.

– Zwariowałeś kompletnie, biedaku... Uważasz pewnie tortury za rzecz normalną.

– Torturuje się żydowską hołotę.

– Camille to żydowska hołota?

– Powinna była nie wychodzić za męża za byle kogo!

– Łajdaku!

– Zobaczysz jeszcze, co potrafi ten łajdak. Kiedyś tak nie mówiłaś. — Mathias wyciągnął rękę.

– Jeśli mnie dotkniesz, noga twoja nie postanie nigdy więcej w Montillac. Nigdy.

Mathias zbladł. A więc to już nie jest przyjaciółka z lat dzieciństwa, ale właścicielka majątku, w którym oni pracują, jego ojciec i on. Po raz pierwszy Léa mówiła do niego tym tonem. Robotnik! Służący! Tym jest dla niej. Zabawiała się nim, jak markizy i baronowe zabawiały się niegdyś swoimi paziarnymi.

– Zapominasz, biedaczko, że "twoje" Montillac ma obciążoną hipotekę i jeśli mój ojciec i ja odejmiemy, będziesz musiała go sprzedać za marne grosze.

– To, co mówisz, jest wstrętne. Myślałam, że lubisz tę ziemię tak samo jak ja.

– Nie lubi się długo tego, co do człowieka nie należy.

Mathias schwycił jedną ręką Léę za przeguby dłoni, przewrócił na łóżko i usiadł na jej nogach, by nie mogła się poruszyć. Wolną ręką rozpiął rozporek.

– Nie, Mathias! Nie. Daj spokój!

– Nie uwierzę, że to ci się już nie podoba.

Zadiera jej spódnicę, zrywa majtki. Léa walczy, wypręża się, pluje mu w twarz, zaciska uda... Mathias wymierza jej policzek, jeden, drugi. Pęka jej warga, tryska krew. Léa przeraźliwie krzyczy... Mathias rozchyła jej nogi i wbija się w nią.

Léa patrzy na niego przerażona. Czuje ból, jakiego nigdy nie zaznała, ogarnia ją przejmujący strach. Łzy tryskają jej z oczu, kapią na poduszkę.

– Przestań, Mathias... Przestań! Boli mnie, boli...

– Słuchaj uważnie. Przestanieś odstawiać jaśnie panienkę. Tego, co wiem, wystarczy, żebym cię wpakował do obozu, kiedy zechcę: przewoziłaś listy na niebieskim rowerze... wiem wszystko. Nie brak mi przyjaciół w gestapo. Mam cię w ręku. Więc radzę być grzeczną. Pojadę znowu do Niemiec, będę tam tak długo, ile trzeba, żeby zmiążdżyć wszelkie plugastwo, potem wrócę tutaj spokojnie, wyjdiesz za mnie i będziemy właścicielami Montillac... Jestem cierpliwy.

Opadł na Léę całym swoim ciężarem, szukając ustami jej ust, gwałcąc ją. Léa dygotała, zaciskając mocno zęby.

– Kocham cię, Léo, kocham.



Po dłuższej chwili wyszedł z niej. Członek miał zakrwawiony.

Léa naciągnęła pierzynę na zbolące ciało i leżała załamana.

Mathias pogłaskał ją po twarzy, odepchnęła w milczeniu tę rękę. Długo patrzył na nią bez słowa. Léa spała albo udawała, że śpi. Zgasił światło.

Léa obudziła się pierwsza z potwornym bólem w brzuchu. Dzień wydawał się piękny, przez zasłony z brzydkiej, czerwonej tkaniny promień słońca usiłował przeniknąć do pokoju, oświetlając odklejone tu i ówdzie, podarte i ohydne tapety w duże, niebieskie i czerwone kwiaty. W lustrze naprzeciw Léa zobaczyła siebie i śpiącego obok Mathiasa.

Uniosła się. Na zegarku była jedenasta. Jedenasta godzina! Wstała z wielkim wysiłkiem. Dygocąc w lodowatym pokoju, włożyła buciki i palto. Mathias poruszył się we śnie. Léa znieruchomiała na chwilę, potem odszukała torebkę pod łóżkiem, potrąciła stół, na którym brzęknęły szklanki i talerze. Mathias ciągle spał.

Na końcu korytarza chudzielec o żółtawej cerze, ze zgasłym papierosem w ustach, niedbale zamiatał podłogę.

Na dworze jaśniało błękitne niebo zamiast wczorajszej mżawki. Unoszący się w powietrzu zapach wiosny wślizgiwał się do smutnych ulic. Na wieży kościoła wybiła dwunasta. Léa pobiegła ulicą Montesquieu, minęła ulicę de l'Intendance, musiała się zatrzymać, żeby przepuścić tramwaj, i stanęła zadyszana przed kawiarnią "le Régent". Była to godzina aperitif: na tarasie siedziało mnóstwo ludzi. Przy wielu stolikach zobaczyła oficerów niemieckich.

Ten David zwariował, jak mógł wyznaczyć jej tutaj spotkanie! Nie było go na tarasie. Léa zdecydowała się wejść do środka. Tam zobaczyła Davida natychmiast: siedział na ławeczce pogrążony w lekturze "La Petite Gironde". Wydawał się młodszy i rozpromieniony.

— Zna pani nowinę?

Léa pokręciła przecząco głową.

— Wczoraj ogłosili przez radio Londyn, że Leningrad jest wolny. Omal nie rozplakaliśmy się z Aristide'em, kiedy usłyszeliśmy, jak Jacques Duhesn ochryplym głosem podaje tę wiadomość. Wyobraża pani sobie? Wytrzymali szesnaście miesięcy... Nie odnoiszę wrażenia, że sprawiło to pani radość.

— Oczywiście, mam tylko okropną migrenę... To wspaniała wiadomość!

David przyjrzał się Léi nieco uważniej.

— To prawda, wygląda pani gorzej niż wczoraj. Może ma pani jakieś kłopoty?

— Nie, wszystko dobrze mi poszło.

— A Grand-CLément?

– Obiecał, że zrobi wszystko, co będzie mógł. Wyznaczył mi spotkanie u siebie dzisiaj o czwartej.

– Doskonale. Powiem Tête-de-pioche, żeby tam był. Niech pani pamięta: jeśli coś nawali, niech pani wkłada szalik na głowę.

– Pani życzy sobie czegoś?

– Tak... nie... nie wiem.

– Jadła pani coś dzisiaj?

– Nie, ale nie chce mi się jeść. Poproszę o wodę vichy z sokiem malinowym i aspirynę, jeśli pan ma.

– Zobaczę, proszę pani.

Gromada chłopców weszła na salę śmiejąc się hałaśliwie. Léa wyczuła, że David znieruchomiał. Chłopcy wyglądali jednak całkiem nieszkodliwie. Kelner wrócił z wodą vichy i dwiema tabletkami aspiryny.

– Ma pani szczęście, szefowa miała aspirynę w torebce.

– Proszę jej podziękować w moim imieniu.

– Ile jestem winien?

– Woda vichy z sokiem malinowym i kieliszek sauternes... Sześć franków, proszę pana, nie licząc obsługi.

– Proszę. Niech pani się pospieszy, trzeba stąd wiać.

Léa przełknęła tabletki i poszła za Davidem. Na dworze wziął ją pod rękę i poprowadził ulicą Judaïque.

– Dlaczego tak szybko wyszliśmy? Z powodu tamtych chłopców?

– Tak.

– Dlaczego?

– Mam nadzieję, że nigdy ich pani nie spotka. Są to ludzie komisarza Painsota.

– Oni? Wyglądali na studentów!

– Ładni mi studenci! Potrafią lepiej się posługiwać pałką niż językiem francuskim. To niebezpieczne typki bez żadnych skrupułów, torturują i mordują zarówno dla własnej przyjemności, jak i dla pieniędzy.

– Dlaczego wyznaczył mi pan spotkanie w takim lokalu?

– Dlatego, że w środowisku wrogim jest się najbardziej bezpiecznym. Tutaj się pożegnamy. Co będzie pani robiła do czasu spotkania z Grand-CLémentem?

– Trochę się przejdę, świeże powietrze dobrze mi robi. Potem pójdę może do kina.

– To dobry pomysł. Dają "Wieczornych gości" Carnégo w kinie "Olimpia". Film jest niezły, choć koniec nie bardzo się udał.

– Widziałam w Paryżu ten film. Co mam robić po wyjściu od Grand-CLémenta?

– Pójść na dworzec Saint-Jean i wsiąść do pociągu. Przed kioskiem z

gazetami kobieta z "Przewodnikiem po Francji" w ręku podejdzie do pani mówiąc: "Pociąg z Paryża dzisiaj się spóźnia", a pani odpowie: "Chyba nie". Po czym zda jej pani sprawozdanie z rozmowy z Grand-CLémentem i wsiądzie do pociągu do Langon.

— A jeśli z jakiegokolwiek powodu nie będę mogła pójść na dworzec?

— Dowiemy się o tym od Tête-de-pioche, który nie przestanie pani obserwować. Ale jest rozkaz, by pani możliwie najszybciej wróciła do domu.

— Rozkaz? — powiedziała Léa marszcząc brwi.

— Tak, czy to się pani podoba, czy nie. Należy pani teraz do organizacji i musi nas słuchać we własnym i ogólnym interesie. Aristide jest bardzo surowy pod tym względem.

— Gdzie jest Lau... Lucius?

— W miejscu pewnym, w Landach. Niedługo będzie pani miała wiadomość od niego. Do widzenia, Exupérance. Good Luck.

— Do widzenia, Davidzie.

— Jutro pani przyjaciółka wyjdzie z obozu.

Léa nie wierzyła własnym uszom. Grand-CLément żartował sobie chyba, to niemożliwe!

— Jak to?

— Gestapo doszło do wniosku, że pani d'Argilat nie wie nic o działalności męża i nie zna nawet miejsca jego pobytu. Może pani zna?

Niespodziewane pytanie omal nie zbiło Léi z tropu. Zbladła z przerażenia, ale zdołała się opanować i odpowiedziała najniewinniej w świecie:

— Ja? Nie. Nie widziałam go od pogrzebu mojego ojca.

Trudno było się zorientować, czy Grand-CLément uwierzył jej czy nie.

— To człowiek ostrożny, takich u nas się ceni.

— U nas?

— Tak, w ruchu oporu.

— To bardzo niebezpieczna działalność — powiedziała Léa z tak dobrze udanym strachem, a zarazem z podziwem w głosie, że jej rozmówca odrzekł chępliwie:

— Tak, bardzo, ale taka jest cena wyzwolenia naszej ojczyzny.

Léa, którą zaczynała mierzić rola idiotki, coraz gorzej się czuła w towarzystwie tego człowieka, którego nie rozumiała. Zapytała więc tylko:

— O której pani d'Argilat ma wyjść z obozu?

— Około południa. Trzeba przygotować samochód, jest osłabiona po chorobie. Pozwoliłem sobie powiadomić o tym pani stryja, mecenasa Delmas, który zarządził, bym dał jego samochód do pani dyspozycji. Będzie pani mogła odwiedzić panią d'Argilat do domu.

— Bardzo dobrze pan zrobił, dziękuję panu za wszystko. Ale jak to się panu

udało?

— Prawdę mówiąc, niewiele w tym mojej zasługi. Kiedy wyłożyłem całą sprawę komendantowi obozu, odpowiedział mi, że właśnie dostał rozkaz uwolnienia pani d'Argilat i około dziesięciu innych kobiet aresztowanych z powodów rodzinnych.

Czy mówił prawdę? W każdym razie brzmiało to wiarygodnie. Léa zadowolona się tym wyjaśnieniem i odeszła. Na pożegnanie Grand-Clément powiedział:

— Mam nadzieję, że zobaczę jeszcze panią w przyjemniejszych okolicznościach.

Gdyby nie wspomnienie nocy, które jej nie opuszczało, Léa, idąc ulicą de Verdun, tańczyłaby z radości. Tego pięknego, zimowego popołudnia głąaskały ją ostatnie promienie słońca. Postanowiła pójść do stryja Luca Delmas, żeby wreszcie się umyć i pozbyć wrażenia, że jest zbrukana... i uprzytomniła sobie po raz pierwszy w tym dniu, co ją spotkało.

Mathias, przyjaciel z lat dziecińczych, z wczesnej młodości, umarł dla Léi we wstrętnym hotelu prowadzonym przez ohydą prostytutkę. Nie wybaczy mu tego nigdy. Nie potrafiła natomiast ocenić, w jakim stopniu jego groźby są niebezpieczne. Przekonała się teraz, że jest zdolny do wszystkiego, ale nie wiedziała, jaką ma nad nią władzę. Nie może być mowy o wyrzuceniu Fayardów z Montillac, dopóki nie będzie wiedziała dokładnie, jak wygląda hipoteka majątku i jakie rewelacje o niej Mathias ma dla gestapo...

W jadalni mecenasa Delmas było ciepło, a posiłek podany przez starą i wierną kucharkę wydawał się równie pozbawiony smaku jak przed wojną.

W towarzystwie stryja i jego syna Philippe'a, który wreszcie skończył studia prawnicze i pomagał ojcu w gabinecie, Léa czuła się coraz gorzej.

— Jakie szczęście, że tatuś jest przyjacielem prefekta, gdyby nie to, pani d'Argilat groziłyby długie miesiące więzienia.

— Uważasz to za normalne, ty, adwokat, że pakuje się do więzienia kogoś, kto nic złego nie zrobił?

— Może ona nic nie zrobiła, ale męża jej poszukuje przecież policja.

— Jaka policja? Francuska czy niemiecka?

— Wiesz doskonale, że tutaj policjanci współpracują.

— Trudno byłoby o tym nie wiedzieć...

— Dzieci, nie kłóćcie się. Nie masz racji, Léo, przybierając taką postawę. Tutaj, w Bordeaux, my tylko wypełniamy dyrektywy szefa rządu. Inne postępowanie byłoby sprzeczne z interesami naszego kraju. Wybór marszałka Pétaina uchronił Francję przed bałaganem i anarchią komunistyczną, nie mówiąc już o tym, że uratował tysiące istnień ludzkich...

— Stryju Lucu, stryj zapomina, że w tym wypadku istnienia ludzkie, jak stryj mówi, niewiele ważyły i rozstrzelano dziesiątki zakładników.

— To smutną konsekwencją bandytyzmu uprawianego przez nieodpowiedzialnych ludzi będących na żołdzie Moskwy i Londynu.

— Stryju! Jak stryj może tak mówić, kiedy tacy ludzie jak stryj Adrien i Laurent d'Argilat...

Mecenas Delmas wstał tak gwałtownie, że przewrócił ciężkie krzesło. Cisnął z wściekłością serwetkę na stół.

— Nie chcę słyszeć o moim bracie. On dla mnie umarł, już ci to mówiłem. Co do Laurenta d'Argilat, to nie wiem, co mu się stało, był przecież dobrym oficerem. Dobranoc, przez ciebie straciłem apetyt.

Luc Delmas wyszedł z pokoju trzaskając drzwiami. Léa wypila do końca swoje wino.

— Ładne rzeczy, do jakiego stanu doprowadziłaś tatusia! Nie będzie spał dzisiaj w nocy.

— Trochę bezsenności mu się przyda. Zastanowi się może nad tym, co będzie robił po wojnie, którą Niemcy przegrają.

— Biedna dziewczyno! Jeszcze jest sporo czasu, lepiej byś się zajęła swoimi wielbicielami niż sprawami, które należą do mężczyzn.

— Biedny Philippe! Zawsze będziesz taki głupi. Nie potrafisz patrzeć na świat inaczej niż oczami ojca. Pierrot zrozumiał. Wolał stąd się wynieść.

Philippe wstał, blady jak płótno.

— Na szczęście nie wspomniałaś o nim przy tatusiu, bo bym wyrzucił cię za drzwi.

Léa wzruszyła ramionami i zapytała:

— Gdzie jest Pierrot? Macie wiadomości od niego?

— Jest w więzieniu w Hiszpanii.

— W więzieniu?

— Tak, ma to, na co zasłużył. Tatuś omal nie umarł, kiedy znalazł w swoim pokoju kartkę, w której Pierre oznajmiał, że ma zamiar dostać się do Afryki Północnej i tam wstąpić do wojska.

— Oczywiście, ty byś tak nie postąpił.

— Możesz sobie pokpiwać. Gdyby nie zły przykład stryja Adriena, chłopiec nigdy by nie wyjechał. Na szczęście został aresztowany, zanim się dostał do Maroka.

— Na szczęście?

— Tak, tatuś ma przyjaciół adwokatów w Madrycie, którzy mu obiecali, że załatwią repatriację Pierre'a.

— A on znowu wyjedzie.

— Dziwiłbym się bardzo. Nie wychodzi się łatwo z kolegium jezuitów, zwłaszcza kiedy ojciec nalega, by ratować młodą duszyczkę.

— Ale metody!

— W naszych czasach konieczne, moja droga. Lepiej wzięłabyś przykład z syna waszego rządcy.

– Z Mathiasa?

– Tak, mimo swego pochodzenia młody Fayard zachowuje się lepiej niż wielu młodych ludzi z naszej sfery.

– Ach, jeśli chodzi o zachowanie, zachowuje się rzeczywiście na medal! Śmieszny jesteś, biedaku. Zupełnie jakbym słyszała ciocię Bernadette: "Młodzi ludzie z naszej sfery!" Nasza sfera przepadła, została wymieciona, znikła na wieczne czasy. Ty i tobie podobni to pogrobowcy, dinozaury...

– Dinozaury czy nie dinozaury, na razie dzięki ludziom takim jak my ten kraj jeszcze stoi.

– Uważasz, że to jest stanie, żyć zmiażdżonym niemieckimi buciorami i lizać im podeszwy?

– Widzę, że uważnie słuchasz tych facetów z radia Londyn, którzy – bezpieczni na swojej wyspie – nawołują do buntu wszystkich komunizujących nierobów w naszym nieszczęśliwym kraju.

– Zapominasz o codziennych bombardowaniach Anglii.

– To jeszcze za mało dla tych angielskich świi.

– Ty, mieszkaniec Bordeaux, mówisz tak o naszych kochanych kuzynach!

– Nie jesteś dowcipna, kretynko.

Znowu ten brak wzajemnego zrozumienia, te same spory, te same obelgi, jak w dzieciństwie.

Léa omal nie zostawiła Philippe'a i nie poszła się położyć, ale zaniepokoiło ją to, co mówił o Mathiasie.

– Co miałaś na myśli mówiąc o Mathiasie?

– To tylko, że pobyt w Niemczech trochę go nauczył rozumu i zamiast spędzać czas na wpatrywaniu się w siebie rozkochanym wzrokiem stał się mężczyzną, na którego można liczyć.

– Co przez to rozumiesz?

– Zbyt to skomplikowane, bym ci tłumaczył, zobaczysz sama. Robi się późno. Jutro muszę być wcześniej w sądzie. Będziesz spała w pokoju Corinne. Nie zapomnij zgasić światła, zanim pójdziesz na górę.

– Dobranoc.

Léa długo jeszcze siedziała zamyślona z łokciami na stole, z brodą wspartą na dłoniach, zastanawiała się z rosnącym niepokojem, co Philippe miał na myśli mówiąc o Mathiasie.

Nazajutrz rano mecenas Delmas i Léa pojechali do obozu w Mérignac po Camille. Biedaczka była tak osłabiona, że żandarm musiał zanieść ją na rękach do samochodu adwokata. Po dokonaniu wszystkich formalności wyjechali wreszcie z obozu, odprowadzani obojętnymi spojrzeniami nielicznych więźniów krążących na zimnym, siąpiącym deszczu.

Półleżąc w głębi samochodu Camille patrzyła, jak otwiera się przed nią najeżona drutami kolczastymi brama, była jednak zbyt wyczerpana, by się cieszyć.

Camille starczyło jeszcze siły, by przytulić syna, po czym, umęczona gorączką, straciła kontakt z otoczeniem. Doktor Blanchard orzekł, że ma zapalenie płuc i wstrząs mózgu. Przez trzy tygodnie walczyła ze śmiercią. Ruth, Laure i Léa czuwały kolejno przy chorej, tracąc chwilami nadzieję, że opadnie kiedyś gorączka, która spalała coraz to chudsze ciało Camille. Lekarz, który przychodził co dzień, wrywał sobie resztki siwych włosów i zastanawiał się nawet, czy nowenna, zamówiona przez Bernadette Bouchardeau do Najświętszej Marii Panny z Verdelaïs, nie pomoże chorej bardziej niż jego leki, co w ustach takiego starego ateisty jak Félix Blanchard brzmiało wręcz złowieszczo.

W połowie lutego gorączka nagle opadła i w ciągu kilku następnych dni Camille powoli odzyskała przytomność. Była jednak tak słaba, że Ruth musiała ją karmić łyżeczką jak małe dziecko. Mówienie stanowiło dla niej także wielki wysiłek. Wreszcie, na początku marca, doktor Blanchard orzekł, że pani d'Argilat jest uratowana, i patrzył ze wzruszeniem, jak chora sama podnosi do ust łyżkę rosółu. Camille mogła wreszcie czytać listy Laurenta i fragmenty jego dziennika, które jej przekazano. To dodało jej sił. Chowała je starannie w torbie z robótkami, z którą nie rozstawała się nigdy.

Podczas długiej choroby Camille Léa ani razu nie wyjeżdżała z Montillac. Nie wiedziała, co pisał Laurent, i nie miała znaku życia od Mathiasa. Czy wrócił do Niemiec? Małżonkowie Fayard stawali się coraz bardziej oziębli i wykonywali swoją pracę nie wdając się nigdy w rozmowy z mieszkańcami "zamku", ograniczając się jedynie do konwencjonalnych "dzień dobry" i "dobry wieczór" przy okazji rzadkich spotkań.

Pod koniec marca można już było wynieść Camille na słońce, gdzie leżała na leżaku zawinięta w koc. Przybrała trochę na wadze, ale wciąż była przerażająco blada i chuda. Ruth bez wysiłku zanosila młodą kobietę do ogrodu.

Pieniądzy w Montillac było coraz mniej. Léa i Laure odwiedziły notariusza ojca w Cadillac. Doradził im, by sprzedały trochę ziemi, nie ukrywał jednak, że będą miały z tym nie mało trudności, gdyż nikt obecnie ziemi nie kupował, a jeżeli już, to po bardzo niskiej cenie.

— Czy nie można by zaciągnąć długu na hipotekę lasu? — zapytała Laure.

— Hipoteka posiadłości pań jest już obciążona, nie wiem, czy można zaciągać nowe długi.

— Gdybyśmy miały inne wyjście, nie przyszłybyśmy do pana prosić o radę! —



zawołała Léa.

— Wiem, moje dziecko, wiem. Przez pamięć na przyjaźń, jaka łączyła mnie z waszymi rodzicami, mogę wypłacić paniom sumę, którą mi zwrócicie, kiedy spadek po ojcu będzie uregulowany.

Léa chciała podziękować, ale Laure ją wyprzedziła:

— To bardzo nam się przyda, przyjmujemy pana propozycję z wdzięcznością.

— W przyszły czwartek przywiozę paniom do Montillac pieniądze wraz z kilkoma papierami do podpisania. Proszę pamiętać, że jeśli panie zechcą coś sprzedać albo obciążyć hipotekę, muszą mieć zgodę starszej siostry i stryja, który jest opiekunem panny Laure.

— To jest naprawdę nieodzowne? — zapytała Léa.

— Tak, bezwzględnie. Panna Laure jest jeszcze niepełnoletnia.

Wracając rowerem do Montillac Léa miała wrażenie, że jakiś rowerzysta, którego gdzieś już przelotnie widziała, jedzie za nimi. Nie po raz pierwszy zresztą od powrotu Camille miała wrażenie, że ktoś je śledzi.

— Zatrzymaj się! — krzyknęła do siostry.

Laure, zdumiona, zeskoczyła z roweru.

— Co się dzieje?

— Siądźmy na chwilę, jestem zmęczona.

Usiadły na trawiastym poboczu. Rowerzysta przejechał obok nie patrząc na nie. Był młody i dobrze ubrany. Twarz jego wydała się Léi znajoma.

— Widziałaś już tego chłopca? — zapytała siostrę.

— Tak, na poczcie w Langon, kiedy wysyłałam paczkę do cioci Albertine. Stał tuż obok.

— Rozmawiał z tobą?

— Nie, uśmiechnął się tylko do mnie. Wczoraj także, kiedy go spotkałam w Verdelsais. Ale...

Laure spojrzała na siostrę z niespokojnym pytaniem w oczach.

— ...nie sądzisz chyba?

— Owszem. Ja także już gdzieś widziałam tę twarz, ale nie mogę sobie przypomnieć, gdzie mianowicie. Odkąd przywiozłam Camille z Bordeaux, dziś po raz pierwszy wyjechałam z majątku. Już wiem! Przypomniałam sobie! To było w kawiarni "le Régent", wszedł tam z grupą rówieśników. Hałasowali okropnie.

— Może przyjechał tutaj na ferie?

— Na ferie? W marcu?

— A czemuż by nie? Niedługo Wielkanoc.

— Nie sądzę, żeby przyjechał na ferie. Trzeba będzie bardzo uważać. Źle to wypadło, miałam właśnie zamiar pojechać jutro do La Réole.

— Po co?

— Nie mogę ci powiedzieć, ale będziesz musiała mi pomóc.

Laure spojrzała na siostrę bez słowa. Od dnia, w którym gestapo zabrało ją wraz z Ruth i Camille i usłyszała, jak dwóch policjantów francuskich opowiadało ze śmiechem, że mają sposób, by zmusić do mówienia każdego, podziw, jaki Laure miała dla Pétaina, znacznie osłabł. Była gotowa dopomóc Léi przedostać się za linię demarkacyjną.

— Zrobię, co mi powiesz.

Siostry weszły ze śmiechem do rzeźnika w Saint-Macaire, zostawiając rowery na małym podwórku przy sklepie. Rzeźnik, którego starszego syna ich matka trzymała do chrztu, przyjął je bardzo przyjaźnie.

— O, panny Delmas! Rzadko widuje się panie razem, śliczne panienki. — Po czym, ściszone głosem, choć w sklepie oprócz nich nikogo nie było, dodał: — Przygotowałem piękny kawałek dla pani Camille, to doda jej sił. Czy ma się lepiej?

— Tak, trochę lepiej, panie Robercie. Bez pana nieczęsto jadłybyśmy mięso w Montillac. Niedługo będziemy mogły zapłacić panu za wszystko. Notariusz ma dać nam z góry trochę pieniędzy.

— Proszę się o to nie martwić, panno Léo, policzymy się później, kiedy ta kurewska wojna się skończy. Nie mam dziś dużo, ale wystarczy na dobry rosół. Dzisiaj jednak poproszę o kartki.

— Masz kartki żywnościowe, Laure?

— Tak... — Laure pochyliła się w stronę siostry i szepnęła: — Widziałam go przed chwilą. Nie jest sam. Jest z innym chłopakiem.

— Panie Robercie, niech pan wyjrzy dyskretnie na ulicę. Zna pan tych chłopców, którzy stoją koło sklepu zielarskiego?

Rzeźnik wyszedł na próg sklepu, wycierając ręce w fartuch.

— Nie, nie znam. Ale już ich widziałem, kręcą się tutaj. Nie wyglądają na porządnych chłopaków, są za dobrze ubrani jak na dzisiejsze czasy.

— Laure, wiesz, co masz robić. Czy mogę wyjść tylnymi drzwiami, panie Robercie?

— Rozumiem, panno Léo. Niech te łobuzy tu tkwią. Stamtąd nie dojrzą, co się dzieje na podwórku.

Léa z największą szybkością zjechała spadzistą uliczką za kościołem, minęła grotę, skierowała się na ulicę biegnącą wzdłuż Garonny i znalazła się na drodze do La Réole, trochę przed Saint-Pierre d'Aurillac.

Kiedy podjechała do posterunku przy linii demarkacyjnej, szlaban był podniesiony. Zatrzymała się i zeskoczyła z roweru. Stary żołnierz niemiecki wyszedł z baraku.

— A, panienka na niebieskim rowerze, dawno pani nie widziałem. Nie trzeba się zatrzymywać, przejście jest teraz wolne. Szczęśliwej podróży.

Prawda, pomyślała Léa wsiadając znowu na rower, zupełnie zapomniałam, że od końca lutego nie ma już linii demarkacyjnej między dwiema strefami.

Chcąc uspokoić Camille i dla własnego spokoju Léa postanowiła pojechać do La Réole i dowiedzieć się u małżonków Debray, czy nie mieli wiadomości od

Laurenta i czy mogliby przekazać mu krótki liścik. Ruth, z którą się podzieliła swoimi obawami na temat śledzenia mieszkańców Montillac, usiłowała odradzić jej tę wyprawę, mówiąc, że jest niebezpieczna nie tylko dla niej, lecz także dla osób, z którymi chce się zobaczyć. Léa odpowiedziała, że doskonale zdaje sobie z tego sprawę, ale nie może dłużej nic nie wiedzieć o losie Laurenta. Stara guwernantka z lękiem, którego nie mogła opanować, patrzyła zrezygnowana, jak odjeżdżają "jej" dwie dziewczynki.

Léa zjechała wysokim zboczem ku miastu. Na moście spotkała trzy czarne samochody osobowe i dwie furgonetki, z których żołnierze niemieccy machali do niej wesoło rękami. To spotkanie trochę ją zaniepokoiło. Pchając rower weszła pod górę, przejęta wzmagającym się niepokojem. Kiedy przechodziła przez plac Gabriel-Chaigne, ludzie stojący w grupie, bardzo czymś wzburzeni, umilkli na jej widok. Oddaliła się tylko o kilka metrów, kiedy jakiś mężczyzna minął ją i nie patrząc na nią powiedział:

— Niech pani jedzie na plac Saint-Pierre, potem pod numer jeden przy ulicy de la Glacière. Proszę tam wejść i czekać na mnie.

Głos tego nieznanego, przysadzistego mężczyzny w roboczym kombinezonie i granatowej czapce brzmiał tak autorytatywnie, że Léa bez namysłu wjechała w ulicę Numa-Ducros. Przy ulicy de la Glacière furтка była otwarta. Léa weszła do środka. Minęło niespełna pięć minut, a nieznanomy w czapce wszedł tam także.

— Pani jest z zamku Montillac koło Saint-Maixant?

— Tak.

— Po co pani przyjechała do La Réole?

Z jakiej racji on się wtrąca?

— Nic panu do tego.

— Niech się pani nie stawia, chcę panią uchronić przed kłopotami.

— Jakimi kłopotami?

— Przed aresztowaniem na przykład.

Léa poczuła, że odwaga jej topnieje. Wybąkała:

— Dlaczego mieliby mnie aresztować?

— Aresztowali właśnie dwoje moich przyjaciół, których pani zna.

— Państwa Debray?

— Tak. Ach, maleńka, niech pani nie mdleje.

Nieznanomy schwycił Léę za ramię i posadził na schodku.

— Simone — zawołał — przynieś no szklankę wody!

Drzwi, przed którymi Léa siedziała, otworzyły się i młoda kobieta w fartuchu w drobną, niebieską kratkę zjawiła się ze szklanką wody w ręce.

— Co tu się dzieje, Jacques?

— To dla panienki, nie czuje się dobrze. Jest znajomą państwa Debray.

— Biedaczka!... Proszę, niech się pani napije wody.

Drżące ręce ujęły szklankę. Woda ledwie przechodziła przez zaciśnięte gardło.

— Co się stało? — zapytała wreszcie Léa z trudem.

— Niech pani tu nie siedzi — powiedziała Simone. — Proszę, wejdźmy do domu.

Pomogła Léi wstać. Weszły do dużej kuchni, na płycie gotował się kapuśniak. Usiedli wszyscy troje na ławkach otaczających stół.

— Co się stało? — powtórzyła Léa nieco już mocniejszym głosem.

— Ktoś musiał ich zadenuncjować. Dziś o świcie ze dwudziestu żołnierzy niemieckich i francuscy cywile, te świny, otoczyli ich dom. Jeden kumpel, który właśnie szedł do swojej winnicy, schował się, jak ich zobaczył. Jakiś cywil powiedział przez megafon, żeby Debrayowie wyszli z domu, bo jak nie wyjdą, każe strzelać. Była chwila ciszy, potem z domu rozległy się dwa wystrzały. Wtedy bosze zaczęli strzelać jak wariaci. Kiedy wreszcie przestali, pełno było niebieskiego dymu. Dwóch cywilów z pistoletami w ręku weszło do domu. Bardzo szybko wyszli, ciągnąc za barki panią Debray. Biedna kobieta była tylko w nocnej koszuli. Długie, siwe, zakrwawione włosy wlokły się po ziemi. Oparli ją o drzewo i wrócili do domu. Kiedy wyszli znowu, trzymali pod pachy pana Debray, który jeszcze im się wyrывał. Twarz miał zalaną krwią. Postawili go obok żony. Kumpel mówił, że nie był to piękny widok. Pan Debray musiał strzelić sobie w usta, zastrzeliwszy uprzednio żonę. I w dodatku strzelając do siebie, spudłował.

— Okropne! Dlaczego?

— To od nich nadawano wiadomości do Londynu. W zeszłym tygodniu zrzucono u nas sprzęt radiowy najlepszej jakości. Radiotelegrafista przyjechał nazajutrz pociągiem.

— Aresztowano go także?

— Nie, on tutaj nie mieszkał. Jak tylko się dowiedziano, co się stało, zabrano go w stronę Duras, do lasu.

— Co było potem?

— Potem cywile i kilku żołnierzy przeszukali dom. Wyrzucili przez okno sprzęt radiowy, książki, meble. Jeden z cywilów wybiegł z domu i brutalnie podniósł pana Debray, który położył się na zwłokach żony. Kumpel mi mówił, że stamtąd, gdzie stał, dobrze widział barki biedaka wstrząsane łkaniem. Tamten cywil potrząsał rannym brutalnie i wrzeszczał: "Lista! Gdzie jest lista?! Będziesz mówił, stary łajdaku?!" Żaden dźwięk nie wydobył się z rozdartych ust. Wtedy tamten łobuz przewrócił biedaka na ziemię i zaczął go kopać. Najgorsze było to, powiedział mój kumpel, że pan Debray wcale się nie bronił, jak gdyby pragnął śmiertelnego ciosu. Kiedy kumpel podniósł głowę, Niemcy pakowali oba ciała do furgonetki.

Byli pewnie w tej furgonetce, którą spotkałam po drodze, ci żołnierze tak się śmieli, pomyślała Léa ze zgrozą.

— Wydano rozkaz po niemiecku i wkrótce z okien buchnęły płomienie. Korzystając z dymu, który go zasłonił, mój kumpel uciekł i przyszedł nas ostrzec. We dwójkę obeszlśmy z nim wszystkich kolegów.

Ktoś zapukał do drzwi i na progu stanął żandarm.

Léa, znieruchomiła z przerażenia, patrzyła na niego.

– Niech się pani nie boi, panno Léo, to jeden z naszych.

– Albercie, to bratanica dominikanina, szła do państwa Debray. Pamiętasz, mówili nam o niej.

– No, miała pani szczęście. Oni zostawili tam swoich ludzi, nie pozwalają nikomu się zbliżyć i aresztują tych, którzy wydają się im podejrzani. Aresztowali Manuela, sprzedawcę od Rosierów. Na szczęście mer, który przyszedł na miejsce pożaru, poręczył za niego, a że o niczym nie wie, zrobił to nawet w dobrej wierze.

– Czy to pewne, że pan Debray nie żyje?

– Zdaniem kolegów, tak. Tak czy owak, krew ciurkiem z niego się lała, więc bez pomocy lekarskiej musiał kipnąć. Na wszelki wypadek koledzy na kilka dni wyniosą się z domu. Ojciec Terrible, mogę pana prosić na chwilę?

Dwaj mężczyźni wyszli.

– Miała pani szczęście, że Terrible panią poznał – powiedziała Simone.

– Kto to jest ten Terrible? – zapytała Léa.

– Jest stolarzem, wspaniały facet. To on przyniósł nadajnik do Debrayów.

– Pani także jest w ruchu oporu?

Simone wybuchnęła śmiechem.

– Za wielkie słowo. Z kilkoma kobietami stąd i z okolicy przenosimy listy, czasem broń, ukrywamy lotników albo dzieci żydowskie. Gotuję zupę dla tych, którzy powracają w nocy po odebraniu zrzutów.

– Nie boi się pani?

– Nie, człowiek o tym nie myśli, a z takimi mężczyznami jak Rigoulet i Terrible czuję się bezpieczna.

– Nawet po tym, co niedawno działo się tutaj?

– Co komu przeznaczone. Wszyscy ci, którzy mają nadajniki, wiedzą, na co się narażają, i Debrayowie wiedzieli o tym lepiej niż ktokolwiek inny. Dziwi mnie tylko, że tacy wierzący ludzie popełnili samobójstwo.

– Nie mieli wyboru – powiedział Jacques Terrible, który właśnie wrócił. Pan Debray nie sypałby podczas tortur, jestem tego pewien, ale trudno by mu było znieść widok torturowanej żony. Jeśli jest Bóg, na pewno mu wybaczy. Simone, może byś nam dała coś do picia.

– Prawda, przez to nieszczęście zapomniałam o gościnności.

Simone wyjęła z szafy napoczętą butelkę wina i cztery szklaneczki.

– Trzy wystarczy. Rigoulet musiał pójść na posterunek.

Simone nalała wina, tręcili się i wypili w milczeniu. Terrible postawił szklaneczkę i mlasnął językiem.

– Z Pied-de-Bouc?

– Tak, to porządne wino.

— Proszę pani, teraz, kiedy pani już wie, kim jesteśmy, czy zechce mi pani powiedzieć, po co jechała do Debrayów i czy byli uprzedzeni o pani wizycie?

— Nie, nic nie wiedzieli. Jechałam dowiedzieć się, czy mają wiadomości od pewnego mojego przyjaciela i czy mogliby się z nim porozumieć.

— Jakiego przyjaciela?

Léa zawahała się. Jakie nazwisko powinna podać?

— Laurenta d'Argilat.

— Znam go.

— Wie pan, gdzie jest?

— Tak.

— Proszę mnie do niego zaprowadzić.

— To niemożliwe, ale mogę przekazać mu wiadomość od pani.

— Proszę mu powiedzieć, że jego żona ma się już lepiej, ale ciągle jest bardzo słaba; dom jest śledzony i niech Laurent da mi o sobie znać.

— Pani polecenia będą przekazane. Ale mówi pani, że dom pani jest śledzony, a czy jest pani pewna, że nikt za panią nie jechał?

— Tak, zupełnie pewna. Muszę już wracać, nie powinnam spóźnić się za bardzo.

— Czy pani także zechce przekazać wiadomość?

— Jaka?

— W Saint-Pierre d'Aurillac zobaczy pani niedaleko od kościoła kawiarnię z piękną altaną. Zapyta pani o Lafourcade'a, powiedzą pani, gdzie można go znaleźć. Kiedy pani go znajdzie, proszę mu powiedzieć: "Pies Hostensa ma się dobrze".

— "Pies Hostensa ma się dobrze"?...

— On wie, co to znaczy. Niech nie zapomni uprzedzić ludzi Bariego.

— "Pies Hostensa ma się dobrze". Zrozumiałam.

— Dziękuję pani, odda nam pani wielką przysługę. A gdybym miał coś dla pani, czy ma pani jakiś pseudonim?

— Exupérance.

— Jak święta w Verdélais. Po raz pierwszy usłyszałem to imię z ust pani stryja.

— Stryja Adriena? Jak on się miewa?

— Bardzo dobrze. Podnosi na duchu naszą młodzież. Często odprowadza tych, którzy chcą dostać się do Hiszpanii.

— Nie wie pan, czy kuzyn Lucien jest z nim?

— Lulu? Ten od bomb? Oczywiście.

— Proszę, niech pan powie stryjowi, że muszę z nim się zobaczyć. To bardzo ważne.

— Powiem mu. No, niech pani już idzie. Simone odprowadzi panią aż do

granic miasta. Proszę uważać. Jeśli coś nawali, niech pani mi przyśle kartkę do warsztatu ze słowami: "Drzwi źle się zamykają". Uprzedzą mnie. Do widzenia.

Kiedy Léa weszła od tyłu do kuchni Alberta w Saint-Macaire, na dzwonnicy biła pierwsza godzina. Rzeźnik, jego żona Mireille, jego pomocnik i Laure siedzieli przy stole przed smakowicie wyglądającą jagnięcą łopatką.

– Widzę, że nie nudzicie się tutaj beze mnie.

– Czekaliśmy na ciebie – powiedziała Laure wskazując nakrycie przed wolnym miejscem przy stole.

– Tamci nie zauważyli, że mnie nie ma?

– Nie, wychodziłam po chleb z Mireille i przechodząc przed ich domem, bardzo głośno dziękowałam, że zaprosili nas na obiad. Szli za nami z daleka. Od tej pory czatują kolejno. Widziałaś swoich przyjaciół?

Łzy, które Léa dotychczas zdołała powstrzymać, trysnęły jej z oczu. Mireille, żona Roberta, wstała i przytuliła Léę do siebie. Po tym matczynym geście Léa rozszlochała się jeszcze bardziej. Zażenowany Robert krążył wzruszony koło dwóch kobiet.

– Wielki Boże! Co się tu dzieje? Co ci jest, maleńka?

– Nic... ale... dziś rano... aresztowano moich przyjaciół... Nie żyją...

– Umarli!

– Oboje?

Trochę spokojniej, ale ciągle zalewając się łzami Léa opowiedziała im, co się wydarzyło. Po jej opowieści zapadło milczenie. Robert hałaśliwie wytarł nos. Jego zwykle rumiana twarz zszarzała. Ogromną pięścią walnął w stół, aż zabrzęczały szklanki i talerze.

– Przyjdzie dzień, kiedy te sukinsyny zapłacą za wszystko. Panno Léo, błagam, niech pani się do tego nie miesza. Pani przyjaciele to co innego, syna im zabili, nie mieli już nic do stracenia. Ale pani, panna Laure i pani Camille jesteście młode, pozwólcie takim starym durniom jak ja, którzy nie potrafili w czterdziestym roku zatrzymać Niemców, by teraz próbowali coś zrobić.

– Szefie, my także mamy coś do powiedzenia! A Jeannot? Wstąpił do maquis.

– To prawda, ale wy jesteście mężczyznami.

– Zawsze ta sama śpiewka! – zawołała Mireille. – My, kobiety, nie mniej ryzykujemy, choć nie mamy karabinów. Dostaję boleści od takiego gadania!

– Nie denerwuj się, nie to chciałem powiedzieć.

– Ale powiedziałaś: że kobieta to coś gorszego niż mężczyzna, że kobieta nadaje się do podcierania pup dzieciaków, prowadzenia sklepu, gotowania, zmywania i pieszczot od czasu do czasu! Ale kiedy trzeba chować waszą broń albo waszych Anglików, to jednak ty i twoi kumple zwracacie się do kobiet.

Dzięki tej małżeńskiej sprzeczce Léa otrzymała potwierdzenie, że Robert pracuje dla ruchu oporu. Tak ją to pokrzepiło na duchu, że znów poczuła się głodna.

— Jesteście oboje na medal, ale mięso stygnie, a szkoda.

— Racja! — przytaknął rzeźnik. — Gdybyśmy nawet umarli z głodu, nie przywróci to życia tamtym biedakom. Przysięgam jednak, że będą pomszczeni.

Trzy dni później Léa dostała list od François. Koperta była otwierana przez policję, potem zaklejona na nowo. Léa poszła do gabinetu, żeby przeczytać, co pisze François, i cieszyła się każdym słowem skreślonym jego szerokim, pochyłym piśmem.

*"Léo Najślicniejsza,*

*nie możesz mi zarzucić, że nie myślę o Tobie, skoro decyduję się poświęcić kilka cennych chwil na ten list. Chciałem po prostu pogratulować Ci smykalki do interesów. Miałem szczęście raczyć się wczoraj wieczór w Paryżu, przy stole Ottona Abetza, waszym winem z Montillac. Arcydzieło prostoty i świeżości, ale z charakterem i pewną dowcipną skłonnością do słodyczy. To wino jest do Ciebie podobne jak brat i składam Ci dzięki, żeś je sprzedała. Jeśli tak będzie dalej, zostaniesz kobietą interesu uginającą się pod ciężarem pracy i odpowiedzialności, przygwożdżoną ad vitam aeternam do swoich winnic. Ten twój obraz dosyć mi się nawet podoba.*

*Jak tylko poczuję się znużony rozkoszowaniem się Tobą z daleka, skorzystam z pierwszej okazji, by przyjechać i zobaczyć, jak smakujesz na miejscu. Bądź rozsądna i ostrożna. Wiele czułości i pieśczot.*

*François.*

*P.S. Wiem o Debrayach".*

Ten krótki list zdumiał Léę. Jak wino z Montillac mogło trafić do Paryża? Jak mogło być podawane do stołu w domu Ottona Abetza? Pomyślała natychmiast o Mathiasie i o starym Fayardzie. Jak oni śmieli? Poczula się upokorzona, potraktowana jak kolaborantka...

Ogarnięta paniką na myśl, że będzie musiała stawić czoło Fayardowi, postanowiła poświęcić trochę czasu na napisanie listu do François. Odpowiadając mu natychmiast, zapytała o szczegóły sprawy i prosiła o radę. Przy okazji napisała pięć długich stron, na których podała mu wiadomości o wszystkich razem i o każdym z osobna, a także nie omieszkała mu wytknąć, że jego list był lakoniczny.

W następnny czwartek notariusz zgodnie z obietnicą przywiózł poważną sumę, dzięki której Léa wypłaciła Fayardowi to, co mu się należało, nie robiąc żadnych aluzji do handlu, jaki po kryjomu uprawiał. Fayard bez słowa przyjął pieniądze.

Siedząc w gabinecie ojca Léa patrzyła na pagórki pokryte delikatną zielenią winorośli, na łąkę, gdzie wydając głośne okrzyki goniła niegdyś Mathiasa, gdzie w porze sianokosów bawiła się z nim w chowanego wśród aromatycznych stogów. A potem sadowiła się na wysokim wózku naładowanym sianem i jechała do domu kołysząc się lekko w rytm kroków dwóch wołów, Laroueta i Caoubeta, z rękami splecionymi na karku i oczami utkwionymi w bezdenne błękit, przecinany śmiganiem delikatnych jaskółek. Wspominając spokojne chwile dzieciństwa, w których Mathias odgrywał taką rolę, doznawała wielkiego smutku, czuła się wewnątrz rozdartą, co odbierało jej spokój na długie godziny...



Postanowiła przejrzeć rachunki, by zorientować się i zrozumieć, jak Fayard mógł zwędzić kilka butelek wina. François nie odpowiedział na jej list. Liczby tańczyły przed oczyma Léi. Jak może się zmierzyć z Fayardem przyzwyczajonym do uprawiania pokątnego handlu od wielu pewnie już lat? Jak znaleźć niedokładność w rachunkach? Daremnie traciła czas i siły na jałowe obliczenia, a nikt w domu nie mógł jej pomóc, gdyż wiadomość od François postanowiła zachować w tajemnicy.

Ilekróć zostawała sama, ogarniał ją dziwny lęk na myśl, że Mathias ma ją w rękę, że się znalazła w potrzasku. Im mniej mówił, tym bardziej się go bała.

Tego kwietniowego wieczoru ciemności zapadły wcześniej. Przez cały dzień padał deszcz, a północny wiatr potrząsał gałęziami drzew w dużej alei. Usadawiwszy się w kuchni przed kominkiem, w którym płonęły pędy winorośli, Laure i Léa grały w karty na stojącym między nimi stolczku. Ruth cerowała bieliznę, Camille robiła na drutach. Bernadette Bouchardeau zaś poszła na górę do swojego pokoju, żeby już się położyć. Tylko ogień z kominka oświetlał kuchnię, a w jego blasku trzy kobiety wyglądały jak postacie z obrazu Georges'a de la Tour. Powiewy wiatru, trzaskanie ognia, szelest drutów, śmiech graczek w karty, wszystko to pogłębiało wrażenie spokoju i ładu rodzinnego. Wojna wydawała się bardzo daleka.

Gwałtowny powiew wiatru zaniepokoił Camille. Położyła robótkę na kolanach, mocniej otuliła się szalem i zwróciła oczy w stronę drzwi. Były uchylone, pewnie podmuchem wiatru. Mimo słabości Camille wstała, żeby je zamknąć. Wyciągnęła już rękę do klamki, kiedy drzwi gwałtownie się otworzyły na oścież. Dwie kobiety przy kominku znieruchomiały.

Mężczyzna w przemokniętym ubraniu, który stanął na progu, podtrzymywał kogoś drugiego. Wszedł i zamknął drzwi nogą.

— Prędej... Pomóżcie mi.

— Camille, odsuń się i usiądź, przeszkadzasz. Ruth i Laure, pomóżcie nam!

Z ich pomocą przybysz położył swego towarzysza na stole. Następnie, jak bywalec w tym domu, zapalił światło.

— Lucien! — zawołały jednocześnie Léa i Laure.

— Stracił dużo krwi. Ruth, proszę mi przynieść apteczkę.

— Tak, ojcie.

— Stryju Adrien!

— Kochane, nie pora na czułe powitania. Léo, ktoś musi pojechać do Verdelaix po doktora Blancharda.

— A czy nie można zatelefonować?

— Nie, wystrzegam się telefonów.

— Dobrze, już jadę.

— Jedź przez Bellevue, nie chciałbym, żeby Fayardowie czegoś się domyślili. Widziałem u nich światło.

Godzinę później Léa przywiozła lekarza, który narzekał na "cholerną pogodę".

— Félix, o pogodzie porozmawiamy innym razem, a teraz zajmij się chłopcem.

Doktor Blanchard zdjął swój stary płaszcz nieprzemakalny i podszedł do Luciena, który miał ręce owinięte białymi szmatami nasiąkłymi krwią. Lekarz ostrożnie zdjął ten prowizoryczny opatrunek.

— Do licha! Kto to zrobił?

— Bomba.

— A co on robił z bombą?

— Robił ją.

Ten powód wydał się pewnie lekarzowi ważki, bo o nic więcej nie pytał. Zajął się badaniem ran.

— Trzeba zawieźć go do szpitala.

— To niemożliwe. Zawiadomią policję, a policja zawiadomi gestapo.

— Prawa ręka do kitu, trzeba ją amputować.

Twarz Adriena Delmas zbladła pod pokrywającym ją brudem i błotem.

— Jesteś pewien?

— Spójrz, same strzępy.

— Biedny chłopiec!... Pójdę po jego matkę.

— Nie, Ruth! Nie trzeba. Bernadette zacznie krzyczeć, płakać, zaalarmuje sąsiadów. Félix, pomożemy ci, powiedz, co mamy robić.

— Nie ma mowy, żebym sam robił operację. Ostatni raz amputowałem kończynę w siedemnastym roku, w przygodnym szpitalu. Jestem lekarzem wiejskim, nie chirurgiem.

— Wiem, nie mamy jednak innego wyjścia. Jeśli dostanie się w łapy gestapo, będą go torturowali, zacznie sypać, a potem oni zabiją chłopaka.

Blanchard spojrzał na tych, co go otaczali, przyjaciół od niepamiętnych czasów, potem na zemdlonego młodzieńca, Luciena, którego znał od dziecka, który rósł na jego oczach, a teraz leżał tu ranny i ociekał krwią.

— Zgoda. Proś tego swojego Boga, by nie drgnęły mi stare ręce. Zagotujcie wody. Na szczęście zabrałem ze sobą dużą torbę. Mam nadzieję, że moje narzędzia chirurgiczne nie zardzewiały. Ruth, Adrienie i Léo, będziecie mi pomagali. Camille, niech pani idzie się położyć, ledwie się pani trzyma na nogach. Laure, zajmij się Camille.

Léa oddałaaby wszystko na świecie, byle móc się ulotnić. Mimo to nie drgnęła, przykładając kuzynowi do nosa chloroform.

Do końca życia nie zapomni zgrzytu piły o kość Luciena.

Podczas operacji Lucien jęknął raz czy dwa. Kiedy doktor Blanchard skończył operację, dwudziestoletni chłopiec nie miał już prawej ręki i dwóch palców u lewej.

Nazajutrz obudził się około południa i zobaczył niespokojną twarz matki, wuja i doktora Blancharda pochylonych nad sobą. Uśmiechnął się do nich i powiedział:

– Zapomniałem już, co to jest wygodne łóżko.

Bernadette Bouchardeau odwróciła głowę, by ukryć łzy. O świcie ze zdumiewającym spokojem przyjęła wiadomość o operacji syna. Spodziewano się, że będzie krzyczeć, mdleć, lamentować, tymczasem łzy popłynęły z jej oczu i powiedziała jedynie:

– Bogu niech będą dzięki, że żyje.

Lucien obrócił się w stronę matki.

– Mamusiu!...

– Leż spokojnie, kochany. Straciłeś dużo krwi. Doktor Blanchard powiedział, że potrzebujesz całkowitego spokoju.

– A co z moją ręką? To nie jest nic poważnego, panie doktorze?

Wszyscy spuścili głowy. Matka jęknęła.

– Dlaczego nic nie mówicie?

Jakże ciężka była ta ręka, którą usiłował podnieść... Jakże dziwny miała kształt tak owinięta.

W stojącą za drzwiami Lée uderzył krzyk, który potem przez całą noc wwiercał się w jej uszy: Nie!... Nie!... Nie!

Adrien Delmas przemierzał z kąta w kąt pokój dziecinny w najgłębszej rozpacz, jakiej może doznawać kapłan: stracił wiarę. Od początku wojny walczył z wątpliwościami: przed zejściem do podziemia podzielił się nimi ze swoim spowiednikiem, który powiedział mu, że musi znieść próbę zesłaną przez Boga, który doświadcza jego wiarę. Dla miłości i służby Bożej dominikanin gotów był znieść wiele cierpień, dziś jednak czuł się zmęczony daremnymi modlitwami, których słowa straciły dla niego swój pierwotny sens. Wszystko to wydawało mu się teraz żenująco naiwne, a ludzie, którzy zmarnowali życie służąc mrzonce, wydali mu się nagle głupi lub złośliwi i zakłamani. W zamęcie myśli zapominał o swoich wielkich mistrzach, myślicielach katolickich, pod których wpływem rozkwitła jego inteligencja. Odrzucił Pascala, księdza Rancé, świętego Augustyna, Jana od Krzyża, Teresę z Avila, Châteaubrianda, Bossueta i inne sługi Kościoła. Mylili się wszyscy. Popelnili błąd i wprowadzili go w błąd. Co znaczą ich próżne słowa wobec nieszczęścia tego okaleczonego chłopca? Co można odpowiedzieć na niemy wyrzut matki? Jaki sens miały słowa pociechy, których nie szczędził umierającym i rannym podczas rewolucji w Hiszpanii. Jest jak wyschnięte drzewo figowe z Ewangelii: jałowy, nie rodzi owoców. Po co żyje, jeśli jego życie nie jest dla nikogo pokrzepieniem? Z jego winy Lucien pozostanie kaleką przez resztę życia. Z jego winy ten chłopiec należy do ruchu oporu. Gdyby on, Adrien, zadowolił się przebywaniem w klasztorze przy ulicy de Saint-Genés, jak mu rozkazał jego przełożony, zamiast odgrywać kapelana bojowników ruchu oporu, siostrzeniec jego nigdy by do tego ruchu nie przystał. Wiedział również, że to może być nieprawdą i że jego osoba nie miała wpływu na Luciena. Długo o tym rozmawiali podczas wieczorów zimowych, które spędzili razem w farmie będącej schronieniem chłopców z maquis. Najpierw było ich kilku, ale powoli ci, którzy nie chcieli jechać do Niemiec na roboty, przyłączali się do nich. Teraz zebrało się około trzydziestu chłopców, za których on jest odpowiedzialny. Jest nie tylko niezaprzeczalnym dowódcą wojskowym tej małej grupy, lecz także podporą moralną tych chłopców. Nigdy ani przez chwilę jego chłopcy nie zdawali sobie sprawy z jego rozterki duchowej. Niewielu zresztą wiedziało, że jest księdzem. Wszyscy podziwiali jego ostrożność, umiejętności organizacyjne, zmysł konspiracji i doceniali względny komfort, jaki potrafił im zapewnić. Dzięki doskonałej znajomości okolicy i jej mieszkańców wiedział zawsze, do czyich drzwi należy zapukać, by otrzymać pomoc, pieniądze i żywność. Jeden z jego kolegów szkolnych, mason i dygnitarz w La Réole, stworzył, z pomocą innych masonów, organizację utrzymującą regularny kontakt ze środowiskami masonów

angielskich i uzyskał zrzuty żywności, broni i ubrania. Codzienne zajęcia, akcje organizowane przeciw urzędowi skarbowemu, merostwom, zrywanie linii wysokiego napięcia, rozprowadzanie ulotek i pism podziemnych, starania o fałszywe dokumenty, przerzucanie do Hiszpanii rodzin żydowskich, wszystko to wypełniało mu cały dzień i część wieczoru. Ale w nocy, podczas długich nocy bezsennych czytał Ewangelię, nawiązywał ponownie dialog z Bogiem, który mu się wymykał. Nad ranem zaś zapadał w krótki sen nawiedzany demonicznymi symbolami zrodzonymi z wyobraźni średniowiecznego mnicha albo wizjami wyrafinowanych tortur godnych "Le jardin des supplices" Mirabeau, który zatruł niegdyś jego pobożną młodość. Wynurzał się ze swego krótkiego uśpienia umęczony i pełen smutku. Z czasem głębokie zmarszczki porały mu twarz, włosy posiwiały, ubranie, nagle za szerokie, wisiało na nim. Widząc tę zmianę doktor Blanchard zaniepokoił się o zdrowie starego przyjaciela. Adrien ofuknął go ze śmiechem. Co zrobi teraz z Lucienem? Nie ma mowy o pozostawieniu chłopca w Montillac, to zbyt niebezpieczne. Zabierze go do obozu? Nie wcześniej niż za trzy czy cztery miesiące. Wyśle do Hiszpanii? Rzecz możliwa do zrobienia, ale trudna. Ostatnio aresztowano wielu przewodników. Trzeba by skomunikować się z ojcem Bertrandem z Tuluzy, który utrzymuje stały kontakt z zakonnikami szwajcarskimi.

Ktoś zapukał do drzwi.

— To ja, stryju Adrienie.

— Wejść. Przepraszam za zajęcie twojego królestwa. Przychodzisz tu nadal?

Léa uśmiechnęła się.

— Coraz rzadziej. Ja bardzo wydorostałam, wiesz.

— Wiem.

— A ty, stryju Adrienie, przyjechałeś tutaj, bo jest ci źle? — Powstrzymała gest zaprzeczenia i ciągnęła: — Nie próbuj mówić, że tak nie jest, przecież widzę. Znam cię. Od dzieciństwa cię obserwuję. Nie masz teraz w oczach tego blasku, który wszystkich ujarzmił i sprawiał, że każdy chciał być do ciebie podobny...

— Surowa jesteś!

— Może, ale miałabym sobie za złe, gdybym mówiła co innego. Okropne jest to, co się stało z Lucienem, ale to nie twoja wina, stryju. Lucien wybrał; Laurent, Camille i ja wybraliśmy także.

— Nie powiesz, że jeśli chodzi o ciebie, nie miałem w tym żadnego udziału. To jednak ja wysłałem cię do Paryża.

— No i co? Nic mi się nie stało.

— Nie trzeba prowokować losu. W Hiszpanii widziałem za dużo umierających chłopców i dziewcząt w twoim wieku. I teraz, tu, także. Daj temu spokój.

— Nie, jest już za późno. Wiesz, jaki mam pseudonim?

— Exupérance.

— Tak, to imię świętej, którą tak lubiłeś, pamiętasz? Dzięki tobie ja także ją pokochałam. Pod taką opieką nic mi nie grozi.

Adrien nie mógł powstrzymać uśmiechu. Niezbyt pewna była opieka świętej, której istnienie nawet Kościół podawał w wątpliwość.

– Długo zamierzasz zostać w Montillac?

– Nie, byłoby to dla was zbyt niebezpieczne. Już obecność Luciena jest dla was stałym zagrożeniem. Jak tylko będzie się czuł nieco lepiej, wyjedzie stąd.

– Ale dokąd? Co będzie robił? To teraz kaleka.

Dominikanin podniósł głowę.

– Zastanawiałem się nad tym, kiedy weszłaś.

– Ciocia Bernadette mówi, że wyjedzie razem z Lucieniem.

– Tylko tego by brakowało! Moja kochana siostra w maquis!

– Jak twoim zdaniem wygląda Camille?

– Nieźle. To dzielna osóbką. Jestem tego samego zdania co Félix: ona z tego wyjdzie.

– Gdyby Laurent ją odwiedzał, z pewnością natychmiast by wyzdrowiała.

Adrien spojrział na Léę z pełnym rozbawienia zdumieniem.

– Proszę, proszę, to już się w nim nie kochasz?

Léa zaczerwieniła się.

– To całkiem inna sprawa.

– Nie powinnaś już o nim myśleć, ma żonę, jest ojcem rodziny i kocha żonę.

Niecierpliwy gest Léi nie uszedł jego uwagi.

– Zawsze tak samo oporna na lekcje moralności, jak widzę. Bądź spokojna, nie chcę ci dokuczyć, chcę tylko cię ostrzec przed ewentualnym zawodem. Ktoś, kto, jak się zdaje, bardzo interesuje się tobą, mówił mi niedawno o tobie.

– Kto?

– Nie domyślasz się? Zgadnij.

Léa nie miała ochoty bawić się w zgadywanki.

– Nie wiem.

– François Tavernier.

Jak mogła nie pomyśleć o nim? Léa zaczerwieniła się ponownie.

– Powiedz szybko, stryju, kiedy z tobą rozmawiał?

– Dwa tygodnie temu, przez telefon, kiedy byłem w Bordeaux.

– Gdzie on był wtedy?

– W Paryżu.

– Dlaczego do ciebie dzwonił? Co o mnie mówił? Nie odpowiedział mi na list.

– Jesteś niecierpliwa. Myślałem, że go nie znosisz.

– Proszę cię.

– Mówił same rzeczy banalne. Pytał, co się z tobą dzieje, co się dzieje w naszej rodzinie...

– To wszystko?

– Nie. Postara się przyjechać do ciebie po Wielkanocy.

– Po Wielkanocy! Dopiero!

– Jakaś ty niecierpliwa. Mamy dziesiątego kwietnia, a Wielkanoc jest dwudziestego piątego.

Léa była tak zawiedziona i wzburzona, że zrezygnowała z opowiadania stryjowi o Mathiasie.

Usłyszeli nagle warkot samochodu na żwirze alei, trzaskanie drzwiczek, męskie głosy.

– Szybko, idź, zobacz. Jeśli to gestapo, koniec z nami.

Léa wybiegła na korytarz i spojrzała przez okno wychodzące na ogród. Nie! To niemożliwe. Po co ten tutaj przyjechał? Otworzyła okno i zawołała siląc się na wesołość:

– Idę, idę!

Biegiem wróciła do dziecinnego pokoju.

– Nie, to nie gestapo, ale nie wiadomo, czy to nie gorsze.

– Idę do pokoju Luciena – powiedział Adrien wstając.

Przed zejściem na dół Léa zajrzała do Camille i powiedziała jej szybko, co się dzieje.

Na dole Ruth wpuściła gości do salonu.

– Léo, jak przyjemnie zobaczyć panią w tym otoczeniu.

– Raphaël! Co za cudowna niespodzianka!

– Kochanie! Wiedziałem, że będzie pani rada zobaczyć starego druha.

Léa kipiała gniewem, ale usiłowała się uśmiechać. Nie wolno pozwolić, by przybysz zauważył, że się przestraszyła. Jeden z trzech młodzieńców, którzy mu towarzyszyli, przyglądał się portretowi jej matki pędzla Jacka Emila Blanche'a. Kiedy się odwrócił, Léa kurczowo zacisnęła dłonie. Próbowwała opanować strach.

Stał przed nią młodzieniec, którego zauważyła w Cadillac i w Saint-Macaire. Podeszła do niego z beztroską miną.

– Dzień dobry panu, pan jest z naszej okolicy? Mam wrażenie, że już kiedyś pana widziałam.

Chłopakowi to wyraźnie się nie podobało.

– Bardzo możliwe, proszę pani, moi dziadkowie mieszkają w Langon.

– Tam musiałam pana widzieć, w merostwie albo na placu targowym. Jak pan się nazywa?

– Maurice Fiaux.

Léa odwróciła się od nowego znajomego i podeszła do Raphaëla, którego wzięła pod rękę i pociągnęła do ogrodu.

– Chodźmy, pokażę panu Montillac. A pan mi opowie, jaki dobry wiatr pana sprowadza.

— Jak pani wiadomo, miałem trochę kłopotu z pewnymi osobami, które pani zna. Musiałem się zdecydować na wyjazd, powietrze Paryża nie służyło mi. Przypomniały mi się przyjemne chwile spędzone w Bordeaux w czerwcu czterdziestego roku, stosunki, jakie mam z miejscową prasą, Hiszpania, która leży niezbyt daleko. Muszę wyznać, że aż do wczorajszego dnia nie myślałem o pani. Siedziałem z tymi uroczymi chłopcami przy kieliszku przed obiadem, kiedy przyszedł jeden z ich kumpli. W rozmowie padła nazwa pani majątku. Zapytałem, czy chodzi o majątek rodziny Delmas, odpowiedziano mi, że tak. W ten sposób dowiedziałem się, że tamten młodzieniec jest przyjacielem pani z czasów dzieciństwa i że pani jest w Montillac. Wyraziłem pragnienie odwiedzenia pani i przyjaciel pani zaproponował, że mnie odwiezie. Dlatego tu jestem.

— Pan przyjechał z Mathiasem?

— Tak. On poszedł przywitać się z rodzicami. Nie ma mi pani za złe, że przyjąłem jego zaproszenie?

— Bynajmniej. Przeciwnie, muszę mu podziękować, że sprawił mi tę przyjemność...

— Co za piękna miejscowość, moja droga! Gdybym tutaj mieszkał, nigdy bym stąd nie wyjeżdżał! Jaki spokój!... Jaka harmonia między ziemią a niebem! Czuję, że tutaj mógłbym pisać arcydzieła.

Oparty o taras Raphaël Mahl oglądał rozległy krajobraz, na którym winnice tworzyły regularne, czarne linie.

— Wygląda to tak, jakby było narysowane ołówkiem i przy pomocy linijki, takie to jest wyraźne...

— Za wcześnie pan przyjechał. Za dwa, trzy tygodnie winorośle będą srebrzyste, potem bladozielone, potem zakwitną... A oto Laure. Raphaëlu, przedstawiam panu Laure, moją młodszą siostrę.

— Dzień dobry pani. Teraz znam już wszystkie uroki Montillac.

Laure roześmiała się i ten śmiech zdenerwował Léę.

— Camille jest z Mathiasem. Powiedziałam Fayardowi, żeby otworzył piwnicę, poczęstujemy gości winem z naszych winnic.

— Dobrze zrobiłaś. Chodźmy, spróbuje pan słynnego château-montillac — beztrząsownie powiedziała Léa starając się ukryć niepokój, jaki ją ogarnął na sam dźwięk imienia Mathias.

A więc ośmielił się wrócić!

Trzech młodzieńców poszło za nimi bez słowa. W piwnicy zastali Camille i Mathiasa z ojcem. Léa ucałowała Mathiasa, jak gdyby nic między nimi nie zaszło, udając, że nie dostrzega, jak się zmienił na twarzy.

— Nieladnie z twojej strony, mogłeś odwiedzić nas wcześniej.

— Léa ma rację — powiedziała Camille. — Chciałam panu podziękować za pomoc w uwolnieniu mnie.

— Nie ma w tym mojej zasługi, proszę pani. Niewiele zrobiłem.

— Niech pan tak nie mówi, gdyby nie pan, może bym tam jeszcze była.



— Po pani wyjeździe warunki się tam poprawiły. Są nawet prysznice — powiedział jeden z kumpli Mathiasa.

— Ciekawe — lodowatym głosem odezwała się Léa. — A kiedy będzie tam salon fryzjerski i kino?

Młody człowiek zaczerwienił się, a kumple zaczęli z niego pokpiwać. Raphaël się wtrącił:

— Chodźmy, chłopcy, skosztujemy tego wina.

Fayard odwrócił szklanki stojące na deseczce przykrytej białym papierem i z uroczystą miną napełnił je winem.

— Leżakowało tylko dwa lata, ale panowie powiedzą, co o nim myślą.

— Tym winem raczą się nawet w Paryżu! — odezwała się Léa.

Fayard nie drgnął.

Wszyscy zostali obsłużeni i w milczeniu podnieśli szklanki do ust.

Po trzeciej degustacji Léa podeszła do Mathiasa i powiedziała:

— Wyjdźmy stąd. Mam ci coś do powiedzenia.

Po chłodzie piwnicznym i zapachu wina, jakim była przesiąknięta ubita ziemia i mury piwnicy, Léa odetchnęła głęboko świeżym powietrzem, poczuła aromat pierwszych bzów i nagle zapragnęła ruchu.

Pobiegła, Mathias popędził za nią. Zatrzymała się nagle, odwróciła i zadyszana powiedziała:

— Myślałam, żeś wyjechał z powrotem do Niemiec.

— Zmieniłem zamiar. Mam coś lepszego do roboty tutaj.

— Dlaczego sprowadziłeś mi tego Mahla i swoich przyjaciół? Nie chcę ciebie więcej widzieć.

— Myślałem, że ci zrobię przyjemność. Wydawało mi się, że to twój dobry znajomy.

Léa wzruszyła ramionami.

— A tamci? Także są moimi dobrymi znajomymi?

— Mieli samochód i zaproponowali, że nas odwiozą.

— Nie wydają mi się sympatyczni.

— Trudno. Mnie oni odpowiadają. I w twoim interesie jest zachowywać się tak, jakby i tobie się podobali.

— Co ty z nimi robisz?

— Pracujemy razem.

Co chciał przez to powiedzieć? Jeśli to, czego się lękała, było prawdą, Mathias nie mógł "pracować" z nimi, jak mówił. Ale nie powinna poddawać się panice, musi być spokojna, beztraska, życie Luciena i Adriena od tego zależy. Kto wie, czy Raphaël nie obiecał gestapo, że odnajdzie Sarę? Léa wzięła Mathiasa pod rękę i zapytała naturalnym tonem, uśmiechając się przy tym porozumiewawczo:

— No, mów? Co ty robisz?

Mathias znieruchomiał czując obok jej ciało, już sama myśl o nim przyprawiała go o drżenie. Z zażenowaną miną odwrócił głowę przed wzrokiem Léi i odpowiedział:

— Interesy.

— Mam nadzieję, dla twojego dobra, że nie są to takie interesy, jakie robi Raphaël. Przykro by mi było, gdyby poszukiwano ciebie za handel czarnorynkowy — powiedziała nie przestając się uśmiechać.

— Nie martw się o mnie. Nie można porównywać takiego pedała, jakim jest twój przyjaciel, do mnie. Jestem pośrednikiem między producentami wina z okolic Bourdeaux a handlarzami winem z Monachium, Berlina czy Hamburga. Wiesz, jak Niemcy lubią wina francuskie. Zresztą większość wyższych oficerów niemieckich, którzy są teraz w naszym departamencie, prowadziła przed wojną interesy z wielkimi właścicielami tutejszych winnic. Ja nawiązuję kontakty między drobnymi właścicielami winnic a kupcami niemieckimi.

— I dobrze ci idzie?

— Bardzo dobrze. Interesy są interesami, ludzie piją dobre wino niezależnie od tego, czy jest wojna czy nie.

— Nie pozwalam ci, Mathiasie, sprzedać ani jednej butelki wina z Montillac. Nigdy!

Nie zdołała się opanować. Słowa te zabrzmiały jak uderzenie biczem. Stali znowu przed sobą jak dwoje wrogów. Oboje bladzi, obserwujący się nawzajem w milczeniu niczym dwa koty gotowe w każdej chwili skoczyć sobie do oczu.

Wielki Boże! Jakże ta dziewczyna była piękna w gniewie, z pociemniałymi oczami i dyszącą ze wzburzenia piersią. Mathias nie wiedział, czy bardziej chce ją uderzyć, czy chwycić w ramiona.

— Kiedy się pobierzemy, będę sprzedawał wino, komu zechcę.

Raphaël, który właśnie wyszedł z piwnicy, wymachiwał do nich rękami. Wrzeszczał podskakując:

— Léo, to nie wino, ale boski nektar. Muszę przestać pić, mam już dobrze w czubie.

Kochany Raphaël! Léa miała ochotę rzucić mu się na szyję. Podszedł do nich.

— Nie wierzę panu — powiedziała Léa. — Żeby się pan wstawił, trzeba panu znacznie więcej.

— Niestety, droga przyjaciółko! Człowiek się starzeje. Proszę, dam pani przykład: przed wojną mogłem jeść byle co. Raz, dwa, wszystko szło jak z płatka. Teraz danie nieco bardziej tłuste, posiłek zakropiony większą ilością alkoholu i od razu przybywa mi kilogramów. Proszę spojrzeć, jaką mam talię. Wiem, że to się nazywa przynęta miłosna! Jednakże... przykro człowiekowi, że nie ma już młodzieńczej linii.

Léa nie mogła powstrzymać się od śmiechu patrząc na Raphaëla, który rozchylił marynarkę, żeby pokazać, jak mu się zepsuła figura.

— Niech pani się śmieje... Zobaczy pani... Na razie dumnie pani obnosi te

swoje twarde piersi, płaski brzuch i ładniutki tyłeczek! Ale zaczekajmy trochę, po kilku latach i trzech czy czterech bachorach... Zobaczymy.

— Nie wymaga pan chyba, żebym się nad panem litowała z powodu kilku niepotrzebnych kilogramów, podczas gdy większość Francuzów zaciska pasa! Niech pan się odżywia tak samo jak oni, bulwami.

— Ba! Chce pani, żebym wyzionął ducha?

Dziwny człowiek! Léa zapominała chwilami, kim jest Raphaël Mahl.

— Przed plutonem egzekucyjnym byłby pan jeszcze zdolny żartować i mnie rozśmieszać.

Oczy Raphaëla odzyskały właściwy im wyraz smętnej łagodności.

— Nie mogła mi pani powiedzieć przyjemniejszego komplementu: śmiać się i rozśmieszać innych w obliczu śmierci! Obiecuję pani, że będę o tym pamiętał, kochana przyjaciółeczko. — I dodał, odzyskując swoją sztuczną wesołość i odciągając Léę na bok: — Ma pani wiadomości od naszego przyjaciela Taverniera? Ten człowiek mnie intryguje. Niektórzy uważają go za wielkiego przyjaciela Niemiec, dla innych jest człowiekiem Londynu. Co pani o nim sądzi?

— Niech pan będzie poważny. François Tavierniera widziałam ostatnio w Paryżu, od tej pory przepadł jak kamień w wodę, a ja mam za dużo roboty, by się interesować jakimś obieżyświatem. Ale co panu jest?... Proszę mnie puścić!

— Niech mnie pani nie bierze za głupca, kochanie, to błąd. Myśli pani, że nie zauważyłem, że Tavernier kocha się w pani i że łączą was stosunki wcale nieplatoniczne?

— Nie rozumiem, co pan chce przez to powiedzieć.

— Myśli pani, że zapomniałem o brzydkim kawale, jaki Tavernier mi zrobił?

— Być może ratując panu życie.

— Bardzo możliwe... ale nie lubię być tak traktowany.

— Ależ, Raphaëlu, niech pan nie będzie taki drażliwy.

Bezwiednie oddalili się od domu i szli między dwiema winnicami, drogą prowadzącą do Bellevue. Reszta towarzystwa za nimi nie poszła.

Mahl przystanął, rozejrzał się naokoło i nagle jakby postarzał. Wydawał się bardzo zmęczony.

— Jakie przyjemne musi być tutaj życie! Wydaje mi się, że to miejsce sprzyja natchnieniu. Nigdy nie będę miał takiego miejsca, nigdy nie zaznam tego szczęścia: pisać spokojnie w zgodzie ze sobą samym i z naturą, która mnie otacza. Dlaczego muszę ulegać złym mocom, które oddalają mnie od mojego właściwego ja, od twórczego wysiłku? Wysiłek jest wszystkim, nawet jeśli do niczego nie prowadzi. Wszystko staje się natychmiast owocne, choć jałowe. Mniejsza o to. Wysiłek zawsze sprawia radość. Niestety! Nie mam dostatecznie dużo entuzjazmu, by zostać wielkim pisarzem. Pisarze są najczęściej entuzjastami w służbie ludzi obojętnych. Człowiek mówi tak, jak chce, pisze tak, jakim jest...

Ile było rozpaczy w tym człowieku tak pozornie powierzchownym, zakłamanym i pozbawionym skrupułów! Podobnie jak za każdym razem, kiedy

Léa spostrzegając, jak bardzo Raphaël cierpi, że nie jest wielkim pisarzem, choć tak tego pragnie, teraz także ogarnęła ją pewna czułość do niego, której nie potrafiła pohamować.

— Niech pani spojrzysz na te pola, na te lasy! Gdyby człowiek i jego dzieła zniknęły nagle, ziemia i tak będzie trwała jakby nigdy nic. Właściwa człowiekowi bezużyteczność wydaje mi się oczywista wobec nieskończoności. Człowiek jest bezużyteczny, i przeraźliwie przeciętny. Napiszę jeszcze kiedyś pochwałę przeciętności — chyba już o tym pani mówiłem. Spędzam czas na opowiadaniu książek, których nie piszę. Dobry temat, prawda?... Chyba że zrobię antologię potworności popełnionych przez człowieka. To temat, którego niepodobna wyczerpać. Chwała człowiekowi jednak, że potrafił wydobyć z okropności piękno... Z jednego powodu trudno mi było uwierzyć w istnienie Boga dobrego, uważnego, znającego nas w najdrobniejszych szczegółach, a tym powodem jestem ja. Mówię sobie, że gdyby taki Bóg był, nie pozwoliłby, abym istniał, ani — i to przede wszystkim — abym był taki, jaki jestem... Niekiedy całe moje ciało wzbiera łzami, których oczy nie są w stanie wypłakać i których nie umiem się pozbyć.

Mówiąc to Raphaël płakał, był to widok okropny, nie do zniesienia.

— Pani mną gardzi, nieprawdaż? Ma pani rację. Ale nigdy nie będzie pani tak dalece mną gardziła, jak ja sobą gardzę... Wolę pani pogardę od współczucia. Nienawidzę ohydnej miękkości współczucia... Wracajmy, nasi przyjaciele będą się zastanawiać, jaki knujemy spisek.

— Dlaczego przyjechał pan tutaj, Raphaëlu?

Przed odpowiedzią na to pytanie Léi Raphaël wyjął chustkę z kieszeni i otarł oczy.

— Powiedziałem już: miałem ochotę panią zobaczyć.

— Jest jakiś inny powód.

— Może, kto to wie. Co się dzieje z naszą przyjaciółką Sarą?

Léa znieruchomiała.

— Nie! Myli się pani, nie jestem tu, by zbierać informacje o Sarze, pytam po prostu, czy pani coś o niej wie, bo Sara należy do osób, które lubię.

— Nic o niej nie wiem.

— Miejmy nadzieję, że jakoś dała sobie radę. Czy jest pani zupełnie pewna swojego przyjaciela z lat dziecińczych, Mathiasa Fayarda?

Jesteśmy w domu, pomyślała Léa.

— Nie bardziej niż pana.

— I ma pani rację — odparł Raphaël spokojnie. — Jego kumple są przekonani, że działa pani w ruchu oporu. Kategorycznie temu zaprzeczyłem, ale nie odniosłem wrażenia, że mi uwierzyli.

— Dlaczego pan mówi mi o tym?

— Dlatego że panią lubię i martwiłbym się, gdyby panią spotkało coś złego.

Prostota, z jaką powiedział te słowa, tchnęła szczerością. Léa wzięła go pod rękę.

— Raphaëlu, wszystko jest teraz takie skomplikowane. Czuję się tutaj bardzo samotna, z chorą Camille, ciocią, która ciągle narzeka, siostrą, która się nudzi, Fayardami, którzy dybią na odpowiednią chwilę, by odebrać mi Montillac. Na jednej Ruth mogę polegać.

— Ma pani rodzinę w Bordeaux.

— Chcę jak najmniej mieć z nimi do czynienia.

— A stryj pani, ten zakonnik?

Léa puściła ramię Raphaëla.

— Wie pan zapewne, że stryj znikł i jest poszukiwany przez gestapo.

— Prawda, zupełnie wyleciało mi to z głowy... Przepraszam. Wydaje mi się, że wkrótce po moim przyjeździe widziałem go w Bordeaux. Bardzo się zmienił, no i nie nosi sutanny...

— Kiedy mówił mi pan o stryju Adrienie po raz pierwszy, czy już go pan znał?

— Bywałem w Paryżu na jego homiliach w katedrze podczas Wielkiego Postu. Bardzo mi się podobał sposób, w jaki mówił o łasce i o kulcie Maryi. Chciałem wówczas być mu przedstawiony, ale nic z tego nie wyszło. Bardzo żałowałem.

— A więc stryj pana nie zna?

— Nie.

— Szkoda, ktoś taki jak pan zainteresowałby stryja Adriena.

— Kto wie, może jeszcze spotkamy się kiedyś... Życie miewa takie niespodzianki.

— Bardzo go kocham i teraz ogromnie mi go brak. Nie widziałam stryja od pogrzebu ojca.

— Mówiono mi w Bordeaux o tym pogrzebie. Dziwne, nieprawdaż, że gestapo nie aresztowało go razem z mężem pani przyjaciółki?

— To ze względu na stryja Luca.

— Prawda, postawa mecenasa Delmas, małżeństwo jego córki z wysoko postawionym oficerem niemieckim, małżeństwo, jakie siostra pani ma lada dzień zawrzeć z kapitanem Kramerem, wszystko to tworzy więź z okupantami, gestapo musi się z tym liczyć.

— Wstyd mi tego wszystkiego.

— Nie trzeba tego powtarzać w obecności ludzi niedyskretnych...

— Czego, jak przypuszczam, nie omieszka pan zrobić?

— Droga przyjaciółko, myli się pani zawsze co do mojej osoby. Wie pani dobrze, że robię wszystko z wyrachowania. A co by mi z tego przyszło, gdybym zdradził pani sympatie? Żeby pani przynajmniej ukrywała Anglików i bojowników ruchu oporu! Ale tak nie jest, nieprawdaż?

Léa wybuchnęła śmiechem.

— Wie pan doskonale, że byłby pan ostatnim człowiekiem, któremu bym się z tego zwierzyła.

— I miałyby pani rację.

Pod rękę, roześmiani, przyszedli na podwórze, gdzie się znajdowała Camille oraz Laure, Mathias i trzech młodzieńców z Bordeaux.

— A, jesteście państwo, nareszcie — powiedział jeden z nich. — Zastanawialiśmy się, gdzieście się podzieli. Musimy już jechać, czekają na nas.

— Prawda, gdzie ja mam głowę? Zupełnie o tym zapomniałem. Léo, dziękuję za gościnę. Jeśli przyjedzie pani kiedyś do Bordeaux, proszę mnie koniecznie odwiedzić. Zatrzymałem się w hotelu "Majestic" przy ulicy Esprit-des-Lois. Bardzo tam przyjemnie, mają piękne antyki.

— Długo będzie pan w Bordeaux?

— To zależy od tego, czy uda mi się umieścić kilka artykułów w "La Petite Gironde" albo w "La France". Bo jeśli nie...

— Jeśli nie?...

Raphaël Mahl nie odpowiedział na to pytanie. Pocałował Camille w rękę i cmoknął Laure w oba policzki. Młodzieńcy uklonili się uprzejmie. Trzy kobiety ucałowały Mathiasa.

W nocy Adrien Delmas wyjechał z Montillac, ale przed wyjazdem powiedział Léi o broni schowanej w kapliczce przy siódmej kalwarii w Verdelaix; leżała tam pod pękniętą płytą, na prawo od wejścia.

— Sięgnij po tę broń tylko w nagłej potrzebie. Jest tam dziesięć karabinów i dwadzieścia pistoletów, którymi pewnie potrafisz się posługiwać.

— Mam nadzieję.

— Doskonale. Są tam także granaty i jeden karabin maszynowy. Tego nie ruszaj.

— Kiedy stryj do nas wróci?

— Kiedy Félix mi powie, że można przewieźć Luciena. Na razie bądź bardzo ostrożna. Dzisiejsze odwiedziny nie wróżą nic dobrego, tym bardziej że wróg jest także na miejscu.

— Wróg?

— Tak, stary Fayard. Zna każdy kąt w majątku i krąży wszędzie nie zwracając na siebie uwagi, tak dalece należy bowiem do krajobrazu. O trzech towarzyszach Mathiasa wiemy wszystko. Jeden z nich był nawet skazany na śmierć, wyrok ma być wykonany niebawem.

— Co mu się zarzuca?

— Donosy, kradzieże, gwałty, tortury i morderstwa wszelkiego rodzaju. Wiem, że własnoręcznie zastrzelił pewnego Żyda, żeby go obrabować. Znał biedaka od dzieciństwa.

— Stryj mówi o nim jak o znajomym.

— Matka tego chłopaka była służącą u jednego z moich przyjaciół, lekarza w Le Bouscat. Ponieważ malec nie miał ojca, przyjaciel mój bardzo nim się zajmował. Ale miał z nim same kłopoty... Po wkroczeniu Niemców chłopak

natychmiast zaofiarował im swoje usługi przy ulicy du Chaperon Rouge. Za solidne wynagrodzenie oczywiście. Początkowo był strażnikiem, ale stopniowo awansował. Obecnie Poinot, Dohse i Luther korzystają z jego usług... Rozwinął wyjątkową działalność w nocy z dziewiętnastego na dwudziesty października podczas operacji, która miała "oczyścić region z obecności Żydów nie będących obywatelami francuskimi". Z pomocą policji uczestniczył w aresztowaniu siedemdziesięciu trzech takich obcokrajowców, mężczyzn, kobiet i dzieci, których większość została deportowana. Skorzystał z tego, by ogołocić starych ludzi, u których jego matka była służącą. Zrobił dobrą robotę... I to tak dalece, że gratulował mu osobiście komendant Luther w swoim pięknym domu przy alei du Médoc, przemianowanej obecnie na aleję Marszałka Pétaina, naprzeciw domu numer sto dziewięćdziesiąt siedem, gdzie Camille poznała ich metody. Po wyjściu stamtąd nikczemnik miał czelność wstąpić do matki i pokpiwać przed nią z żydłaków, których wyciągał z łóżek... Mój przyjaciel miał ochotę go zabić, jak się zabija złośliwe zwierzę. Oszalały z wściekłości zadowolił się wykopaniem go za drzwi. Znalazszy się na dworze chłopak przysiągł, że go zabije. Poradziłem przyjacielowi, by wyjechał z Bordeaux, odmówił twierdząc, że tutaj jest jego miejsce. To u niego spotkałem dowódcę FTP, który dziwnym zbiegiem okoliczności mieszka o sześćset metrów od siedziby gestapo. Le Bouscat to swego rodzaju scena obrotowa zarówno jeśli idzie o represje, jak i o kontakty z ruchem oporu...

— Który to z tej trójki?

— Maurice Fiaux.

— Niemożliwe! Nie wygląda wcale na taką bestię.

— Tym właśnie jest groźniejszy; wygląda na przyzwoitego młodzieńca, jest nawet dość przystojny.

— Mathias wie o tym wszystkim?

— Nie. To ich świeży nabytek, jeszcze mu nie ufają. Zaufają dopiero wtedy, kiedy go wystawią na próbę.

— Co chcesz przez to powiedzieć?

— Kiedy zacznie składać donosy, torturować albo kogoś zabije. Już zresztą zaczyna... Za kilka tygodni będzie skończonym łotrem. Definitywnie straconym dla społeczeństwa.

— Jak tyś się zmienił, stryju Adrienne! Dawniej powiedziałbyś mi, żebym się modliła... Że nawet w najgorszym stworzeniu boskim drzemie pewna doza niewinności, a teraz... Można by powiedzieć, że nie wierzysz w nic, nawet w Boga.

Każde słowo Léi godziło jak cios nożem w zbolące serce dominikanina. Odwrócił głowę, sprawdził, czy dobrze działa jego broń, wcisnął na czoło aż po brwi swój beret baskijski, wziął małą, fibrową walizkę, w której miał bieliznę, książki i trochę żywności, i skierował się do wyjścia.

Léa wykonała wówczas gest zaskakujący u osoby, która straciła wiarę: padła na kolana przed stryjem i poprosiła:

— Pobłogosław mnie, stryju.

Adrien zawahał się na ułamek sekundy. Potem spełnił jej prośbę.

Kiedy palce jego nakreśliły nad głową ukochanej bratanicy krzyż, ogarnął go wielki spokój. Pomógł Léi wstać z kolan, ucałował ją czule.

– Dziękuję – powiedział cicho i odszedł w noc.



— Zaprosiłam Maurice'a Fiaux na obiad.

Léa upuściła ze zdumienia garnek z mlekiem, który trzymała w ręce.

— Och, jaka jesteś niezgrabna! — zawołała Laure. — Tyle dobrego mleka się zmarnowało!

Léa bez słowa wymierzyła siostrze dwa mocne policzki.

— Co ty?... Zwariowałaś! To boli!

— Dostaniesz jeszcze, jeśli nie odwołasz tego zaproszenia.

— Nie odwołam! Mam prawo zapraszać, kogo chcę!

— Nie!

— A to dlaczego? Nie jesteś jedyną właścicielką Montillac, o ile mi wiadomo.

— Czy wiesz, kim jest Maurice Fiaux?

— Wiem, myślałyśmy wtedy, że nas śledzi z powodu tych historii z ruchem oporu. Ale chodziło mu o coś całkiem innego.

— Co chcesz przez to powiedzieć?

Laure spuściła głowę krygując się, wytarła oczy i policzki ze śladami pięciu palców Léi.

— On mnie obserwował.

— Ciebie?

— Tak, mnie!... Nie ty jedna podobasz się chłopcom. Nie jestem już dzieckiem, jak przed wojną. Wyrosłam.

— Porozmawiajmy spokojnie. Nie wątpię, że podobasz się chłopcom. Nie uwierzyłaś chyba jednak temu, co ten typek ci naopowiadał? Widziałaś się z nim?

— Tak, dziś rano w Langon. Jest przemiły, dowcipny, dobrze wychowany. Przyjechał na ferie do dziadków... Po Wielkanocy wróci do Bordeaux. Musi pracować, by dopomóc matce.

Léa wzniosła oczy do nieba.

— Co za wzruszająca historia! A cóż robi ten przemiły młodzieniec?

— Nie wiem... Nie bardzo zrozumiałam. Prowadzi jakieś interesy.

— Interesy? Wygodne słowo, można w nim ukryć różne rzeczy. Powiem ci, jakimi interesami zajmuje się twój aniołek! Pracuje dla gestapo.

— Nie wierzę!

— Ja także nie chciałam w to uwierzyć... Stryj Adrien mi to powiedział. Fiaux torturował i zabił wiele osób. Zapraszając go tutaj, wpadłaś w pułapkę i narażasz nas na wielkie niebezpieczeństwo. Czy pomyślałaś o Lucienie? O tym, co by się stało, gdyby tamten go wytropił?

Laure zbladła, ślady ręki Léi wystąpiły na jej policzkach jeszcze wyraźniej. Stała ze zwieszonymi ramionami, oparta o piec, osłupiała, nie zdając sobie nawet sprawy, że łzy spływają na jej białą bluzkę... Léi zrobiło się żal siostry, położyła rękę na jej ramieniu. Ten gest sprawił, że łzy Laure przemieniły się w wielkie, dziecinne szlochanie.

— Nie wiedziałam!...

— Laure, Léo, co się stało? Co się tu dzieje? — zapytała Camille wchodząc.

— Ta mała głuptaska zaprosiła Maurice'a Fiaux na obiad.

— Och, wielki Boże...

Przez kilka chwil słyhać było tylko łkanie Laure i cykanie zegara na ścianie. Camille odezwała się pierwsza:

— Lamenty nic nie pomogą. Trzeba znaleźć jakieś wyjście.

— Powiedziałam już jej, by odwołała zaproszenie.

— Tylko nie to! Domyśliłby się, że mu nie ufamy. Przeciwnie, zaproszenie należy utrzymać. Musimy go tylko przekonać, że się myli co do nas.

— Zapomniałaś o Lucienie!

— Nie, przede wszystkim o nim właśnie myślę. Musi stąd wyjechać.

— Ale daleko mu do wyzdrowienia.

— Wiem.

— Więc?

— Chodź, mam pomysł. Laure, jutro musisz tak się zachowywać, jakbyś nadal sądziła, że to młody człowiek z towarzystwa — powiedziała Camille zabierając Lée.

— Dobrze — wybełkotała Laure.

Léa i Camille wyszły z domu tylnymi drzwiami.

— Przejdźmy się przez winnice. Tam na pewno nikt nas nie będzie podsłuchiwał.

Kilka kroków przeszły w milczeniu. Camille, idąc opierała się o Lée.

Kwietniowe słońce otulało krajobraz ostrym światłem, które nadawało przedziwną wyrazistość winnicy, domowi Sidonie, zieleniejącym dopiero drzewom wzdłuż kalwarii, tak że miało się wrażenie, iż wystarczy wyciągnąć rękę, by dosięgnąć ich gałęzi.

— Dlaczego ten spokój, który się unosi nad ziemią, nie udziela się ludziom? — zapytała Camille zwalniając kroku.

— Jaki masz pomysł?

— Ukryć Luciena u Sidonie na strychu.

– U Sidonie na strychu?

– Tak. Jej możemy zaufać, nienawidzi Niemców.

– To za blisko od Montillac!

– Właśnie. Nie przyjdzie im nigdy do głowy, że można kogoś ukrywać tak blisko.

Léa zastanowiła się chwilę.

– Może masz rację. Gdyby chodziło o kogoś innego, powiedziałabym, że wspólna nienawiść do Niemców to jeszcze nie powód, by komuś zaufać. Skoro jednak rzecz dotyczy Sidonie...

– Chodźmy do niej. Jest w domu, nad kominem unosi się dym.

Z domu Sidonie widać było całą okolicę jak na dłoni, a w niektóre dni nawet morze, jak twierdziła.

Zgodnie ze swoim zwyczajem Sidonie ucieszyła się z przybycia gości i poczęstowała je nieuniknioną, domowej roboty nalewką z czarnych porzeczek, której nie można było odmówić.

– Ach, pani Camille, aż przyjemnie popatrzeć, że pani już taka silna. Ale ty, kochana Léo, niedobrze wyglądasz. To ty chorowałaś? Bo widziałam dwa razy, jak doktor Blanchard przyjeżdżał do Montillac.

Nic z tego, co się działo w domu rodziny Delmas, gdzie pracowała przez długie lata, nie uchodziło uwagi Sidonie.

– Nie, Sidonie, doktor przychodził do Luciena.

– Biedny chłopiec! Myślałam, że jest u partyzantów.

– Był bardzo poważnie ranny. Teraz ma się lepiej, ale nie może zostać w Montillac, to zbyt niebezpieczne dla niego. Jest za słaby, żeby wrócić do kolegów. Przyszłyśmy zapytać cię, czy nie mogłabyś wziąć go do siebie i ukrywać przez kilka dni na strychu?

– Czy warto w ogóle o to pytać?

– To może być dla ciebie niebezpieczne, jeśli Niemcy się dowiedzą.

– Nie ma o czym mówić. Kiedy przyprowadzicie do mnie Luciena?

– Dziś w nocy.

– Doskonale. Kto będzie wiedział, gdzie on przebywa?

– Jeśli uda się nam zataić to przed jego matką, tylko my trzy.

– Lucien może chodzić?

– Chyba tak. Ale będziemy musieli iść wzdłuż cyprysów, a tam droga jest gorsza.

– Wyjdę wam na spotkanie. Będę czekała w trzecim rzędzie winnicy od strony ogrodu warzywnego.

Léa wypila szklaneczkę nalewki i powiedziała całując Sidonie:

– Dziękuję ci, Sidonie.

– Nie ma za co, kochanie... Myślisz, że pozwoliłabym, żeby te wstrętne bosze

wzięły chłopca z rodziny pana Pierre'a?

Wracając do domu Léa i Camille wymieniły zaledwie kilka słów. Przed domem Camille powiedziała:

— Laure nie powinna wiedzieć o odwiedzinach u Sidonie.

— Jak możesz przypuszczać, że Laure powiedziała by komukolwiek, gdzie ukrywa się Lucien!

— Nie ufam dziewczynie, która jest zakochana.

Léa spojrzała na Camille z powątpiewaniem.

— Nie myślisz chyba, że...

— Trzeba wszystko przewidzieć. Laure się nudzi. Przyjaciele jej są w Bordeaux, my nie przyjmujemy nikogo. To normalne, że podobają się jej zaloty tego chłopaka.

— Ale on ją wykorzystuje!

— Prawdopodobnie. Powinnyśmy Laure o tym przekonać... Porozmawiam z nią.

Noc była jeszcze bardzo ciemna, od strony Landów wiał ciepły wietrzyk. Trzy czarne sylwetki posuwały się aleją cyprysów.

— Jak tam? Nie za bardzo cię boli, kochany? — szepnął niespokojny głos.

— Nie, mamusiu. Wszystko w porządku.

— Pst... Nie rozmawiajcie! Mam wrażenie, że ktoś idzie.

Wszyscy znieruchomieli.

Odgłos kroków człowieka potykającego się o kamienie i miażdżącego gałązki docierał z drogi, która biegła wokół winnic nieco poniżej alei cyprysów.

— Szybko, pochylcie się!

Kroki oddaliły się, miarowe, spokojne.

— Lucienie, Léo, kto to był?

— Fayard. Robi czasem w nocy takie obchody, żeby zobaczyć, czy wszystko w porządku. Ale to mi się nie podoba.

— Dlaczego nie bierze ze sobą psa? — zapytał Lucien cicho.

— Tak, rzeczywiście... Ciekawe. Boi się może, żeby pies nie narobił hałasu i nie spłoszył zwierzyny.

— Nie mówcie tak głośno! Może nas usłyszeć.

Znieruchomieli na chwilę, po czym weszli do winnicy.

— Jesteście nareszcie! Zaczęłam się już niepokoić. Pani Bernadette! Nie powinna była pani przychodzić.

— Niech Sidonie będzie spokojna, potrafię milczeć.

— Oczywiście, proszę pani, oczywiście.

— Pospieszmy się, jestem zmęczony — powiedział Lucien, który szedł podtrzymywany przez matkę i kuzynkę.

Chwilę milczeli.

– Sidonie, bardzo Sidonie dziękuję, że chce ukryć u siebie mojego syna.

– To normalne, proszę pani. Uprzedziłam doktora Blancharda, że Lucien będzie teraz w Bellevue. Doktor wstąpi tu jutro rano, leczy mnie na reumatyzm.

– Och, wielki Boże! – zawołała Bernadette Bouchardeau.

Lucien omal nie upadł.

– Boli cię, synku?

– Nie, mamusiu... Nie. Ręce trochę mnie bolą, to wszystko.

– Niedługo już będziemy na miejscu.

Stół w skromnym pokoju był nakryty do kolacji, zjedli ją przy świetle ognia buzującego w kominku i jednej świecy. Lucien, któremu wino dodało trochę sił, wstał.

– Mamusiu, musisz już iść, obiecaj mi, że nie przyjdiesz tu, dopóki Sidonie czy doktor Blanchard nie dadzą ci znać.

– Ależ, kochanie!...

– Mamusiu, jeśli tamci mnie wezmą, będą mnie torturować i zdradzę kolegów... Tyle się już naciерpiałem, tak jeszcze mnie boli, że nowego bólu nie zniosę. Rozumiesz?

Bernadette Bouchardeau płakała ze spuszczoną głową, nerwowo skubiąc palcami wilgotną chusteczkę.

– Zrobię, jak chcesz, synku.

– Dziękuję. Wiedziałem, że mogę liczyć na ciebie – powiedział Lucien biorąc matkę w ramiona owiązane ogromnymi, białymi bandażami.

– Niech pani będzie spokojna, proszę pani. Będę się nim opiekowała jak rodzonym synem.

– Mamy ci pomóc wejść na strych? – zapytała Léa.

– Nie, dziękuję. Do widzenia, Léo, uważaj na siebie.

– Do widzenia, Lucien – odpowiedziała Léa całując kuzyna.

Na dworze zaczął mżyć deszcz. Ciemności zgęstniały i obie kobiety wykręcały sobie nogi w koleinach. Aż do Montillac nie odezwały się słowem. Tak samo w milczeniu ucałowały się u stóp schodów prowadzących do sypialń. Jakby uginając się pod ciężarem nad siły, Bernadette Bouchardeau weszła powoli na górę.

Léa przekreśliła klucz w zamku i zamknęła potężną zasuwę. Sprawdziła, czy wszystkie okna w salonie są starannie zamknięte. Wykonawszy te codzienne czynności w całkowitym mroku, pomyślała uśmiechając się: co wieczór robię to samo, co robił ojciec: sprawdzam, czy pozamykane są wszystkie okna i drzwi. Nie mam po co iść do gabinetu, byłam tam przed wyjściem do Bellevue. Ach, zapomniałam zgasić lampkę!

– Ojej!

Usadowieni wygodnie po bokach kominka, w którym dopalały się ostatnie główne, Camille i François Tavernier rozmawiali sobie najspokojniej w świecie.

Jak rażona piorunem Léa znieruchomiała na progu.

Jednym susem François znalazł się przy niej, chwycił ją tak mocno w ramiona i przytulił do siebie, że aż ją zabolalo. Jest tutaj... Przyjechał... Léa już się nie bała: on ją ochroni...

— Dobrze, zostawiam was samych. Widzi pan, jak Léa się cieszy z pańskiego przybycia — powiedziała Camille wstając.

Tuląc ciągle Lée do siebie François ujął i ucałował jej rękę.

— Dziękuję, że mimo zmęczenia dotrzymała mi pani towarzystwa, pani Camille.

— Ruth przygotowała panu łóżko w pokoju z ptakami, Léa pokaże panu drogę. Dobranoc.

Požerali się oczyma, nie dowierzając, zdumieni radością, jaką sprawiało im patrzenie na siebie. Swoją dużą dłonią François kreślił kontury jej twarzy, szyi, warg. Léa trwała w milczeniu, wsłuchując się w rozkosz, jaka w niej wzbierała pod leciutkimi dotknięciami jego ręki. Wreszcie usta François przywarły do jej ust. Głęboki pocałunek wstrząsnął obojgiem. Powoli ręce, piękne i mądre, zdejmowały z niej ubranie... A Léa głaskała pochylony kark François, podczas gdy on zdejmował i zwijał jej pończochy. Podając mu stopę, opierała się o jego ramię. Wkrótce stanęła naga, wspaniale naga. W świetle dopalających się w kominku główni ciało jej, mimo całej delikatności, robiło wrażenie dzikiej siły, potęgi kruchej i niezniszczalnej zarazem. Tkwiąc u jej nóg z uniesioną głową, François patrzył na nią zafascynowany. Léa z kolei zaczęła go rozbierać. Lecz jej niecierpliwe palce były niezręczne. Z uśmiechem odsunął je ostrożnie i w mgnieniu oka także stanął nagi, nie skrupowany bynajmniej swoją nagością. Wziął Lée na ręce i zaniósł na starą kanapę; to tu, kiedy była mała, ojciec tak często ją pocieszał w rozmaitych zmartwieniach. Przez ułamek sekundy zapach i gładkość obitej skórą kanapy przypomniały Léi dalekie czasy dzieciństwa. Stanęła jej w oczach postać ojca. Gwałtownie otworzyła szeroko oczy. Pochylony nad nią François szeptał jej imię.

— Chodź — szepnęła Léa.

Kochali się długo, pożądanie odradzało się ciągle na nowo. O świcie, wyczerpani, niemal zbolali, zapadli w krótki sen.

Obudziły ich pierwsze promienie świtu.

Ubrali się potykając się i śmiejąc.

Léa wepchnęła François do pokoju z ptakami, w którym lokowano zazwyczaj przyjaciół, i zamknęła drzwi za sobą. Zerwali z siebie ubranie i rzucili się do łóżka, wślizgując się pod obszerną, puchową kołdrę z satyny koloru starego złota. Przytuleni do siebie, natychmiast znowu zasnęli.

— Léo, Léo, obudź się... Ale gdzie ona jest?

Laure zapukała do drzwi Camille.

— Dzień dobry, Camille, przepraszam, nie widziałaś Léi? Niedługo dwunasta, Maurice lada chwila się zjawi.

— Dzień dobry, Laure. Nie, nie widziałam jeszcze Léi. Jest na pewno w

ogrodzie albo w warzywniku.

— Nie, już tam byłam. Musi być gdzieś niedaleko, bo rower tu stoi... Może jest u przyjaciela, który przyjechał wczoraj wieczór. Nie uważasz, że to dziwne, ludzie przyjeżdżają sobie bez uprzedzenia w środku nocy?

— Pan Tavernier był zawsze wielkim oryginałem.

— Och, przepraszam! Zapomniałam, że wstawiłam suflet do pieca.

Po odejściu Laure Camille zapukała do drzwi pokoju z ptakami.

— Proszę pana, czas wstawać, już dwunasta.

— Dziękuję, pani Camille, wstaję... Najdroższa, obudź się.

Léa otworzyła jedno oko i przeciągnęła się:

— Spać mi się chce.

— Najmilsza, czas wstawać. Już dwunasta.

— Dwunasta! — Léa zerwała się z łóżka. — Prędkiej, prędkiej, musimy się spieszyć. Gość Laure przyjedzie tu lada chwila.

— Trochę poczeka.

— Nie, wolę, żeby nie czekał. Ale ty!... Nie możesz tu zostać.

— A to dlaczego? Czyżbyś się bała, że narobię ci wstydu? — zapytał François przewracając Léę na łóżko.

— Nie, nie wygłupiaj się. To bardzo ważne. Gdzie moja spódnica... Mam tylko jedną pończochę... a pantofle? Pomóż mi.

— Masz, znalazłem halkę.

Léa wyrwała mu z ręki koszulkę.

— Ubieraj się szybko, pójdę się przebrać i wracam.

Usiłował ją schwycić, ale zwinna Léa uciekła.

Kiedy wróciła do pokoju w niebieskiej, wełnianej sukience matki, przerobionej przez Ruth, z włosami wysoko upiętymi i odsłaniającymi kark, François, świeżo ogolony, zawiązywał już krawat.

— Piękna to ty jesteś!

Włożył marynarkę.

— Jaki pan elegancki! Można by sądzić, że ubiera się pan w Londynie.

— Tak dalece nie posunąłem prowokacji. Ale są jeszcze doskonali krawcy w Paryżu, trzeba tylko porządnie zapłacić... Opowiedz mi o tym gościu, którego odwiedziny denerwują cię, jak się zdaje.

Léa powtórzyła mu pokrótce to, czego się dowiedziała od stryja Adriena o bandzie Maurice'a Fiaux. Opowiedziała mu także o Mathiasie i o odwiedzinach Raphaëla Mahla.

— To ten jeszcze żyje? — przerwał jej François.

— Jak najbardziej... Ale Maurice Fiaux, gość Laure, jest najgorszy ze wszystkich. Dlatego wydaje mi się, że najlepiej by było, żeby się z tobą wcale nie

spotkał. Rozumiesz?

Słyszac bieraninę na schodach i nawoływania, odsunęli się od siebie. Léa uchylila drzwi.

– Zaraz tam idę.

– Powiedz jej, żeby dodala jedno nakrycie.

– Ale...

– Zrób to, o co cię proszę.

– Laure?

– Tak!

– Czy pomyslałaś o nakryciu dla pana Taverniera?

– Oczywiście!

Léa zamknęła drzwi.

– Jesteś szalony!... Jeśli on się domyśli.

– Czego ma się domyślić?

– Że działasz w ruchu oporu.

– Ba!

Léa tupnęła nogą.

– Denerwujesz mnie! Jak mam cię przedstawić?

– Powiedz, że jestem handlowcem z Paryża, który przyjechał odwiedzić kolegę w Bordeaux, i że skorzystałem z okazji, żeby ci złożyć wizytę.

– Ale kiedy zobaczy się z Raphaëlem...

– Bądź spokojna, Raphaël jest niebezpieczny głównie dla siebie samego. Chodźmy, serduszeko, ciekaw jestem, jak wygląda francuski gestapowiec z Bordeaux.

Na dole przy schodach natknęli się na Laure.

– Właśnie przyjechał!... Léo, nie mogę uwierzyć w to, co mi powiedziałaś.

– Siostrzyczko, to prawda. Nie zapominaj, że życie nas wszystkich, nie wyłączając ciebie, zależy od twojej postawy.

– Pamiętam – powiedziała z westchnieniem Laure. – Gdzie jest Lucien? Camille mówiła mi, że wyjechał wczoraj wieczór?

– Nie wiem, gdzie jest. Przyjechali po niego przyjaciele. No, chodźmy do twojego gościa... Aha, przedstawiam ci przyjaciela z Paryża: pan François Tavernier.

– Dzień dobry pani.

– Dzień dobry panu.

Weszli razem do salonu, gdzie już były Bernadette Bouchardeau, Camille i Ruth, która właśnie nalewała do szklaneczek słodkie, białe wino z Montillac.

– Nareszcie jesteście! – zawołała Bernadette pozornie swobodnym głosem. – Mieliliśmy się już trącić bez was.



— Françoise, pozwoli pan, że przedstawię mu jednego z przyjaciół Laure, pana Fiaux. Maurice... mogę do pana mówić Maurice?... przedstawiam panu pana Taverniera, starego przyjaciela z Paryża, który zechciał nas odwiedzić przy okazji podróży do Bordeaux.

— Dzień dobry panu. To pana samochód, ten, który widziałem?

— Tak... w pewnym sensie... mój korespondent z Bordeaux pożyczył mi wóz, żebym mógł tutaj przyjechać.

— Pan zajmuje się winem?

— Zajmuję się wszystkim, co jest do sprzedania, to znaczy od wina do metali, do tkanin i artykułów spożywczych.

— Nie narzeka pan na kłopoty z zaopatrzeniem?

— Nie, mam trochę stosunków w sferach rządowych. W Vichy. Spotykam się czasem na obiedzie z Pierre'em Lavalem, a w Paryżu... przy pewnych układach... Pan rozumie, co chcę powiedzieć? Można robić bardzo dobre interesy.

Maurice Fiaux wypił swoją szklaneczkę z zamyśloną miną.

Françoise powiedział rozbawionym tonem, że wino z Montillac jest znacznie lepsze w Montillac niż w Paryżu.

— Proszę do stołu — powiedziała wesoło Laure. — Suflet gotów mi opaść.

Ten obiad! Łakoma Léa nigdy nie przypuszczała, że jakiś posiłek tak się jej będzie dłużył. Z trudem uporała się z kurczakiem, zostawiając spory kawałek na talerzu. Dużo natomiast piła. Maurice Fiaux także.

Tavernier tak pokierował rozmową, że Maurice opowiedział o sobie i o tym, co robi. Z początku mówił oględnie, ale pod wpływem wypitego wina rozgadał się i zaczął opowiadać o swojej pracy w prefekturze.

— Sprawdzam adresy Żydów, którzy mają być aresztowani, a także... czy członkowie rodziny są obecni. To jest praca poufna, bo czasami policjanci, którym powierzono tę misję, pozwalają niektórym zwać — powiedział z miną wielce zadowoloną z siebie.

Léa omal nie krzyknęła, kiedy poczuła, że czyjaś noga dotyka jej nogi. Była to noga Françoise. Powiedział z uśmiechem:

— Ta zawodowa skrupulatność przynosi panu zaszczyt. Gdyby wszyscy nasi młodzi ludzie byli tacy jak pan, Francja, z pomocą Niemiec, stałaby się znowu wielkim krajem.

— Niekoniecznie musi nas być dużo — odparł Maurice. — Garstka ludzi zdecydowanych wystarczy, by usunąć żydowską hołotę.

— Czy wie pan, dokąd ich się wywozi? — zapytała Laure łagodnie.

— Zdaje się, że do Drancy, potem do obozów pracy w Niemczech, ale równie dobrze można by wysyłać ich do piekła, dla mnie to ganc pomada.

— A dzieci pracują tam? — zapytała cicho Camille.

— Nie, proszę pani. Ze względów humanitarnych nie oddziela się dzieci od matek.

Kiedy mówił o "żydowskiej hołocie", Léi stanęła w oczach poparzona twarz i storturowane ciało Sary. Usłyszała jej ochrypy głos mówiący z lekkim akcentem niemieckim: "Naziści chcą wszystkich nas wymordować... Nie wyłączając kobiet i dzieci".

Jakiejż ulgi doznała, kiedy Maurice wreszcie wstał.

— Przepraszam bardzo, muszę już się pożegnać, na mnie czekają... W pewnej sprawie — powiedział z lekką ironią.

Pożegnał się wylewnie ze wszystkimi. Laure odprowadziła go do samochodu. Nikt nic nie mówił aż do jej powrotu. A ona rzuciła się z płaczem w ramiona Ruth.

— Nie chcę więcej go widzieć... Nie chcę więcej go widzieć — powtarzała szlochając.

Camille, Léa i François zeszli powoli na taras, gdzie siedzieli w milczeniu, aż wilgotne i aromatyczne powietrze kwietniowe rozproszyło ich czarne myśli.

Po południu doktor Blanchard wpadł z wiadomościami o Lucienie. Młodzieniec miał się tak dobrze, jak to było możliwe w jego sytuacji. Doktor wziął Léę na stronę:

— Raoul i Jean Lefèvre wręczyli mi ten list do ciebie.

Błysk radości mignął na pięknej twarzy dziewczyny.

— Raoul i Jean? Pan doktor ich widział?

— Tak.

— Jak się miewają?

— Bardzo dobrze. Jeśli chcesz z nimi się spotkać, przyjdź jutro do mnie w porze przyjęć.

Léa otworzyła list i przeczytała:

"Królowo naszych serc, myśl o Tobie pomaga nam żyć. Dostajemy szalu wiedząc, że jesteś tak blisko, i nie możemy się oprzeć pragnieniu zobaczenia Ciebie. Przyjedź szybko, czekamy pełni niecierpliwości i trwogi. Twój oddany niewolniczy J. i R."

Léa uśmiechnęła się.

— Dobre wiadomości? — zapytał François Tavernier.

— Pamiętasz chłopca, który czekał na mnie w kościele Saint-Eustache z "La Petite Gironde" pod pachą?

— Jeana Lefèvre?

— Tak. To list od niego i od jego brata. Cieszę się! Tak się bałam, że Raoul zginął podczas ucieczki.

— Jesteś pewna, że to jego pismo?

— Nie tylko pismo, doktor Blanchard powiedział mi, że bracia są u niego i że mogę jutro przyjść, żeby z nimi się spotkać.

— Nie chodź tam!

— Dlaczego?

– Nie wiem. Coś mi się w tym wszystkim nie podoba.

– To normalne, że chcą się ze mną zobaczyć... Obcując z takimi ludźmi jak twój przyjaciele w Paryżu, dopatrujesz się wszędzie zdrajców i nikczemników.

– Może masz rację. Chodźmy na sławetną kalwarię, gdzie bawiłaś się w dzieciństwie.

Léa zaczerwieniła się na wspomnienie niezbyt dziecinnej zabawy z Mathiasem w kaplicy.

François to zauważył.

– Powiedz, filutko, czy bawiłaś się tam nie tylko w chowanego?

– Chodźmy przez sosnowy gaj, nie będziemy musieli przechodzić koło Bellevue.

Znalazłszy się wśród drzew, z dala od ludzkich oczu, kochankowie objęli się i zeszli powoli po zboczu, przystając przy każdej stacji kalwarii, by się przyjrzeć murowanym kapliczkom. Aż do siódmej kapliczki Léa nie odezwała się słowem. Doszli do stromej ścieżki, która biegła wzdłuż cmentarza. Przez otwartą bramę weszli do środka. Léa od bardzo już dawna nie była na grobie rodziców i wyrzucała to sobie. Ale grób nie był zaniedbany. Leżały tam piękne, białe cyklameny, ulubione kwiaty jej matki. Pomyślała o tym pewnie Ruth, która żywiła kult dla wspomnień i przyjaźni.

Zgnębiona świadomością nieobecności rodziców Léa pochyliła się nad ich grobem, daremnie szukając w myśli słów modlitwy.

Zagrzmiał wystrzał.

– To na placu! – zawołała Léa prostując się.

Pobiegła wśród grobów, ślizgając się na żwirze stromych i wyboistych ścieżek. Szybkość jej reakcji zaskoczyła François.

– Léo, zaczekaj.

Nie oglądając się Léa nie zwolniła kroku, znalazła się wkrótce za bramą i zbiegła po stopniach, które się kończyły naprzeciw kościoła Verdelaïs. Stała. Naokoło panował spokój, zbyt wielki spokój. Na placu pustka, niezwykła o tej godzinie.

W chwili kiedy François znalazł się obok Léi i schwycił ją za rękę, rozległ się nowy strzał.

– Gestapo – szepnął pokazując palcem dwa czarne samochody, zaparkowane przed sklepem z galanterią.

Odgłosy kopyt końskich i kół lekkiego wózka dobiegły ich uszu. François odepchnął Léę do muru.

– To powóz doktora Blancharda...

– Jesteś pewna?

– Wszyscy tutaj znają berlinkę doktora.

– Wielkie nieba!

W chwili kiedy François się wyprostował, powóz doktora wyminął ich w

pędzie.

– Panie doktorze! Panie doktorze!

Doktor się nie zatrzymał, objechał plac i stanął przed sklepem z galanterią. W tej samej chwili otworzyły się wszystkie drzwiczki jednego z czarnych samochodów. Trzech cywilów wyskoczyło z auta z karabinami maszynowymi w rękach. Wsiadł za nimi oficer niemiecki i bez pośpiechu skierował się w stronę doktora, który jak zwykle przywiązywał swego konia do lipy.

François powoli pociągnął Léę, zmuszając ją, by się cofnęła. Weszli na stopnie prowadzące na plac, gdzie wznosił się pomnik poległych w wojnie 14 roku. Wyciągnęli się tam na płask na piasku. Leżeli nad placem i nad tym, co się tam działo, a czego byli bezsilnymi obserwatorami; młode liście lip nie zasłaniały jeszcze fasad domów.

Czas niejako stanął, zawieszony u skórzanych lejców okręconych wokół pnia lipy... Sprawdziwszy węzeł stary lekarz się odwrócił.

Dotarł do nich niewyraźny, szczekający głos oficera. Gesty doktora Blancharda zdawały się oznaczać, że nic nie wie. Prawdopodobnie nie odpowiedział oficerowi, jak należało, bo dwóch cywilów rzuciło się na niego i okładało go kolbami karabinów.

Léa chciała biec na pomoc. François przycisnął ją do ziemi.

Wówczas rozpętało się piekło. Wystrzały buchnęły z okien domu doktora, wyszedł z niego młody człowiek z rękami na piersi, zrobił kilka kroków i runął skurczony koło starego lekarza, którego siwe włosy zbroszone były krwią.

– Jean!... – jęknęła Léa.

Przeciągły okrzyk kobiecy rozdarł powietrze: to gospodyni lekarza widząc, że pan jej jest ranny, biegła do niego. Szedł za nią mężczyzna z uniesionymi do góry ramionami, także ranny w twarz.

– Raoul!...

Dwaj uzbrojeni cywile usiłowali odepchnąć gospodynię. Zrozpaczona kobieta czepiała się z krzykiem doktora Blancharda, któremu służyła przez całe życie i którego kochała... Ktoś odpędził ją mocnym kopniakiem... Kobieta ponownie uczepiła się swego pana. Z tyłu rozległ się strzał. Ciężkie ciało osunęło się na ziemię. Mężczyzna, który wystrzelił, miał kapelusz na głowie.

– Nie!

Piasek stłumił przejmujący krzyk Léi.

Dotarło do nich przeraźliwe wołanie doktora Blancharda:

– Mario!

Doktor rzucił się do Marii, by ją ratować. Upadł powalony uderzeniem w kark. Dwóch mężczyzn schwyciło go i zaniósło do jednego z czarnych samochodów. To samo zrobili z Jeanem. W drugim samochodzie umieścili Raoula. Stuknęły drzwiczki, samochody ruszyły podnosząc kłęby kurzu i pojechały w kierunku Saint-Maixant. Na plac, wjechała furgonetka pełna niemieckich żołnierzy i ruszyła za samochodami. Wszystkie środki ostrożności zostały powzięte. Kurz

opadł powoli na ciało gospodyni lekarza. Koń nie drgnął.

Leżąc ciągle na piaszczystym placu koło pomnika, François podtrzymywał Léę, którą chwyciły wymioty. Sprzedawca metalowych znaczków w pobliżu pomnika przybiegł do nich, rozglądając się na wszystkie strony.

— Widzieliście? Widzieliście?

Zaczęli nadciągać wieśniacy.

— Panienska jest ranna?

— Nie. Czy moglibyście przynieść nam trochę wody?

— Tak, oczywiście...

Sprzedawca wrócił z pełnym wiadrem wody pożyczonym od stróża cmentarnego. Oparta o drzewo Léa już nie wymiotowała. Twarz jej, cała w piasku, zalana łzami, była nie do poznania.

— Widzieliście? Widzieliście? — dopytywał się sprzedawca stawiając obok nich wiadro z wodą.

Po czym pobiegł do domu doktora Blancharda.

François zwilżył chusteczkę w wodzie i otarł biedną, zapłakaną twarz Léi.

— Pić mi się chce.

Zaczerpnął wody dwiema złożonymi dłońmi i Léa wypła ją chciwie.

— Dlaczego nic nie zrobiliście? Pozwoliliście ich aresztować i zabić na naszych oczach...

— Nie mogliśmy nic zrobić. Uspokój się.

— Nie chcę się uspokoić, przeciwnie, chcę krzyczeć... chcę się bić!

— Najlepiej będzie, jak odzyskasz zimną krew.

— Gdybyśmy mieli broń!

— Nie mieliśmy broni i było nas dwoje na dziesięciu, a może i na dwudziestu. Z bronią czy bez niej nie mieliśmy żadnej możliwości uratowania ich, rozpełalibyśmy tylko rzeź i wpadli w ich łapy.

Léa, z twarzą zalaną łzami, coraz mocniej uderzała głową o pień drzewa.

— Może... Ale coś byśmy robili.

— Wystarczy! Zrobisz sobie krzywdę. Trzeba raczej pomyśleć o ostrzeżeniu tych, których mogą teraz aresztować. Przyjaciele twoi będą może sypać. Pierwsza reguła w podziemiu — należy zmienić mieszkanie, jeśli ktoś z organizacji został aresztowany...

Léa zerwała się na nogi, jakby ukłuła ją osa.

— Lucien! Spieszmy się!

Nie patrząc na plac, na którym zgromadził się tłum, Léa popędziła w stronę kalwarii. Biegiem dopadła siódmej stacji i weszła do kapliczki, François biegł za nią.

— Proszę mi pomóc! Podnieś pękniętą płytę.

François wypełnił jej rozkaz. Pod płytą był schowek pełen karabinów, pistoletów, karabinów maszynowych, granatów i amunicji owiniętej w gruby brezent.

— Ale arsenał! — powiedział François i gwizdnął z podziwem. — To są steny, świetne w potyczce na małą odległość, ale szalenie niebezpieczne w rękach nieumiejętnych strzelców. Co robisz?

— Widzisz przecież. Zabieram karabiny.

— Zostaw! Nie zamierzasz chyba w biały dzień nieść tej broni do Montillac.

— Ale...

— Nie ma żadnego ale, włóż po jednym granacie do każdej kieszeni, ja wezmę dwa pistolety i trzy komplety pocisków. W razie potrzeby wrócę dziś w nocy po resztę... Położmy z powrotem płytę.

Przykrywszy starannie broń zamknęli schowek. François rozsypał gałazki, by zatrzeć ślady. Kiedy skończył, wziął Léę w ramiona i pocałował.

— Nie pora na to, zostaw.

— Cicho, zdaje się, że słyszałem jakiś hałas.

Stojąc przed wejściem do kapliczki stanowili pewnie doskonały cel.

— Chodźmy, widocznie się pomyliłem.

Wokół nich wzgórze z kapliczkami wydawało się puste. Ale czy to można wiedzieć na pewno? W każdej z tych kapliczek ktoś mógł się przyczaić i ich obserwować.

Poszli aż do stóp trzech ogromnych krzyży, górujących nad okolicą. Patrząc na dwóch łotrów François powiedział jakby do siebie:

— Zastanawiałem się zawsze, czy lepiej być przybitym do krzyża gwoździami, czy przywiązany sznurem...

Léa nerwowo odskoczyła w bok.

— Nie mógłbyś odłożyć na później takich refleksji?

Kiedy wyszli z lasu i minęli dawne kopalnie, rozpostarli się przed ich oczyma ziemie Montillac. Nie umawiając się stanęli w miejscu.

— Wszystko wygląda normalnie... Jak ci się zdaje? — zapytała Léa.

— Czy to można wiedzieć? Może czekają na nas w domu? Pójdę pierwszy.

— Nie! Nie chcę!... Chodźmy — powiedziała Léa ruszając. — Zatrzymam się w Bellevue. Jeśli coś nie jest w porządku, Sidonie będzie wiedziała.

— Sidonie? To u niej ukrywa się twój kuzyn?

— Kto ci o tym powiedział?

— Pani d'Argilat.

Bella, suka Sidonie, podbiegła do nich w podskokach, głośno szczekając. Kiedy weszli do domu, Sidonie położyła na stole starą fuzję myśliwską.

— Po szczekaniu Belli domyśliłam się, że to ty, ale coś w jej głosie mówiło mi, że nie jesteś sama.

- To przyjaciel. Nie zauważyłaś nic szczególnego w Montillac?
- Nie, nic, oprócz waszego gościa w południe. To był pan?
- Nie, ten pan przyjechał w nocy, kiedy byliśmy tutaj.
- Ciekawe, że nic nie słyszałam... Powiedz no, chyba płakałaś?
- Och, Sidonie! — zawołała Léa rzucając się w ramiona starej kobiety.
- Moja kochana... co się stało?
- Oni... zabili Marię... i... aresztowali doktora Blancharda...
- Wielkie nieba!
- ...I Raoula..., i Jeana...

— Proszę pani, nie ma ani chwili do stracenia. Lucien musi wyjechać od pani, tutaj już nie jest bezpieczny.

Sidonie delikatnie odepchnęła Léę i opadła na krzesło; z zaciśniętymi ustami, ciężko dysząc, przyciskała rękę do piersi. Drugą wskazała na kredens. François zrozumiał. Otworzył szafę i znalazł na półce buteleczkę z nalepką: dziesięć kropli w razie niedyspozycji.

— Niech pani da wody.

Léa wzięła dzbanek ze zlewu i nalała wody do szklanki, którą podał jej François.

— Proszę wypić — powiedział przyciskając szklankę do ust chorej.

Bella, wyjąc, drapała w drzwi.

— Sidonie nie umrze?

— Nie, spójrz, już lepiej się czuje. Co to za hałas?

Deska sufitu przesunęła się między dwiema belkami.

— Lucien! — krzyknęła Léa.

— Przynieś mi drabinę, stoi na dworze.

— Proszę tu zostać — powiedział François — przyniosę ją zaraz.

Szybko powrócił i przystawił drabinę do otworu w suficie. Lucien zszedł na dół, nie pomagając sobie nawet rękami.

— Wszystko słyszałem. Jest pan przyjacielem stryja Adriena, tak?

— Tak. Czuje się już pani lepiej? Powinna się pani położyć.

Sidonie pozwoliła zaprowadzić się do łóżka. François ostrożnie pomógł jej się położyć.

— Dziękuję panu. Dziękuję bardzo. Teraz niech pan się zajmie tym chłopcem.

Lucien podszedł do Sidonie i pocałował ją w czoło.

— Nie zapomnę ci tego nigdy, Sidonie. Dziękuję za wszystko.

— Dobrze już, dobrze. Idź.

— Nie od razu, trzeba poczekać, aż zapadnie noc. Pójdziemy z Léą do Montillac po samochód i lekarza.

— Jeśli dla mnie, to nie warto... Proszę tylko zapytać pannę Ruth, czy nie zechciałaby u mnie przenocować.

— Jak pani sobie życzy.

— Wracajcie szybko. Czuję się jak w pułapce, bez żadnej możliwości obrony — powiedział Lucien pokazując swoje ręce.

Od dziesięciu już minut jechali w milczeniu, wpatrując się w drogę, którą ledwie oświetlały pomalowane niebieską farbą reflektory samochodu.

— Dokąd mnie wieziecie?

— Do przyjaciół w Saint-Pierre-d'Aurillac — odpowiedziała Léa.

— Należą do ruchu oporu?

— Tak.

— Kim są?

— To były marynarz i jego brat... Gdzie jesteśmy? Nic nie widzę... To chyba Gaillard... Tak, Gaillard. Niedługo będziemy na miejscu.

Poza obrębem wsi jechali jeszcze kilka minut drogą biegnącą przez pole. Wkrótce ukazały się znowu domy.

— Zaparkujemy samochód na placu za kościołem. Kawiarnia Lafourcade'a jest po drugiej stronie szosy, naprzeciw pomnika poległych na wojnie. Zaczekajcie, zaraz wracam.

Po upływie kilku minut Léa wróciła.

— Pospieszcie się, czekają na nas.

Przeszli przez szosę i weszli po dwóch stopniach do kawiarni na początku małej uliczki. W słabo oświetlonej sali ledwie dostrzegli drewniane stoły i krzesła. Kobieta około lat pięćdziesięciu, ubrana na czarno, powitała ich:

— Wejdźcie, moje dzieci, witam. Och, biedny chłopiec... Co mu się stało?

— Manipulowałem materiałami wybuchowymi i urwało mi dłoń.

— Co za nieszczęście! Chodź tu, usiądź. Jean, przynieś coś do wypicia.

W grubej szklance cierpkie, czerwone wino miało smak kamienia i pozostawiało trwałą ślad nad górną wargą.

Dwaj bracia, Jeannot i Maxime, pożerali oczami piękną dziewczynę, która siedziała na rogu stołu i piła wino ich ojca.

François Tavernier opowiedział, co się stało w Verdelaix.

— Wiemy o tym od chłopca stamtąd, który nosi tam pocztę. Pani, zdaje się, ich znała, proszę pani?

Nie mogąc powstrzymać łez Léa odpowiedziała opuszczając głowę:

— Tak... Znałam ich od urodzenia... Doktor Blanchard pomógł mi się urodzić i... Raoul i Jean byli moimi najlepszymi przyjaciółmi przed wojną... Nie rozumiem...

— Ktoś ich zdradził. Jak tylko doktor Blanchard pojechał dzisiaj do chorych, niemiecki oficer i trzech cywilów zajęło pod jego dom. Furgonetka pełna



żołnierzy stała dalej. Nie muszę dodawać, że wszyscy w wiosce zabarykadowali się u siebie. Nieco później przyjechał jeszcze jeden samochód, prowadził go jakiś młodzieniec. Przybysz zadzwonił do drzwi doktora. Otwarto mu i nie wiadomo, co się tam działo. Ludzie słyszeli strzały.

— Myśmy je także słyszeli.

— Znacie dalszy ciąg.

— Gdzie ich wywieziono? — zapytała Léa.

Maxime odwrócił głowę, Jeannot odpowiedział za brata:

— Do Le Bouscat, do siedziby gestapo.

— Wszystkich trzech?

— Tak.

— Ale byli ranni.

— Te świny gwizdzą na to... Ranni umierają u nich byle gdzie.

— Nic nie da się zrobić?

— Na razie nic.

— Ojej!...

— Exupérance, niech pani będzie dzielna, pewnego dnia oni za to zapłacą — powiedział Maxime. — Na razie schowamy waszego rannego, będziemy go leczyć i wyprawimy do Afryki Północnej.

— Będziecie mieli duże wydatki — powiedział François. — Proszę, oto pieniądze.

— Proszę pana — wtrąciła się matka — nie robimy tego dla pieniędzy.

— Wiem. To, co robicie, nie ma w ogóle ceny, ale podróż koleją i lekarz kosztują... Exupérance, skoro już tak tutaj się mówi, nieostroźnie byłoby zostawać tu dłużej.

— Pan ma rację, musicie wyjechać przed godziną policyjną.

François pokłonił się nisko pani Lafourcade. — Czy mogę mieć zaszczyt ucałować panią? — zapytał.

— To zaszczyt dla mnie — odparła pani Lafourcade śmiejąc się i ucałowała go głośno w oba policzki.

— Proszę opiekować się moim kuzynem — powiedziała Léa całując także dzielną kobietę.

— Niech pani będzie spokojna... chłopiec jest w dobrych rękach.

Jeannot upewnił się, że szosa jest wolna, i odprowadził ich do samochodu.

Przytulona do François Léa nie mogła jednak zasnąć. Wciąż miała w oczach okrutną scenę z dzisiejszego popołudnia. Wyrzucała sobie, że nie pomyślała o broni. Ktoś ich zdradził... Kto mógł wiedzieć o obecności braci Lefèvre u doktora Blancharda? Sama Léa dowiedziała się o tym zaledwie godzinę przed dramatem. Co mówił Maurice Fiaux? "Czekają na mnie w pewnej sprawie..." Mimo że ten, co zabił Marię i ranił Jeana w brzuch, miał kapelusz na głowie, Léa była pewna, że to

był on. Tak wyglądała zatem "sprawa", o której mówił z zadowoloną miną. Morderca, powiedział stryj Adrien. Ten morderca upatrzył sobie jej siostrzyczkę... Trzeba koniecznie wywieźć Laure z Montillac; Léa czuła, że mała jest zafascynowana Maurice'em, chociaż wie, kim on jest. Po Niemcu gestapowiec! Tego by tylko brakowało! Ojciec przewróciłby się w grobie, gdyby o tym wiedział... Wreszcie Léa usnęła.

— Léo... Léo... Nie bój się... Jestem przy tobie. Znowu ten koszmar?

— Tak... Zawsze to samo. Ścigają mnie w płonącym Orleanie... wołam... i nikt nie przychodzi... jest ich coraz więcej, chcą mnie zabić, a tym razem... Maurice Fiaux był z nimi. To był Fiaux, nieprawdaż?

— Tak, tak mi się zdaje.

— Jak można zabijać tak obojętnie. Nie wydaje ci się to dziwne?

— Dziwne? Nie. Widziałem takie rzeczy w Hiszpanii i teraz we Francji, nie brak ludzi, którzy lubią zabijać.

— A ty, mógłbyś?

— Gdyby było trzeba.

— Zabijałeś już?

Szybki grymas, który przebiegł po twarzy kochanka, nie uszedł uwagi Léi.

— Tak, kiedy to było konieczne.

— Z taką samą obojętnością?

— Nie z obojętnością, z determinacją. Nawet ty, kiedy...

— To było coś całkiem innego! Chciał nas zabić... Nie miałam wyboru!

— Przyznaję, ale w razie potrzeby postąpiłabyś tak samo, choć teraz już wiesz, że w pewnych wypadkach i pewne osoby zabijają bez trudu.

— Mówisz rzeczy okropne... porównujesz mnie do tamtego mordercy.

— Przyznaj jednak, że gdybyś dziś miała możliwość, zabiłabyś go.

Léa zastanowiła się chwilę.

— Tak.

— I to z chęci zemsty, podczas gdy Fiaux działa z całkowitą obojętnością.

— To absurd!

— Może. O tak późnej godzinie gotów jestem mówić byle co, tak jestem senny.

— Ładne rzeczy, tobie się chce tylko spać!

— Pokażę ci zaraz, czy chce mi się tylko spać!

Camille wstawała trzy razy, by napoić małego Charles'a, który od dwóch dni gorączkował.

"Ciężkie przeziębienie" — zawyrokował dnia poprzedniego doktor Blanchard. Teraz Charles spał. Camille nie mogła mu się napatrzeć; tak bezbronny wydawał się we śnie. Jako dziecko Laurenta musiał mieć tę samą minę co ojciec, taką samą jasność i kruchość. Kiedy go Camille zobaczy? Budząc się podczas choroby, za każdym razem miała nadzieję, że zobaczy męża u swego wezglowia.

Przemierzała pokój usiłując ruchem odpędzić trwogę, myśleć o czymś innym... Jutro powie Bernadette o wyjeździe jej syna. Przewidywała, że pani Bouchardeau będzie lamentować i płakać, i bała się tego... Jakże by chciała oszczędzić zmartwienia tej trochę zwariowanej kobiecie. Léa ją o to prosiła, a Camille nie mogła niczego Léi odmówić. Kocham ją tak samo jak Charles'a, myślała czasem. Jako kobieta rozsądna zastanawiała się nad tym uczuciem. Lubię patrzeć, jak Léa żyje, o tyle intensywniej niż ja. Tak się o nią boję, bardziej niż o Laurenta, może dlatego, że Léa jest kobietą i że zdaję sobie sprawę, na co się naraża, szczególnie odkąd poznałam lochy gestapo i cele fortu Hâ. Kiedy Léi nie ma w Montillac, przewiduję najgorsze. François Tavernier czuje to co ja, boi się stracić Léę.

Uderzenie kamykiem w okiennicę okna, przy którym Camille stała z czołem opartym o szybę, oderwało ją od tych rozmyślań. Zgasiła nocną lampkę przy łóżeczku syna, wróciła do okna, otworzyła je i uchyliła okiennice. Na dole... tam, na podwórzu... męska sylwetka.

— Camille — szepnął nieznajomy.

Ten głos?... Camille zachwiała się. Z bijącym sercem chwyciła się parapetu szczupłymi rękami.

— Camille — powtórzył nieznajomy.

Nie ma wątpliwości... To on! Złe myśli znikły bez śladu, Camille rzuciła się do drzwi, zbiegła ze schodów, przebiegła po ciemku przez jadalnię i na oścież otworzyła drzwi wejściowe. Laurent schwycił ją w ramiona.

Po raz pierwszy od blisko trzech lat Laurent d'Argilat i François Tavernier spotkali się twarzą w twarz. Ich spotkanie poruszyło Léę bardziej, niż się spodziewała. Widok tych dwóch mężczyzn razem nagle ją zaszokował. Laurent z brodą, za długimi włosami, w workowatym ubraniu wydawał się bezdomnym włóczęgą obok François, nieco zbyt eleganckiego w garniturze od dobrego, paryskiego krawca. Teraz Laurent wyglądał podejrzanie. To szczyt wszystkiego, pomyślała Léa.

Rozmawiali po cichu w rogu pokoju dziecinnego, którego drzwi Léa zamknęła na klucz. Zdecydowały wspólnie z Camille, że nie powiedzą Bernadette Bouchardeau i Laure o przybyciu Laurenta do Montillac.

Dzień był smutny i zimny. Pogoda w sam raz na Wielki Piątek.

— Gdzie Charles? — zapytała Léa.

— Bawi się z Laure — odpowiedziała Camille. — Gdybyś wiedziała, jaką zabawną miał minkę, kiedy ojciec wziął go na ręce. Tym razem natychmiast go poznał.

Dwaj mężczyźni wrócili.

— Spróbowaliśmy wyjaśnić sytuację, pan Tavernier i ja. Zupełnie z nim się zgadzam: powinniście wyjechać z Montillac na jakiś czas, zabierając ze sobą Laure.

— A Charles? — zawołała Camille.

— Charles też oczywiście.

— Podzielam wasze zdanie, ale dokąd mamy jechać?

- Do Paryża.
- Do Paryża! — zawołały jednocześnie Léa i Camille.
- Tak, tam będziecie najbezpieczniejsze, po pierwsze z powodu Françoise, a po drugie dlatego, że Tavernier zorganizuje coś w rodzaju opieki nad wami.
- Ale ty, Laurencie, dokąd pojedziesz?
- Odlatuję dziś w nocy. Samolot przyleci po mnie i zabierze mnie do Londynu, potem do Afryki Północnej.
- Camille zachwiała się.
- Zabiją cię — powiedziała łkając.
- To samo grozi mi tutaj. Wyjeżdżając, mam nawet więcej szans na uratowanie życia.
- W takim razie... wyjeżdżaj.
- Ze ściągniętymi brwiami Léa usiadła wśród poduszek.
- Proszę o uśmiech, moja miła, bo pomyślę, że wciąż się kochasz w tym romantycznym bohaterze — szepnął François.
- Daj mi spokój!
- Nie trzeba się gniewać, bo w końcu czegoś się domyślą.
- Nic mnie to nie wzrusza!
- Nie bądź dzieckiem, nie pora na takie rzeczy. Słuchasz mnie? Dobrze. Zadzwońisz do pań de Montpleynet...
- A to po co?
- By je poprosić o gościnę na jakiś czas.
- Dla wszystkich trzech? Z dzieckiem?
- Tak. Od razu jutro, jeśli gestapo nie zjawi się wcześniej i nie aresztuje całego towarzystwa, pojedziemy do Bordeaux, a stamtąd pociągiem do Paryża.
- A jeśli Laure nie zechce wyjechać?
- Trzeba będzie ją przekonać. Właśnie Laure trzeba przede wszystkim wywieźć z Montillac. Nie powinna spotkać się więcej z Maurice'em Fiaux.
- Rozumiem... Zatelefonuję.
- Powiedz ciociom, że Camille musi się poradzić specjalisty, a ty jedziesz ze względu na stan jej zdrowia.
- A co powiem o Laure?
- Powiedz, że Laure się nudzi. Nawet nie skłamiesz.
- Będziemy się spotykać w Paryżu?
- Tak, będziemy się spotykać tak często, jak tylko to będzie możliwe, serduszko.
- Dobrze, zatelefonuję. Idziesz ze mną?
- Nie, muszę jeszcze coś powiedzieć Laurentowi przed wyjazdem do Bordeaux.

— Jedziesz teraz do Bordeaux?

— Tak. Postaram się czegoś dowiedzieć o twoich przyjaciółach i zajmę się miejscami w pociągu.

Przez resztę dnia Léa musiała pilnować Laure. Dziewczyna nie przestawała płakać, skulona w jednym z foteli w salonie.

— Dlaczego płaczesz?

To pytanie wywołało nowy potok łez, ale pozostało bez odpowiedzi.

François Tavernier zatelefonował, że wróci dopiero jutro rano i że panie powinny być gotowe do drogi. Ruth, którą Léa uprzedziła, pochwaliła projekt i przekonała Laure, że wyjazd jest konieczny.

— Nie martw się o nic — powiedziała Léi — będę czuwała nad wszystkim. Sidonie pozostanie tutaj, dopóki nie wyzdrowieje. Obiecuj, że będziesz często pisała, żebym wiedziała, co się z wami dzieje.

Bernadette Bouchardeau, zrozpaczona, że znowu straciła syna z pola widzenia, na wieść o wyjeździe bratanic wstrzymała się od komentarzy.

O dziesiątej Laurent wyrwał się z ramion Camille i pocałowałszy po raz ostatni śpiącego syna w czołko, wyszedł w noc, z chlebakiem pełnym czystej bielizny. Léa odprowadziła go do szosy ścieżką poniżej tarasu, by uniknąć przechodzenia w pobliżu domu Fayardów. Z rowu wyłonił się nagle mężczyzna i skierował wprost na ich twarze światło latarki.

— To ty — powiedział gasząc latarkę. — Pospieszmy się, samolot nie będzie czekał.

I wyprowadził z krzaków dwa rowery.

Laurent pocałował Léę w czoło.

— Dbaj o siebie i o nich — powiedział odsuwając ramiona, które usiłowały go zatrzymać.

Stu dziewięćdziesięciu pięciu zabitych! Podczas bombardowania Bordeaux przez lotnictwo aliantów 17 maja 1943 roku zginęło stu dziewięćdziesięciu pięciu ludzi.

Z jaką satysfakcją powiedział to i powtórzył jeszcze Herold Paquis z Radia Paryż. Dzielnice w pobliżu dworca bardzo ucierpiały, pociągi kursowały źle. Co za szczęście, egoistycznie pomyślała Léa, że zdążyliśmy przedtem wyjechać.

Jaki hałas! W Wielką Sobotę tłum, obładowany paczkami, koszykami i dziećmi, zdobywał szturmem pociągi jadące do Paryża. W jaki sposób François Tavernier potrafił zarezerwować dla nich cały przedział pierwszej klasy? To graniczyło z cudem, skoro nawet korytarze pierwszych klas były zapchane. Camille nie chciała iść z nimi do wagonu restauracyjnego mówiąc, że musi się opiekować synkiem.

Kiedy weszli do wagonu restauracyjnego, Léa pożałowała, że nie została w przedziale i nie poprzestała na zjedzeniu tego, co dała im Ruth. Większość konsumentów stanowili niemieccy oficerowie i żołnierze oraz dostatnie wyglądający mężczyźni i kobiety. Kilka głów podniosło się znad talerzy na widok dwóch ładnych dziewcząt. Dali kartki żywnościowe kierownikowi wagonu i zjedli jeden z najgorszych posiłków czasu wojny. François śmiał się z zawiedzionej miny Léi. Laure zostawiła niemal wszystko na talerzu pod zgłodniałym spojrzeniem młodego żołnierza.

W Paryżu Laure odzyskała w znacznym stopniu dobry humor, uszczęśliwiona spotkaniem z Albertine, Lisą i Françoise z dzieckiem.

Léa uważała, że ciocie i Estelle postarzały się i wydawały się bardzo zmęczone.

Od przyjazdu sióstr do Paryża Françoise odwiedziła je tylko raz i po skończonym posiłku natychmiast odeszła.

Z listu Ruth siostry dowiedziały się o samobójstwie doktora Blancharda, który podobnie jak państwo Debray nie zawahał się rozstać z życiem, byle podczas tortur nie zacząć mówić. Jean i Raoul Lefèvre byli w forcie Hâ. Zostali poddani torturom.

W samochodzie, którym jechali do Bordeaux, François powtórzył Léi, Camille i Laure to, czego się dowiedział o braciach Lefèvre. Zawieziono ich w aleję du Médoc 197 i przesłuchiowano coraz brutalniej, nawet Jeana, który bardzo cierpiał z powodu rany piersi. Wobec tego, że bracia nie chcieli zeznawać,

zamknięto ich w piwnicy i systematycznie bito. Ostatecznie oprawcy musieli przerwać tortury w obawie, że przesłuchiwani umrą. Pozwolono doktorowi Blanchardowi leczyć Jeana. Mógł więc wyjąć mu pocisk z piersi, a rana nie wydawała się zbyt groźna. W nocy doktor popełnił samobójstwo połykając cyjanek, o czym François dowiedział się kilka dni później.

Laure nie wspomniała nigdy o Maurice'ie Fiaux.

Na półkach księgarni Gallimarda przy bulwarze Raspaila stało zaledwie kilka zniszczonych już tomów. Léa przeglądała jeden z nich, o pożółkłych stronicach, którego autora nie знаła. Podszedł do niej ten sam sprzedawca co na początku wojny. Był w pumpach i półbutach na słoninie.

– Niech pani nie kupuje tej książki, nic nie jest warta.

– Nie mam nic do czytania i nie wiem, co kupić... Jak to się dzieje, że półki są takie puste?

– Sprzedaje się obecnie wszystko. Wyprzedaliśmy prawie cały nasz zapas. Nie nadążamy z dostarczaniem książek.

– A to dlaczego?

– Bo Francuzi zaczęli znowu czytać. Co mają robić? Nie można co dzień chodzić do kina, więc czytają.

– Co czytają?

– Wszystko, co wpadnie im w rękę: Homera, Rabelais'go, Spinozę, Ojców Kościoła, czy ja wiem, kogo jeszcze?... Ale mam coś dla pani. Zachowujemy nowości dla naszych starych i dobrych klientów. Chce pani ostatnią powieść Marcela Aymé?

– Widzę, że pan naprawdę lubi tego pisarza.

– Tak, bardzo. Proszę, daję ją pani już zapakowaną, żeby nikt nie zobaczył.

Léa odeszła przyciskając do piersi cenną książkę. Nareszcie będzie miała przyjemny wieczór! Przeczytała już raz i drugi wszystko, co było w małej bibliotece ciotek. Nigdy jeszcze tak się nie nudziła w Paryżu w towarzystwie Camille, która poświęcała cały swój czas synkowi, ciotek, które mówiły tylko o zaopatrzeniu, Laure, która spędzała u Françoise dni, a niekiedy i noce, odwiedzała bary i kawiarnie, i Estelle, która coraz bardziej narzekała na nogi.

Léa tęskniła za Montillac. Bała się, by korzystając z jej nieobecności Fayard nie dopiął swego, nie zważając na Ruth i Sidonie. Zbliżał się lipiec, a Léa wcale nie miała ochoty spędzać lata w Paryżu. Już teraz człowiek się dusi. Jak okropnie musi tu być w sierpniu! Gdyby przynajmniej François myślał o rozrywkach dla Léi... Ale gdzie tam! Jaśnie pan znikł jak kamień w wodę. Gdzie się podział? Czy przebywa ze swoimi przyjaciółmi z Londynu czy też z Berlina? Niełatwo to zgadnąć.

Mężczyźni oglądali się za śliczną dziewczyną w granatowej sukience w czerwone grochy i w wysokich sandałach z białego płótna, na koturnach, prezencie od Françoise. Pograżona w smutnych rozmyślaniach Léa nie dostrzegła zainteresowania, jakie budziła.

Wróciwszy do domu Léa położyła książkę na konsoli w przedpokoju, obok

jakiegoś kapelusza. Ciocie miały gości.

— No, jesteś nareszcie! — Pan Tavernier przeszło godzinę czeka na ciebie.

Léa z trudem powstrzymała się, by nie rzucić mu się w ramiona.

— Dzień dobry. Myślałam, że pan już nie żyje.

— Léo!

— Nic nie szkodzi, proszę pani, to tylko żart. Ten humor należy do jej wdzięku.

— Jest pan zbyt wyrozumiały dla tego dziecka.

— Ciociu Liso, nie jestem już dzieckiem i gwizdzę na wyrozumiałość pana Taverniera.

— Ale charakterek! Powietrze Paryża pani nie służy?

— Nie. Nudzę się.

— Tego właśnie się bałem. Zabieram panią na przejażdżkę na wieś.

— O tej godzinie! Niedługo już piąta.

— Pojedziemy niedaleko... jakieś piętnaście minut samochodem.

— I pan nazywa to wsią? Piętnaście minut stąd?

— Zobaczysz pani, to miejsce dzikie i urocze, które zna niewiele ludzi.

Trzeba im było znacznie więcej niż piętnastu minut, by dojechać tam, gdzie zaplanował François. Przeklinał klucząc ulicami Bagneux, Fontenay-aux-Roses, Sceaux i Bourg-la-Reine. Zatrzymał się przed tablicą Châtenay-Malabry i poszukał na planie.

— Ulica Châteaubrianda, ulica du Loup-pendu... No! Nareszcie! Ulica Vallée-aux-Loups, to tędy.

— Czy powiesz mi wreszcie, dokąd jedziemy?

— Jedziemy kupić drzewo.

— Drzewo?

— Tak, obiecano mi sadzonkę drzewa, które posadził Châteaubriand.

— Co chcesz z tym zrobić?

— To nie dla mnie. Jeden z moich niemieckich przyjaciół, znawca literatury francuskiej i wielbiciel Châteaubrianda, pytał mnie, czy mógłbym zdobyć taką sadzonkę...

— Zwariowałeś!

— Zatelefonowałem do doktora Le Savoureux, który mieszka w dawnej posiadłości wielkiego pisarza. Powiedział, że nie ja pierwszy o coś takiego go proszę i że ma w tej chwili dość ładny, mały modrzew.

— Nie masz nic innego do roboty niż dostarczanie drzew swoim niemieckim przyjaciołom? — zapytała Léa z największą pogardą, na jaką potrafiła się zdobyć.

— Mój przyjaciel nie jest pierwszym lepszym Niemcem, a ten modrzew nie jest pierwszym lepszym drzewem. Pomyśl tylko... to dziecko drzewa troskliwie



posadzonego przez Châteaubrianda.

— Wydaje mi się, że słyszę Raphaëla Mahla. On także mówił mi o Châteaubriandzie ze łzami w głosie, dał mi nawet książkę twojego wielkiego człowieka...

— "La vie de Rancé"?

— W jaki sposób zgadłeś?

— Nie jest to trudne, kiedy zna się trochę Raphaëla Mahla. Czytałaś tę książkę?

— Próbowалам... wydała mi się okropnie nudna! Życie brudnego mnicha w siedemnastym wieku.

— Nie mów nic, nieszczęsna! Wjeżdżamy na ziemie autora "Les martyrs", którego widmo gotowe opuścić skałę w Saint-Malo i zjawić się tutaj, aby cię wytargać za uszy za takie bluźnierstwa.

Jechali pod górę szeroką aleją, wysadzaną wysokimi drzewami, których wierzchołki przysłaniały niebo. Ciepłe i wilgotne powietrze wślizgiwało się przez otwarte okna wozu.

— Co za ponura miejscowość! Jak się nazywa?

— La ValLée-aux-Loups.

— Ano właśnie. Można by powiedzieć, spelunka godna powieści Anny Radcliff.

— Czytałaś powieści Anny Radcliff?! — zapytał Francois z takim zdumieniem, że Léi zrobiło się przykro.

— Czy ty jeden umiesz czytać? Moja matka uwielbiała powieści angielskie z tego okresu, czytała je wszystkie, ja także. Uważasz pewnie tę literaturę grozy za zbyt sentymentalną... zbyt kobiecą.

— Jaki zapał! Nie wiedziałem, że tak lubisz czarną literaturę. Znasz pisarzy niemieckich z tego samego okresu? Niektórzy są ciekawi, mogą ci pożyczyć, jeśli chcesz.

— Nie, dziękuję.

Zajechali przed dom porośnięty dzikim winem i bluszczem, obok którego wznosił się duży budynek, przypominający małe koszary albo szpital. Średniego wzrostu kobieta czekała na nich na progu.

— Dzień dobry panu. Pan Tavernier, jak się domyślam?

— Tak. Dzień dobry pani.

— Jestem żoną doktora Le Savoureux. Mąż bardzo żałował, wezwano go do Paryża, polecił mi pana przyjąć i przeprosić.

— Wielka szkoda.

— Proszę mi wierzyć, że było mu przykro, ale nie mógł nic poradzić. Zechce pani wejść, panno...

— Przepraszam, że się nie przedstawiłam, nazywam się Léa Delmas.

— Jaka pani jest ładna. Mój mąż będzie tym bardziej żałował, że nie mógł

osobiście państwa przyjąć.

Léa uśmiechnęła się i weszła.

A więc tak wygląda dom wielkiego pisarza! Wnętrze wydawało się jakieś kruche. Léa miała wrażenie, że ściany lada chwila runą pod ciężarem obrazów, a podłoga może się zapaść pod masywnymi meblami.

— Co spodziewałaś się zobaczyć? — zapytał Léi François, widząc, że jest zawiedziona.

— Nie wiem... coś bardziej imponującego... ten salon mógłby być w Montillac. Och, François! Widziałeś ten trawnik... te drzewa!

— Piękne, nieprawdaż? Mój mąż i ja dbamy o to, by utrzymać to miejsce w takim stanie, w jakim on chciałby je widzieć. Jeśli pani zechce, przejdziemy się po ogrodzie i pokażę państwu drzewa posadzone jego ręką. Proszę iść za mną. Przepraszam panią, to nie potrwa długo.

Na stole pokrytym papierami przyciągnęła uwagę Léi książka oprawna w skórę i pełna białych, papierowych zakładek. Dziewczyna wzięła ją do ręki: "Pamiętniki z za grobu". Usiadła na stopniach ganku, przed salonem, naprzeciw wielkiej, pustej, cudownie zielonej przestrzeni, otoczonej wysokimi drzewami, i otworzyła książkę. "La ValLée-aux-Loups, koło Aulnay, 4 października 1811 roku..."

Ziemia już pewnie pachniała jesienią, pomyślała Léa przed rozpoczęciem lektury:

"Podoba mi się to miejsce, zastąpiło mi pola ojczyste, zapłaciłem za nie owocem moich marzeń i nocy bezsennych. Wielkiej pustyni "Atali" zawdzięczam małą pustynię Aulnay; ażeby stworzyć sobie tę samotnię, nie obrabowałem jak kolonista amerykański Indianina z Florydy. Przywiązałem się do moich drzew. Napisałem dla nich elegie, sonety, ody. Każde z nich pielęgnowałem własnymi rękoma, uwolniłem od robaków toczących korzenie, gąsienic przylepionych do liści. Znam nazwy wszystkich tych drzew, to moje dzieci, to moja rodzina, innej nie mam. Mam nadzieję, że umrę na łonie tej rodziny".

Mogłabym powiedzieć to samo o Montillac. Moją prawdziwą rodziną jest tamta ziemia ze swoimi drzewami, winnicami i łąkami. Tak samo jak on znam nazwy moich drzew i umiem leczyć ich choroby. Kiedy tam wrócę, posadzę cedr na pamiątkę dzisiejszego dnia, pomyślała Léa.

— Léo... Gdzie jesteś?

— Tutaj.

— Przepraszam. Nie za długo to trwało? Co ty czytasz?

Léa bez słowa podała mu książkę.

— Nie ośmieliłbym się doradzać ci tej lektury po tym, co powiedziałaś o "La vie de Rancé".

— Ale to coś całkiem innego. Tu on opowiada o swoim dzieciństwie, mówi o tym miejscu z taką miłością... Czy umarł tu, jak tego sobie życzył?

— Niestety nie, moja piękna ignorantko! Châteaubriand nie zdążył się

schronić w cieniu drzew, które sam sadił. Musiał sprzedać tę posiadłość "kupioną za Bonapartego, sprzedaną za Burbonów", a także księgozbiór, z którego zachował tylko małą książeczkę — Homera. Tak bolał nad utratą tej posiadłości, że sobie poprzyśiągł, iż nigdy nie będzie miał na własność ani jednego drzewa.

Wieczór był wspaniały. Wracali lasem do domu, który wydawał się zgubiony wśród zieleności.

— Nie chodźmy tęty — powiedziała pani Le Savoureux do Léi, która szła przodem.

— Dlaczego? Ścieżka jest niezła.

— Tak, ale zbliżamy się do miejsca, które nazywamy polanką rozstrzelanych.

— Polanką rozstrzelanych? — zdziwiła się Léa.

— W tym kierunku, po drugiej stronie muru, Niemcy rozstrzelali w lesie zakładników... Słyszę jeszcze te strzały. Od tej pory nigdy z mężem nie spacerujemy w tej części parku.

Powrócili do domu w milczeniu i wkrótce potem François pożegnał się z panią Le Savoureux, ściskając w ramionach cenny modrzew.

Długo jechali ulicami przedmieścia. Mężczyźni grali tam w kule, kobiety robiły na drutach na progu swych domów, a dzieci bawiły się z piskiem w berka. W powietrzu unosił się zapach sadzy, zupy i skoszonej trawy. Odgłosy rozmów i wybuchy śmiechu docierały do nich z otwartych drzwi kafejek i barów. Przez jakiś czas towarzyszyła im piosenka Edith Piaf. Bielizna schła w ogrodach, na środku ulicy stały psy, które podczas wojny zdążyły już zapomnieć o istnieniu samochodów. Podnosiły się w ostatniej chwili, spozierając na automobilistów pogardliwym wzrokiem. Była to godzina poobiednia, kiedy każdy pozwalał sobie nic nie robić i duma spoglądając na niebo. Podmiejskie wille stopniowo znikły, ustępując miejsca dużym gmachom, kawiarnie pojawiały się coraz częściej. Muzyka nadawana przez radio płynęła z otwartych okien i odbijała się o mury. Wyminęli ich chłopcy na rowerach. Spokój, niemal taki jak na wsi, nagle znikł, odpędzało go bliskie już miasto. Przy Porte d'OrLéans wielkie, białe tarcze z gotyckimi literami przypomniały im brutalnie o obecności Niemców. Od wyjazdu z ValLée-aux-Loups wymienili zaledwie kilka słów.

— Gdzie masz ochotę zjeść obiad? — cicho zapytał François.

Rozterka, jaką wyczytał z jej oczu, poruszyła go do głębi. Zatrzymał wóz przy chodniku i przyciągnął Léę do siebie.

— Wiem, o czym myślisz, najmilsza. Zapomnij na jakiś czas o tym wszystkim. Ani strach, ani łzy nie wskrzeszą zmarłych... Odpędź od ślicznej główki myśli o zemście, jeszcze nie pora. Płacz, moja mała dziewczynko... wołę twoje łzy od tego niemego bólu, wobec którego się czuję bezradny. Nie wyobrażasz sobie, co bym dał, żebyś była wesola, beztraska... żebyś była nareszcie szczęśliwa. Léo, jesteś taka silna, taka dzielna, nie powinnaś upadać na duchu. Walcz, jesteś w stanie stawić czoło temu wszystkiemu.

Léa pozwalała się pocieszać słuchając jego przekonującego i ciepłego głosu. Mniejsza o to, że on może się myli, że ona nie jest ani silną, ani dzielną

dziewczyną, ale słabą biedulą, miotaną przez burzę, unoszoną daleko od marzeń, które snuła, zaguboną w tym nowym świecie, którego nie rozumie, w którym wyzwalamy się gwałtowne instynkty, wymiatając wszelkie słabości. Od czasu owego zabójstwa podczas bombardowania Orleanu Léa zdawała sobie sprawę z siły witalnej, jaka w niej tkwi, i wiedziała, że zabiłaby znowu, gdyby tak było trzeba. Ale teraz, zalewając się łzami w ramionach tego mężczyzny, pragnęła być tylko dzieckiem, które trzeba pocieszać.

— Lepiej już? Masz, wytrzymaj sobie nos.

Léa wytarła nos z dyskrecją starego proboszcza.

— Jak ty to robisz, że z czerwonymi oczami i zgnębioną miną wyglądasz jeszcze piękniej?

Léa uśmiechnęła się leciutko i głęboko westchnęła.

— Jestem głodna.

François wybuchnął śmiechem.

— Dopóki będziesz czasami głodna, można się o ciebie nie martwić. Musimy się spieszyć, jeśli chcemy zdążyć przed godziną policyjną. Masz ochotę pójść do moich przyjaciół z ulicy Saint-Jacques?

— Och tak... Lubię i Marthe, i jej kuchnię.

W restauracji przy ulicy Saint-Jacques wszystkie stoliki były zajęte, ale w pokoju przerobionym na jadalnię dla przyjaciół nie było nikogo. Marthe i jej synowa zawołały na ich widok:

— Pan François! Panna Léa! Jak to miło, że państwo przyszli do nas.

— Ma pani wiadomości od syna?

Marthe rozejrzała się naokoło, jak gdyby się bała, że ktoś się schował za lśniącoymi rondlami zawieszonymi u ścian, i odpowiedziała szeptem:

— Jest w maquis w Dordogne. Podobno mają ciężkie życie, ale lepsze to niż praca w Niemczech.

Mimo restrykcji wojennych posiłek jak zawsze był doskonały.

— Dostaję tyle drobiu co kot napłakał.

Léa, która trochę za dużo wypila, roześmiała się wyobrażając sobie płaczącego kota. Żeby częściej słyszeć jej śmiech, François gotów był wyprawiać największe błazeństwa, wymyślać najśmieszniejsze gry słów. W obecności Léi czuł się znów psotnym chłopcem. Zaczął opowiadać modne ostatnio kawały, dowcipy przypisywane Sachy Guitry, mistrzowi humoru francuskiego, bardzo cenionemu przez okupantów. I Léa śmiała się, śmiała...

— Piękna to rzecz beztraska młodość — powiedziała Marthe podając deser.

Objęci wyszli z tej konspiracyjnej restauracji ostatni. Ulica Saint-Jacques była ciemna i pusta. Z Ogrodu Luksemburskiego docierała woń róż. Léa odrzuciła do tyłu głowę i zamknęła oczy, aby mocniej czuć ulotny aromat. Tyle było oddania w tej pozycji, że ręce François wśliznęły się pod jej bluzkę, pod spódniczkę. Nie protestowała, pełna ufności. Kiedy palce jego dotknęły wilgotnych płatków sromu, zamknęła oczy.

Nie mówiąc nic Léi François Tavernier zostawił Ruth sporo pieniędzy, by mogła wypłacić pensję Fayardowi i pięciu robotnikom rolnym, którzy stale pracowali w winnicach. Uczciwa gospodyni początkowo nie chciała brać pieniędzy, ale François potrafił ją przekonać zapewniając, że dzięki temu Léa pozbędzie się codziennych kłopotów związanych z Montillac. Pożyczył także pieniądze Laurentowi, mówiąc mu, że może je zwrócić po wojnie.

Camille co dzień zabierała synka do Tuileries lub do Ogrodu Luksemburskiego, niekiedy towarzyszyła jej Françoise ze swoim dzieckiem. Parokrotnie przychodził do nich Otto Kramer i za każdym razem Camille odchodziła pod pretekstem jakiejś pilnej sprawy albo umówionego spotkania. Sam widok munduru niemieckiego przyprawiał ją o chorobę. W wypadku kapitana Kramera było gorzej, bo nie chcąc obrazić Françoise, musiała podawać mu rękę. Taktowny z natury Otto Kramer zrozumiał młodą kobietę i nie przychodził po Françoise, kiedy wiedział, że jest z Camille.

Z radia londyńskiego Camille dowiedziała się, że Laurent szczęśliwie dotarł do Afryki Północnej.

Od czasu bytności w Vallée-aux-Loups Léa poweselała, była jak gdyby mniej napięta. Pochłonięta lekturą "Pamiętników z za grobu" nie przestawała się zachwycać Châteaubriandem ku wielkiemu rozbawieniu François Taverniera, który niemal co dzień przychodził do domu przy ulicy de l'Université.

Laure zmieniła się nie do poznania. Ubrana według ówczesnej ekstrawaganckiej mody młodzieżowej otwarcie paliła papierosy, chodziła do modnych kawiarni "Pam-Pam" i "Colisée" i tańczyła na potajemnych zabawach w rytmie Alexa Cobvelle'a i Django Reijnharta, których szybko zużywane płyty kręciły się na adapterach szkół baletowych i modnych barów, chętnie odwiedzanych przez publiczność. Od pewnego czasu, dzięki Laure, posiłki w domu nieco się poprawiły. Raz po raz zjawiało się masło, kawa, cukier czy ziemniaki. Skąd brała na to wszystko pieniądze? Na czarnym rynku kilo masła kosztowało jak wiadomo 350 franków, a kawy od 1000 do 2000 franków. Na pytanie ciotek Laure odpowiadała niezmiennie:

— Robię dobre interesy. Pośredniczę między tymi, co szukają jedwabnych pończoch i mają masło, a tymi, co chcą nabyć sto kilo masła i mają dwadzieścia par pończoch. Dostają za to prowizję, to bardzo proste.

Zdecydowawszy się kontynuować studia Laure zapytała panien de Montpleynet, czy byłyby skłonne ją zatrzymać u siebie. Zgodziły się oczywiście.

Pewnego dnia przedstawiła Lei swoich nowych znajomych. Byli zabawni, cyniczni, źle wychowani i... bardzo młodzi. Najstarszy miał dwa lata mniej niż Léa. Rodzice ich byli lekarzami, profesorami, adwokatami albo zamożnymi handlowcami. Ta mała grupa przyjęła Léę serdecznie, uważając, że jest piękna. W ich towarzystwie Léa odzyskiwała dawną beztroskę. Ci młodzi nie mówili nigdy o wojnie, to był dla nich temat tabu. Hitler, de Gaulle, gestapo, ruch oporu — nic o tym nie wiedzieli, nic ich to nie obchodziło. Rodzice ponosili odpowiedzialność za to, co się dzieje, niech sobie radzą, jak mogą. Śmiesznie wyglądają ci biedni starzy, kiedy rozprawiają o za długich marynarkach, za krótkich spodniach, włosach zwisających na szyi, opadających albo przesadnie kwadratowych

ramionach, o pończochach w paski, byle jak oczyszczonych, grubych butach i nieodzownym parasolu, którego nigdy się nie otwiera, podczas gdy sami byli gotowi na wszystko, by zdobyć paczkę papierosów lub jedwabne pończochy. Przegrali wojnę i nie mają już nic do gadania, a przede wszystkim nie powinni mówić o wielkości Francji czy Niemiec, zależnie od okoliczności. Ci młodzi byli równie obojętni na głos Maurice'a Schumanna, jak i Philippe'a Henriota, byłego posła liberalnej prawicy, odwiecznego wroga partii komunistycznej, który po inwazji Niemiec na ZSRR stał się rzecznikiem obrońców cywilizacji chrześcijańskiej przed bolszewizmem. Na Champs-Élysées, w Saint-Germain-des-Prés wyniośle nie dostrzegali okupantów, nie usuwając się nigdy przed żadnym z nich; tamci dla nich nie istnieli. Na szczęście wyrozumiałość żołnierzy zawdzięczali póki co swojemu młodemu wiekowi.

Wojna pogłębiła u Lisy de Montpleynet potrzebę wszelkiej informacji: chciała wiedzieć o cofaniu się niemieckich wojsk w Rosji, o zamknięciu niektórych stacji metra, o liczbie zabitych podczas ostatniego bombardowania aliantów, o wzroście ceny masła, o najmodniejszych piosenkach, a także o mianowaniu przez Francuski Komitet Ruchu Oporu nowego szefa w AOF, o dymisji Mussoliniego, o przyszłym desancie czy o odczytanym w programie "Francuzi mówią do Francuzów" sprawozdaniu pewnego Polaka z masakry Żydów, które długo ją prześladowało i w którego potworność nie chciała do końca uwierzyć.

"...To pole znajduje się w odległości piętnastu kilometrów na południe od miasta Bełzec. Ogrodzenie, którym jest otoczone, ciągnie się wzdłuż nasypu kolejowego i jest od niego oddalone o blisko dziesięć metrów. Wąskie przejście szerokości niespełna jednego metra prowadzi od wejścia do obozu do toru kolejowego. Około dziewiątej rano pociąg towarowy stanął nie opodal obozu. W tej samej chwili strażnicy, którzy się znajdowali na przeciwległym skraju obozu, zaczęli strzelać w górę i kazali Żydom wsiadać do pociągu.

Wywołali w ten sposób panikę wśród więźniów, bo chcieli przeszkodzić wszelkim próbom oporu. Popychani do owego wąskiego przejścia, o którym wspomniałem, Żydzi rzucili się, rozpychając się, do pierwszego wagonu towarowego, który stał u wylotu przejścia. Był to zwykły wagon, jeden z tych, na których widnieje napis: "6 koni lub 36 osób". Podłoga wagonu była pokryta warstwą niegaszonego wapna grubości pięciu centymetrów, ale zaszokowani i przerażeni Żydzi tego nie spostrzegli. Weszło ich do wagonu ze stu, więcej już nie mogło się zmieścić. W wagonie wszyscy stali ściśnięci jeden obok drugiego. Wówczas strażnicy, chwytając wpół więźniów, zaczęli ich wrzucać do wagonu na głowy tych, co tam już stali. Tę robotę ułatwiało im przerażenie więźniów, którym strzelano w plecy. Oprawcy wrzucili tak do wagonu jeszcze ze trzydzieści osób, mężczyzn i kobiet; wyglądało to okropnie, wielu kobietom złamano kark. Łatwo sobie wyobrazić zgrozę, jaka ogarniała człowieka na ten widok. W ten sposób strażnicy wepchnęli czy raczej wrzucili do pierwszego wagonu sto trzydzieści osób. Następnie zasuwane drzwi zostały zamknięte i zaryglowane. Pociąg przesunął się kilkanaście metrów naprzód.

Następny wagon zatrzymał się w tym samym miejscu i scena się powtórzyła. Pociąg ten, jak policzyłem, miał pięćdziesiąt jeden wagonów. Wepchnięto do nich sześć tysięcy więźniów. Po opróżnieniu obozu i wypełnieniu wagonów pociąg

ruszył.

Zatrzymał się w szczerym polu w odległości około czterdziestu kilometrów od obozu. Hermetycznie zamknięte wagony stały tam przez sześć czy siedem dni. Kiedy zastęp grabarzy otworzył wreszcie drzwi, nikt w wagonie nie żył, a niektórzy znajdowali się już w stanie daleko posuniętego rozkładu. Umarli zatruci. W kontakcie z wodą niegaszone wapno wydziela bowiem chlor. Ludzie stłoczeni w wagonach musieli oczywiście załatwiać swoje potrzeby naturalne. Wynikała z tego natychmiast reakcja chemiczna. Żydzi zostali więc natychmiast zatruci chlorem, a niegaszone wapno zżerało im stopy aż do kości".

— To potworne! — zawołała Léa zatykając uszy.

— Jak Pan Bóg może pozwalać na takie rzeczy? — powiedziała dobroduszna Estelle z przerażeniem, które w innych okolicznościach mogłoby się wydawać komiczne.

— Jak polski bojownik ruchu oporu mógł włożyć mundur oprawców i obserwować spokojnie tę scenę? — szepnęła do siebie Albertine.

— Powiedział, że chciał dać sprawozdanie cywilizowanemu światu — mruknęła Laure.

— Nie rozumiem, po co to niegaszone wapno — rozmyślała na głos Léa. — Po sześciu czy siedmiu dniach i tak by się wszyscy zadusili.

Spiker londyńskiego radia ciągnął:

"...Niektórzy może sądzą, że Francja korzysta z warunków preferencyjnych, niektórzy będą może myśleli, że nigdy nie widzieliśmy takich rzeczy u siebie, na naszej ziemi. Tak zorganizowanych zbiorowych morderstw.

Wystarczy jednak przypomnieć sobie, jak traktowano Żydów stłoczonych w obozach Drancy, Compiègne czy nawet na Vélodrome d'Hiver. Wystarczy przypomnieć sobie rozdzierające sceny, jakie się rozgrywały szczególnie w Lyonie, kiedy odrywano Żydówki od dzieci, zamykano ludzi w pociągach, nie pozwalając pożegnać się z rodzinami. Wystarczy sobie przypomnieć milczenie, jakie zapadło po aresztowaniu tak ogromnej liczby Żydów, by zrozumieć, że żaden kraj nie został oszczędzony.

Co się stało z wszystkimi tymi mężczyznami, kobietami, starcami, a niekiedy i dziećmi? Odjechali oni także "na Wschód", według eufemizmu, którego używają Niemcy? Każdy funkcjonariusz francuski, który zajmuje się kwestią żydowską, musi zrozumieć, że wypełniając rozkazy okupantów, uczestniczy w zbrodni, staje się pomocnikiem niemieckich oprawców Lwowa i Warszawy".

Cisza, jaka zapadła, świadczyła o ich wstydzie i rozpacz.

— Można by sądzić, że to propaganda antyniemiecka — odezwała się Léa, kiedy mogła już mówić. — Żaden naród nie jest zdolny do takich potworności.

— Przypomnij sobie doktora Blancharda, Jeana i Raoula — odparowała Laure.

— To nie to samo. Z jednej strony aresztują ludzi, którzy z nimi walczą, z drugiej mężczyzn, kobiety i dzieci, którzy ich zdaniem nie mają w ogóle prawa istnieć... Tego właśnie nie mogę zrozumieć. Dlaczego?

- Dlatego, że są Żydami, to jasne.
- I to ci się wydaje dostatecznym powodem, by wysyłać ludzi do obozu koncentracyjnego i mordować?
- Nie, oczywiście, że nie.
- Kto im przeszkodzi jutro zabijać rudzielców, bo są rudzielcami, garbusów, bo są garbaci, starców, bo są starzy?
- Kochane dzieci, jesteśmy w ręku Boga — szepnęła Lisa.
- Żydowskiego Boga teraz nikt chyba nie słucha — szydziła Léa ku wielkiemu zgorszeniu ciotek.

Lisa i Estelle nie przyznawały się do tego, ale znacznie bardziej wierzyły wiadomościom Radia Paryż niż Radia Londyn, którego programy były bardzo męczące, bo zagłuszane.

Mimo zakazu sprzedaży aparatów radiowych Lisa i Albertine ofiarowały taki aparat Estelle w dwudziestą piątą rocznicę jej dobrej i lojalnej służby. Od tej pory za nic w świecie nie opuściłaby codziennego komentarza Jeana-Hérolda Paquis przed siódmym dziennikiem radiowym o ósmej wieczorem.

Mimo że panie sto razy jej mówiły, że Paquis jest na żołdzie niemieckim, że jego napaści na komunistów, Żydów i gaullistów są wstrętne, a zakłamanie bezwstydnym, Estelle czuła się zawsze wstrząśnięta, kiedy Paquis kończył swój program słowami: "Anglia, jak Kartagina, musi być zniszczona!" Wszyscy wiedzieli, że jego przemówienia były inspirowane przez okupantów, ale wielu słuchało z niepokojem, jak Paquis grzmi przeciw "groźbie bolszewizmu" czy zręcznie wykorzystuje dla swojej propagandy bombardowania aliantów.

O ile Estelle miała pewną słabość do Jeana-Hérolda Paquis, to Lisa wołała Philippe'a Henriota, który tak "ładnie mówił" i był "taki kulturalny". Ach, ten głos, "zdumiewający, poważny, głęboki, melodyjny, którym Henriot posługiwał się z takim mistrzostwem. Głos, który grzmiał i szydził w przypiływie drobnomieszczańskiego samozadowolenia, ten prawdziwy talent literacki, któremu zabrakło ogłady paryskiej i znajomości niektórych słów". Dawny poseł z Libourne potrafił lżyć i odmalowywać obrazy, które przemawiały do wyobraźni zarówno na wsi, jak i w Paryżu. Z jakim cynizmem, z jaką maestrią wbijał nóż w ranę zwyciężonych! Dowodzi tego przemówienie wygłoszone 4 lipca 1943 roku przez tego polityka, którego wielu uważało za stróża swego sumienia:

"Nasi rodacy, wyznawcy gaullizmu i teorii pochodnych budzą we mnie zawsze zdumienie i zaskoczenie. Sądzą, że tylko ich patriotyzm nie zna kompromisów. Mają monopol na poczucie godności francuskiej (...).

Niemcy okupują Francję po odniesieniu całkowitego zwycięstwa. Pamiętajmy, iż ci panowie twierdzą, że nie byli nigdy pokonani i że marszałek nie powinien był podpisywać zawieszenia broni. Pozostawmy te śmieszne twierdzenia ludziom ogarniętym paniką w roku 1940 między Garonną a Pirenejami; trzęśli się wtedy ze strachu, że Niemcy nie zechcą zgodzić się na zawieszenie broni, które dzisiaj mają w takiej pogardzie. Nie było wojska, broni, samolotów; Niemcy byli w Angoulême i w Valence, a na drogach tłumy uciekinierów, wojskowych i cywilnych, wszędzie zamęt... Wówczas powinny były się odezwać pewne głosy,



których nie usłyszeliśmy nigdy. Nasze spóźnione samochwały nie w porę przemawiają teraz wielkim głosem. Ze zdumiewającym brakiem logiki zresztą. Czemuż ci ludzie, co głoszą, że okupacja ich kraju przez przeciwnika, który ich pokonał, jest nie do zniesienia, znajdują pocieszenie w inwazji na ich imperium kolonialne narodów, które obiecały im pomoc i ograniczają się do wykorzystywania ich? Czemu tak oburza ich widok Niemców, ich wrogów, czerpiących z naszych zasobów to, co Rzeszy jest niezbędne, a zacierają ręce, kiedy Anglia i Ameryka, ich przyjaciółki, zagarniają naszą żywność z Afryki Północnej? (...)

...Nic już nie rozumiem. Boleję nad losem mojego kraju. Boleję tak, jak zwyciężony boleje nad swoją klęską. Przyznaję jednak, że ta próba — mimo że najcięższa — jest niestety czymś naturalnym. Ale wy, którzy przyjmujecie od rzekomego przyjaciela to, czego zwycięzca nie narzuca nam nigdy, czy nie czujecie się trochę zażenowani? (...)

Tak Amerykanin rozstrzyga konflikty między przywódcami francuskimi, król Anglii zagarnia nową kolonię korony, Churchill i Roosevelt nie chcą uznać władzy francuskiej na ziemi rdzennie francuskiej; a czwartego lipca, w dniu święta niepodległości amerykańskiej, które przywodzi na myśl pomoc, jakiej Francja udzieliła Ameryce, by Amerykanie mogli wypędzić Anglików, dwie dawne rywalki działają ręką w rękę, by zmusić nas do niewoli. Francuzi są u nich tak dalece pozbawieni wolności, że żaden głos nie zaprotestował przeciw powietrznym mordom rodaków w metropolii (...).

...Otóż panowie ci głoszą, że brak nam godności, bo chcąc przywrócić naszemu krajowi miejsce, na jakie zasługuje, nie zaczynamy od negowania klęski. Ale, panowie, wasz przyjaciel zgotował wam los sto razy bardziej upokarzający niż ten, jaki nam narzucili nasi zwycięzcy. Traktują nas jak zwyciężonych, ale was jak lokajów. To prawda, że Niemcy nas pokonali, ale Anglicy wystrychnęli was na dudka. I dzięki temu mają władzę nad wami. Dać się pokonać to znaczy być słabszym od przeciwnika, dać się oszukać to znaczy być głupszym. Można litować się nad słabszym, ale nie ma litości dla głupca.

Możecie więc płaszczyć się nadal przed waszymi okupantami, całować ręce tym, co was odwołują i wypędzają; dziękujcie za każdy kopniak, jaki od Londynu do Waszyngtonu wtrąca w nicość generała, który nie powinien był nigdy z nicości wychodzić. Ale błagajcie swych panów, by przez jakiś czas zechcieli grać nadal główne role. To jeszcze nie koniec. De Gaulle i Giraud będą jeszcze pili wino z Algierii u Jerzego Szóstego. Wymieniają już telegramy gratulacyjne ze Stalinem (...).

Klęska na wojnie była tylko próbą, która zgodnie z wyznaniem zwycięzcy nie uchybiła honorowi. A tam handlują honorem ludzie, którzy twierdzą, że stanęli w jego obronie".

Te wygłaszane co tydzień przemówienia denerwowały Lisę i trzeba było całej, właściwej Albertine umiejętności przekonywania, by dowieść siostrze, że jeśli Philippe Henriot może mówić z pozorną swobodą o "prowizorycznym okupancie", to pozostaje widocznie w zgodzie z tymże okupantem, i że nie jest się współnikiem "terrorystów", czyli gaullistów, jeśli się nie daje wiary temu, co Francuzi, będący

pod nadzorem okupantów i głęboko pronazistowscy, mówią o innych Francuzach, tych co nie pogodzili się z klęską ojczyzny. Po godzinnych dyskusjach Lisa przyznawała siostrze rację aż do nowego przemówienia Philippe'a Henriota. Na szczęście wpływ Albertine był silniejszy od głosu, który nawoływał do dawania posłuchu Radiu Paryż. "Radio Paryż to radio zdradzieckie, Radio Paryż to radio niemieckie..." — nucono po cichu.

Jak większość Francuzów Lisa ulegała tyranii radia, wynalazku jeszcze dość nowego i tajemniczego. Głosy, które pochodziły nie wiadomo skąd i szemrały to porady kulinarne, to najróżnorodniejsze zalecenia i wiadomości z całego świata albo też warczały, lżyły, prorokowały, schlebiali, skutecznie prały mózgi, mogły równie łatwo przemycać nienawiść, jak nadzieję. Słuchacze, siedząc spokojnie w swoich fotelach, słuchali tych słów z taką samą uwagą, jak Joanna d'Arc słuchała niegdyś głosów, które do niej mówiły.

Léa, Laure i Camille nie uniknęły tego swoistego zatruwania falami. Mimo dezaprobaty Lisy i Estelle, które się bały denuncjacji wrogo usposobionych sąsiadów, Léa i Camille słuchały Londynu niemal co wieczór, a Laure przepadała za modnymi piosenkami, które stamtąd nadawano. Żadna z nich nie brała jednak za dobrą monetę tego, co słyszała z jednej czy drugiej stacji, postępując pod tym względem tak samo jak wielu chłopców i dziewcząt w ich wieku.

Prawdziwa sympatia, jaka łączyła François Taverniera z Camille d'Argilat, przeobraziła się we wzajemne zrozumienie, które Léa akceptowała niechętnie. Nie była zazdrosna o Camille, bo uważała, że jest za mało ponętna, by mogła być jej rywalką, ale trudno jej było znieść, że jest wyłączona z pewnych rozmów, które przerywali, kiedy wchodziła. Co znaczyły te tajemnice? Sądziła, że rozwiązała zagadkę, kiedy pewnego dnia po powrocie ze spaceru, wyjmując Charles'a z wózka, zobaczyła w jego zaciśniętej ręczce strzęp papieru. Wyciągnęła go delikatnie i rozwinęła: był to kawałek "LiBération", konspiracyjnej gazety gaullistowskiej. Skąd się to wzięło w piąstce malca? Dziecko wyrывało się z rąk Léi. Miała już je położyć, kiedy odniosła wrażenie, że coś dziwnie szeleści w jego majteczkach. Szybko rozpięła śpioszki...

Pośpiesznie zebrała gazety, które stamtąd wypadły, i chwytając Charles'a na rękę zaniósła go do swego pokoju. Zadyszana jak po biegu upadła na łóżko, a chłopaczek podniósł się i pogłaskał ciocię po głowie.

— Masz matkę wariatkę, skończoną wariatkę! A gdyby tak Françoise znalazła u ciebie ten strzęp gazety... Zdajesz sobie sprawę, co by to było... Za takie coś wywieziono by nas do obozu — powiedziała Léa biorąc malucha na rękę i całując go w oba policzki.

— A, Charles jest z tobą. Ładne rzeczy, przyłapałam was na flircie — powiedziała Camille wchodząc.

— Dobry mi flirt! Zamknij drzwi. Kiedy pomyślę, że śmiałaś go mieszać do tego wszystkiego!

— Nie rozumiem, co chcesz przez to powiedzieć?

— Nie rozumiesz? Uważasz, że to rzecz normalna taka pieluszka dla dziecka — powiedziała Léa wymachując zwitkiem gazet.

— Jak je znalazłaś? To przecież dobra kryjówka, nie uważasz?

Co za bezczelność! Léa nie przypuszczała, że Camille jest zdolna do czegoś takiego.

— Dobra kryjówka! Przecież mogliby go zabić przez ciebie!

Młoda matka zbladła.

— Ale... on przecież nic nie zrobił.

— Oczywiście! I co z tego?

Camille przeraziła się poniewczasie. Usiadła na łóżku i schwyciła synka w ramiona.

— Mogłabyś jednak powiedzieć mi o tym. Pani chce odgrywać bohaterkę samotnie! Czy pomyślałaś o tym, jak Laurent by się martwił, gdyby wiedział, że rozprowadzasz tajne gazetki.

— Wie o tym.

— Jak to wie?

— To on skontaktował mnie z organizacją.

Léa patrzyła na przyjaciółkę z niedowierzaniem.

— Nie wierzę.

— A jednak to prawda. Laurentowi potrzebny był ktoś pewny. Więc całkiem naturalnie pomyślał o mnie.

— To idiotyczne. Ty masz dziecko. Powinien był zwrócić się do mnie.

— Może myślał, że i tak masz za dużo roboty.

— Odkąd tu jestem, nie mam żadnego kontaktu z ludźmi stamtąd i czuję się bardzo dobrze. Nie mam ochoty być aresztowana jak Jean i Raoul, umrzeć jak doktor Blanchard albo stanąć przed plutonem egzekucyjnym. Błagam cię, nie przynoś więcej do domu podziemnych gazetek. Za dużo ludzi kręci się tu.

— To, co dzisiaj się stało, to wyjątek. Zazwyczaj rozprowadzam gazetki od razu.

— Dlaczego tym razem tego nie zrobiłaś?

— Mój łącznik nie stawił się na spotkanie. Nie śmiałam wyrzucić tego do kosza.

— A François?

— Co François?

Camille nie umiała kłamać. Odpowiedź jej brzmiała fałszywie, ale Léa udała, że jej wierzy. Miała iść na kolację z François i obiecała sobie, że wyświetli wtedy całą sprawę. Najważniejsza była teraz decyzja, jaką suknię ma włożyć.

Ogarnięta szaleńczym pragnieniem rozrywek Léa chciała się bawić, nie myśleć już o zaginionych lub zmarłych przyjaciółach ani o tych, którzy walczą albo kolaborują. Żadne szczególne wydarzenie nie wpłynęło na jej decyzję, była po prostu trochę znużona i ogarnęła ją wielka żądza życia, zabawy. Czy stało się to pod wpływem dwóch sióstr, które żyły tylko chwilą? Pod wpływem miłości François, zajętej kochankiem i synkiem, Laure, pochłoniętej amerykańską muzyką, czarnym rynkiem i flirtami?

Zmiana, jaka zaszła w Léi, zaskoczyła nieco François, choć w głębi duszy poczuł ulgę. Odkąd ją znał, żył w ciągłym lęku. Kiedy zobaczył, do jakiego stopnia się narażała pracując dla ruchu oporu w swojej prowincji, kiedy zdał sobie sprawę z obserwacji, pod którą znalazło się Montillac i jego mieszkańcy, kiedy poznał postawę Mathiasa, kiedy dowiedział się o odwiedzinach Raphaëla Mahla i był świadkiem aresztowania przyjaciół Léi, przeraził się. Dlatego właśnie przyspieszył jej wyjazd do Paryża. Ale tak się nieszczęśliwie złożyło, że musiał wyjechać na cały

miesiąc. Wróciwszy teraz na kilka dni, mógł wreszcie zająć się Léą. I z ogromną przyjemnością dostrzegł zmianę, jaka w niej zaszła. Od ich pierwszego spotkania osobowość Léi ukształtowała się, a uroda rozkwitła. Należy do kobiet, jakich trzeba unikać jak ognia, jeśli człowiek nie chce mieć kłopotów. Można by sądzić, że chciał mieć kłopoty, skoro właściwie wychodził im naprzeciw. Jak na przykład dzisiaj, kiedy zgodził się zabrać ją na kolację do "Maxima", odmówiwszy jej uprzednio pod pretekstem, że:

— Kuchnia u "Maxima" się zepsuła i pełno tam Niemców.

— Wszystko mi jedno — odparła Léa. — Chcę znaleźć się w takim miejscu, gdzie ludzie wyglądają na takich, co się bawią.

Nie mógł jej tego wyperswadować. Dlatego właśnie, dając sobie spokój z podziemnymi gazetkami Camille, Léa musiała się przygotować do kolacji. Za pośrednictwem Laure kupiła sobie wspaniałą suknię z ciemnoczerwonego muślinu, z której zerwano metkę. Zapytane o zdanie cioce i Françoise orzekły, że to suknia od wielkiego krawca: Chanel albo Fath. Ale biorąc pod uwagę niezbyt wygórowaną cenę, wydawało się to niemożliwe. Długi, czarny szal i wieczorowe, lekko tylko zniszczone pantofle uzupełniały elegancką toaletę.

— Wyglądasz wspaniale! — zawołała Camille, która pomogła Léi się ubrać. — Mężczyźni będą patrzyli tylko na ciebie.

Léa wzięła jedną z podziemnych gazet.

— A to po co? — zapytała Camille.

— Chcę zrobić kawał. Włożę "Libération" między "Le Matin", "Paris-Soir", "L'Oeuvre", "La Gerbe", "Le Pilon" i "Les Nouveaux Temps". Chcę zobaczyć miny tych panów, kiedy wpadną na tę gazetę.

Camille uśmiechnęła się.

— Zwariowałaś!

— Proszę cię, chcę, żeby się czuli zagrożeni nawet w lokalach, gdzie ich zdaniem są całkiem bezpieczni. A "Maxim's" to właśnie jeden z tych lokali.

— Nie rozumiem ciebie. Myślałam, że nie chcesz już o niczym takim słyszeć.

— No i co z tego? Mogę przecież zmienić zdanie...

Léa wkładała gazetę do czarnej, zamszowej torebki, kiedy przyszedł François. Bardzo elegancki. Ale wydawał się zatroskany.

— Chcesz naprawdę iść do "Maxima"?

— Jak najbardziej.

— W takim razie — westchnął — chodźmy...

— Można by pomyśleć, że idziemy na śmierć.

François dziwnie spojrział na Léę, lekko rozbawiony.

— Jest tam tak samo jak gdzie indziej. Ale są gorsze miejsca do umierania.

— Nie jesteś dowcipny.

— Nie usiłowałem nawet... Masz ładną suknię. Krwi nie będzie na niej widać.

— François, niech pan przestanie, zepsuje jej pan całą zabawę.

— Daj spokój, Camille. Czarny humor naszego przyjaciela nie jest w stanie niczego mi zepsuć.

— No dobrze! Nie poddawajmy się. Na pewno spędzimy cudowny wieczór. Dobranoc, Camille. Niech pani ucałuje ode mnie małego Charles'a.

— Do widzenia, bawcie się dobrze.

Przed domem czekał na nich samochód z kierowcą.

Przy wejściu do baru słynnej restauracji dzienniki i tygodniki, przymocowane do długich uchwyków z bambusu, wisiały przy tablicy z ciemnego drewna. Kilku panów, siedzących wygodnie przy stoliku, na którym stała szklanka z trunkiem, przeglądało dzisiejsze pisma. Léa wyjęła swoje pismo podziemne, starannie je rozwinęła i niedbale wśliznęła do ostatniego numeru "Je suis partout", między artykuły Roberta Brasillacha, François Vinteuila (Luciena Rabateta), Alaina Laubreaux, Claude'a Janeta i Georges'a Bidault. Rozejrzała się zadowolona wokoło i podeszła do François, który czekał na nią przy stoliku. Uprzejmy oficer niemiecki przepuścił Léę, podczas gdy Albert skwapliwie poprowadził ją do stolika.

— Ten stolik odpowiada panu?

— Tak, Albercie.

Léa usiadła odprężona, z zadowoloną miną, lekko uśmiechnięta.

— Wyglądasz jak kot, który napił się po kryjomu mleka, albo jak psotna smarkuła, która zrobiła komuś dobry kawał.

— Ja? — powiedziała Léa z tak niewinnym uśmiechem, że François nagle się zaniepokoił. — Jestem po prostu zachwycona, że się tutaj znalazłam. Ty także, nieprawdaż? Musi tu być mnóstwo twoich przyjaciół. Nie myślę się?

Kierownik sali przyniósł szampana, który François zamówił.

— Wypijmy za twoją urodę...

— Drogi przyjacielu, proszę mi pozwolić wznieść ten sam toast na cześć pani.

Léa natychmiast poznała człowieka, który to powiedział. Spotkała go już raz w restauracji, kiedy była w towarzystwie François. Dziś nie miał na sobie zniszczonej marynarki tweedowej, ale smoking, poplamiony tu i ówdzie popiołem grubego cygara, które palił. Nie sposób tego typu uniknąć. Z lodowatym uśmiechem François podniósł swój kieliszek.

— Proszę pana, moja żona myśli, że pan się na nią gniewa.

— Jak pani Szkolnikoff może coś takiego przypuszczać?

— Nie przyszedł pan jednak do nas na obiad.

— Czekałem na oficjalne zaproszenie.

Szkolnikoff wybuchnął śmiechem.

— Obecnie obywa się bez takich ceremonii. Czekamy jutro o siódmej na pana, z panią oczywiście. Jest pani urocza.

— Obawiam się, że trudno mi będzie uwolnić się od wcześniejszych zobowiązań.

Uśmiech "pana Michela" natychmiast znikł.

— Jestem pewien, że się pan uwolni. Liczę na pana. Bez zawodu... O siódmej. Ulica de Presbourg dziewiętnaście. — Odzyskując uśmiech Szkolnikoff dodał: — Heléne będzie zachwycona. Do jutra!

François gwałtownie zacisnął pięści pod stolikiem.

— Żona twojego przyjaciela jest urocza, spójrz, daje ci znaki.

Obsypana biżuterią Heléne Szkolnikoff machała im ręką z mnóstwem pierścionków na palcach.

— Przestań wreszcie nazywać tego wieprza moim przyjacielem — powiedział François, z trudem opanowując gniew, i pomachał także ręką w stronę Heléne.

— On może nie, ale jego żona...

— Znowu zaczynasz?

— Kto jest z nimi?

— Kapitan Engelke z kochanką.

— Przyjaciółką pięknej Heléne? No, nie bądź taki sztywny. Nie psuj mi tego wieczoru. Nie moja to wina, że spotykamy osoby, których nie masz ochoty oglądać.

Widząc minę François, Léa pomyślała, że on zaraz zapomni, gdzie są, i da jej klapsa. Przejornie odsunęła się i powiedziała przymilnie:

— Nie kłóćmy się. Tak mi dobrze. Wypijmy, zgoda?

François wziął swój kieliszek szampana i wychylił go jednym haustem. Kelner pospiesznie go napełnił. Wiele osób patrzyło w ich kierunku: zarówno młodość i uroda Léi, jak i jej naturalny sposób bycia oraz skromność toalety przyciągały spojrzenia; żadnego klejnotu, tylko wspaniałe ramiona, odsłonięte dużym dekoltem. Piękna i elegancka dziewczyna w prześlicznej sukni z białego jedwabiu przyglądała się Léi może bardziej niż inni z miną wyrażającą aprobatę, a zarazem lekko drwiącą. Twarz jej wydała się Léi znajoma.

— Kto to jest?

— Corinne Luchaire.

— Jaka ładna i sympatyczna. Z kim tu przyszła?

— Z ojcem, Jeanem Luchaire, i dziennikarzami.

— Znasz ją?

— Nie.

— Szkoda. Bardzo mi się ona podoba.

Léa odwróciła się z dezynwolturną.

— Pani już coś wybrała?

— Chciałabym coś bardzo drogiego.

Ta dziecinna odpowiedź wywołała uśmiech na nachmurzonej twarzy François.

— Zamów kawior. Nie wiem, jak oni to robią, ale kawior mają zawsze.

- Świetnie. Proszę o kawior.
- Mamy obecnie jesiotrowy i łososiowy.
- Który jest droższy?

Kierownik sali drgnął, zaszokowany widocznie tym pytaniem. Odpowiedział z lekką naganą w głosie:

- Jesiotrowy, proszę pana.
- Niech więc będzie jesiotrowy. Dla mnie to samo.
- Dobrze, proszę pana, a co następnie?
- Chciałabym ryby — odpowiedziała Léa.
- Mamy flądre, doradę i łosia ze szczawiem. To bardzo smaczne, delikatne, pozwalam sobie doradzać pani łosia.
- Proszę o flądre.
- Dobrze, proszę pani. A pan?
- Chętnie skosztuję łosia.
- Nie pożałuje pan.
- Proszę powiedzieć starszemu kelnerowi, że będziemy nadal pili szampana.

Odpowiada ci to?

- Bardzo.

Od strony wejścia dotarły do nich podniesione głosy, potem starszy pan z bródką, podobny do Alfonsa de Châteaubriand, wszedł wymachując gazetą i usiadł przy stole Jeana Luchaire. Ten musiał go zapytać o powód zdenerwowania. Stasz pan odpowiedział mu gniewnie. Strzępy zdań dotarły do Léi i François.

— ...spelunka terrorystów... wszędzie ich pełno... komuniści i gaulliści... nie kijem, to pałką... czerwona hołota... rozstrzelać wszystkich... żadnej litości... ta plugawa gazeta... przyzwoite gazety... hańba...

Usiłowano go uspokoić. Pan z bródką wstał i podał gazetę grubasowi o bardzo godnej minie.

- Proszę, niech pan zobaczy, jeśli pan mi nie wierzy.

Grubas obracał w ręku pismo nic nie rozumiejąc.

— To, co pan trzyma, to pismo gaullistowskie, zbrodnicza ręka wsunęła tę szmatę między uczciwe gazety.

- Jacques — krzyknęła histerycznie towarzyska grubasa — rzuć to!

Grubas, oszołomiony, upuścił gazetę, która wdzięcznie wirując w powietrzu spadła u stóp kapitana Engelkego. Wszystkie rozmowy umilkły. Orkiestra, jakby nigdy nic, grała w najlepsze walca. Léa z trudem się powstrzymywała od śmiechu. Spoglądała z pogardą na tych ludzi, którzy przed chwilą, przed wybuchem skandalu, rozpływali się w uśmiechach rozmawiając swobodnie z niemieckimi oficerami, a teraz ukazali swoje prawdziwe oblicze, w których tchórzostwo łączyło się ze słabością. Był to wstrętny widok. Powoli, bawiąc się pewnie niespokojnym oczekiwaniem towarzystwa, Engelke podniósł gazetę.



– "Libération" – powiedział głośno.

Przeczytał kilka linijek nie zwracając uwagi na napięcie, jakie zapanowało na sali.

– Bardzo ciekawe. Zna to pan? – zapytał podając gazetę Michelowi Szkolnikoff.

Ze swojego miejsca Léa widziała, jak drży ręka Szkolnikoffa. Orkiestra umilkła.

– Proszę mi nalać szampana – powiedziała wesołym głosem.

Wszyscy odwrócili się w jej stronę, jak gdyby ukłuci ościeniem. Corinne Luchaire patrzyła z rozbawieniem na Léę. Wstała, wybuchając śmiechem, i podniosła kieliszek w jej kierunku. Léa, z triumfującą miną pochylając głowę, podniosła także swój kieliszek.

Zuchwalstwo dwóch młodych kobiet rozładowało atmosferę, rozległy się śmiechy. Engelke, nic sobie z tego zajścia nie robiąc, roześmiał się także ku wielkiej uldze Szkolnikoffa.

– Te panienki są urocze, to właśnie jest Paryż – powiedział kapitan SS gniotąc gazetę.

François Tavernier z trudem opanowywał rozbawienie.

– To ty zrobiłaś ten złośliwy kawał biednemu starcowi? – zapytał Léi.

– Nie wiem, co chcesz przez to powiedzieć.

– Jesteś małym potworem, ale podobasz mi się taka, jaka jesteś. Ale to, co zrobiłaś, było szalenie nieostrożne. Aresztuje się ludzi za mniejsze przewinienia. Proszę, już jest kawior.

Kierownik sali w asyście dwóch kelnerów przyniósł uroczyście cenne ziarna otoczone lodem w srebrnym naczyniu.

Léa raczyła się kawiozem z tak zachłanną miną, że każdy prócz François czułby się zażenowany. Ale jego to potwierdzenie jej zmysłowości podniecało i bawiło.

– Mała łotrzyco – powiedział serdecznie, biorąc także dużą łyżkę kawioru.

Léa dobrze zrozumiała sens tej przyjaznej obelgi. Lubiła wzburzenie, w jakie teraz wprowadzał go każdy jej gest, ironię, której się rzadko wyzbywał. Przy nim czuła się niespokojna i zarazem bezpieczna, a przede wszystkim wolna. To było tylko wrażenie, ale bardzo mocne. W pobliżu François nie odczuwała powinności, jaką nakłada na nią jej płęć, ale raczej wzmożoną kobiecość jako wartość samą w sobie, a nie jako uległość czy wyrachowanie. François wszystko rozumiał, wiedział lepiej od Léi, co jej odpowiada. Ten trudny do określenia człowiek miał swój kodeks honorowy, szczególny, ale bardzo surowy. Léa wyczuwała w nim wielką tolerancję dla innego człowieka i jego poglądów, nawet jeśli ich nie podzielał i przy okazji zwalczał. Nie ma w nim nienawiści, myślała. Przypominało jej to rozmowy ojca ze stryjem Adrienem, które niegdyś słyszała. Mówiąc o wojnie w Hiszpanii stryj powiedział: "Widziałem tyle spustoszeń, jakie nienawiść poczyniła w obu obozach, że omal nie padłem także ich ofiarą i nie zacząłem nienawidzić ludzi. Później zobaczyłem w ich zbrodniach niezniszczalne

znamie szatana i zacząłem się nad nimi litować, zarówno nad oprawcami, jak i ofiarami".

W owym czasie na Léi, jeszcze dziecku, ogromne wrażenie zrobiło to "niezniszczalne znamie szatana", które czyniło ludzi nieodwołalnie złymi. François miał tę samą, pozbawioną złudzeń wyrozumiałość co dominikanin. Wyrozumiałość, której Léa nie podzielała, odczuwając nawet pragnienie niszczenia niektórych ludzi, i to z okrutnym wyrafinowaniem. Ale wtedy, piękna w różowym świetle abażurów, ocieężała po wytwornym posiłku i szampanie, chciała żyć tylko chwilą i na razie pragnęła, żeby mężczyzna, który siedział naprzeciw niej, wziął ją w ramiona.

— Zatańczmy.

— Jak można się oprzeć tak tęsknemu wołaniu? — powiedział François wstając.

Przechodząc przed stolikiem kapitana Engelkego, uklonił się Heléne Szkolnikoff, która mu się odkloniła.

Léa zapomniała się całkowicie w ramionach kochanka i patrząc na nich, niejeden obserwator doznawał drgnienia rozkoszy.

Na dworze panowała głęboka cisza. Księżyc rzucał łagodne światło na obelisk na placu de la Concorde. Mimo godziny policyjnej Léa nalegała, by wracali piechotą. Z ogrodu Tuileries i z Champs-Élysées docierały do nich nocne zapachy trawy i kwiatów. Nocny ptak zaświergotał, inny mu odpowiedział. Powoli przeszli przez olbrzymi, pusty plac, na którym głośno rozlegały się ich kroki. Na moście, naprzeciw Izby Deputowanych, przekreślonej literą V propagandy niemieckiej, przystanęli, by popatrzeć na Sekwanę, szeroką, mieniącą się wstęgę, prawie nieruchomą między dwoma kamiennymi brzegami. Zapach wody docierał aż do nich.

Oparci o balustradę, złączeni wargami, upojeni, unoszeni falą pożądania, oddawali się złudnej opiece nocy.

Długo stali nad rzeką tylekroć opiewaną. Bogowie byli z nimi; żaden patrol, żaden wrogi powóz nie zakłócił ich szczęśliwości.

Nazajutrz rano Léa opowiedziała Camille o gazecie, którą włożyła między pisma przeznaczone dla klientów "Maxima". Camille, ubawiona opowieścią o reakcji i minach klientów, nie miała odwagi jej zganić.

— Twoja ciocia Bernadette dzwoniła, że Lucien szczęśliwie dojechał na miejsce przeznaczenia i czuje się tak dobrze, jak to jest w ogóle możliwe. Żandarmi przyprowadzili Pierrota do mecenasa Delmas. Podobno chce go oddać do bardzo surowej szkoły z internatem, prowadzonej przez jezuitów.

— Wiem, kuzyn Philippe wspominał mi o tym. Biedny Pierrot. Czy ciocia Bernadette mówiła o Raoulu i Jeanie?

— Tak. Matka chłopców nic o nich nie wie. Wynajęła małe mieszkanie w Bordeaux i chodzi co dzień do fortu Hâ. Ale odmawiają jej nadal prawa do odwiedzania synów. Nie ma nawet pewności, że są w forcie. Wiąże duże nadzieje ze staraniami u prefekta. Obiecał jej, że się dowie, co się z nimi dzieje, i będzie

interweniował u władz okupacyjnych.

– Lepiej by poszła osobiście porozmawiać z władzami niemieckimi zamiast liczyć na człowieka, który słucha rozkazów Vichy.

– Tak, może... To takie skomplikowane, prefekt jest na pewno przekonany, że postępuje lojalnie...

– Lojalnie? W stosunku do kogo?

– Nie wiem. Jest urzędnikiem.

– Urzędnikiem, który starannie ustala liczbę Żydów przeznaczonych do deportacji, nie zapominając o dzieciach.

– Wiem. Kiedy byłam w obozie Mérignac, kobiety nie mówiły o niczym innym. Gdzie one są teraz?

Umilkły zasmucone.

– Mówię ci, że nie chcę tam iść.

– Léo, powtarzam, nie mogę postąpić inaczej i proszę, zrób mi tę przysługę i pójdz ze mną.

– Mam oglądać znów tych łajdaków, złodziei, morderców, na których widok zbiera mi się na wymioty? Nie zniosę tego.

– Doskonale. Jeśli nie chcesz zrobić tego dla mnie, zrób to dla swego dobra.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Że ci panowie wiedzą o działalności twojego stryja i niektórych twoich przyjaciół. Gestapo bardzo by chciało wziąć cię na przesłuchanie.

– Już mi o tym mówiłeś!

– Kilka miesięcy temu. Sytuacja zmienia się co dzień i nie zdziwiłbym się wcale, gdyby pewnego dnia oni zajęli się mną.

– A to dlaczego?

– Dlatego że podejrzewają, iż nie jestem w porządku w stosunku do nich.

– François! Nie próbujesz chyba dać mi do zrozumienia, że pewnego dnia zostaniesz aresztowany! – zawołała Léa blednąc z trwogi.

– Kochanie, zmartwiłabyś się z tego powodu?

– Przestań bawić się ze mną! Wiesz dobrze...

– Wiem dobrze co?

– Nie! Z tobą można zwariować... Pójdę, gdzie chcesz.

François schwycił Léę w ramiona. Czuła jego ciało twarde i naprężone, czuła jego mięśnie pod swoimi palcami. Przytulił ją tak mocno, że to niemal bolało.

– Dziękuję. Widząc ciebie, serduszko, nie pomyślą, taką mam przynajmniej nadzieję, że rzuciłabyś się w paszczę wilka, gdybyś działała w ruchu oporu.

– A jeśli pomyślą?

– Wtedy wypadałoby zmówić paciorek i wziąć nogi za pas.

– Jak mam się ubrać?

— Bardzo skromnie. Nie chcę, żebyś była podobna do luksusowych kurewek. Włóż tamtą skromną, długą suknię, którą przerabiałaś przedwczoraj. Pewnie jest już skończona?

— Tak, dzięki Camille. Pomogła mi zrobić cyrkiel, ja nie bardzo umiem szyć. No, idę się przebrać, to nie potrwa długo.

— Proszę, przypnij te storczyki.

— Są wspaniałe! Dziękuję.

— Cudowna!... Wygląda pani cudownie! Prawda, Heléne?

— Pani jest śliczna, choć sukienkę ma skromną. Dlaczego nie nosi pani klejnotów, moja miła?

— Bo ich nie mam, proszę pani.

— Jak to? Taka ładna dziewczyna jak pani! Ale o czym pan myśli, drogi panie? Takie skąpstwo w stosunku do kobiet nie leży chyba w pana obyczajach. Jak panu nie wstyd!

— Ma pani świętą rację. Poproszę panią o radę, ma pani tak dobry gust.

— To prawda. Jutro przychodzi do mnie jubiler z ulicy de la Paix, ma pokazać mi swoje nowe modele. Niech pan także wpadnie... Będzie pan mile widziany — szepnęła Heléne zalotnie. — Ale... Co panu jest?

— To głupstwo, trochę boli mnie ramię, wspomnienie dawnej rany.

Przyszli nowi goście i pani domu musiała do nich pójść.

— Och, Fritz... Tak zawsze się cieszę, kiedy do nas przychodzisz.

— Cała przyjemność po mojej stronie, droga Heléne. Pozwoliłem sobie przyprowadzić generała Oberga, zachował takie dobre wspomnienie o wspaniałym obiedzie, który wydaliście z Michelem na cześć mego przyjaciela reichsführera SS Heinricha Himmlera.

Oberg uklonił się trzaskając obcasami.

— Moje uszanowanie pani.

— Witam pana, panie generale.

Léa rozglądała się naokoło, nie usiłując ukryć zdumienia.

— Dlaczego uszczypnęłaś mnie przed chwilą?

— To wszystko jest takie zdumiewające! Chyba to mi się śni. Co powiedziałaś? Ach, tak! Mógłbyś nie zalecać się tak do tej kobiety w mojej obecności.

François wybuchnął śmiechem i wziął dwa kieliszki szampana z tacy, którą podawał lokaj.

Léa, zamyślona, obracała chwilę kieliszek w palcach. Potem wychyliła go jednym haustem.

— Szybko, proszę o jeszcze jeden.

François podał jej jeszcze jeden kieliszek.

— Tu jest naprawdę doborowe towarzystwo... Brakuje tylko Raphaëla Mahla. Spójrz, kto tam jest.

W salonie, przytłaczającym przepychem, pełnym drogich mebli, obrazów mistrzów, ze wspaniałymi, starymi dywanami na posadzce i zasłonami z ciężkiego jedwabiu na oknach, zebrała się niezwykła fauna ludzka. Były tam efektowne, młode kobiety, przesadnie umalowane, uginające się niemal pod ciężarem klejnotów, byli oficerowie niemieccy, bardzo godni i sztywni w swoich czarnych lub zielonych mundurach, było kilku pięknych młodzieńców, ubranych według ostatniej, ekscentrycznej mody zazou i wyglądających na złodziejasków lub żigolaków, a także sporo ludzi interesu o uśmiechniętych twarzach, byli też jacyś osobnicy o podejrzanym wyglądzie, mimo smokingów. Wśród gości kręcił się Michel Szkolnikoff w wygniecionym smokingu, którego chyba nie zdejmował od wczoraj, i przechodząc od jednego do drugiego rozprawiał ze wszystkimi z ożywieniem. Rozmawiał właśnie z jakimś niskim mężczyzną o starannie przygładzonych brylantyną, ciemnych włosach. Palili obaj grube cygara. Niski interlokutor Szkolnikoffa odwrócił się i spojrzał na Léę: drgnęła i cofnęła się lekko.

— Kto to jest? — spytał François.

— Masuy — odpowiedziała Léa szeptem.

Stawy palców François zbieleły. Ale powiedział spokojnie:

— Ach, to on! Nie znałem go. Ale tak właśnie wyobrażałem go sobie.

— Boję się, idzie do nas.

— Bądź spokojna.

— Droga panno Delmas! Co za miła niespodzianka, przyjemnie jest panią tu spotkać! Myślałem, że wyjechała pani z Paryża. Czy widziała pani jeszcze naszego wspólnego przyjaciela Mahla? Wie pani, że zrobił mi paskudny kawał?

— Nie... Prawie od razu wyjechałam... nie widziałam go więcej.

— Mówiono mi, że jest w okolicy Bordeaux. Pani pochodzi stamtąd, jeśli się nie mylę?

— Tak.

— Kiedy go pani zobaczy, proszę mu powiedzieć, że pamiętam o nim. Co do pani, jeśli mogę być w czymś pomocny, proszę się nie krępować. Zna pani mój adres. Jeśli jednak chce pani coś sprzedać, nie będzie to łatwe niestety. Jak pani zapewne wie, biura skupu zostały zamknięte, to znaczy... prawie...

— Podano do stołu.

Zapowiedź obiadu uwolniła Léę od obowiązku przedstawiania François.

Stół iskrzył się kryształami i srebrem. Najbardziej wyszukane potrawy pojawiały się jedna po drugiej, najlepsze wina płynęły obficie. Większość biesiadników nie jadła, lecz żarła. Podczas deseru nastąpiło prawdziwe szaleństwo. Przy wtórze frenetycznych oklasków wkroczył do jadalni pochód służących, którzy nieśli koszyki pełne owoców, srebrne tace naładowane najróżnorodniejszymi ciastkami, a także lody, sorbety i kremy. Siedząc na honorowym miejscu, to znaczy obok Peggy, ukochanej pudlicy Szkolnikoffów, która z serwetką pod szyją jadła wszystkie dania nakładane jej uroczyście przez kierownika kuchni, Léa tak się nudziła, że zapomniała o strachu, jaki niedawno

przeżyła na widok Masuy'ego. Pudlica zawsze jadła obiad przy stole swoich państwa, w towarzystwie ludzi, którzy starali się jej nadszpeciwać, by się przypodobać hojnemu panu domu.

W pierwszej chwili to sąsiedztwo nie podobało się Léi, szybko jednak poczuła się nim uszczęśliwiona: z suką nie musiała rozmawiać. Inaczej rzecz się miała z jej drugim sąsiadem, zazou, który rozprawiał tylko o kroju ubrania, o modnych barach i o tym, jak trudno jest zdobyć angielskie papierosy.

François, który siedział po lewej stronie pani domu, nie odrywał oczu od Léi i monosylabami odpowiadał Heléne Szkolnikoff, która w końcu to zauważyła.

— Bardzo jest pan roztargniony, drogi panie. Czy to ta mała tak panu zawróciła w głowie? Niebrzydka dziewczyna, ale brakuje jej klasy.

— Taka jeszcze jest młoda — z leciutkim uśmiechem skwitował tę uwagę François.

— O, nie tak znów bardzo — odparła Heléne, lekko dotknięta, i odwróciła się do sąsiada z prawej strony, generała Oberga. Biesiadnicy mówili tylko o kupnie i sprzedaży. Proponowali na wyścigi wielkie ilości najrozmaitszych artykułów: miedzi, ołowiu, zboża, koniaku, jedwabiu, złota, obrazów, białych kruków... Przemysłowiec z Roubaix gotów był dostarczyć za jednym zamachem pięćdziesiąt tysięcy metrów czesanki, takiej "jak przed wojną"... Jakiś Belg miał do sprzedaży kilometry drelichu... Alzatka ofiarowywała perfumy... fabrykant trykotaży z Troyes — całą swoją produkcję jedwabnych pończoch takich "jak zwykle", przybysz z Antyli — dwa wagony ementalera... Michel Szkolnikoff zaś wymieniał hotele, które nabył na Lazurowym Wybrzeżu: "Le Savoy", "Le Ruhl" i "Piazza" w Nicei, w Cannes zaś "Le Martinet", "Le Bristol" i "Le Majestic"; a wszystkich swoich domów, will, towarzystw i fabryk nie mógł się w ogóle doliczyć. Mówił o zamku, jaki ma w Aisne, w departamencie Saône-et-Loire, w którym wprowadzono luksusowe urzędnika. Przyjaciele będą tam oczywiście mile widziani.

Mimo wrodzonego łakomstwa Léa nic właściwie nie jadła. Czekwała na koniec uczty z wzrastającą niecierpliwością, którą zauważył nawet jej sąsiad zazou.

— Mam wrażenie, że pani się nudzi. Jeśli ma pani ochotę, zaprowadzę panią do lokalu, jakiego nigdy pani nie widziała. Zgoda?

— Nie, dziękuję. Wystarczy mi na dzisiejszy wieczór.

— Aha, rozumiem! Boi się pani, że spotka ludzi podobnych do tych, co są tutaj. Tam to nam nie grozi. Będziemy wśród młodzieży. Ten, co skończył dwadzieścia trzy lata, nie ma wstępu do tamtego lokalu. Słuchamy tam ostatnich płyt amerykańskich.

— Myślałam, że są zakazane.

— Tak, są zakazane, ale jakoś sobie radzimy. Ja dostarczam płyty i papierosy. Mam zawsze pewność, że u Szkolnikoffów spotkam kogoś, kto ma towar, jakiego potrzebuję. A co pani robi? Czyją pani jest dziewczynką?

— Moją — rozległ się głos za plecami Léi.

Chłopak podskoczył i zerwał się z miejsca.

– Przepraszam pana, nie wiedziałem.

– Nieważne. Idziesz ze mną, moja dziewczynko?

Léa zaczerwieniła się i, wściekła, wstała także.

– Co ci strzeliło do głowy, żeby tak do mnie mówić?

– Dlaczego nie spoliczkowałaś tego durnia, który cię potraktował jak dziwkę.

– Byłam tak zaskoczona, że nie pomyślałam o tym.

– Moja wina. Nie powinienem był zabierać ciebie do domu, w którym bywają takie typki. Daruj, to się więcej nie powtórzy.

– Myślałam, że moja obecność jest konieczna.

– Nie do tego stopnia, żebyś musiała znosić takie towarzystwo. Zapominam czasami, kim oni są naprawdę, dostrzegam jedynie zjawisko zrodzone przez wojnę.

– Ale czy to, że tu przyszłam, na coś ci się przydało?

– Tak. Szkolnikoff czuje się pewniejszy, kiedy widzi mnie w towarzystwie ładnej dziewczyny. To bardziej odpowiada temu, co o mnie myśli. Kiedy "robi się interesy", piękna kobieta nadaje mężczyźnie pewną rangę... Co za głupota!

– Czy możemy niedługo wyjść?

– Tak, po kawie, którą podaje się w salonie; powiem, że nie pozwolono ci wracać po północy.

– Uwierzą?

– Mówiłem już, że jesteś panienką z dobrego domu i mieszkasz u ciotek, dwóch bardzo szacownych starych panien. Obcowanie z kimś tak godnym szacunku podnosi tych ludzi we własnych oczach.

Niebawem zaczęli się żegnać z gospodarzami.

– Niech pan nie zapomni... jutro rano... o jedenastej — powiedziała Heléne podając François rękę do pocałowania.

– Do jutra, droga pani. I dziękuję za ten uroczy wieczór.

– Spotkasz się z nią znowu jutro? — zapytała Léa wsiadając do samochodu.

– Tak, by kupić klejnoty dla ciebie.

– Ale ja nie chcę klejnotów!

– Na dłuższą metę wydałoby się im podejrzane, że kobieta, w której się kocham, nie ma klejnotów.

– Nic mnie to nie obchodzi. Widzisz mnie krygującą się jak te staruchy, obsypaną ogromnymi kamykami?

– Nie przesadzajmy, piękny klejnot nigdy nie szpeci ładnej kobiety.

Przed Izbą Deputowanych zatrzymał ich patrol. W tej samej chwili rozległy się syreny alarmu. Rzuciwszy okiem na przepustki oficer poradził im, by weszli do najbliższego schronu. Bulwar Saint-Germain, pusty przed kilkanaście minutami, wypełniły cienie biegnące w kierunku stacji metra, które służyły za schrony. Léa wolała iść do domu. Na podwórzu przy ulicy de l'Université spotkali siostry de

Montpleynet, Camille z Charles'em, Laure i Estelle w szlafrokach. W oddali zaczęły padać pierwsze bomby.

— To w okolicy Lasku Bulońskiego — powiedział sąsiad z trzeciego piętra.

Siedząc wprost na ziemi lub na składanych krzeselkach wszyscy drzemali czekając, aż skończy się alarm. Przytulona do François Léa pozwalała się pieścić w półmroku. Koniec alarmu położył kres przyjemności.

Nie na długo. Albertine zaproponowała François, by przenocował na tapczanie w salonie, na co chętnie się zgodził. Kiedy wszyscy się położyli, przyszedł do Léi, która rzuciła się w jego ramiona z pochlebnią dla niego skwapliwością. Zareagował, jak należało.

Słońce już stało wysoko, kiedy François wrócił na tapczan i zasnął od razu kamiennym snem.

Tej nocy około dwudziestu osób zginęło pod bombami alianatów. Czternastego lipca bombardowanie okolic Paryża pochłonęło około stu ofiar. Jean-Hérolde Paquis szalał w eterze.

Léa miała wrażenie, że została uwięziona w przegrzanym przez lato mieście, a François musiał znów wyjechać z Paryża. Coraz gorzej znosiła jego nieobecność.

Dwa czy trzy razy w tygodniu roznosiła — z Camille lub sama — ulotki, podziemne pisemka i fałszywe dowody osobiste pod adresami wskazanymi przez łączników, którzy rzadko bywali ci sami. Wkrótce nikt nie dorównywał jej w sztuce wymykania się śledzącym ją osobom; potrafiła zniknąć w tłumie klientów wielkiego domu towarowego, zgubić się wśród ludzi tłoczących się do metra, wsiadając to do pierwszego, to do ostatniego wagonu, żeby móc jednym spojrzeniem przekonać się, czy nikt za nią nie idzie, i w razie wątpliwości wskoczyć do wagonu w ostatniej chwili. Woląla jednak jeździć rowerem mimo niebezpieczeństwa, jakie stanowili młodzieńcy spragnieni flirtu.

Pewnego dnia na stacji "Opéra" wepchnął ją do wagonu młodzieniec, za którym natychmiast zatrzasnęły się drzwi. Zobaczyła przez szybę dwóch mężczyzn, którzy biegli peronem wymachując pięściami. Pociąg nabrał szybkości i mężczyźni znikli z pola widzenia. W przedziale wszyscy zachowywali się tak, jak gdyby nic nie widzieli. Léa spojrzała na młodzieńca i z trudem się opanowała, żeby nie krzyknąć: obok niej stał, dygocąc, blady, zadyszany, spocony i przerażony jej kuzyn Pierrot Delmas.

Pociąg już zwalniał i wjeżdżał na stację "Chaussée-d'Antin". Tam miała wysiąść. Kiedy pociąg stanął, Léa chwyciła kuzyna za rękę i pociągnęła za sobą. Zaskoczony próbował się opierać, ale wtedy właśnie poznał Léę:

— To ty!

— Nie uciekaj, podaj mi ramię, pójdziemy do "Galeries Lafayette". Odkąd oni ciebie ścigają?

— Nie wiem. Usiłowali już mnie przyłapać na stacji "Châtelet".

— Uciekłeś im dwa razy! To nieźle jak na kogoś, kto nie zna metra. Od jak dawna jesteś w Paryżu?

— Od wczoraj wieczór, usiłowałem pójść do twoich ciotek.



- Myślałam, że jesteś w kolegium jezuitów.
- Byłem, ale uciekłem. Nie chcę czekać na koniec wojny z założonymi rękami...
- Uwaga, nie mów tak głośno! Twój ojciec zwariuje z wściekłości.
- Gwiżdżę na to. Brzydzą się ojcem i bratem. Są całkowicie ulegli staruchowi i boszom.
- Co zamierzasz zrobić?
- Nie wiem. Ponieważ kolegium jest niedaleko Paryża, pomyślałem o tobie. Z aluzji, jakie robił ojciec, zrozumiałem, że masz kontakt z ruchem oporu...
- Przesada. Jeśli ci chodzi o takie kontakty, lepiej zwróć się do stryja Adriena.
- Myślałem już o tym, ale nikt nie wie, gdzie jest stryj, albo nikt nie chce mi tego powiedzieć.
- Co ja z tobą zrobię?... Dobra, mam pomysł.

Wyszli z "Galeries Lafayette" i skierowali się do stacji metra "Havre-Caumartin". Upał był okropny, z ulgą wysiedli na stacji "de l'Étoile" i poszli pieszo Champs-Élysées do placu de la Concorde.

- Na szczęście jesteś porządnie ubrany.
- Tatuś zadbał o to, by odświeżyć moją garderobę.
- Prawdziwe szczęście. Będziesz doskonale wyglądał wśród przyjaciół Laure.

Tego pięknego popołudnia paryżanie i okupanci siedzieli sobie na tarasach kawiarni nie dostrzegając się wzajem. Pierre i Léa weszli do "Pam-Pam". W piwnicy baru grupka patrzącej przed siebie pustym wzrokiem młodzieży zwartym kołem otaczała pianistę, rytmicznie przytupując i prztykając palcami. Cierpliwie czekali, aż pianista skończy. Léa podeszła do grupy.

– Ty tutaj? To trzeba zakropić! – zawołał jeden z tych młodych, niemal dziecko, i ucałował Léę.

– Dzień dobry, Roger. Co słychać? Nie widziałeś Laure?

– O co chodzi? – odezwał się głos wynurzający się z półmroku, gdzie stała ławeczka, którą ci młodzi nazywali kącikiem zakochanych. Wyszła stamtąd Laure z rozmazaną na twarzy szminką.

– Wytrzymaj się – powiedziała Léa podając siostrze chusteczkę.

– Dziękuję.

– Zobacz, kogo przyprowadziłam.

– Pierrot! – zawołała Laure podbiegając do kuzyna.

Pierre przyglądał się dziewczynie z takim zdumieniem, że koledzy jej wybuchnęli śmiechem.

– To Laure?

– Tak, to ja.

– Nie poznałbym ciebie – powiedział Pierre całując Laure.

Léa odciągnęła siostrę na bok i przedstawiła jej sytuację.

– Stryj Luc musi być wściekły – powiedziała dziewczyna ze śmiechem.

– Zrozumiałaś, co masz robić: przychodźcie wszyscy około ósmej do domu, śmiejąc się i hałasując jak zwykle. Jeśli tamci pilnują domu, nie będą zwracali na was uwagi. Ja wracam teraz, żeby uprzedzić ciocię Albertine i zobaczyć, czy wszystko w porządku. Jeśli coś nawali, otworzę szeroko okno salonu, to będzie znaczyło: zawrócić.

– ...i iść do Rogera. Zrozumiałam.

Wszystko dobrze poszło. Camille zdobyła fałszywe papiery na nazwisko Philippe'a Dorieux, studenta rodem z Libourne. Ustalono, że Pierre pojedzie do Poitiers, gdzie zajmie się nim miejscowy ruch oporu. Spotkanie zostało wyznaczone przed portykiem kościoła Notre-Dame-la-Grande, w dzień targowy, hasło brzmiało "Czy zna pan kościół Sainte Radegonde?", na co Pierre miał odpowiedzieć: "Nie, nie znam, ale znam Saint-Hilaire".

Po raz czwarty w tym tygodniu syreny obudziły Paryż i mieszkańcy pospieszyli do piwnic lub metra. Zmęczona alarmami Léa nie chciała opuszczać swojego pokoju mimo ciągłych ostrzeżeń dzienników i radia. Co dzień ginęli ludzie, którzy nie zeszli do schronów.

Powietrze było ciężkie, burza, która przez cały dzień wisiła nad miastem, oddaliła się. Léa stała w oknie przyglądając się obojętnym wzrokiem snopom światła błędzącym po niebie w poszukiwaniu samolotów, których głuchy warkot rozlegał się nad miastem. Nagle ogarnęła ją nienawiść do wysokich domów, które przysłaniały jej niebo, i to nie dlatego nawet, że pozbawiały ją ewentualnego widoku, ale dlatego, że ograniczały pole widzenia jak mury więzienne.

– Duszę się – mruknęła zrozpaczona.

Wówczas stanęły jej w oczach wielkie przestrzenie wokół Montillac, morze na widnokręgu, ciche noce. Miała wrażenie, że czuje aromat przegrzanej ziemi, kiedy kilka wielkich kropli deszczu wyzwala z niej zapachy jeden po drugim. Zamknęła oczy z rozkoszy.

W trzy dni później Léa wsiadła do pociągu i wyjechała do Bordeaux. Po upływie tygodnia przyjechała do niej Camille z synkiem.

Był upał. Co dzień, kiedy słońce zaczynało się zniżać, Camille i Léa wsiadały na rowery, wkładały duże kapelusze słomkowe, które osłaniały im twarze, i jechały się kąpać w Garonne naprzeciw Langon. Mały Charles brał także udział w tych wyprawach i czuł się całkowicie bezpieczny siedząc w wiklinowym krzeselku za plecami "cioci" Léi. Camille wiozła koszyk z podwieczorkiem, butelką chłodnej lemoniady, serwetkami i książkami.

Obie młode kobiety jednakowo dobrze pływały i lubiły się ścigać: która znajdzie się pierwsza na przeciwległym brzegu rzeki. Niekiedy komplikowały zabawę: nurkowały, by podnieść z dna kamyk, pozostając możliwie najdłużej pod wodą, albo płynęły wokół filarów mostu, gdzie prąd był niebezpieczny. Léa zawsze wygrywała wyścig — pierwsza dopływała do brzegu. Camille natomiast dłużej od niej pozostawała pod wodą. Charles pływał jak szczenię. Co dzień Camille i Léa miały niemało kłopotu z wyciągnięciem go z wody.

Po kąpieli przyjaciółki leżały w słońcu na brzegu, wymieniając od czasu do czasu kilka słów, i zapadały w rozkoszną drzemkę. Malec musiał krzyczeć, by je obudzić. Wszystko wokół tchnęło spokojem, słychać było tylko pisk mew, świergot jaskółek, śmiech dzieci, zagłuszane niekiedy dudnieniem pociągu jadącego bliskim wiaduktem. Ale był to hałas swojski, który też uspokajał.

Od powrotu z Paryża Léa i Camille, nie umawiając się wcale, nie wspominały nigdy o ruchu oporu ani o wyjeździe Pierrota, który do tego ruchu przystąpił. Te słoneczne dni na brzegu rzeki stanowiły niejako przerywnik w ich codziennej egzystencji i obie pragnęły, żeby trwało to jeszcze długo. Od Laurenta, który nareszcie się znalazł pod rozkazami pułkownika Leclerca i odbywał intensywne szkolenie w Sabratha, przychodziły dobre wiadomości. François powiadomił Léę, że we wrześniu przyjedzie do Montillac na kilka dni. Lucien, przerzucony do Szwajcarii, nie wspominał w listach o swojej okropnej ranie. Adrien krążył między Tuluzą a Bordeaux niosąc pomoc tam, gdzie była potrzebna. Jean i Raoul Lefèvre byli ciągle uwięzieni w forcie Hâ, ale matka mogła ich odwiedzać co dwa tygodnie i morale braci było bez zarzutu. Léa i Camille nie spotkały jeszcze Mathiasa, który — jak twierdzili jego rodzice — stał się "prawdziwym panem". Léa bardzo się bała tego spotkania. Ruth, Sidonie i nawet ciocia Bernadette podczas nieobecności Léi i Camille zrobiły dobrą robotę: krótko trzymały Fayarda, który przypuścił znowu atak na Montillac i bardziej niż kiedykolwiek pragnął posiadłość tę kupić. Ruth powiedziała mu wreszcie, że jeśli jeszcze raz powróci do tego tematu, ona wyrzuci go za drzwi. Winobranie zapowiadało się dobrze i wojna miała niebawem się

skończyć.

Podpierając się łokciami Léa machinalnie śledziła wzrokiem mężczyznę, który skoczył właśnie do wody z brzegu w Langon. Płynął szybko i sprawnie. Dotarł do brzegu i opadł na trawę w pobliżu przyjaciółek. Leżał chwilę nieruchomo, trochę zadyszany, po czym powoli się odwrócił.

W mgnieniu oka niebo pociemniało i Léi zrobiło się zimno.

– Dzień dobry – powiedział Maurice Fiaux.

Camille drgnęła i niechętnie uniosła głowę.

– Dzień dobry – odpowiedziały obie bezdźwięcznymi głosami.

– Piękne mamy lato, prawda? Panie często tutaj przychodzą? Ja tu jestem po raz pierwszy w tym roku. Tyle mam pracy w Bordeaux, nie wyobrażają panie sobie... Kiedy panie wróciły? Byłem dwukrotnie w Montillac, nie zastałem nikogo. Sikorki wyfrunęły z gniazdka...

– Byłyśmy w Paryżu u moich ciotek.

– Wiem – powiedział Maurice krótko.

Camille odwróciła głowę.

– Laure nie przyjechała z paniami? – zapytał Maurice nieco łagodniejszym tonem.

– Wolą być w Paryżu. Tam lepiej się bawi. Laure nigdy nie lubiła wsi i w Montillac nudziła się zawsze – powiedziała Léa.

– Rozumiem ją. Ale mogłaby przyjechać do Bordeaux do stryja. Mecenas Delmas to wybitna osobistość, ma wielu przyjaciół, rozległe stosunki...

– Trochę jednak zanadto przestrzega konwenansów, nie zostawiłby na pewno Laure takiej swobody, jaką ma w Paryżu.

– Obyczaje bardzo się zmieniły, proszę pani, nawet w Bordeaux. Teraz to jest miasto, gdzie ludzie się bawią. Powinna pani tam kiedyś się wybrać, podniosłoby to morale pani przyjaciela Raphaëla Mahla...

– Raphaël jest jeszcze w Bordeaux? Dlaczego trzeba mu podnosić morale?

– Przecież pani go zna... Zakochał się w młodym łobuzie z Mériadec, a ten go oszukuje, bije i zabiera mu wszystkie pieniądze. Więc Raphaël zrobił parę głupstw...

– Jakich?

– Posunął się trochę za daleko w swoim podejrzanym handlu. Policja go aresztowała. Dzięki naszym stosunkom mogliśmy wydobyć go z mamra, ale gliny mają go na oku. Nie byłoby to nawet zbyt poważne, gdyby Raphaël nie próbował nabić nas w butelkę.

Léa nie mogła powstrzymać uśmiechu. Ten Raphaël!

– To panią śmieszy? Nie ma doprawdy z czego się śmiać. Ja gwizdę sobie na to i na jego miejscu zrobiłbym tak samo, spróbowałbym dobić targu, bo gra była warta świeczki, ale koledzy nie podzielają mego zdania. Chcieli go zlikwidować... Z wielkim trudem przekonałem ich, że Raphaël się przyda, chcąc ratować własną

skórę, może nam oddać niejedną przysługę.

— Ależ to niegodziwe! — zawołała Camille.

— Trudno, proszę pani, jest wojna. Mahl wie, jaką rolę niektóre osoby odgrywają w ruchu oporu, jak pomagają terrorystom i Żydom. W sprawie Terrible okazał się bardzo użyteczny.

— W sprawie Terrible?...

— Nic pani nie wiedzą? Wszyscy o tym mówią tu w okolicy. Gestapo bardzo się udała łapanka w La Réole. Z początku kapitan Gaucher, którego aresztowano na dworcu z nadajnikiem radiowym w walizce, potem, kilka dni później, dziewiętnastego sierpnia, Adois... Nic pani to nie mówi?

— Nic.

— To pseudonim pewnego stolarza z La Réole.

Léa wbiła paznokcie w ziemię, żeby nie krzyknąć. Zmusiła się do pytania:

— Jaki jest związek między Raphaëlem Mahlem a stolarzem z La Réole? Nasz przyjaciel nie interesuje się pracą fizyczną!

— Nie, ale interesuje się masonami.

— Nie wiedziałam.

— Beckmann, zastępca dyrektora Hansa Luthera w Bordeaux, który zajmuje się śledzeniem duchowieństwa i masonów, wpadł na pomysł, by się nim posłużyć, kiedy się dowiedział, że Mahl należał swego czasu do jednej loży w Paryżu, wyrzucono go stamtąd przed wojną z powodu malwersacji, ale utrzymywał kontakt z niektórymi braćmi. Stąd jego stosunki z lożą w La Réole. Co pozwoliło mu poznać działalność Jacques'a Terrible, stolarza.

— Raphaël go zadenuncjował?

— Nie musiał tego robić. Inni zrobili to przed nim.

— Inne osoby też zostały aresztowane?

— Tak, ale zapomniałem ich nazwisk. Jeśli to panią interesuje, mogę się dowiedzieć.

— Nie. Powiedziałam tak sobie.

— Rozstrzelano ich? — zapytała Camille.

— Nie. Mogą dostarczyć kupę informacji o organizacji, która zajmowała się zrzutami, magazynowaniem broni, zdobywaniem fałszywych papierów, gromadzeniem informacji, szykowaniem kryjówek dla Żydów i uchylających się od robót w Niemczech.

— Gdzie oni są?

— W więzieniu Saint-Michel w Tuluzie.

Aresztowania te odbyły się przed dwoma dniami, a one dowiadywały się o nich dopiero dzisiaj, i to z ust tego łajdaka! Odwróciły się obie, by ukryć niesmak.

Na dzwonnicy w Langon wybiła siódma.

— Do licha! Spóźnię się... Żegnam. Niebawem wstąpię do pań.

Prysnęło na nie trochę wody, kiedy Maurice skoczył do rzeki. Nie drgnęły.

– Mamusiu, mamusiu... mogę iść się kąpać jak ten pan?

Camille schwyciła synka na ręce i przycisnęła go mocno do piersi. Dziecko zaprotestowało:

– Boli mnie, mammo.

Ucałowała opaloną buźkę malca.

– Tak, kochanie... Możesz się kąpać.

Po spotkaniu Maurice'a Fiaux Léa i Camille, nie umawiając się, nie wychodziły z Montillac ani nazajutrz, ani przez kilka następnych dni. Dla nich lato i kąpiele w Garonnie skończyły się. Zgnębione długo nie mogły mówić o tym, czego się dowiedziały od Maurice'a, całą swoją energię wyładowały pracując w warzywniku; trzeba było wykopać ziemniaki, zerwać fasolę, podlewać, okopywać.

Wracały wieczorem ledwie żywe ze zmęczenia, ze zniszczonymi rękami, ale uszczęśliwione tym zmęczeniem, które osłabiało trochę ich niepokój.

Wieczorem Léa błędziła wśród winorośli o tej godzinie, kiedy słońce powleka różowością i złotem okolice Bordeaux. Kochała całym sercem, całą sobą, tę bogatą ziemię, na której znać trud ręki ludzkiej i której harmonijne piękno za każdym razem ją zachwycało. Od owego przekłętą spotkania czar tej ziemi przestał działać na Léę. Błądziła po drogach szukając miejsca, które by uspokoiło lęk wzbierający falami w storturowanym umyśle. Daremnie. Ani kalwaria w Verdelaix, ani domek w la Gerbette, do połowy wrośnięty w ziemię, ani krzyż w la Borde, skąd rozpościerał się widok na całą okolicę, ani kościół Saint-Macaire z Matką Boską marynarzy nie mogły jej przywrócić spokoju. Męczyła się, robiąc długie wyprawy rowerem w strony, gdzie nikt jej nie znał, w kierunku Langoiran, Targon albo na przeciwległy brzeg do Villandraux i Bazas... Nic nie pomagało. Słowa agenta gestapo, którego postać łączyła się dla niej z postacią Mathiasa, sączyły się Léi do mózgu: "W sprawie Terrible okazał się bardzo użyteczny..., Adois... nic pani to nie mówi? To pseudonim pewnego stolarza z La Réole..."

Choć Maurice Fiaux powiedział, że Raphaël Mahl nie zadenuncjował Jacques'a Terrible, Léa nie mogła pozbyć się myśli, że maczał palce w jego arestowaniu, podobnie jak w arestowaniu Sary Mulstein. Nie mogła też opanować ohydnych strachu, jaki ją czasem ogarniał, i to tak dotkliwie, że oblewała się potem, dostawała mdłości i nogi się pod nią uginały. Następnym razem Raphaël ją zadenuncjuje na gestapo. Znał albo domyślał się dostatecznie dużo, by wpakować Léę do piwnic w alei du Médoc albo do celi w forcie Hâ. A może nawet doprowadzić do tego, by stanęła przed plutonem egzekucyjnym. Léa widziała już wycelowane w nią karabiny... słyszała własny głos błagający katów o zmiłowanie...

W tym stanie ducha znalazł ją François. Nawet zmęczenie po winobranii nie mogło stłumić jej przerażenia.

Léa i François patrzyli, objęci, na wschód słońca nad ziemią złocistą, tu i ówdzie leciutko rudawą, jakby pod delikatnymi dotknięciami pędzla.

Od pięciu dni wstawali co rano wyczerpani, szczęśliwi, podziwiając ciągle z

tym samym, pełnym niedowierzania zachwytem obietnice szczęścia, które się budziły wraz ze świtem. Koniec z ohydny strachem, obecność mężczyzny, jego pieszczoty odpędziły zmyły. W ramionach François Léa nic sobie nie robiła ze wszystkich Raphaëlów Mahlów, z Maurice'a Fiaux, z gestapo nawet. Czerpała z rozkoszy nowe siły.

Wojna obaliła przesady. Nawet Bernadette Bouchardeau nie dziwiła się, że bratanica ma wspólną sypialnię z mężczyzną, który nie jest jej mężem. Co prawda postawa Léi nie pozostawiła rodzinie wyboru: wszyscy zrozumieli, że nie posłucha żadnych uwag.

Wobec tego jesiennego poranku, który zapowiadał tak piękny dzień, François odkładał chwilę, kiedy powie Léi, że niebawem wyjeżdża. Niepokoila go myśl, że zostawia ją samą. Wiedział, że gestapo jest na tropie ojca Adriana Delmas. Dominikanin ledwie się wymknął w Tuluzie ludziom wysłanym za nim w pogoń. Wcześniej czy później Dohse każe swoim agentom go aresztować i przesłuchiwać, jak to zrobił z najbliższymi krewnymi tych, których podejrzewano o przynależność do ruchu oporu. Adrien Delmas musiał mieć nieprawdopodobne szczęście i mnóstwo dobrych kontaktów, skoro to jeszcze nie nastąpiło. Ponadto obecność w Montillac Camille d'Argilat, więziennej uprzednio z powodu męża, więzy łączące doktora Blancharda z dawnymi mieszkańcami zamku musiały nieuchronnie skłonić szefa gestapo w Bordeaux do przesłuchania Léi.

W przeddzień wyjazdu François wręczył obu młodym kobietom fałszywe dokumenty, mówiąc, że mogą im się przydać, i poradził, by nawiązały kontakt z Françoise, z którą on zamierza regularnie się porozumiewać. Nalegał, by nieco się oddaliły od ruchu oporu, gdyż są już prawdopodobnie pod obserwacją. Należało zachowywać jak największą ostrożność. Dodał, że może byłoby dobrze, gdyby miały broń, pod warunkiem znalezienia dobrego miejsca do jej przechowywania.

Wieczorem oznajmił, że wyjeżdża.

Duma nie pozwoliła Léi mówić François o coraz większych trudnościach materialnych, w jakich się znalazła, ani o postawie Mathiasa, który jest przekonany, że Léa, chcąc uratować Montillac, musi go poślubić. Wobec jej milczenia na ten temat François myślał, że pieniądze przyniesione przez notariusza i te, które on dał Ruth na wiosnę, wystarczyły na wydatki. By nie urazić Léi, nie wracał do tego tematu.

Ciepło ubrani, chroniąc się pod dużym parasolem, poszli po odwiedzeniu Sidonie w Bellevue na ostatnią przechadzkę przez winnice. Wracając do Montillac przyspieszyli kroku, bo porywisty wiatr i drobny, zimny deszcz zdawał się przenikać ich na wskroś.

Nad domem zawisły ciężkie, czarne chmury, które sunęły po niebie tak groźnie, że Léi ścisnęło się serce. Wszystko zapowiadało bliską już, przedwczesną i surową zimę.

Mała, czerwona plamka poruszała się wśród zieloności trawnika, potem skierowała się w ich stronę, przybierając powoli postać biegnącego dziecka. Był to Charles: wymknął się matce i zbliżał się do nich z szybkością, na jaką pozwalały jego małe nóżki. Rzucił się ze śmiechem w ramiona Léi.

— Omal mnie nie przewróciłeś, łobuzie! — zawołała Léa wirując z malcem w deszczu.

Śmiechy i krzyki chłopczyka wydały się François zupełnie nie na miejscu pod tym złowieszczym niebem, a zarazem jakby mówiły: "Spójrzcie, życie trwa. Tak... życie powinno trwać. Dziś padał deszcz, ale jutro..." Jakże piękni byli ci dwoje, Léa nawet odzyskała swój dziecinny śmiech!

Léa miała wrażenie, że od wyjazdu François deszcz nie ustawał. Nie było zimno, ale ziemia tonęła w wilgotnej i lepkiej mgłę, od której gniły winorośle.

By się oderwać od rachunków, które stanowiły dla niej istną torturę, Léa przepisywała przy biurku ojca słowa pieśni Pierre'a Dac, nadawanej przez Londyn 5 grudnia. Mireille, żona rzeźnika z Saint-Macaire, zastenografowała ją, potem przepisała i dała swojej młodej przyjaciółce. Skończywszy przepisywać Léa wstała i odśpiewała piosenkę na melodię Lili Marlene:

*Modny refren do znudzenia powtarzany  
pomysł poddał mi nieskomplikowany.*

*Zwyczajnie się wybiorę  
posłuchać kiedyś wieczorem,  
co mówi Lili Marlene.*

*Czemu śliczne liczko takie nachmurzone,  
śmiałe wejrzenie teraz przygaszone,  
żadnej już dla mnie radości,  
wielki smutek w sercu gości,  
mówi Lili Marlene,  
mówi Lili Marlene.*

*Gdzie zaufanie do wielkiego Hitlera?  
Czy go już nie stawiasz nad Zbawiciela?  
Na triumf, co nam obiecuje,  
cztery lata wyczekuję,  
mówi Lili Marlene,  
mówi Lili Marlene.*

*Chępnisz się, że do Wielkich Niemiec należysz,  
w świetlaną przyszłość Reichu wierzysz,  
toż wiem, że na kraj nasz cały  
bomby aliantów spadały,  
mówi Lili Marlene,  
mówi Lili Marlene.*

*Słyszysz o niepokonanej zaporze,  
co wermacht przed wrogiem wznosi, gdzie może,*



*wiem dobrze że w Rosji niwa,  
krwią żołnierzy naszych splywa,  
mówi Lili Marlene,  
mówi Lili Marlene.  
Glorii nimb wasze sztandary spowije,  
zwycięstwa laur wnet swastykę okryje,  
braknie wiary memu sercu,  
Niemcy przecież już u kresu,  
mówi Lili Marlene,  
mówi Lili Marlene.*

— Bravo! — powiedziała Camille klaszcząc w dłonie.

— Nie słyszałam, jak weszłaś.

— Byłaś tak pochłonięta śpiewem! Pobijesz Suzy Solidor na jej terenie.

— Zastanowię się nad tym. Co słyhać nowego?

— Nic. Ciągłe pada i pada... Czy sprawdziłaś rachunki Fayarda?

— Tak, ale nie widzę w nich nic niezwykłego, a może niewiele z tego rozumiem.

— Zapytaj pana Rabiera.

— Księgowego tatusia? Ależ on jest kompletnie zgrzybiały. Przypomnij sobie błędy, jakie w zeszłym roku zrobił w deklaracjach skarbowych, i ile czasu straciłam ze skarbnikiem z Langan, który nie chciał niczego zrozumieć.

— Czy nie możemy wziąć na jakiś czas eksperta handlowego z Bordeaux?

— Nie mam pieniędzy! Spójrz na ten plik rachunków... W tym tygodniu dwa razy dzwoniли już do mnie z banku.

Léa opadła zgnębiona na fotel przy biurku. Camille podeszła do przyjaciółki i pogłaskała ją po głowie.

— Gdybyś wiedziała, jak ja się martwię, że nie mogę ci pomóc...

— Proszę cię, daj spokój.

Przez chwilę obie milczały.

— Czy pomyślałaś o prezentach na gwiazdkę? — zapytała Léa podnosząc głowę.

— Tak. Ale w tym roku Boże Narodzenie będzie najuboższe ze wszystkich. Ruth odkryła na strychu stary samochodzik z pedałami.

— To mój samochodzik! — zawołała Léa tonem właścicielki.

Camille nie mogła powstrzymać się od śmiechu.

— Czy nie zechciałabyś dać go Charles'owi?

— Oczywiście — powiedziała Léa śmiejąc się także i zaczerwieniła się lekko.

— Ruth kupiła czerwonej farby, żeby go pomalować.

Ktoś zapukał do drzwi. Był to Albert, rzeźnik z Saint-Macaire, zdenerwowany, zadyszany.

— Co się stało? — zawołały razem Camille i Léa.

Zwlekał chwilę z odpowiedzią, usiłując odetchnąć spokojnie.

— Pański syn? — zapytała Camille.

Albert pokręcił przecząco głową.

— Więc co takiego?... proszę mówić.

— Ojciec Delmas jest aresztowany.

— Och, wielki Boże! — jęknęła Camille opierając się o szafę biblioteczną.

Lodowate zimno ogarnęło Léę.

— Jak pan się o tym dowiedział?

— Dziś rano skoro świt jeden kolega, nauczyciel z La Réole, członek grupy Buckmater, przyszedł do sklepu mnie ostrzec i prosił, żebym powiadomił panie.

— A skąd on o tym wie?

— Dowiedział się od żandarma z La Réole, który widział panią z ojcem Terrible. Jego zdaniem gestapowcy nie orientują się, jak ważna osoba wpadła im w ręce. Pani stryja zatrzymano w Bordeaux przypadkiem, podczas łapanki. Pewnie by go nawet wypuścili, gdyby nie miał przy sobie czystych blankietów dowodów osobistych. Jeden z żandarmów, którzy go aresztowali, uprzedził kolegę z La Réole, należą do tej samej grupy.

— Jeśli żandarm poznał stryja Adriena, inni mogą także go poznać i zadenuncjować.

— Ojciec Adrien bardzo się zmienił fizycznie, ale ryzyko zawsze istnieje. Jak tylko się dowiemy, gdzie jest, będziemy próbowali zorganizować mu ucieczkę. Tymczasem trzeba się modlić, żeby nie mówił. Dziś wieczór przeniesiemy broń schowaną w suszarniach tytoniu w Barie i w Belle-Assise; bracia Lafourcade przyjdą nam pomóc.

— Czy mogłybyśmy także wam pomóc?

— Tak, mamy dwóch pilotów angielskich, którzy wyjadą za dwa dni. Koło Viot nie są już bezpieczni. Czy mogą panie ich ukryć?

— Czy będą bezpieczniejsi tutaj? — zapytała Camille. — Mamy wszelkie powody, by nie ufać Fayardom.

— Pani Camille, trzeba ryzykować. Dziś wieczór przewiezie się ich do pań przez Bellevue. Ja na ten czas zaproszę się na kielicha do mego starego przyjaciela Fayarda. Odpowiada to paniom?

— Doskonale, Albercie. Ulokujemy lotników w małym pokoju obok gabinetu. Nikt tam nigdy nie zagląda, teraz to tylko komórka. Jest na parterze, co ułatwi sytuację, gdyby musieli uciekać — powiedziała Léa.

— Dziękuję. Jeśli zauważą panie coś podejrzanego, proszę do mnie zadzwonić do Saint-Macaire i powiedzieć: "Mięso było dziś bardzo twarde". Zrozumiem i zatrzymamy Anglików u siebie.

— Jak się czegoś dowiedzieć o stryju Adrienie?

Rzeźnik wzruszył ramionami.

— Od aresztowania Grand-CLémenta w sierpniu, potem po jego uwolnieniu, aresztowano wielu naszych. Straciliśmy informatorów z obozu Mérignac i z fortu Hâ. Musimy być bardzo ostrożni z nowymi ludźmi. Jedyne więź, jaką mamy na razie, to żandarm w Bordeaux. Jak tylko dowiaduje się czegoś, od razu dzwoni do La Réole.

— A gdybym tak ja pojechała do Bordeaux? — zapytała Léa.

— Tylko nie to! Dostatek jest już aresztowanych w jednej rodzinie.

— Mécenas Delmas mógłby interweniować.

— Mécenas Delmas jest kolaborantem. Nie zrobi nic dla brata. Przypomnij sobie, co mi powiedział: "Dla mnie Adrien nie żyje".

— Widzisz, jesteśmy dobrymi władcami... wybieraj: kryminaliści czy polityczni... to znaczy komuniści, sabotażyści i inni terroryści.

— Myślałem, że wszyscy są przemieszani, bez różnic.

— Tak było na początku, potem zdaliśmy sobie sprawę, że drobni sutenerzy z portu, drobni spekulanci z czarnego rynku mogą być nam użyteczni. Więc żeby czerwoni i gaulliści ich nie zarazili — to pomysł Painsota — trzyma się niektórych na osobności i tylko wtedy wsadza do cel z politycznymi, kiedy trzeba się czegoś dowiedzieć. Trudno uwierzyć, o czym mówi się w nocy w celach, gdzie siedzi sześciu czy siedmiu mężczyzn... Nie wyobrażasz sobie nawet...

— Wyobrażam sobie doskonale. Wszystko to nie jest zbyt zachęcające. Nie możecie zaproponować mi nic innego?

— Niedługo będziemy mieli transport Żydów do Niemiec. Jeśli zechcesz się do nich przyłączyć... nie będziesz chyba czuł się obco wśród Żydów.

— To mnie też nie pociąga. Nie lubię podróży, z których nie ma powrotu.

— No, decyduj się.

— Nie mógłbym mieć celi tylko dla siebie?

— I co jeszcze wielmożny pan chciałby mieć? Dywan, telefon i łazienkę?

— O, tak! To by mi bardzo odpowiadało.

— Przystań z nas się nabijać... szef jest za dobry... ja na jego miejscu dałbym ci dwie kulki w kark. Albo w dupę. Takiemu zwyrodnialcowi jak ty to by się pewnie najbardziej podobało.

— Moje zamiłowanie do dużego kalibru nie sięga aż tak daleko.

Prawy sierpowy odrzucił Raphaëla Mahla na metalowe segregatory kancelaryjne stojące w biurze, gdzie jego dawni koledzy przesłuchiwali go od rana, miażdżąc mu skrupulatnie wargi pięściami. Najbardziej zażarty był Maurice Fiaux, który walił tak, jakby miał z Raphaëlem porachunki osobiste. I — rzecz ciekawa — Raphaël, który wiedział, że jest tchórzem, znosił to bicie z pewnym rozbawieniem, choć przyjaciele z gestapo wcale go nie oszczędzali. Tylko Mathias Fayard nie brał udziału w tej corridzie. Od pewnego czasu piękny i gniewny Mathias znajdował zawsze wymówki, żeby nie uczestniczyć w aresztowaniach, a zwłaszcza w przesłuchaniach. Raphaël Mahl wyprostował się z trudem. Nie pora zastanawiać się nad stanem duchowym przyjaciela Léi z dzieciństwa... to trochę

jej wina, że piorą go teraz po pysku.

— Wolę chyba kryminalistów — powiedział i zemdlął.

Ocknął się od podskoków samochodu na wyboistej drodze. Prowadził żołnierz niemiecki, przy którego boku siedział oficer. Z tyłu zaś, między innymi żołnierzami a Maurice'em Fiaux, tkwił jeszcze jeden żołnierz. A naprzeciw imponującej bramy fortu Hâ księgarz, u którego jeszcze w przeddzień Raphaël szukał ciekawych książek, zamykał właśnie swój sklep.

Po przekazaniu więźnia strażnikom niemieckim Maurice odjechał nie odwracając się, a Raphaëla zaprowadzono na pierwsze piętro dla dokonania formalności. W pokoju, w którym się znalazł, balustrada oddzielała go od urzędników przyjmujących więźniów. Napisy w języku francuskim, hiszpańskim i niemieckim nakazywały przybyszowi odwrócić się twarzą do ściany i milczeć. Za balustradą stały trzy duże biurka i kilka szaf.

Z sąsiedniej sali docierał stukot maszyny do pisania. Ten monotony hałas wprowadził Raphaëla w stan wielkiego znudzenia, nie znosił nigdy atmosfery biurowej; nawet u Gallimarda starannie omijał sekretariat. Biurokracja mnie prześladuje, pomyślał teraz. Za balustradą urzędnicy wojskowi pilnie wypisywali gotyckie litery. Raphaël, który mimo rozkazu odwrócił głowę, zadrżał na wspomnienie lekcji kaligrafii, prowadzonych w jego szkole przez zakonników, i uderzeń linijką, jakie spadały podczas tych lekcji na jego niezręczne palce. Nie potrafił nigdy napisać swego nazwiska ani tytułu wypracowania pięknym rondem, jak tego wymagali nauczyciele.

Urzędnik wstał i z zaspianą miną zażądał od niego dokumentów. I nie zdradził się, że widzi, w jakim stanie jest twarz więźnia.

— Czy ma pan pieniądze?

Strażnik, który nie odchodził od Raphaëla, popchnął go do balustrady. Raphaël twierdząco skinął głową.

— Musi pan mi je oddać, tak samo jak biżuterię, zegarek i krawat. Dostanie pan wszystko z powrotem, wychodząc na wolność.

Urzędnik starannie wypisał na druczku dane personalne więźnia, przeliczył pieniądze, jakie były w portfelu, i zanotował sumę.

— Złoty zegarek ze złotą bransoletką... Złoty sygnet z brylantem...

— Niech pan napisze: z dużym brylantem.

— Z dużym brylantem... złoty łańcuszek... łańcuszek ze złotym medalikiem...

Raphaëlowi ścisnęło się serce, kiedy kładł na biurku medalik. Był to medalik z jego chrztu i — rzecz dziwna — zależało mu na nim. Lubił przypominać sobie niektóre sceny ze swego dzieciństwa, kiedy był pod czułą opieką trochę zwariowanej babci, którą uwielbiał, i wuja, nieco wykolejonego, ale uroczonego człowieka.

— Krawat.

Raphaël z trudem rozluźnił przesiąknięty krwią węzeł.

Urzędnik włożył wszystko do dużej, papierowej torby i podał więźniowi

podpisaną kartkę.

Otworzyły się drzwi i do biura brutalnie wepchnięto trzech mężczyzn w gorszym jeszcze stanie niż Raphaël. Jeden z nich o zmasakrowanych rękach i zapuchniętych od bicia powiekach posuwał się jak ślepy.

— Wir bringen Ihnen Terroristen. Sie haben das Auto eines Offiziers gesprengt. Einer von den beiden muss wohl Engländer sein... Alles, was er bei dem Verhör sagte, war: "Piss off, filthy buns, go and fuck you". (Przyprowadziliśmy terrorystów. Podłożyli bombę pod samochód jednego oficera. Jeden z nich jest chyba Anglikiem. Kiedy przesłuchiwaaliśmy go, potrafił tylko powiedzieć: "Sram na was, szkopy, wypchajcie się.)

Raphaël nie mógł powstrzymać uśmiechu.

— ...dem Leutenant, der English versteht, hat dies absolut nicht gefallen und er hat ihn daraufhin selbst verhört.

— Hat er geantwortet?

— Nein, wenn er nicht, machte er schrie, machte er schlechte Witze (...porucznikowi, który zna angielski, nie podobała się ta odpowiedź i przesłuchiwał go potem sam.

Czy tamten mu odpowiadał?

Nie, na ogół krzyczał i kpił sobie.)

Ten Anglik coraz bardziej podobał się Raphaëlowi. W normalnych czasach musiał być raczej ładnym chłopcem, to było widać mimo zamkniętych oczu, zniekształconej twarzy i spuchniętych warg.

— Hat er Papiere?

— Nein... Alle, was er bei sich hatte, ist das (Ma dokumenty?)

Nie... tylko to miał przy sobie.)

Jeszcze jeden heteroseksualny, pomyślał odwracając się.

Anglik i jeszcze jeden z więźniów nie mieli prawdopodobnie więcej niż po dwadzieścia lat. Trzeci był znacznie starszy. Miał szpakowate włosy i wąsy, powalane teraz krwią, oraz głębokie zmarszczki na czole i policzkach. Gdyby nie jego spojrzenie, można by go było wziąć za wieśniaka z Lot-et-Garonne. Jedno oko miał zamknięte.

Dostali pewnie rozkaz, by wybijać jedno oko każdemu z nas albo w ogóle pozbawiać nas wzroku, pomyślał Raphaël.

— Los, kommen Sie... beeilen Sie sich, es ist zu Ende. (No, chodźcie, pospieszcie się, już koniec.)

Strażnik, który stał przy aresztowanym Angliku, popchnął go do wyjścia.

— Pana nazwisko? — zapytał urzędnik tego niby wieśniaka.

— Alain Dardernne.

Raphaël Mahl przystanął. Ten głos coś mu przypominał. Żołnierz niemiecki położył mu rękę na ramieniu.

— Vorwärts (Naprzód).

Zaprowadzono Raphaëla do sąsiedniego pokoju, podobnego do tego jak dwie krople wody, i zapytano go, czy jest komunistą, masonem, członkiem ruchu oporu czy gaullistą. Na wszystkie pytania odpowiedział przecząco. Czy jest Żydem? Tak, w połowie. Przez matkę? Nie, przez ojca. Najwidoczniej zadowolony z tych odpowiedzi urzędnik, aż komicznie podobny do poprzedniego, wręczył mu jego kartkę tożsamości, mówiąc z orkopnym niemieckim akcentem:

— Do widzenia panu.

Popychany przez strażników Raphaël Mahl musiał zejść na dół po krętych schodach o nierównych stopniach. Ciągłe popychany, niemal biegiem minął pokój strażników i znalazł się w wąskim, bardzo wysokim korytarzu, na który wychodziło dwanaścioro drzwi. Były to "cele przyjąć"... Strażnik otworzył drzwi celi numer pięć i z niepotrzebną brutalnością wepchnął aresztowanego do środka.

Mahl długo stał ze spuszczoną głową. Kiedy się wyprstował i rozejrzał naokoło, wybuchnął śmiechem. Śmiech wydarł mu krzyk bólu: zapomniał, że ma spuchniętą szczękę i rozdarte wargi.

Wąskość tej celi — około metra trzydziestu centymetrów — sprawiała, że wydawała się bardzo wysoka, musiała mieć blisko trzy metry wysokości. Piętrowe łóżko z brudnymi siennikami cuchnęło wymiotami i zbutwiałą słomą.

Raphaël położył się na dolnym łóżku, owinął w nędzny koc i zasnął myśląc: A więc dopadli mnie...

Przez dwa dni dostawał jedynie wodę o rdzawym smaku dzbanka. Na takiej diecie szybko odzyskam linię, pomyślał.

Trzeciego dnia o szóstej rano zabrano Raphaëla.

— Wyjść.

Strażnik zaprowadził go do czegoś w rodzaju odwachu, gdzie musiał się do naga rozebrać. W jego obecności opróżniono kieszenie jego ubrania, które mu potem zwrócono razem z obuwiem, rozkazując, by się ubrał. Nic... Nie miał już nic... nic... ani dokumentów, ani pieniędzy, ani notesu, ani najmniejszego kawałka ołówka. Dostał podarty koc, miskę mającą służyć do mycia i do jedzenia, pomięty, cynowy kubek i łyżkę. Nie zapomniano o wręczeniu mu listy skonfiskowanych przedmiotów i karteczki, na której był wymieniony jego numer i numer celi, a także zawód.

Był teraz numerem 9793.

Strażnik zaprowadził Raphaëla Mahla, niosącego swój skromny dobytek, do obszernego, owalnego hallu. Tam rzucił mu się przede wszystkim w oczy ogromny piec: królował na środku, a rura wychodziła na zewnątrz przez oświetlający ten hall witraż. Na trzech piętrach otaczały go grube drzwi cel w odstępach dwóch metrów, zaopatrzone w duże, czarne numery i kolorowe tabliczki, czerwone, zielone i żółte, z listą zamkniętych w każdej celi więźniów. We wszystkich drzwiach były zakratowane judasze.

— Stać!

Strażnik zatrzymał się przed celą numer 85. Inny otworzył drzwi wielkim kluczem. W celi było dość ciemno; po obu stronach stało na baczność sześciu

mężczyzn. Raphaël był siódmy. Jak tylko drzwi się zatrzasnęły, więźniowie rzucili się do niego.

— Ale cię urządzili, biedaku! Co za świnię!

— Nazywam się Kéradec Loïc, jestem Bretończykiem... z Pont-d'Aven... z zawodu marynarz. A ty?

— Ja jestem Hiszpanem... nazywam się Fernando Rodriguez.

— Ja... jestem Dédé Desmotte, z Bordeaux.

— George Rigal, jestem także z Bordeaux. Student.

— A ja nazywam się Marcel Rigaux... jestem robotnikiem w stoczni.

— Doktor Lemaître, lekarz z Libourne. Niech pan pozwoli, że zbadam pana... Nie wygląda to zbyt groźnie.

Wszyscy z wyjątkiem lekarza, który miał chyba ze czterdzieści lat, byli młodzi, bardzo młodzi.

— Raphaël Mahl, pisarz i dziennikarz z Paryża.

— Rozpieszczają nas, chłopcy, pisarz... będzie mógł opowiadać nam różne historyjki — powiedział Dédé grasejując.

— Miło mi pana poznać. Proszę, niech pan położy tu rzeczy — rzekł lekarz pokazując Raphaëlowi małą komórkę przy wejściu.

Była to toaleta z pękniętą umywalką, nad którą na półce, w sąsiedztwie pudła ze środkiem owadobójczym, stały kubki i leżały łyżki, mydło, tubki pasty do zębów.

Raphaël postawił tam swój kubek i położył łyżkę obok innych. Nie miał ani szczoteczki, ani pasty do zębów.

Więźniowie siedzieli na dwóch łózkach, nieruchomi, milczący. Posunęli się, żeby zrobić miejsce przybyszowi. Mahl rozejrzał się naokoło. Sklepiona cela o nierównej podłodze miała chyba cztery metry na dwa. Osiem metrów kwadratowych na siedem osób... W głębi widniało coś w rodzaju zakratowanego lufcika z wentylatorem jak wszystkie okna "cel przyjąć".

— Tu są tylko dwa łóżka?

— Tak — odpowiedział Rigaux — wieczorem zsuwamy te łóżka i kładziemy sienniki na ziemi. Było już ciasno dla sześciu. Nie szkodzi, ścieśnimy się jeszcze bardziej.

Raphaël podziękował mu uśmiechem za te dobre słowa.

— No, opowiadaj... co tam słyhać? — dopytywał się Loïc.

— Co słyhać?

— No! Jakie nowiny ze świata, no? — powiedział Dédé Desmotte.

— Przepraszam... nie jestem przyzwyczajony... Co chcecie wiedzieć?

— Ba... jak wojna... co tam?

— Niemcom nie idzie już dobrze.

— To wiemy — powiedział Hiszpan.



- Cicho. Nie przerywaj mu.
- Ciano, zięć Mussoliniego, został stracony...
- Huraaa!
- De Gaulle i Churchill spotkali się w...
- Huraaa!
- Alianci wylądowali w Anzio...
- Huraaa!
- Francuzi, członkowie ruchu oporu, zostali ścięci w Kolonii.

Po tej wiadomości zapadła ciężka cisza.

- Pozwolisz, że powiadomimy o tym innych?

Raphaël spojrział na nich ze zdumieniem.

- Nie myśl sobie... Mamy swoje radio. Nazywamy je "radio-kraty".
- A jak to radio funkcjonuje?

— Zobaczysz dziś wieczór, kiedy zgaszą światło. Stajemy kolejno przy otwartym oknie i słuchamy. Ci z parteru wołają tych z pierwszego piętra; chłopcy z pierwszego piętra wołają kolegów z drugiego, a ci — kolegów z trzeciego. Mury podwórza to znakomity rezonator. Wiadomości, nie zawsze prawdziwe, przynoszą nam nowi przybysze, a niekiedy osoby, które przychodzą w odwiedzin, do jakich mamy prawo bardzo rzadko, no i koledzy, którzy idą na przesłuchanie. Poza tym jest jeszcze koncert.

- Koncert?

— Tak... Nie myśl, mamy tu nawet zawodowców. Lepszych niż Radio Paryż. Mamy śpiewaków różnych narodowości: Portugalczyków, Polaków, Hiszpanów, Czechów, Anglików i nawet jednego Rosjanina.

- A Niemcy pozwalają wam na to?

— Wiesz, oni się nudzą nie mniej od nas, więc muzyka to dla nich jakaś rozrywka. Widziałem nawet przez szparę w drzwiach, jak jeden podoficer płakał słuchając ludowej piosenki portugalskiej. Przerywamy, kiedy wartownik wali nogą w drzwi.

- Dużo jest wartowników w nocy?

— Nie, tylko trzech, po jednym na każdym piętrze, robią obchody przez całą noc, a podoficer straży siedzi przy stoliku naprzeciw naszej celi.

- Wspomniałeś o odwiedzinach... Wszyscy mają do nich prawo?

— W zasadzie tak, dziesięć minut odwiedzin raz na miesiąc, we czwartek. Czy ma pan już wyrok? — zapytał lekarz.

- Nie.

— W takim razie nie ma pan prawa do odwiedzin. Odwiedzać można tylko tych, co mają wyroki, nie podejrzanych.

- A jak z korespondencją?

— Listy są oczywiście cenzurowane. Wolno listy otrzymywać, ale rzadko

wysłać. Ja nie mogłem wysłać wiadomości do żony... Nie wie, czy żyję.

— Aufstehen! Aufstehen! (Wstawać!).

Nocny strażnik poparł swój rozkaz potężnym kopniakiem w drzwi. Przechodząc przekreślił kontakt umieszczony na zewnątrz. Lampa u sufitu rzucała słabe światło, więźniowie, zrzędząc, zaczęli wstawać.

Raphaël wyprostował się dygocąc, rzadkie włosy miał zmierzwiłone.

— Co się dzieje?

— Pobudka. Pospiesz się, światło nie pali się długo.

— Dlaczego? — zapytał Raphaël drapiąc się.

— Żeby nam dokuczyć. No... szybko.

Mahl wstał zrzędząc, bolało go całe ciało. Siennik położony wprost na podłodze był cienki.

— Posuń się, trzeba postawić łóżka na miejscu.

Raphaël, popychany, schronił się z innymi w kącie, podczas gdy Loïc i Dédé przesuwali łóżka i rzucali na nie sienniki starannie przykryte kocami. Przy wejściu położyli okrycie, marynarki i koce przyniesione przez krewnych, i przykryli je starą, kwiecistą kapą, która dziwnie raziła w tej celi.

Na korytarzu słychać było strażników roznoszących "kawę". Loïc, który tego dnia miał dyżur, postawił dwie miski na progu. Słyszając, że podoficer otwiera zasuwę i obraca klucz w zamku, wszyscy stanęli na baczność. Szybkim spojrzeniem Niemiec sprawdził, czy więźniowie są na miejscu, podczas gdy strażnik stał z wycelowaną w nich bronią. Upewniwszy się, że wszystko w porządku, cofnął się robiąc miejsce na ogromny kocioł, który wlokło dwóch więźniów. Jeden zanurzył chochlę w brązowej cieczy i nalał jej do miski, drugi włożył do innej miski pokrajany już na kromki bochenek chleba. Kiedy tylko drzwi się za tamtymi zamknęły, więźniowie podali swoje kubki Loïcowi, który napełnił je kawą. Jak niemal zawsze, dostawali później repetę. Dyżurny rozdał kromki, każdy więzień otrzymał około dwustu gramów chleba. Tyle wynosiła racja dzienna. Towarzysze Raphaëla nakruszyli chleb do brązowego napoju, którego jedyną zaletę stanowiło to, że był ciepły, i wypili go chciwie. Ta kawa miała odrażający smak i zapach.

— Na początku trudno się przyzwyczaić... Ale zobaczy pan, z czasem można i z tym się oswoić — powiedział lekarz do Raphaëla, który mimo głodu nie mógł przelknąć tej kawy.

— Przyzwyczaję się pewnie. Będę musiał. Ale dzisiaj nie mogę... może któryś z was chce — powiedział Raphaël.

— Niech pan da Loïcowi. To najmłodszy w naszej celi i zawsze jest głodny — poradził doktor Lemaître.

— Loïc zawsze dostaje repetę... to nie jest sprawiedliwe! — zawołał Dédé.

— Nie wrzeszcz... podzielimy się — uspokoił go Loïc.

Raphaël Mahl nie uwierzyłby nigdy, że życie w więzieniu może być takie ciężkie. A trafił nawet do takiego pomieszczenia, które więźniowie nazywają

"dobrą celą". Z trudem znosił tłok, robactwo, zimno, spory, które wybuchały z byle okazji — z powodu wstrętnej zupy z bulw; najgorsze jednak było to, że nie mógł czytać ani pisać. Doprowadzało go to do wściekłości, coraz częściej wpadał w gniew. Gdybyż przynajmniej mógł rozmawiać z towarzyszami z celi! Od czasu jak lekarza i studenta wysłano do Niemiec, jak im powiedziano — trzy dni po jego przybyciu — i na ich miejsce wprowadzono trzech komunistów, poziom dyskusji wyraźnie się obniżył. Naiwność towarzyszy z celi wprawiała Raphaëla w ustawiczne zdumienie. Ogólnie biorąc, mieli całkiem nierealne wyobrażenie o wojnie. Po dwóch tygodniach Raphaël poprosił o rozmowę z komendantem więzienia, który wbrew wszelkim przypuszczeniom zgodził się go przyjąć.

Raphaëla zaprowadzono pod prysznic i ogolono (niesłychany luksus!), po czym przyjął go komendant. Przy rozmowie był także obecny Maurice Fiaux z jakimś swoim kumplem.

— Zrobię, co chcecie, ale zabierzcie mnie stamtąd.

— Nie podoba się panu hotel? Niedostatecznie komfortowy?

— Nie, jestem bardzo zawiedziony i poskarżę się dyrekcji.

— Możesz się skarżyć, jesteśmy po to, by cię wysłuchać... nieprawdaż, Raymond?

— Tak, oczywiście.

— Wiesz, bardzo brak cię pedziom z Quinconces. Jeden z nich mówił mi nawet wczoraj...

— Nie wygłupiaj się. Wypuścisz mnie czy nie?

— To zależy nie tylko ode mnie... Pan dyrektor ma także coś do powiedzenia w tej sprawie. Nieprawdaż, panie dyrektorze?

— Naturalnie. Pan Mahl miał zapewne okazję usłyszeć niejedno, odkąd jest u nas.

— Ano, opowiedz... To musi być szalenie ciekawe.

— Zgoda, ale niech pan mi obieca, że mnie wypuści, zanim skorzysta z moich informacji.

Maurice Fiaux dał znak głową dyrektorowi.

— Ma pan moje słowo, panie Mahl. Słuchamy pana.

W ciągu dwóch tygodni Raphaël zebrał w celi i podczas spacerów informacje o niektórych więźniach, dowiedział się, że są wśród nich członkowie ruchu oporu i piloci angielscy, nie zidentyfikowani przez władze niemieckie. Spokojnie podał ich pseudonimy.

— Nie widziałeś przypadkiem stryja twojej przyjaciółki, pięknej Léi Delmas?

— Widziałem go tylko przed wojną, przelotnie, w Paryżu, podczas kazania w katedrze. Stałem daleko od ambony, a poza tym... musiał się zmienić od tamtej pory.

— Szkoda... Ten, kto pomoże go aresztować, dostanie dobrą nagrodę.

— Tak, wielka szkoda.

Dyrektor zacierał ręce zadowolony.

— Brawo, panie Mahl. Żałuję, że pan nas opuszcza. Zrobilibyśmy razem dobrą robotę.

Raphaël uklonił się i wstał. Fiaux odprowadził go do drzwi i położył rękę na klamce.

— Właściwie nasz przyjaciel nie opuszcza nas jeszcze...

— Jak to? Przecież mi obiecałeś.

Raphaël usiłował wyjść, ale Maurice Fiaux z zimną krwią odepchnął go na środek pokoju.

— Nic ci nie obiecywałem. To pan dyrektor robił takie obietnice.

— Zgodziłeś się! Dałeś mi znak... sam widziałem.

— Musiałeś źle widzieć.

Raphaël podskoczył i schwycił Maurice'a za szyję, usiłując go zadusić.

— Łajdaku!

Raymond wyjął rewolwer i uderzeniem kolby ogłuszył Raphaëla. Duże, wychudzone ciało osunęło się na podłogę i znieruchomiło pod gradem ciosów.

— Wystarczy — powiedział Fiaux zadyszany — nie doprowadzajmy go do reszty, szef go potrzebuje.

Pałac i rozmawiając z dyrektorem czekali cierpliwie, aż więzień odzyska przytomność.

Po upływie dziesięciu minut Raphaël wyprostował się i dotknął tyłu głowy. Coś ciepłego i wilgotnego pociekło mu między palcami. Ze zgrozą spojrzął na rękę.

— Raymond trochę się zagalopował, ale to był jedyny sposób, byś mnie puścił. Mało brakowało, a byłbyś mnie zadusił, świnio... nie wysłuchawszy nawet mojej propozycji.

— Wypchaj się, łajdaku.

— Bądź grzeczny! Nie próbuj się stawiać... Albo będziesz robił to, czego żądam, albo znajdziesz się gdzieś w Polsce, chyba że... rozpuszczę wiadomość, że to ty wydałeś pilotów.

— Nie ośmielisz się tego zrobić!

— A dlaczego miałbym się krępować... wobec łajdaka, który omal mnie nie zadusił.

Raphaël z trudem wstał i opadł na krzesło.

— Czego chcesz ode mnie?

— Świetnie! Taki mi się podobasz... łagodny i pełen zrozumienia. Daj mi papierosa... Dobra... Teraz słuchaj uważnie. Dohse przypuszcza, że zatrzymaliśmy przypadkiem wielkiego matadora ruchu oporu, ojca Adriena Delmas. Gestapo z Tuluzy i z Bordeaux dałoby wszystko, by go dostać w swoje ręce. Więc proponuję ci taką rzecz: wracasz do celi...

– Nie, nie, bardzo cię proszę...

– Zaczekaj: wracasz do celi na parę dni. Będziemy kolejno wypuszczać na spacer wszystkich więźniów. Ty i więźniowie z twojej celi będziecie na dworze podczas wszystkich spacerów.

– To może im dać do myślenia.

– Mamy to gdzieś... Ważne jest, byś obserwował uważnie każdego więźnia. Oto zdjęcia tych, którzy nas interesują.

Maurice Fiaux położył na biurku dyrektora ze dwanaście dużych fotografii, mniej lub bardziej wyraźnych, mniej lub bardziej starych. Raphaël poznał dwie twarze, jedna była twarzą Loïca Kéradeca. Nie powiedział jednak nic. Na ostatnim zdjęciu poznał Adriena Delmas: gładka twarz, szczupła postać w długim habicie dominikanina. Jak on się zmienił, pomyślał Raphaël.

– Przyjrzyj się dobrze każdemu... Szef jest pewien, że niektórych z tych facetów mamy tutaj. Nie ma lepszej kryjówki od więzienia. No nie?

Raphaël nie odpowiedział udając, że pochłonięty jest oglądaniem fotografii.

– Poznajesz ich?

– Jeśli są tutaj, nie ma problemu.

– Wiedziałem, że można na ciebie liczyć.

– A ja? Czy ja mogę liczyć na was? Kto mnie zapewni, że później nie zgnoicie mnie tutaj?

– Rozumiem. Wydasz nam ich po wyjściu stąd.

– Jeśli tak, to zgoda... Gdzie umieścicie mnie potem?

– Na początku w obozie Mérignac, z prawem do odwiedzin, listów, paczek i wszystkich książek, jakie tylko zechcesz. Następnie wybierzesz: albo będziesz nadal współpracował z nami, albo pojedziesz na ochotnika na roboty do Niemiec.

– Pobyt w obozie Mérignac jest naprawdę konieczny?

– Tak, to logiczne. Wytlumaczę ci: nie ma dostatecznie dużo zarzutów przeciw tobie, by cię trzymać w forcie Hâ, ale ponieważ nie cieszysz się u nas zaufaniem, umieścimy ciebie w Mérignac. Koledzy z celi i inni zrozumieją to właściwie. Ale jeśli się dowiedzą, że jesteś kapusiem, nie ręczę za twoje życie. Zrozumiałeś?

Raphaël wzruszył ramionami w milczeniu.

– Wrócimy po ciebie za cztery dni. Pan dyrektor podpisze twoje zwolnienie.

– A nie można by umieścić mnie w izbie chorych?

– Tylko nie to! Pozory prześladowania to twoja najlepsza obrona.

Strażnik tak brutalnie popchnął Raphaëla, że nieszczęśnik potoczył się do stóp towarzyszy stojących w celi na baczność. Kiedy drzwi się zamknęły, pochylili się nad nim.

– Brutale... mocno go poturbowali.

Loïc przetarł Raphaëlowi twarz i ranę na głowie mokrym ręcznikiem.

– Trzeba go posłać do izby chorych... Fernando, zawołaj na strażnika.

– Nie warto... Oni nie chcieli...

– Łajdaki!

– Szkoda, że lekarza już nie ma.

– Masz rację... Podaj mi jeden ze swoich czystych ręczników.

Łoïc zawiązał Raphaëlowi na głowie coś w rodzaju turbanu, zaciskającego ranę, i położył go na jednym z łózek.

– Dziękuję – powiedział Raphaël zapadając w sen.

Łomotanie do drzwi, sygnał, że nadeszła godzina wieczorowej zupy, wyrwał Raphaëla z letargu. Potworna migrena nie pozwoliła mu się unieść z brudnego siennika.

– Wstawać! – wrzasnął podoficer. – Nie wolno leżeć w dzień.

Raphaël usiłował wypełnić rozkaz i zdołał usiąść. Miał szalony zawrót głowy.

– Widzi pan, że on jest chory.

– Nie chory... leniwy... Wstawać!

Z nadludzkim wysiłkiem, podnosząc się z trudem, Raphaël wstał.

– Widzisz... nie jesteś chory.

Ledwie drzwi się zatrzasnęły za strażnikiem, Raphaël zemdlał.

Nazajutrz czuł się nieco lepiej. Zaprowadzono go do izby chorych, gdzie opatrzono mu ranę na głowie. Teraz jestem pewnie podobny do Apollinaire'a, pomyślał wracając do celi. Po południu całe jęgo piętro zeszło na spacer.

Dzień był ładny, ale zimny. Więźniowie podskakiwali, piszczeli jak dzieci, można by sądzić, że to podwórze szkolne podczas pauzy. Spacer należał tu do wielkich rzadkości. Po kilku przekleństwach strażników na podwórzu zapanowała cisza. Minęło dziesięć minut i więźniowie wrócili do cel. Raphaël nie poznał nikogo.

Następnego dnia wczesnym popołudniem na korytarzu rozległ się krzyk:

– Na papierosa... Na papierosa!

To znaczy, że więźniowie, których kartki nie były ani czerwone, ani żółte, będą mogli wyjść do hallu i iść gęsiego na podwórze na papierosa. Tam się ustawią półkolem z wyciągniętymi rękami i podoficer będzie rzucał każdemu po jednym papierosie z darów Czerwonego Krzyża, po czym ten, któremu podoficer da ogień, użyczy go innym. Skorzystają z tej chwili, by przekazywać sobie nowiny i wiadomości od bliskich.

Oparty o mur Raphaël Mahl z rozkoszą zaciągał się papierosem. Gryzący dym czarnego tytoniu szczypał go w oczy, ale dziwnie łagodził ból głowy. Rozkoszując się tą krótką chwilą, Raphaël miał wrażenie, że staje się coraz lżejszy.

Wychodząc na dziedziniec zobaczył go natychmiast. Ciekawe, pomyślał, sądziłbym, że ma czerwoną kartkę.

Na uboczu, podobnie jak Mahl, palił papierosa ów niby-wieśniak. Poorana zmarszczkami twarz odzyskała normalny wygląd, rany przestały mu już chyba

dokuczać. Raphaël zbliżył się do "wieśniaka" i spojrzenia ich się spotkały.

— Koniec... Koniec spaceru! — wrzasnął podoficer.

Zaciągając się chciwie po raz ostatni, palacze rzucili pety do kubka z wodą i grzecznie ustawili się w szeregu. Palenie trwało sześć minut. Mahl się odsunął, by przepuścić "wieśniaka".

— Proszę, ojciec pierwszy — szepnął.

Tamten drgnął mimo woli.

A więc to, czego się obawiał, stało się: jest rozpoznany! Kiedy w "biurze przyjęć" Adrien Delmas zobaczył Raphaëla Mahla, spodziewał się najgorszego. Wobec tego jednak, że nic się nie wydarzyło, pomyślał, że pisarz go nie poznał... Tak jednak nie było. Nie rozumiał więc, dlaczego nie zadenuncjował go ten, kto denuncjował innych, zarówno w Paryżu, jak i w Bordeaux. Wydał przecież dwóch komunistów z ruchu oporu i dwóch pilotów angielskich, których wywleczono z cel i zaprowadzono pod numer 197 przy alei du Médoc, by Dohse i jego zbiry mogli ich tam przesłuchiwać. Dlaczego Mahl dał mu wyraźnie do zrozumienia, że go poznał? Czy przez sympatię? Czy chciał ostrzec przed niebezpieczeństwem? A może po prostu po to, by dominikanin zdradził się sam? Ta ostatnia ewentualność wydawała się Adrienowi Delmas najbardziej prawdopodobna. Podczas przerwy na papierosa dostał wiadomość o bliskim przeniesieniu go do obozu w Mérignac i o przygotowywaniu jego ucieczki stamtąd. Tej nocy ojciec Delmas nie zmrużył oka.

Raphaël Mahl nie spał także. Bolała go głowa i tak gryzło robactwo, że drapał się aż do krwi. Mimo to był w dobrym humorze: niebawem wyjdzie na wolność! Dobrze, przez jakiś czas będą go trzymać w obozie Mérignac, ale tego się nie boi; zna dyrektora i miejsce, da sobie radę.

Loïc jęknął we śnie.

Raphaël martwił się o chłopaka, tym bardziej że Loïc zawsze był dla niego miły, a nawet serdeczny. Nie miał jednak wyboru. Ponadto Raphaël był przekonany, że nie przypadkiem zdjęcie chłopca znalazło się wśród tych, które mu pokazano.

Po dwóch dniach młodego marynarza zabrano z celi. Tegoż wieczoru Loïc Kéradec został odstawiony do Le Bouscat w alei du Médoc. Ponieważ zaś tamci się dziwili, że tak marną ofiarował im zdobycz, Raphaël wyjaśnił, że już za pierwszym razem wydał wszystkich, którzy mogli ich interesować. Oprócz Bretończyka nie poznał nikogo. Nie pisał słowem o ojcu Delmas.

W obozie Mérignac dyrektor nazwiskiem Rousseau skierował Raphaëla do pisania, to znaczy do prowadzenia rejestru więźniów, gdyż żandarm francuski, który to robił, nie mógł dać sobie rady z tą pracą. W drodze szczególnej łaski pozwolono Raphaëlowi zostawać w biurze aż do wieczora.

Barak przyjęć był jedynym, który jako tako ogrzewano. Po skończonej pracy Raphaël Mahl włókł swoje krzesło do kąta najbardziej oddalonego od hałaśliwych i gadatliwych żandarmów i pograżał się w lekturze książek, jakie dostał od Maurice'a Fiaux. Jakim cudem ten nędzny łotrzyk zdobył utwory kilku ulubionych pisarzy Mahla? Były tam "Pamiętniki" Pepysa, do których Raphaël

powracał zawsze z radością. Był kochany Stendhal z "Lucjanem Leuwenem", Balzac ze "Straconymi złudzeniami" i Rousseau z "Wyznaniami". A także "Pracownicy morza" i "Rok dziewięćdziesiąty trzeci" staruszka Hugo. Do całkowitego szczęścia brakowało tylko Châteaubrianda. Ale ten i tak był obecny w umyśle i sercu Mahla! Teraz czekał niecierpliwie na kieszonkowy atlas i Biblię, o które prosił Maurice'a, oraz na mały zeszytek, w którym zamierzał robić notatki do swojej przyszłej powieści. Jak tylko stąd wyjdzie, będzie pisał na wzór La Bruyère'a. Wyobrażał sobie szczegółowo, jak przedstawi różne typy: ludzi światowych, literatów i wydawców, twórców mody, polityków, biznesmenów, a czemuż by nie miał także przedstawić marginesu społecznego, policji, tych, co się bawią, osoby duchowne... To dobry pomysł, jak tylko dostanie notes, będzie mógł ten pomysł rozwinąć. Zostać wielkim pisarzem! Uznany i kochany przez wszystkich! Widział już siebie jako laureata literackiej nagrody Nobla, jako człowieka eleganckiego i czarującego, w mundurze akademika... Poprosi Jeana Cocteau, by zaprojektował dla niego rękawicę i gardę szpady; to będzie okazja, by się pogodzić z tym kochanym Jeannotem. Koniec z nocnymi lokalami, alkoholem, zbyt łatwymi chłopcami.

Życie erotyczne Raphaëla Mahla miało pewną szczególną właściwość. Nikt mu się nigdy nie oparł, nikt go nie odtrącił, ale i nikogo nie kochał naprawdę. Za każdym razem, kiedy kogoś pożądał, potrafił tak go oczarować, że przedmiot pożądania sam do niego przychodził. Raphaël był pieszczony i zdobywał ciała, niekiedy wywoływał westchnienia rozkoszy, nigdy jednak nie słyszał dziecinnych i naiwnych słów ślepej miłości. Fascynował, ale nie budził mocnych uczuć. Kiedy odchodził, czar pryskał. Ktoś, kogo kochał namiętnie, opuścił go po sześciu miesiącach współżycia, mówiąc z rozmarzeniem: "Właściwie nikt nie może ciebie zastąpić". Był to największy komplement, jaki Raphaël kiedykolwiek usłyszał. A ileż nieodwzajemnionej miłości przepelniało jego serce! Była to może wina tajemnej i okrutnej goryczy, jaka go pożerała i jakiej nie zdołała rozproszyć żadna frywolność. Koniec z tym wszystkim! Raphaël Mahl poświęci się całkowicie swemu dziełu. Jak tylko stąd wyjdzie, znajdzie miejsce spokojne i piękne, przychylne tworzeniu. Natychmiast pomyślał o Montillac... Widział już, jak medytuje wśród winnic czy na tarasie... Dlaczego nie miałby napisać do Léi? Ta mała ma serce i nie odmówi mu gościny. Zresztą on na to zasłużył. Jedno jego słowo, a kochany stryj, dominikanin i bojownik ruchu oporu, będzie zidentyfikowany... Sam dobrze nie rozumiał, dlaczego do tej pory nie zadencjonował tego człowieka, którego właściwie wcale nie zna... W gruncie rzeczy to wina tamtych. Nie podobały mu się metody Maurice'a Fiaux i jego koleżków, niech sobie radzą bez Raphaëla. Była to karta, którą chciał zagrać w odpowiednim momencie. Wiedział o działalności dominikanina takie rzeczy, o jakich nie miał pojęcia ani komisarz Poinot, ani gestapo. W odpowiedniej chwili zobaczy się. Na razie napisze do Léi, poprosi o książki i żywność, a także o to, by go odwiedziła, jeśli to jest możliwe.

Przybycie nowych więźniów przerwało te dumania. Raphaël wstał, by wziąć rejestr przybyszów. Dyżurny żandarm podawał mu kolejno dowody osobiste więźniów: Moreau Pierre, zamieszkały w Langon... Lagarde Jacques, zamieszkały w Bordeaux... Dardenne Alain, zamieszkały w Dax... Raphaël uniósł głowę.



Spojrzenia dwóch mężczyzn się spotkały. Żaden mięsień nie drgnął w ich twarzach.

— Następny.

Raphaël Mahl powrócił do pracy.

Kilka dni później Maurice Fiaux przyszedł odwiedzić Raphaëla z Biblią i atlasem, o które ten go prosił.

— Masz, przyniosłem ci fajkę i tytoń. O papierosy teraz trudno.

— Dziękuję.

— Jak ci się wiedzie?

— Nie najgorzej. Zaczyna mnie trochę męczyć obcowanie z tymi osobnikami z ludu: mają wszystkie nasze przywary, nie mając naszych zalet.

— Zapominasz, że moja matka była służącą.

— Może. Ale wychował cię jej pracodawca. Masz zamiłowania obce twojej kondycji. I słusznie. Lud francuski mnie mierzi, ten jego brak zainteresowań, ta głupota, te ciągle roszczenia rozkwitają tu jak kwiaty na nawozie. Mówi się nam o ludzie, by przypisywać mu cnoty, jakich nam brak. To absurd, lud nie ma ani naszych cnót, ani naszych wad. Możesz mi wierzyć, niewielka jest różnica między pastuchem a cielęciem, którego ten pastuch pilnuje.

— Dobrze powiedziane. Czy odkąd tu jesteś, zauważyłeś coś ciekawego?

— Niewiele z tego, o czym byś już nie wiedział. Handluje się tu na potęgę, paczki i listy przychodzą potajemnie co dzień przy wydatnym udziale żandarmów. Niektórzy więźniowie znikają nawet na kilka godzin w ciągu dnia, żeby się spotkać z żoną czy z przyjaciółką.

— Tak, wiemy o tym... Nie dowiedziałeś się czegoś o kontaktach z grupami ruchu oporu czy o obecności bojowników oporu w obozie?

— Obóz jest duży, nie miałem jeszcze okazji zajrzeć do wszystkich baraków. Jeśli chcesz ułatwić mi to zadanie, powinieneś przynosić więcej książek. Będę je wypożyczał, to dodatkowy powód, bym wchodził do cel.

— Niezły pomysł... Pomówię z Poinsosem. Jeśli się zgodzi, będę ci przysyłał co tydzień paczkę książek.

— Nie wysilaj się na książki trudne, poziom tutaj nie jest bynajmniej wysoki. Skorzystaj z okazji, by przysłać mi jeden czy dwa swetry i parę porządnych butów, konam z zimna. Kiełbasa, herbatniki, koniak będą także mile widziane.

— Na to wszystko trzeba zarobić. Za każdą informację — smakołyk albo coś ciepłego. To wystarczy... no nie?

— Dobra... dobra... Ale z was kutwy!

— Nie jesteśmy skąpi, jesteśmy ostrożni. Miej otwarte oczy i uszy, chodzą słuchy w barach i salonach Bordeaux, że zatrzymaliśmy ważnego działacza oporu.

— Którego?

— Jak się o tym dowiedzieć? Wpakowaliśmy wszędzie rozmaitych kapusiów, ale żaden nie zdobył informacji.

– To ma być ktoś z tej okolicy?

– Szef nie wie nic i w to nie wierzy. Gdyby to był ktoś znany, jak na przykład ojciec Delmas, dawno już by go zadenuncjowali.

– Na pewno.

– Dobra, to na nic, gadamy, gadamy, a robota sama się nie robi. Cześć, niedługo się zobaczymy. Aha, zapomniałem, nie wiem, co się ze mną dzieje, zapominam wszystko... To pewnie zmęczenie... Wiesz, ten marynarz, który był w twojej celi...

– Loïc?

– Tak, nie wytrzymał biedak, nie wytrzymał przesłuchania... słabeusz. Po trzech dniach dureń umarł nic nie powiedziawszy, moim zdaniem zresztą niewiele miał do powiedzenia... Nie wyobrażasz sobie, ile to narobiło szumu w forcie Hâ! Faceci wrzeszczeli, wrzeszczeli, trzeba było sprowadzić posiłki. Tych, co robili najwięcej szumu, zamknięto w karcerze, bo lochów zabrakło. Wyobrażasz sobie, co by to było, gdyby wiedzieli, że to ty go wydałeś? Nie chciałbym być w twojej skórze.

Twarz Raphaëla ani razu nie drgnęła podczas tej opowieści. Ogromnym wysiłkiem woli, oblewając się zimnym potem, opanował się, by nie skoczyć Maurice'owi do gardła. Wyczuwał, że lajdak na to tylko czeka.

– Ja także nie chciałbym być w twojej.

Mahl obrócił się na pięcie i poszedł do baraku.

W dzień nie wolno było kłaść się na łóżku pod groźbą sankcji. Mimo pełnych potępienia spojrzeń kolegów, którzy siedzieli wokół piecyka i grali w karty na kocu rozesłanym na podłodze, Raphaël położył się i zamknął oczy.

Adrien Delmas zamknął powoli książkę, którą czytał, zdjął okulary, wstał i pod wpływem nagłego impulsu skierował się w stronę leżącego człowieka.

Raphaël, którego nogi wstrząsane były drgawkami, kurczowo trzymał się łóżka z obu stron i dyszał; czerwone plamy wystąpiły mu na trupio bladej twarzy. Dominikanin podszedł do niego.

Gorzki zapach unosił się nad Raphaëlem, taki sam, jak niegdyś w Hiszpanii nad ludźmi skazanymi na śmierć: zapach strachu. Co mu powiedziano? Czego tak się bał? Co doprowadziło go do takiego stanu? Od tygodnia byli w tym baraku, ale ten więzień nigdy tak nie wyglądał.

– Pan jest chory? Czy panu czegoś nie trzeba?

Raphaël pokręcił przecząco głową otwierając oczy i natychmiast je zamknął.

Niech ten dominikanin odejdzie... Jeszcze słowo, a Raphaël zawoła dyżurnego żandarma i zażąda, by poszedł po dyrektora, któremu opowie o mnichu. Życie tego człowieka zależy od Raphaëla. Ta myśl wywołała u niego lekką erekcję. Raphaël zauważył już dawno, że za każdym razem, kiedy mógł kogoś zniszczyć, członek mu nabrzmiewał. Ciekawe, że choć był głęboko perwersyjny, nigdy nie usiłował wykorzystać tego zjawiska, tylko stwierdzał fakt z pewnym rozbawieniem.

Zaledwie pięć czy sześć razy skorzystał z lęku, jaki odczuwali młodzi chłopcy rozpoczynający życie seksualne w nocnych lokalach na Montmartre, by zmusić ich do spełnienia jego kaprysów, które wydawały mu się całkiem banalne. Pewnego razu w seminarium, gdzie spędził kilka lat, zmusił pewnego seminarzystę, który był od niego młodszy, by ssał jego członek, a w zamian za to obiecał, że nie powie nikomu, iż ten młodzik czyta zakazane książki. W owym czasie odczuwał do duchownych pewien pociąg, a zarazem coś go od nich odpychało, i to tak dalece, że pragnąc do nich należeć, usiłował jednocześnie zniechęcić ich do powołania słowami i czynami tak podstępnyymi, że opat dopiero po kilku latach zauważył jego sztuczki i usunął go z seminarium. Opat był trochę podobny do Adriena Delmas z czasów, kiedy ten wygłaszał kazania w katedrze paryskiej: taka sama postawa, wysoki i silny, takie samo spojrzenie, które zdawało się sięgać bardzo głęboko, taki sam piękny głos i duże dłonie... Raphaël czuł obecność dominikanina. Ale, wielki Boże! Niech on odejdzie...

— Czy mogę panu w czymś pomóc?

— Niech pan się ode mnie odczepi — warknął Raphaël.

Jakby w odpowiedzi na ten krzyk umilkły rozmowy w baraku. Nie zwracając na nic uwagi Adrien ciągnął półgłosem:

— Zdaje mi się, że wiem, co pana niepokoi... Nie będę mówił tego, co się mówi w podobnych okolicznościach. Dodam jedynie, że cokolwiek pan zrobi, ja panu wybaczę, i że w zwątpieniu, jakie mnie gnębi, będę modlił się za pana.

Raphaël usiadł, schwycił "wieśniaka" za kołnierzyk koszuli i powiedział mu prosto w twarz:

— Mam cię gdzieś, wstrętny mnichu... twoje modły i twoje przebaczenie także, możesz się nimi wypchać.

— Niech się pan opanuje, wszyscy na nas patrzą.

— Niech sobie patrzą te durnie, łobuzy!

— Proszę nic nie mówić, bo będzie pan miał przykrości.

— Niech przychodzą... proszę... chodźcie tutaj, kochasie... Chodźcie przyjrzeć się Raphaëlowi... mam gdzieś całą waszą zgrają...

Dwóch spośród obecnych wstało.

Raphaël nie zobaczył pięści, która zmiażdżyła mu nos, ani tej, która go powaliła.

Kiedy odzyskał przytomność, dominikanin kończył myć mu twarz.

— Znowu pan — powiedział Raphaël znużonym głosem.

— Proszę chwilę odpocząć, zaprowadzimy pana do izby chorych.

— Po co? Przepraszam, zachowałem się idiotycznie... Dostałem złą wiadomość.

Raphaël miał złamany nos i zwichnięte ramię. Maurice Fiaux przyszedł do izby chorych w towarzystwie Mathiasa Fayarda. Przynieśli pudło książek.

— Przyniosłem ci książki.

– Dziękuję.

– Rousseau powiedział mi, że dostałeś w mordę i że bez tego dużego chłopca byłiby cię zatłukli.

– Nie trzeba przesadzać.

– Dowiedziałeś się czegoś nowego?

– Nic ważnego. W baraku numer trzy mają odbiornik radiowy i słuchają co wieczór Londynu. Komuniści w obozie zorganizowali się i puszczają w obieg podziemną gazetkę.

– Udało ci się zdobyć taką gazetkę?

– Tak. Jest w kieszeni mojej marynarki.

Fiaux wyjął z kieszeni jego marynarki arkusik z odbitym na powielaczu tekstem i szybko go przeczytał.

– Ciągłe te same bzdury!... Nic więcej?

– Nic. Nie wypatrzyłem jeszcze żadnego bojownika, sami faceci bez znaczenia. Powinniście zobaczyć w forcie Hâ.

– Nie ukrywasz przypadkiem czegoś przed nami? Szef myśli, że nie mówisz wszystkiego.

– Dlaczego miałbym ukrywać cokolwiek, skoro zgodziłem się z wami współpracować. Nie mogę wymyślić dla was pseudo szefa ruchu oporu.

– Ale plotki ciągle krążą. Niedługo będziesz miał towarzystwo: Marcel Rigaux i Fernando Rodriguez. Nic ci to nie mówi? Siedzieliście w tej samej celi w forcie Hâ...

Raphaël drgnął.

– Nie zostawiajcie mnie tutaj, chłopcy.

Fiaux udął, że nie słyszy. Obaj szybko odeszli. Mathias nie odezwał się słowem. Zbliżała się godzina wieczornej zupy. Zapadła już noc.

Mahl powrócił do swojego baraku.

Pierwszymi osobami, które zobaczył wchodząc, byli Rigaux i Rodriguez. Rigaux podszedł do niego.

– Cześć, Mahl. Nie myśleliśmy, że spotkamy cię tutaj.

Drzwi otworzyły się gwałtownie. Wszedł komendant obozu z Dohsem. Towarzyszyło im dziesięciu żołnierzy z bronią wycelowaną w więźniów.

– Panowie, porucznik Dohse chce wam coś powiedzieć.

– Dziękuję, panie dyrektorze. Panowie, będę mówił krótko. Wiemy, że wśród was ukrywa się niebezpieczny terrorysta. Waszym obowiązkiem jest zdemaskować go, nieprawdaż? Jeśli tego nie zrobicie, będziemy zmuszeni wziąć zakładników. Mam nadzieję, że zrozumieliście mnie dobrze. Macie trzy dni. Po tym terminie będziemy rozstrzeliwali pięciu zakładników co dwa dni. Do widzenia i... smacznego, panowie.

Po wyjściu Niemców i Rousseau ciężka cisza zapadła w celi. Przerwało ją przybycie żołnierzy z kotłem. Tym razem nie było hałasu wokół nalewających

zupę. Nikt nie narzekał na jej ilość ani nie wykpiwał jej składu. Każdy jadł w milczeniu w swoim kącie. Pod koniec posiłku wokół Marcela Rigaux i Fernanda Rodrigueza zgromadziło się kilku więźniów.

Raphaël nie odrywał wzroku od Adriena. Wiedział, że okrutna walka toczy się w umyśle dominikanina: czy powinien oddać się w ręce Niemców, by nie dopuścić do potwornej rzezi niewinnych zakładników? Oddać się narażając się na to, że coś powie podczas tortur? Mahl wiedział, że na jego miejscu nie drgnąłby: jego życie jest ważniejsze niż życie zamkniętych z nim nieszczęśników. Niech zdechną! Zresztą kim oni są?... Można by się nad tym zastanawiać.

Spojrzenia dwóch mężczyzn spotkały się. "Niech pan milczy" — rozkazywał wzrok Raphaëla. "Proszę mnie zadenuncjować" — błagały oczy Adriena.

Pisarz wstał i poszedł w kierunku dominikanina. Potknął się o wysuniętą nagle nogę, wyprostował go kopniak w podbródek, a drugi, w siedzenie — przewrócił na brzuch. Głową uderzył o twardą przegrodę, kalecząc się w czoło. Rodriguez złapał go za ramię. Raphaël zawył... ból w zwichniętym ramieniu piekł jak rozżarzone żelazo.

— Dostaniesz w mordę, pedale!

— Delikatny jesteś jak panienka!

Od potężnego uderzenia w żołądek Raphaël zgiął się we dwoje.

— Panowie, panowie, przestańcie.

— Niech się pan do tego nie wtrąca, staruszk!

— Dlaczego go bijecie? Mam prawo wiedzieć.

— Dobrze — powiedział Marcel Rigaux — powiemy, dlaczego wykrwawimy go jak wieprza. Byliśmy w jednej celi w forcie Hâ... Mieliśmy dobrego kolegę... marynarza... Bretończyka... Loïc mu było na imię. Niech pan zapyta tego łajdaka, jaki to był chłopak... Dzięki niemu więzienie wydawało się mniej ciężkie... Zawsze coś powiedział do śmiechu, zaśpiewał, i w dodatku...

Rigaux miał oczy pełne łez, celnym ciosem zmiażdżył skaleczony nos Mahla. Krew trysnęła na dominikanina.

Rigaux ciągnął:

— Miał złote serce... Dzielił się ze wszystkimi... pocieszał nas... pielęgnował... czuwał nad nim... a on... on go wydał... wydał go gestapo...

Głuchy szmer przebiegł po baraku.

— Trzy dni... trzy dni torturowali Loïca w Le Bouscat!

Adrien Delmas patrzył ze zgrozą na leżące na podłodze ciało.

— W więzieniu Loïc słyszał dużo rzeczy... nie mówił... nic... nic im nie powiedział. A wbijali mu rozżarzone szpilki pod paznokcie... na otwarte rany na udach sypali sól... tak walili kijami, aż połamali mu nogi...

— Dosyc — wrzasnął Raphaël.

Rodriguez podniósł Raphaëla za pulower i potrząsnął nim, waląc jego głową o przegródkę.

– Dlaczego!... Dlaczego to zrobiłeś?

– Skąd dowiedzieliście się? – wybełkotał Raphaël.

– Powiemy ci, żeby ci pokazać, że bywają takie same łajdaki jak ty. Jeden z twoich kumpli... wysoki, ładny chłopak, prowadząc nas tutaj powiedział, że jesteś kapusiem, że wydałeś Loïca i innych chłopaków i że tutaj także robisz swoją brudną robotę.

– Ale dlaczego?

– Myśli, że jesteś już tamtym niepotrzebny... że zadenuncjowałeś wszystkich, kogo mogłeś.

Wielkie znużenie ogarnęło Raphaëla Mahla, a jednocześnie wezbrało w nim przemożne pragnienie, by skończyć z tym wszystkim. Biedni głupcy... tak samo jak on dawali się nabierać, pozwalali manipulować sobą przez tak nędzną kreaturę jak Maurice Fiaux... Nie wątpił, że to był jego pomysł: wydać Raphaëla na pastwę więźniom. Przeklęty Maurice! Jest właściwie mistrzem w swoim rodzaju! Ale on Raphaël, także jest niezły: potrafił ich przekonać, że nie ma szefów ruchu oporu w obozie. Dobra robota! Uśmiechnął się na tę myśl.

– On w dodatku kpi sobie z nas!

– Śmierdziel!

– Łajdak!

Ciosy spadały ze wszystkich stron.

Niebawem Raphaël Mahl nie miał już twarzy. Adrien Delmas kilkakrotnie usiłował interweniować. Lecz nienawiść odebrała tłumowi słuch. Ktoś dominikanina przewrócił. Kiedy odzyskał przytomność, poczuł swąd spalonego ciała. Przeciągłe wycie zagłuszało wybuchy śmiechu i krzyki... Dominikanin się podniósł. Posadzony na piecyku i podtrzymywany przez dziesiątki rąk Raphaël Mahl... smażył się... Podczas gdy niektórzy komentowali tę torturę sprośnymi słowami.

– Spójrzcie, jak tańczy... to mu idzie w smak!

– Doznaje rozkoszy, świnia... posłuchajcie, jak wrzeszczy!

– Byłoby jeszcze lepiej, gdybyśmy wsadzili mu rozżarzone żelazo do dupy.

– Wyobrażasz sobie, taki koniec dla pedała! Marzenie!

– Tak, ale jak cuchnie to mięso pedała!

– To nie jego mięso tak cuchnie... tylko gównno, zesrał się.

– Nie martw się, teraz już nie będzie srał ani innych na to skazywał.

Zgroza dodała nieprawdopodobnej siły ojcu Delmas. Rozepchnął oprawców i gwałtownie zdjął Raphaëla z piecyka. Kawalek jego ciała pozostał, przylepił się do rozżarzonego metalu. Runęli obaj do stóp rozbestwionego tłumu, który się rozstał. Zapadła chwila ciszy. Raphaël otworzył jedno oko w ramionach Adriena i to, co było niegdyś ustami, usiłowało się uśmiechnąć: żaloszny grymas. Skrzep krwi ześliznął mu się na podbródek.

– Niech pan nic nie mówi.

— To głupio... Miałem dobry pomysł... na powieść... — zdołał wybąkać Raphaël.

Z podziwem i zdumieniem Adrien patrzył na człowieka, który marzył, by zostać wielkim pisarzem, i w chwili potwornej śmierci znalazł jeszcze dość siły, by żartować.

— Niech pan powie... Léi... że ja... że ja bardzo ją lubiłem...

— Powiem na pewno.

— Niech pan się odsunie, skończymy z tym łotrem.

— Proszę, dajcie mu spokój! Czy nie zadaliście mu już dosyć bólu?

— Nie — odparł Fernando Rodriguez wrywając Raphaëla z ramion tego, który usiłował go bronić.

— Nie — powtórzył Fernando — niech to będzie przykładem dla wszystkich kapusiów, wszystkich kolaborantów, jacy są w tym obozie i gdzie indziej. Ano, chłopcy... Skończmy z nim!

Ci mężczyźni, którzy się rzucili na Raphaëla Mahla... To mrowienie się rąk na jego ciele... te twarze, które się pochylają nad jego twarzą i które on widzi przez krwawą mgłę... coś w rodzaju pary... przypomina to Raphaëlowi łaźnię rzymską u Amela, w tym królestwie tajemnej pornografii, gdzie bywalcy szukają się, wymacują, ściskają, pomagają sobie nawzajem. Potworne miejsce, gdzie ramiona i ręce stają się miękkie jak macki ośmiornicy... zejście do piekła wśród splecionych ciał, wstrząsanych jednym spazmem, jednym głębokim westchnieniem, które wśród ściśniętych i dygocących ludzkich ciał zdaje się wydobywać z trzewi ziemi... Tam... ręce obce, chwytlive, sprawne i wstrętne, starają się zadać mu ból, zabić go... Niebawem obrazy zacierają się w pamięci Raphaëla... pozostają jedynie kolory, gwałtowne jak wyładowania elektryczne... soczysta zieleń... piękny błękit... czern... srebrzyste gwiazdy drgają w ciemności... ciemności... ciemności...

W głębi baraku podnosi się ręka i kreśli znak krzyża.

Bardzo szybko tłum ludzki zmęczył się biciem tej bryły miękkiej i bezkształtnej, która jeszcze tryskała na nich krwią. Trup im przeszkadza.

— A może by tak wyrzucić te resztki wieprza do śmieci?

— Świetny pomysł!

W nocy trup Raphaëla Mahla został wrzucony do gnojówki i przykryty nieczystościami. O świcie więźniowie pełniący służbę wzięli ciało i włożyli do nędznej trumny.

Ani strażnicy, ani żandarmi nie drgnęli.

W dwa dni po śmierci Raphaëla Mahla Adrien Delmas uciekł z obozu dzięki doskonałej znajomości terenu i zwyczajów straży.

Wśliznął się pod plandekę ciężarówki, którą przywieziono chleb na cały tydzień. Dobrze opłacony kierowca przystanął w pobliżu miejsca, gdzie się ukrył dominikanin, i udawał, że ma awarię. Wyjechawszy z obozu zawiózł go do Bégles, jednego z przedmieść Bordeaux, gdzie czekali na Adriena Delmas Albert i Léa w towarzystwie trzech młodych bojowników ruchu oporu, uzbrojonych w pistolety maszynowe. Z trudem zmieścili się wszyscy w furgonetce rzeźnika.

— Proszę ojca — powiedział Albert — samolot ma przylecieć po ojca dziś wieczór.

— Nie chcę wyjeżdżać. Muszę zostać tutaj, tutaj jestem najbardziej pożyteczny.

— Londyn jest innego zdania. Na miejscu ojca wyjechałbym. Ojciec jest ogromnie zagrożony, a obecność ojca w tym regionie stanowi niebezpieczeństwo dla wszystkich. Ojcie, trzeba wykonać rozkaz.

Adrien zamknął oczy i milczał. Wszyscy uszanowali ciszę, która zapadła: dominikanin wydawał się tak bardzo zmęczony. Léa, przytulona do stryja na przedzie pojazdu, położyła mu głowę na ramieniu i wkrótce usnęła.

Obudziła się, kiedy przejechali dziwnie spadzisty plac Bazas. Jechali następnie wzdłuż katedry Saint-Jean, zjechali na dół aż do starej studni i po kilku minutach jazdy w kierunku Casteljaloux skręcili wreszcie na prawo w wąską drogę i zatrzymali się przed wioską Sauviac. Z niskiego domku, przed którym chodziły kurczaki, wyszedł starzec z żoną. Albert powiedział im kilka słów, wysłuchali go i wrócili do domu, dając przybyszom znak, żeby za nimi szli.

— U państwa Laforgues będzie ojciec bezpieczny. Samolot przyleci dziś wieczór o ósmej. Dziadek zawiezie ojca na lądowisko koło Beuve — wyjaśnił Albert.

— Znam je.

— A tymczasem niech ojciec odpocznie. Przyjadę po Léę po południu.

— Dziękuję za wszystko, Albercie. Jak się miewa Mireille?

— Dobrze, proszę ojca, to dzielna kobieta.

— Wiem... Macie wiadomości od syna?



— Jest w Cantal w maquis Revanche, koło Chaudes-Aigues. Chłopcy siedzą w lesie wzdłuż brzegu Tuyére... To dobre miejsce, trudne do zaatakowania, nie ma obawy, żeby bosze tam się wybrały... Muszę już jechać. Proszę, niech ojciec będzie spokojny, najpóźniej za dwa miesiące ojciec wróci. Do widzenia.

— Do widzenia, Albercie, będziecie uważali na Léę?

— Nie trzeba o tym mówić. Córka pani Isabelle to dla mnie świętość.

Stryj i bratanica spędzili razem dzień na rozmowie przy kominku. Zjedli skromny posiłek ze starszankami Laforgues, którzy byli ludźmi bardzo małomównymi.

Adrien opowiedział Léi oględnie o potwornej śmierci Raphaëla Mahla. Na wieść, że Raphaël umierając myślał o niej, Léa się rozplakała.

— Ja także go lubiłam — rzekła.

Dominikanin pozwolił jej się wypłakać. Uspokoiwszy się trochę, Léa zapytała:

— Ale dlaczego Raphaël nie zadenuncjował ciebie?

— Nie wiem. Od owej potwornej nocy zadaję sobie to pytanie. Dlaczego Raphaël mnie nie zadenuncjował? Ty, która go znałaś, nic nie przypuszczasz?

— Nie. A może jednak?... To byłoby do niego podobne. Wiedział, że ciebie poszukują, może nawet żądano, by rozpoznał cię wśród więźniów, więc przez przekorę powiedział pewnie sobie, że tego nie zrobi.

— Ale człowiek nie daje się zabić przez przekorę!

— Raphaël... owszem.

— Może masz rację. Z dziwnych niekiedy powodów ludzie godzą się ze śmiercią. Ale te jego oczy, kiedy oni go tłukli!... Ilekroć nasze spojrzenia się spotykały, wydawało mi się, że mówi: "Nie spodziewaliście się tego, co? A jednak wyprowadziłem was w pole".

Léa z trudem wyrwała się z ramion stryja. Czowała się tak, jakby jej ojciec umierał po raz drugi.

— Życzę ci dobrych świąt, kochanie. Pójdź za mnie na pasterkę i pozdrów ode mnie świętą Exupérance. Uściskaj wszystkich w Montillac, i powiedz im, że modłę się za nich. Niech Bóg ma cię w swojej opiece... Bądź ostrożna.

Jakże smutne było to Boże Narodzenie mimo zachwyty i radości małego Charles'a, który dostał na gwiazdkę czerwony samochodzik! Noc 31 grudnia wydała się mieszkankom Montillac nie do zniesienia. Każda zastanawiała się z trwogą, czy w 1944 roku wojna wreszcie się skończy.

Drugiego stycznia Léę spotkała niespodzianka: przyjechał François Tavernier. Wóz miał zachlapany błotem aż po dach, a jego zmęczona twarz dowodziła, że był w drodze przez całą noc.

Pospiesznie życzył szczęśliwego Nowego Roku całemu domowi, uściskał Charles'a i wyciągnął z kieszeni notesik — prezent na gwiazdkę. Malec był w siódmym niebie. Po czym François zabrał Léę do gabinetu.

— Przyjechałem, jak tylko otrzymałem wiadomość od twojego stryja. Dlaczego nie mówiłaś mi nic o Mathiasie i jego ojcu?

– Nie chciałam cię zanudzać swoimi sprawami.

– Nie nudzisz mnie nigdy, dobrze o tym wiesz. Chodźmy, mam bardzo mało czasu, muszę wyjechać dziś wieczór.

– Już!... Zwariowałaś?

– Mój czas nie należy do mnie... Nie powinienem być w ogóle tutaj przyjeżdżać.

Léa zamknęła na klucz drzwi gabinetu ojca i bez słowa rzuciła się w objęcia François. Kochali się ubrani, w milczeniu. Cichy jęk Léi załamał się w łkaniu.

Długą chwilę trwali przytuleni do siebie.

Kiedy senność zaczęła ich ogarniać, François zareagował pierwszy.

– Proszę, zrób mi kawę.

Léa pospieszyła do kuchni odgrzać kawę i ugotować jajka.

Przez dwie godziny François oglądał księgi rachunkowe, wykaz hipoteczny, konta bankowe. Długo wyjaśniał potem Léi, jak wszystko to można było zmienić i sfalszować. Wiedział, że właściwie majątek jest już w rękach Fayarda, ale nie powiedział jej o tym.

– Nie wygląda to świetnie. Przede wszystkim musisz wziąć dobrego księgowego, żeby te sprawy rozwikłał. Znajdę takiego dla ciebie.

– Ale ja nie mam pieniędzy!

– Proszę cię, zostaw to mnie. Już się tym zajmę. Proszę, oto czek. To ci na razie wystarczy dla banku. Przez jakiś czas trzeba za wszelką cenę trzymać z daleka Mathiasa. To, co teraz robi, absorbuje go, ale niebawem przejdzie do czynów. No, serduszko, muszę wyjeżdżać... Nie... proszę cię... nie płacz. Chcę zabrać ze sobą wspomnienia o twoim uśmiechu.

François wstał, Léa ucałowała go po raz ostatni, głaszcząc jego nie ogoloną twarz.

Léa i François wyszli przed dom. Samochód czekał zaparkowany w alei platanów. Noc zaczęła zapadać, pogrążając winnice i sosny w mroku.

François miał przed sobą całą noc jazdy do Paryża. Powietrze było ciepłe jak na tę porę roku, ale Léa drgnęła. Myśl, że zostaną same z Camille, napawała ją strachem. François był taki wesoły, taki czuły, kiedy żonglował liczbami, że nie zdawała sobie sprawy, jak będzie jej ciężko rozstać się z nim.

Przylepiony do oszklonych drzwi hallu Charles stał z rozpląszczonym o szybę nosem i machał rączką François, który odwrócił się i zasalutował małemu na pożegnanie. Charles, śmiejąc się, zaczął skakać z uciechy. Przez szybę nie było słychać jego śmiechu.

Léa mocniej otuliła się szalem. Trzeba będzie pomyśleć o oczyszczeniu winnicy.

François ujął jej rękę i szybko ucałował, jak gdyby miał wrócić za chwilę. Nie przestawał się uśmiechać. Usiadł przy kierownicy i zatrzasnął drzwiczki. Dźwięk ten rozległ się głośno w wieczornej ciszy. François zapalił silnik nie odrywając oczu od Léi.

W chwili odjazdu powiedział nad otwartą szybą:

— Myślę, że byłoby najrozsądniej, gdybyś przyjechała i zamieszkała ze mną.

Samochód ruszył zwirowaną aleją, przystanął na chwilę przed szosą i pogrążył się w nocy.

Léa stała bez ruchu.

Koniec części drugiej